



MIŁOŚĆ
NAMIĘTNOŚĆ
I ZDRADA

ROMANTYCZNE KLIMATY DAWNEJ ANGLII

Przebiegła i niewinna

SHIRLEE BUSBEE

BELLONA



MIŁOŚĆ
NAMIĘTNOŚĆ
I ZDRADA

ROMANTYCZNE KLIMATY DAWNEJ ANGLII

Przebiegła i niewinna

SHIRLEE BUSBEE

BELLONA

Busbee Shirlee

[Uległa i posłuszna 02](#)

Przebiegła i niewinna

Akcja powieści toczy się na początku XIX w. w sferach posiadaczy ziemskich w Anglii. Intryga nawiązuje do wydarzeń z poprzedniej powieści, przewijają się te same postaci. I tak na przykład tajemniczy osobnik, który odnajduje ważny dokument w Uległa i posłuszna to Asher Cordell, główny bohater tego utworu.

Pochodzi on z dobrej, szlacheckiej rodziny, lecz jego ojciec, oficer marynarki, zaginał

na morzu jeszcze przed narodzinami syna. Matka ponownie wyszła za mąż, też za wojskowego, utracjusza i hazardzistę. By uchronić majątek rodzinny i przyrodnie rodzeństwo przed nędzą, Asher zdobywa pieniądze nieczystymi metodami, angażując się w rozmaite, mętne przedsięwzięcia - na przykład za oddanie władzom owej cennej notatki, której zaginięcie było osnową akcji poprzedniej powieści, kazał

sobie słono zapłacić.

Teraz, skoro ma już ustabilizowaną sytuację finansową, zdobywa się jeszcze na ostatni wyczyn - zamierza ukraść brylanty, będące własnością powszechnie nielubianego barona Ormsby'ego. Gdy już wyjął je ze skrytki, w pokoju pojawia się jeszcze jedna osoba, która też czegoś tam szuka. To córka miejscowego posiadacza ziemskiego, piękna Juliana. Oboje na swój widok wycofują się, lecz zdesperowana Juliana postanawia poprosić Ashera o pomoc. Jej młodsza siostra, śliczna i trzpiotowata Thalia, zadurzyła się niegdyś w baronie Ormsbym i napisała do niego kilka czułych listów. Teraz

zakochała się w zacnym młodzieńcu i zamierza wyjść za niego za męża, lecz niegodziwy baron domaga się, by została jego żoną pod groźbą upublicznienia listów, co skompromitowałoby młodą dziewczynę. Asher odzyskuje listy, a podczas licznych spotkań między nim i Julianą wybucha gwałtowne uczucie, tak że po kilku namiętnych miłosnych zbliżeniach postanawiają się pobrać.

Tymczasem ojczym Ashera, zawsze zadłużony, nagle zaczyna dysponować sporymi sumami. Asher podejrzewa, że ojczym szantażuje Ormsby'ego...

Rozdział 1

Ze swej kryjówki w pobliżu wspaniałej londyńskiej rezydencji markiza Ormsby'ego, Asher Cordell obserwował ożywiony ruch licznych eleganckich powozów tłoczących się na drodze przed rzeźbiście oświetloną budowlą. Stawili się tu wszyscy bywalcy salonów, którzy pod koniec lipca nadal przebywali w mieście i mieli to szczęście, by otrzymać zaproszenie na organizowany przez gospodarza doroczny bal maskowy.

Pierwszy taki bal odbył się ponad dwadzieścia lat temu i z czasem stał się istotnym wydarzeniem w towarzyskim kalendarzu stolicy, oznaczał

bowiem koniec sezonu. Po dzisiejszym Balu Maskowym Ormsby'ego większość szlachetnie urodzonych rozproszy się po całej Anglii, by resztę lata spędzić w swych wiejskich posiadłościach.

Jak na Londyn, godzina była wczesna, nie wybiła jeszcze północ, i Cordell uznał, że czas przystąpić do działania. Sterczał tu już dość długo i przedtem starannie się przygotował, a wszak nie miał przed sobą trudnego zadania. Chodziło o zwykły rozbój - dla niego dziecinna igraszka.

Dwukrotnie przeprowadził rozpoznanie i był pewien, że zdołałby przeskoczyć mur od tyłu, przejść przez rozległe

ogrody i trafić do biblioteki

3

lorda Ormsby'ego z zawiązanymi oczami. Poprzedniego wieczoru, gdy wślizgnął się tu dla wprawy po raz ostatni, stojąc na środku ciemnej biblioteki, zastanawiał się przelotnie, czyby, korzystając z okazji, nie ukraść słynnego naszyjnika zwanego diamentami Ormsby'ego, ale zrezygnował z tego pomysłu. Przekonał się, że pochopna zmiana planów może doprowadzić do fatalnych w skutkach powikłań.

W ciemnościach swej kryjówki Asher się skrzywił. Chryste Panie! I to jakich!

Dowiodły tego wydarzenia zeszłej wiosny we dworze w Sherbrook, a on zastanawiał się, czy sprawy nie przybrałyby innego obrotu, gdyby trzymał się pierwotnego planu. Westchnął. Zapewne nie.

Collard miał złe zamiary i nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło.

Saldo i tak jest pożałowania godne. Źle się stało, że Collard zamordował

tego odrażającego łajdaka Whitleya. Źle się stało, że on zastrzelił

Collarda, choć zrobił to, by ratować własną skórę.

Otrząsnął się ze wspomnień i skupił na czekającym go zadaniu.

Przypomniał sam sobie powzięte postanowienie - to ostatnia kradzież, ostatni raz podejmuje takie ryzyko. Po dzisiejszym wieczorze osiadzie w Kencie i poświęci się doglądaniu własnych dóbr, stając się szacownym, zamożnym posiadaczem ziemskim, za którego już powszechnie go uważano.

I tak, myśląc o pożegnaniu z dotychczasowym życiem, właśnie miał przemknąć się na tyły domu, gdy rozpoznał ostatni pojazd, jaki podjechał do bramy rezydencji lorda Ormsby'ego.

Nie był to najmodniejszy powóz, a ciągnęły go cztery niezbyt okazałe gniadosze, lecz gdy tylko zatrzymał

się z turkotem, kłębiący się tłum dżentelmenów o nienagannym stroju i wyglądzie poderwał się na baczność, jakby przybył ktoś z rodziny królewskiej.

Asher wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kto by przypuszczał, że osiemnastoletnia Thalia Kirkwood błyskawicznie podbi-

4

je serca męskiej części londyńskich wyższych sfer? Od paru miesięcy powstawały wciąż nowe ody i poematy

sławiące jej nieskazitelną urodę.

Dzięki niej kwiaciarki w całym Londynie nie mogły opędzić się od klientów, gdyż zakochani młodzieńcy ochoczo nabywali całe bukiety wonnego, barwnego kwiecica, by złożyć je u stóp swej bogdanki zamieszkującej na uliczce odchodzącej od Cavendish Square. Tam jej ojciec, przebywający już na emeryturze pan Kirkwood, wynajął na sezon skromny domek. Krążyły plotki, że o piękną Thalię stoczono co najmniej jeden pojedynek i, rzekomo, od maja jej ojciec odrzucił propozycje małżeństwa kilku śmiertelnie zakochanych i pod każdym względem odpowiednich dżentelmenów, mających

na widoku tytuł. Ku konsternacji i rozczarowaniu wielu młodych dandysów przybyłych na dzisiejszy bal, w klubach dżentelmenów obecnie stawiano zakłady, że zanim rodzina powróci do Kentu pod koniec tygodnia, zostaną ogłoszone zaręczyny Thalii z hrabią Caswell.

Choć był to bal maskowy, nie starano się zbytnio ukrywać w przebraniu, toteż natychmiast rozpoznano wysoką, zmysłową postać Thalii, która z królewskim dostojem wchodziła po stopniach do domu; jej srebrzystoblond włosy lśniły w świetle pochodni. Asher wiedział, że aksamitne, szafirowe okrycie podkreśla jej jasną

urodę i pogłębia lodowaty błękit promiennych oczu. Panowie roili się wokół niej, niczym pszczoły przy wonnym pąku, służba kłaniała się, szurając nogami, gdy otwierała przed nią ciężkie frontowe drzwi.

W zamieszaniu spowodowanym przybyciem Thalii niemal nikt nie zauważył, że z powozu wyłoniła się również jej starsza owdowiała siostra, Juliana. Choć jej mąż nie żył już od czterech lat, Asher nadal nie potrafił myśleć o niej jako o wdowie. Wargi mu drgnęły, gdy spoglądał, jak zbiera fałdy swej bladozielonej sukni. Na tę dwudziestoośmioletnią kobietę, zaledwie

pięć lat młodszą od niego, patrzył tak samo jak na swe dwie młodsze siostry i nawet z trudem przyjął do wiadomości fakt jej zamążpójścia.

Potrząsnął głową. Co za szkoda, że jej mąż, młodszy syn baroneta posiadający rozległe grunta w hrabstwie Hamp, zmarł z powodu zatoru płucnego zaledwie po trzech latach małżeństwa. Nie mieli dzieci, ale mąż dobrze zabezpieczył jej byt, toteż wkrótce po jego śmierci kupiła uroczy mająteczek położony w odległości zaledwie pięciu mil od domu, w którym wzrastała. Ponieważ jej matka już dawno nie żyła, po powrocie do Kentu Juliana wróciła

też do swej poprzedniej roli, zastępczej matki dla Thalii. Pan Kirkwood nie znosił tego ciągłego kołowrotu wieczorków i bali, na których wszak młoda dama musi bywać, jeśli sezon ma być udany, toteż na ten czas w Londynie Juliana została przyzwoitką młodszej siostry. Myśl, że Juliana może być czyjąkolwiek przyzwoitką, była dla Ashera czystym wariactwem, pamiętał bowiem jej młodzieńcze wybryki.

Żywił przekonanie, że to raczej starsza, a nie młodsza siostra potrzebuje przyzwoitki.

Zwężonymi oczyma obserwował, jak Juliana, w towarzystwie eleganckiego

dżentelmena z każdego boku, wchodzi po stopniach do domu. Okryta płaszczem w łagodnym odcieniu lawendy, równie wysoka jak Thalia, nosiła się z taką samą gracją jak jej młodsza siostra. W świetle pochodni błysnęły jej czarne włosy, po czym zniknęła w środku.

Zły, że przybycie Thalii i Juliany tak dalece rozproszyło jego uwagę, Asher otrząsnął się i skupił na czekającym go zadaniu. Po raz ostatni rozejrzał się po terenie i przekradł do alei biegnącej za eleganckimi domostwami naprzeciwko placu. Ciemne ubranie czyniło go prawie niewidocznym; niczym cień sunął wzdłuż muru na tyłach domów. Gdy dotarł do tego odcinka muru, o

który mu chodziło, starannie przepatrzył okolicę i, nie dostrzegając niczego niepokojącego, przerzucił ciało przez ka-

6

mienny mur, po czym cicho wylądował po drugiej stronie. Kilka stóp za miejscem, w którym stał, znajdowało się wejście dla dostawców i służby; w słabym świetle migającej pochodni umieszczonej nad drzwiami ujrzał, że teren ten jest opustoszały.

Wspaniale, pomyślał, uważnie rozglądając się po najbliższym otoczeniu. Dziś wieczorem służba nie

będzie wychodzić na miłosne schadzki -
wiedział z doświadczenia, że każdy
członek personelu, nawet wynajęty tylko
na dzisiejszy wieczór, będzie zbyt zajęty
zaspokajaniem zachcianek
arystokratycznych gości, by znaleźć czas
na umizgi.

Bez trudu znalazł drzwi do biblioteki i
w dwie minuty po przeskoczeniu muru
od tyłu stał w bibliotece lorda
Ormsby'ego. Przez chwilę stał bez
ruchu, przesuwając z wolna wzrokiem
po pokoju.

Całkowitą ciemność rozjaśniał tylko
wąski pasek światła wpadający od
spodu drzwi, które wychodziły na jeden
z holi. Tu i tam majaczyły ciemne cienie,

lecz Asher, obznajomiony już z rozkładem tego pomieszczenia, szybko przeszedł przez pokój do miejsca, gdzie pod parą wysokich okien stało bogato zdobione biurko Ormsby'ego.

Skrytkę lorda odkrył już za pierwszym włamaniem do domu, choć

„włamanie” wydaje się tu słowem zbyt brzemienne w znaczenia, gdyż Asher po prostu otworzył niezamknięte na klucz drzwi biblioteki i wszedł

do środka. Obserwując codzienną krzątanie służby w domu Ormsby'ego, przekonał się, że złodzieja zatrzymano by tylko przy frontowych drzwiach i bramie na tyłach. Dom był jak utuczona

gęś, która aż się prosi, by ją oskubać. Uśmiechnął się. To niezwykle ułatwiało mu zadanie.

Wysunął dolną szufladę z prawej strony biurka, po czym zręcznymi palcami znalazł i otworzył tajną skrytkę. Po jego szczupłej twarzy przebiegł szyderczy grymas. Czyżby Ormsby naprawdę sądził, że zręczny złodziej nie odkryje skrytki i jej zawartości?

7

Asher nie potrzebował światła, by znaleźć słynny diamentowy naszyjnik Ormsby'ego - wielkość diamentów i ciężar biżuterii powiedziały mu, że znalazł to cacko, z chwilą gdy wziął je

do ręki. W

istocie nigdy nie widział prawdziwego naszyjnika, bo choć obecny markiz pokazywał go czasem znajomym, od niespełna pięćdziesięciu lat, czyli od śmierci matki markiza, żadna dama nie nosiła go publicznie. Ale Asher zobaczył raz naszyjnik na portrecie lady Mary, żony pierwszego markiza Ormsby'ego, który wisiał w wielkiej galerii w ich rodzinnej rezydencji.

Rozpoznał naszyjnik - w końcu był on dość znany - ale nie zamierzał

go ukraść... wtedy. Jako gość pełen względów dla gospodarza, wpatrywał

się w naszyjnik, byстрыm okiem zauważając wielkość i połysk kamieni, widoczne nawet na malowidle. Nie, wówczas nie myślał o jego kradzieży i nie byłoby go dziś tutaj, nie wyjmowałby klejnotu z tajemnej skrytki i nie wsuwałby go ostrożnie do specjalnie wszytej kieszeni marynarki, gdyby Ormsby nie...

Zacisnął usta. Normalnie nie okradał znajomych, nie żywił też długo urazy, zwłaszcza wobec sąsiadów, nawet próżnych, butnych i niemiłych, ale w wypadku Ormsby'ego gotów był zrobić wyjątek. Ten łajdak nie powinien był zastrzelić ulubionego starego psa babci, pomyślał ponuro.

Czy kradzież bezcennego klejnotu rodowego dla zemsty za zabicie psa to małostkowość? Asher wzruszył ramionami. Być może. Ale długo jeszcze będzie pamiętał głęboko zasmuconą twarz babki, gdy jeden z fagasów Ormsby'ego cisnął jej pod nogi zwłoki starego spaniela, wieloletniego towarzysza i przyjaciela.

Z pychą właściwą jego panu sługa powiedział: - Jaśnie wielmożny pan przesyła wyrazy ubolewania. Ujrzał zwierzę na drodze i sądząc, że to pies, który ostatnio zagryza

8

kury, zastrzelił go, zanim sobie

uświadomił, że to pani stary Kapitan.

Stojący obok babki Asher zacisnął pięści i wysiłkiem woli stłumił

chęć, by natychmiast dopaść i udusić lorda Ormsby'ego za jego okrucieństwo względem staruszki. W głębi serca wiedział, że Ormsby zabił Kapitana z premedytacją - niespełna dwa dni wcześniej, ku nieskrywanej wściekłości markiza, babka odrzuciła ostatnią propozycję sprzedaży mu kilkuset akrów swoich gruntów przylegających do jego posiadłości. W małostkowym odwecie Ormsby po prostu zabił psa.

Kolejny przykład na to, myślał gniewnie Asher, jak Ormsby uderza, gdy jest

niezadowolony, a przeciwnik słabszy od niego.

Kiedy sługa odjechał, Asher pomógł babce wejść do domu. Potem po cichu nakazał, by Kapitana pochowano obok ulubionego krzewu różanego babki, gdzie stara kobieta i stary pies często siedzieli godzinami, radując się ogrodem oraz grą światła na drzewach i krzewach.

Patrząc, jak ziemia spada na ciało psa, poprzysiągł, że Ormsby *w jakiś sposób* zapłaci za smutek babki. Wielkiemu panu tej okolicy tym razem nie ujdzie to na sucho.

Trochę czasu zajęło Asherowi

wymyślenie odpowiedniego planu, zgodnie z którym, być może po raz pierwszy w butnym życiu, markiz odczuje ból utraty, o który tak często przyprawiał zwykłych mieszkańców z sąsiedztwa. Zabicie go nie wchodziło w rachubę - nawet Asher nie zabiłby człowieka za psa i smutek starej kobiety, ale jakoś należało przekłuć tę chodzącą bańkę samozadowolenia... Uśmiechnął się w ciemności. Nareszcie przyszedł mu do głowy doskonały pomysł. Ormsby nade wszystko kocha siebie i swoją własność, więc co zabolí go bardziej niż kradzież najszlachetniejszego należącego doń klejnotu, diamentów Ormsby'ego?

Teraz, kiedy to przekłute świecidełko

s poczęło bezpiecznie w jego kieszeni, nie miał pojęcia, co z nim, do diabła, zrobić.

9

Nie potrzebował pieniędzy, a sprzedaż go nie wchodziła w rachubę.

Naszyjnik był zbyt znany, a gdy odkryją kradzież, podniesie się takie larum, że żaden z jego zwykłych pośredników nawet go nie tknie. Gdyby Ashera naszła taka fantazja, mógłby wyłuskać z naszyjnika poszczególne diamenty i oprawić je na nowo, lecz wzdragał się przed tak rozmyślnym barbarzyństwem. Sądząc z portretu, jest to piękna robota, wykonana wedle wyjątkowego projektu

i czuł wrodzoną niechęć do psucia takiego cacka. Wygiął wargi. Jeśli nie chce zawisnąć na szubienicy albo zostać deportowanym na jakiś zapomniany przez Boga i ludzi kontynent na drugiej półkuli, musi schować klejnot w takim miejscu, w którym nikt nigdy go nie znajdzie.

Asher zatrzasnęła skrytkę i usunęła maskującą szufladę. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zakopie naszyjnik w ogrodzie i posadzi na nim krzew róży

- jemu wystarczy, że duma Ormsby'ego zostanie boleśnie zraniona.

Łajdak. Nie powinien był zastrzelić psa babki.

Usłyszał jakiś odgłos i bez chwili wahania szybko cofnął się parę kroków do tyłu i zniknął w fałdach ciężkich, aksamitnych zasłon wiszących po obu stronach wysokich okien biblioteki. Tak schowany, mocno przycisnął plecy do ściany obok okna i sięgnął po mały pistolet, który zawsze nosił w kamizelce, lecz poniechał tego i opuścił rękę.

Zamierzał wymknąć się niepostrzeżenie, a zatem strzelanie z pistoletu nie wchodzi w rachubę, użyje go tylko w ostateczności. Intensywnie zastanawiając się, co dalej, pilnie nasłuchiwał szybkich kroków jakiejś niewiasty, która weszła do biblioteki i

zmierzała w jego stronę. Czy go spostrzegła? Nie. Był bardzo ostrożny i nikt nie widział, jak wślizgiwał

się do środka. Gdy otworzyła drzwi, znajdował się po drugiej stronie pokoju, skryty w mroku, nie mogła go zatem zauważyć w krótkim błysku światła zwiastującym jej wejście. Więc dlaczego tu przyszła? Skradała się i nawet nie próbowała zapalić świecy.

10

Co ona szykuje? Przyszło mu coś do głowy i aż zamknął oczy w niemej modlitwie. Boże. Tylko nie miłosna schadzka.

Chwilę później przez zasłony przebił się promyk światła i zerkając przez fałdy materiału, Asher ujrzał, że przybyła zapaliła świeczkę.

Odwrócona była do niego plecami i Asher patrzył w oszołomieniu, jak niewiasta pośpiesznie przetrząsa biurko, najwyraźniej czegoś szukając. Z

powrotem oparł głowę o ścianę. Czyżby ktoś jeszcze chciał ukraść diamenty Ormsby'ego?

Zaintrygowany Asher przyglądał się, jak nieoczekiwany gość nerwowo grzebie najpierw w jednej szufladzie, potem w drugiej. W

innych okolicznościach ta sytuacja być może bawiłaby go, lecz skoro naszyjnik palił jego udo niczym rozpalone żelazo, przyszło mu na myśl, że jeśli kobieta tak bardzo pożąda tego naszyjnika, szkoda, iż go nie uprzedziła. Przez chwilę zastanawiał się, co by się stało, gdyby wyłonił

się spomiędzy zasłon i wręczył jej tę cenną ozdobę. Naszyjnik był mu potrzebny tylko do tego, by upokorzyć Ormsby'ego. Namyślał się przez moment. Nie. Głupia dziewczucha na jego widok narobi wrzasku i rozpęta się piekło.

Z rezygnacją czekał, aż kobieta wyjdzie, i właśnie z powrotem oparł

głowę o szybę, gdy usłyszał, jak nagle głośno odetchnęła. Znowu wyjrzał, by zobaczyć przyczynę jej niepokoju. Ktoś jeszcze wszedł do biblioteki.

Tak jak wcześniej on, cofnęła się gwałtownie, by ukryć się za zasłoną.

Raczej instynktownie niż z rozmysłu Asher objął ją w talii, przycisnął

lekką do siebie, a drugą ręką przykrył jej usta. - Nic złego pani nie zrobię

- syknął jej do ucha. - Tylko, na miłość boską, niech pani nie krzyczy ani się nie wrywa.

Szczupła postać w jego objęciach zeszywniała i szybko skinęła głową, mimo to Asher mocno trzymał ją w objęciach i zakrywał ręką usta.

Nigdy nie wiadomo, co kobiecie przyjdzie do głowy.

11

Nowo przybyły stał dłuższą chwilę w drzwiach, światło z dużego świecznika, który trzymał w ręku, oblewało pokój łagodną poświatą.

- Ukrywasz się, moja droga? - wycedził.
- Gdy w odpowiedzi usłyszał

tylko ciszę, dodał niecierpliwie: - Dajże

spokój, wiem, że tu jesteś.

Naprawdę myślałaś, że nie zauważę, jak się wymknęłaś? Widzę przecież, że próbujesz jakichś sztuczek.

Na dźwięk tego głębokiego, aksamitnego głosu Asher zazgrzytał

zębami. Ormsby! Do stu tysięcy diabłów! Jeśli Ormsby wytropi go tu, w bibliotece, będzie jednak musiał zastrzelić tego łajdaka. A co do kobiety...

Chryste Panie! Czy ta jego ostatnia, prosta robota może się jeszcze bardziej powikłać?

Teraz luźniej ścisnął kobietę w pasie i modląc się, by nie napytała mu biedy z chwilą, kiedy zabierze ramię, znowu zaczął sięgać po pistolet.

Zastygł na dźwięk kolejnego męskiego głosu.

- Ormsby! Gdzie ty się podziewasz, chłopie! Przecież niebawem masz zatańczyć z piękną Thalią!

Asher niemal jęknął głośno. Liczył się z koniecznością zabicia Ormsby'ego, ale jeszcze i tego drugiego? Jedyne wyjście z tej sytuacji to skok przez znajdujące się za nim wysokie okno - w Bogu nadzieja, że się przy tym nie poharata. Lecz jeśli przeżyje skok, dotrze do muru

na tyłach i zniknie w ciemności... Po jego twarzy przemknął słaby, zuchwały uśmiezek. Mimo wszystko może się jeszcze uratować.

-Ach, dzięki, Kingsley, że mi przypomniałeś - wycedził Ormsby. -

Byłbym zapomniiał.

- Zapomniałbyś? - wykrzyknął Kingsley.

- Jak można zapomnieć o tańcu z najładniejszą dżierlatką, jaka pojawiła się w Londynie od paru dziesiątek lat?

Znudzonym głosem Ormsby odparł:

- Pamiętaj, że widziałem, jak dorastała. I nie zapominaj też, że Kirkwoodowie są

moimi sąsiadami. Dobrze znam tę rodzinę.

12

-Ale, ale, skoro o tym mowa, od tygodni chciałem cię zapytać -

dlaczego, do diabła, pozwoliłeś się wyślizgnąć tak ładnej sztuce?

Myślałem, że ją do siebie przykujesz, zanim w ogóle postawi nogę w Londynie. - Kingsley zachichotał. - Tracisz wigor, stary? Jej zaręczyny z Caswellem zostaną ogłoszone lada dzień.

- Doprawdy? Na twoim miejscu nie

postawiłbym na to ani pensa.

- Wiesz o czymś, o czym reszta z nas nie wie?

- Jak to mówią, przyjacielu, między ustami a brzegiem pucharu...

Panna Kirkwood nie jest jeszcze żoną Caswella.

- Zamierzasz sprzątnąć mu ją sprzed nosa? - zapytał z zapartym tchem Kingsley. - Powiadają, że to małżeństwo z miłości, a nawet człowiek tak majątny i utytułowany jak ty nie może mierzyć się z miłością. Więc jak zamierzasz zmienić obrót wydarzeń?

Ormsby zaśmiał się, ale jakoś bez wesołości. - Trzymam karty przy orderach, jednak radzę ci, byś na razie nie kupował prezentu zaręczynowego dla tej pary - rzekł. - A teraz wracajmy do gości. Moja nieobecność trwała zbyt długo.

Asher patrzył, jak światło się oddala i Ormsby odprowadza Kingsleya do drzwi. Lecz temu ostatniemu najwyraźniej nie było spieszno.

-Ale dlaczego w ogóle wyszedłeś? Żeby tak opuścić własny bal! To do ciebie niepodobne.

Z bardzo nieprzyjemną nutką w głosie Ormsby odparł:

- Miałem powody. Możesz mi wierzyć, że miałem powody. -Tak, ale...

Drzwi zamknęły się i do wnętrza biblioteki dochodził już tylko słaby szmer głosów obu mężczyzn oddalających się holem.

Ledwie drzwi się zatrzasnęły, Asher, uznając, że nie ma sensu czekać na ewentualnego następnego gościa, wypchnął kobietę 13

zza zasłony i zaczął ją kierować ku drzwiom balkonowym, wychodzącym na ogrody. Nie wiedział dokładnie, co zamierza, pragnął

jedynie uciec stąd jak najprędzej.

Kobieta stanowiła kłopot. Nie może po prostu puścić jej wolno. Ale właściwie dlaczego?

Zaczął rozważać wszystkie za i przeciw. Gdy Ormsby był w bibliotece, milczała jak kamień. Najwyraźniej też nie chciała, by ją tu zdybano. Nie miał pojęcia, co kazało jej wślizgnąć się do biblioteki i przeszukiwać papiery Ormsby'ego, ale wiedział jedno - nie przyszła tu w dobrych zamiarach. A skoro tak, zapewne ma wszelkie powody, by nie wszczynać alarmu. Czy Asher może pójść na takie ryzyko?

Nadal zakrywając niewieście usta ręką i mocno ściskając za ramię, wyciągnął ją na zewnątrz. Popychając swą

towarzyszkę przed sobą, szedł

przez ogrody. Przystanęli dopiero, gdy zamajaczył przed nimi mur od tyłu, a słabe światło pochodni umieszczonej nad wejściem dla służby zaczęło rozpraszać ciemność. Nadal nie zdecydował, jak ma postąpić, lecz biorąc wszystko pod uwagę, a zwłaszcza to, że nie próbowała od niego uciekać, może naprawdę będzie trzymać buzię na kłódkę i nie narobi hałasu.

Zerknął na mur, wciąż deliberując. Nawet gdyby zaczęła wrzeszczeć, on już będzie daleko stąd, nim ktokolwiek dotrze do tej opuszczonej części posiadłości.

Przycisnąwszy wargi do jej ucha,
zapytał:

- Przysięgasz, że nie narobisz hałasu,
jeśli puszczę cię wolno?

Skinęła energicznie i wbrew temu, co
podpowiadał mu rozsądek, zabrał rękę.

Gdy tylko kobieta odzyskała swobodę
ruchów, obróciła się na pięcie i
spojrzała mu w twarz. - Asher? -
wyszeptała.

Serce w nim zamarło. Chryste Panie!
Juliana.

Oparłszy ręce na biodrach, zapytała stanowczo: -Asherze Cordellu, co robiłeś w bibliotece Ormsby'ego? Omal nie umarłam, kiedy mnie złapałeś.

- Chyba pytanie powinno brzmieć - odparł szybko - co ty tam robiłaś?

- To nie twój interes - odpaliła. - Zostałam zaproszona do domu lorda Ormsby'ego, a ty nie.

- Skąd wiesz? Jestem szacownym człowiekiem. Skończyłem Eton, pochodzę z zacnej rodziny i tak dalej. Mógł mnie zaprosić.

Juliana prychnęła.

- Nie próbuj mydlić mi oczu. Nie znosi cię i dobrze o tym wiem.

- To prawda - odparł Asher z głęboką boleścią w głosie. - Jego niechęć ciąży mi straszliwie. - Spojrzał na nią z nadzieją. - Co mógłbym zrobić, by nabrał o mnie lepszego mniemania?

Stłumiła śmiech. - Sprawy zaszły już tak daleko, że nic nie poradzisz -

wygarnęła bez ogródek. Napominająco kiwając wyciągniętym w jego stronę palcem, dodała: - Może gdybyś nie wypuścił świń na jego świeżo obsiane pole albo nie uprowadził mu najlepszego byka i nie umieścił go między jałówkami sędziego Ripleya, nie

uwazałby cię za takiego szubienicznika.
- Rzuciła mu surowe spojrzenie. - Nie
wspominając o tym, że zachowujesz się
wobec niego w sposób niedopuszczalny.

Asherze, na balu u Woodruffa ziewnąłeś
mu prosto w twarz. O czym ty myślałeś?

- Że jest nudziarzem? - Gdy spojrzała na
niego zwężonymi oczyma, dodał
pospiesznie: - Juliano, gdy wypuściłem
świnie, miałem trzynaście lat i wiesz
dobrze, że to się stało przypadkiem -
skąd mogłem wiedzieć, że brama puści,
gdy natrze na nią stara maciora?

Prychnęła pogardliwie.

- I byłem niewiele starszy, gdy wydarzyła się ta historia z bykiem. -

Uśmiechnął się na to wspomnienie. - No dobrze, przyznaję - rzekł - byłem diabłem wcielonym, ale przyznasz, że w następnym roku sędzia miał

jałówki najlepsze w okolicy.

- Sędzia może cię za to polubił, ale przyznasz, że taki postępek nie zaskarbił ci ani odrobiny względów Ormsby'ego - mruknęła pod nosem. Z

zaciekawieniem przyglądała mu się w nikłym świetle. - Dlaczego wychodzisz ze skóry, żeby mu dokuczyć?

Asher wzruszył ramionami. - Może gdyby okazywał trochę uwagi innym, nie traktowałbym go tak, hm, nieuprzejmie. - Naszyjnik palił go w udo, a świadom mijającego czasu i groźby, że ich znajdą, dodał: - Choć nasze spotkanie było bardzo miłe, nie uważasz, że już pora, byś wróciła do gości?

-Ale najpierw musisz mi powiedzieć, dlaczego wkradłeś się do biblioteki Ormsby'ego - rzekła stanowczo.

Choć napięcie skręcało mu całe ciało, Asher oparł się niedbale o drzewo przy murze. - Naturalnie. Od razu jak mi powiesz, dlaczego ty tam przyszłaś.

Sporunowała go wzrokiem.

-Nie znam nikogo bardziej irytującego i niezdolnego od ciebie!

Oderwał się ociężale od drzewa, wyprostował i nisko przed nią skłonił. Uśmiechając się do niej zuchwale, wymamrotał pod nosem:

- Robię co mogę, żeby ci dogodzić.

Jej pierś wezbrała oburzeniem. - Mam szczerzy zamiar powiedzieć Onnsby'emu, że byłeś w bibliotece! - zagroziła, wiedząc doskonale, że prędzej stawi czoła lwom, niż zdradzi Ashera - choć był najbardziej zuchwałym i irytującym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała.

Z jego twarzy zniknęło rozbawienie i w oczach pojawił się błysk, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Przez lata ich znajomości - czyli całe życie Juliany, Asher czarował ją, oburzał, denerwował i wprawiał w furię ponad wszelką miarę, ale nigdy wcześniej się go nie bała.

Bezwiednie cofnęła się i nerwowo zmierzyła wzrokiem odległość dzielącą ją od domu.

Przeklinając się w duchu, Asher zrobił minę łagodnego baranka, mającą świadczyć o tym, że wszelka przemoc jest mu obca - choć tak naprawdę obawiał się, iż stała się nieodłączną częścią jego natury.

Zmuszając się do uśmiechu, delikatnie przesunął palcem po jej policzku.

- Zawrzyjmy pokój, Juliano, pójdźmy każde swoją drogą i dochowajmy naszych sekretów. Zgoda?

Zrobiło mu się przykro, gdy wzdrygnęła się, kiedy ją dotknął, lecz, czekając na odpowiedź, nadal uśmiechał się swobodnie, niedbale wsparty o pień drzewa.

W mglistym świetle rzuciła mu badawcze spojrzenie, po czym skinęła głową. Bez słowa obróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem do balkonowych drzwi biblioteki.

Asher szedł parę kroków za nią. Gdy weszła do środka, odwróciła się i spojrzała na niego. Usiłowała coś powiedzieć, jednak miała mętlik w głowie i nic nie przychodziło jej na myśl.

Omam nie wyskoczyła ze skóry, gdy dotknął jej ramienia. -No, leć -

powiedział cicho. - Ja zaczekam, póki nie wejdiesz do holu.

Pełna niepokoju, lecz bez pomysłu na inne działanie, Juliana usłuchała.

Ostrożnie uchyliła drzwi i nie widząc nikogo, szybko weszła do holu.

Zamknawszy za sobą drzwi biblioteki, pospieszyła do sali balowej.

Asher zaczekał, póki nie nabrał pewności, że Juliana już nie wróci, po czym przeszedł przez pokój. W jednej chwili znalazł i ponownie otworzył

tajną skrytkę, do której wsunął diamenty

17

Orrasby'ego. Było to przykre. Planował tę robotę przez całe tygodnie i wszystko na nic. Ale nie miał wyboru - Juliana wiedziała, że tu był, a gdy rozlegnie się krzyk oburzenia, a niewątpliwie się rozlegnie - z powodu kradzieży naszyjnika, domyśli się, że to on go zgarnął. Skrzywił się, przeskakując do ogrodu. Juliana jest tak uczciwym stworzonkiem, że najprawdopodobniej

honor będzie jej kazał powiedzieć Ormsby'emu o obecności Ashera w bibliotece albo tak długo będzie jemu samemu wiercić dziurę w brzuchu, aż sam go odda. Łatwiej zwrócić go teraz i czekać lepszej sposobności.

Mimo niepowodzenia, kiedy Asher przedostał się przez mur i zniknął w ciemności, było mu lekko na duchu. Planować umie wspaniale. A jeszcze nadarzy się okazja.

Zaraz po powrocie do swego mieszkania w pobliżu placu Fitzroy zaczął się pakować. Tym razem przyjechał do miasta bez lokaja i zabrał

ze sobą mało bagażu. Wszystkie jego rzeczy mieściły się w jednej walizie i gdy zatrzasnął jej klamry, rozejrzał się, by sprawdzić, czy aby czegoś nie zapomniał. Nie.

Jutro wróci do Kentu i najdroższych mu osób. Nie bardzo uśmiechało mu się nudne życie posiadacza ziemskiego, ale dzisiejsze wydarzenia dowiodły, że nadal może liczyć na ekscytujące chwile. Brylanty Ormsby'ego wciąż spoczywały u prawowitego właściciela i prędzej czy później Asher znajdzie sposób, by mu je sprzątnąć sprzed nosa. A Juliana... czego, u licha, szukała? Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Zgłębianie tej tajemnicy może bardzo mu

urozmaicić życie...

18

Rozdział 2

Juliana pomknęła holem; ze strachu, że Ormsby może ją nakryć, serce biło jej tak mocno i szybko, aż dostała mdłości. Podrażniony żołądek tylko trochę się uspokoił, gdy niepostrzeżenie weszła do wspaniałej sali balowej udekorowanej w barwach kremowych i złotych. Już po paru sekundach zgubiła się w tłumie pięknie odzianych, wymuskanych gości, którzy wirowali na obrzeżach ogromnego pomieszczenia.

Uśmiechając się i rzucając jakieś

odpowiedzi na odczepnego znajomym, którzy ją zagadnęli, zmierzała do swej siostry stojącej w towarzystwie przyjaciółki, panny Ann Tilley, oraz matki panny Tilley, sympatycznej matrony znanej z miłego obejścia.

Zgodnie z jej oczekiwaniami Thalię otaczało kilku wielbicieli, na wyścigi pragnących zyskać jej uwagę.

Rozejrzawszy się pośpiesznie po zatłoczonej sali, nigdzie nie zauważyła Ormsby'ego. Gdy minęło parę minut, a Ormsby się nie zjawiał, Juliana wydała westchnienie ulgi. Młodzieniec z wianuszka otaczającego Thalię zauważył ją i zapytał uprzejmie, czy nie napiłaby się lemoniady. Przecząco pokręciła głową i z rozbawieniem patrzyła, jak

natychmiast dołączył do grona skupionego wokół Thalii i panny Tilley.

Wdowy nieposiadające wielkiego majątku i nieodznaczające się wybitną urodą nie

19

były atrakcyjne dla większości zebranych tu dziś panów - nawet jeśli siostra wdowy była aktualną królową sezonu.

Serce Juliany w końcu zaczęło bić normalnym rytmem, lecz nie mogła całkiem oderwać myśli od wydarzeń tego wieczoru. Przeraziła się, gdy Ormsby omal nie przyłapał jej w

bibliotece, a kiedy natknęła się na Ashera czającego się za zasłoną,omal nie umarła ze strachu. Długo będzie pamiętać te silne dłonie, które chwyciły ją w żelazny uścisk, i krzepkie ciało, przyciśnięte do jej pleców. Mrowie przeszło jej po krzyżu na wspomnienie tych potężnych mięśni, napinających się i napierających na jej ciało, gdy stali, spleceni ze sobą za ciężką materią. Wiedziała, że Asher jest szczupły i prężny, lecz dopiero dziś wieczór zdała sobie sprawę, jak dalece.

Thalia posłała siostrze pytające spojrzenie, zakłócając tok jej myśli, a Juliana lekko pokręciła głową. - Później - można było wyczytać z ruchu jej warg.

Thalia odwróciła się i z łatwością zaczęła uwodzić najbliższego stojącego mężczyznę. Zazwyczaj u boku Thalii stał Caswell, trzymając w ryzach gromadzących się wokół niej zalotników, lecz na dzisiejszy bal nie mógł

przybyć. Ledwie zeszłego wieczoru zbóje napadli go i straszliwie pobili, kiedy wracał na piechotę z klubu. Gdy dzisiejszego ranka przyszedł do rezydencji Kirkwoodów, przystojną twarz miał całą w siniakach, a z jego ostrożnych ruchów Juliana poznała, że cierpi z powodu innych, mniej widocznych obrażeń. Obie siostry były przerażone jego stanem i przez parę

minut musiał je zapewniać, że choć prezentuje się szkaradnie i cały jest obolały, wróci w pełni do zdrowia.

- Ale nie pokażę się chyba dziś wieczorem u Ormsby'ego -dodał, uśmiechając się krzywo.

Obie siostry doskonale go rozumiały - rzeczywiście wyglądał

upiornie. Thalia natychmiast oznajmiła, że również nie pójdzie na bal.

20

- Idź, moja droga - rzekł, patrząc na nią łagodnie szarymi oczyma. -

Niech Londyn po raz ostatni zobaczy czarującą pannę Kirkwood. Pojaw się tam w moim imieniu. - Uniósł rękę Thalii do ust. - Następnym razem powrócisz do miasta już jako pani Caswell.

Thalia posłała mu drżący uśmiech. - N... nie m... masz pretensji, że ogłoszenie naszych zaręczyn się opóźnia?

Potrząsnął głową. - Nie rozumiem, dlaczego twój ojciec chce je odwlec, ale wystarczy, że pozwolił, bym się do ciebie zalecał, i że uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, oddając mi swoją rękę. - Wycisnął pocałunek na jej knykciach. - Zaręczyny możemy ogłosić w każdej

chwili, najdroższa - rzekł cicho. -
Najważniejsze, że się pobierzemy i że
do zimy będziemy już małżeństwem.

Powstrzymując nagły potok łez, Thalia
krzyknęła:

- Och, ukochany, mam taką nadzieję.
Mam taką szczerą nadzieję. -

Rzuciła Julianie spojrzenie pełne udręki,
po czym wybiegła z pokoju.

- Czy coś się stało? Zrobiłem czy
powiedziałem coś, co wytrąciło ją z
równowagi? - zapytał niespokojnie
Caswell, zakłopotany jej zachowaniem.

Juliana uśmiechnęła się do niego

uspokajająco.

-Nie, skądże. To z pewnością tylko nerwy.

Ämoje dzisiejsze niepowodzenie dobrze jej nerwom nie zrobi, pomyślała z rozpaczÄ JulianÄ. Ten przeklÄty Ormsby! Nie mogła uwierzyć, że o mały włos by ją zaskoczył. A taka była uważna. Ale widać niedostatecznie i on wszedł do biblioteki, uniemożliwiając jej znalezienie tej jednej, jedynej rzeczy, która stała Thalii na drodze do szczęścia.

Obie siostry zdołały jakoś przetrwać do końca balu, a jedyny nieprzyjemny moment nastąpił wtedy, gdy musiały

pożegnać się z gospodarzem. Kiedy stanęły przed nim, uprzejmie życząc 21

mu dobrej nocy, uśmiezek na twarzy Ormsby'ego sprawił, że Julianę aż zaświerzbiała ręka, by wymierzyć mu policzek. Z całej siły.

Biedna Thalia nie mogła nawet spojrzeć mu w twarz i rozmawiając z nim, odzywała się niemal szeptem.

Przytrzymał jej rękę dłużej niż pozwalały dobre maniery i wymamrotał pod nosem: - Ach, wszak rozstajemy się nie na długo, nieprawdaż, moja droga? Z pewnością latem będę cię często widywał w Kencie. W końcu jesteście sąsiadami, a wiesz, jak ty i twoja rodzina jesteście drodzy memu sercu.

Można wręcz powiedzieć, że łączy nas bliska zażyłość.

Te słowa smagnęły ją jak uderzenie bicia i zboleła Thalia stała przed nim niczym piękny, niebieskooki ptak zahipnotyzowany przez węża.

Juliana zacisnęła zęby tak mocno, że jeszcze trochę, a by trzasnęły.

Szybko przysunęła się do siostry i dyskretnie popchnęła ją w kierunku drzwi. Uśmiechając się chłodno do Ormsby'ego, rzekła:

- To był wspaniały bal. Doskonale się bawiłyśmy.

Baron, zły, że im przerwała, zacisnął usta w wąski pasek, lecz uprzejmie skinął głową. - Dzięki - rzekł. - Ufam, że spełnił wszystkie pani oczekiwania - dodał z szyderczą nutą w głosie.

Myśląc o incydencie z Asherem, zdobyła się na prawdziwy uśmiech. -

O tak, wręcz je przerósł - powiedziała po cichu.

Co niemal odpowiada prawdzie, stwierdziła w duchu, idąc za siostrą schodami, a potem wchodząc do oczekującego na nie powozu. Obecność Ashera w istocie przeszła jej oczekiwania i po raz pierwszy, odkąd wymknęła się z biblioteki, zaczęła się

zastanawiać, skąd on się tam wziął.

Co też Asher szykuje?

Nie było czasu na dalsze dociekania co do irytującego pana Ashera Cordella, gdyż, kiedy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi powozu, Thalia wychyliła się do przodu i zapytała niespokojnie:

- Niczego nie znalazłaś?

22

Z powodu obecności woźnicy i forysiów, oddzielonych tylko cienkimi ściankami powozu, odparła cicho: - Nie. Później o tym porozmawiamy. -

Rzuciła ostrzegawcze spojrzenie ku przodowi pojazdu i uspokoiła się, gdy siedząca naprzeciwko niej Thalia, rozumiejąc sytuację, westchnęła i oparła się o zniszczone aksamitne siedzenie.

Przybywszy do wynajętego domu wysiadły, a widząc bladą, pełną napięcia twarz Thalii, Juliana rzekła cicho: - Nie musisz dziś zachodzić do ojca. Idź na górę, niech pokojówka się tobą zajmie. Ja do niego pójdę, a potem przyjdę do ciebie i wszystko ci opowiem. - Skrzywiła się. -

Chociaż nie bardzo jest o czym mówić.

Wdzięczna, że nie musi znosić pełnych wyrzutu i rozczarowania spojrzeń ojca,

Thalia skinęła głową. Oddała płaszcz czekającemu w gotowości kamerdynerowi, wycisnęła pocałunek na policzku siostry i weszła na górne piętro.

Juliana uśmiechnęła się do Potts, kamerdynera, którego jej ojciec wynajął na sezon.

- A mój ojciec?

Potts odwzajemnił uśmiech. - Zapewne oczekuje powrotu jaśnie pani.

Znajdzie go pani w gabinecie - odparł.

Podziękowała mu i poszła holem do małego, wygodnego gabinetu. Jej ojciec

siedział tam na jednym z dużych foteli obitych czarną skórą, które stały przed kominkiem z marmuru z szarymi żyłkami. Światło z kilku świeczników rzucało na pokój przyjemny blask, lecz Julianie brakowało radosnego trzasku i tańczących płomieni.

Gdy weszła, ojciec szybko uniósł ku niej wzrok pełen nadziei.

Potrząsnęła głową. - Niestety, ojczy -
rzekła, podchodząc do niego. -

Niczego nie znalazłam.

Z bólem serca patrzyła, jak nadzieja gaśnie w jego oczach. Wpatrzył

się w do połowy napełniony kieliszek brandy, który stał na stoliku obok krzesła, i rzekł ponuro:

23

- Cóż, mówiłaś, że pewnie nie będzie tego trzymał tam, skąd można to łatwo skraść.

Usiadła obok na identycznym fotelu. - Jeszcze mamy czas. Caswell spokojnie zaczeka na ogłoszenie zaręczyn.

- Ale jak długo? Nie możemy wiecznie mydlić mu oczu, bo dokonamy tego, o co chodzi Ormsby'emu: przekreślimy wszelką możliwość zawarcia małżeństwa między Caswellem i twoją

siostrą.

- Chyba nie doceniasz głębi uczucia, jakie Caswell żywi dla Thalii.

Jest równie zakochany, jak ona i założy się o wszystko, że będzie na nią czekał w nieskończoność.

- W Bogu nadzieja, że masz rację. -
Spojrzał na nią ze smutkiem. - O

czym ona myślała? Co ją podkusiło do tych nierozważnych postępów?

Nie mogę uwierzyć, że moja córka zachowała się tak nieroztropnie! -

Ukrył twarz w dłoniach. -Gdybyż

wcześniej powiedziała nam o tych listach. Przynajmniej zanim pozwoliłem Caswellowi się do niej zalecać, a ona przyjęła jego zaręczyny. Nie mogę powiedzieć teraz hrabiemu, że zmieniłem zdanie ani że Thalia nie zamierzała przystać na jego propozycję małżeństwa. Tośmy się wplątali w kabałę!

Juliana westchnęła. - Wiem, powinna była powiedzieć nam wcześniej, ale nie spodziewała się, że Ormsby będzie ją prześladować również w Londynie. Ja z pewnością nie. Zakładałam, że skoro mu odmówiła, baron z godnością się wycofa. Naturalnie, nie wiedzieliśmy wtedy o listach.

Thalia była kompletnie zaskoczona, gdy Ormsby się jej oświadczył -

dodała z namysłem. - Pamiętaj, miała zaledwie siedemnaście lat, dopiero co opuściła szkołę, gdy ubzdurała sobie, że się w nim kocha, i napisała te listy. W zeszłym roku straciła dla Ormsby'ego głowę, ale jej serce spało.

Te listy, choć nieroztropne, to zwykła bazgranina niewinnego dziewczęcia, które uznało, że jest zakochane w interesującym, starszym mężczyźnie. -
Zacisnęła

24

szczęki. - Całą winę ponosi Ormsby. Jak

zapewne pamiętasz, nigdy nie poprosił cię o pozwolenie, by starać się o jej rękę, nigdy słowem nie dał do zrozumienia, jakie są jego zamiary. Pod pozorem, że jest naszym sąsiadem i przyjacielem, uwodził ją za naszymi plecami. Bez wątpienia nie powinna była potajemnie się z nim spotykać, a już karygodny błąd popełniła, pisząc te namiętne listy, ale dobrze wiesz, że to on zachęcał ją do tak nierozsądnego zachowania. - Prawie syczała. - On zaś bezsprzecznie dobrze wiedział, co robi.

-Bazgranina niewinnego dziewczęcia! - zakrzyknął pan Kirkwood. -

Uważasz, że Caswell w to uwierzy, gdy Ormsby pokaże mu te listy?

Już miała zaproponować, żeby wytrącili Ormsby'emu broń z ręki, pozwalając mu właśnie to uczynić. Była przekonana, że Caswell kocha Thalię na tyle, by zdawać sobie sprawę, że te listy, choć szalenie nierozważne, ukazują jedynie ckliwe sentymenty naiwnej dziewczyny, którą omotał doświadczony mężczyzna. Kłopot polegał na tym, że choć Thalii niemal natychmiast powrócił zdrowy rozsądek, nie można było powiedzieć tego o Ormsbym. Co gorsza, wyraźnie dawał do zrozumienia, że zamierza się z nią ożenić. Juliana skrzywiła się. Choć go nie znosiła, musiała przyznać, że małżeństwo siostry z markizem nie byłoby takie złe.

Ormsby był bogaty, utytułowany, a starsi mężczyźni często brali za żony dziewczęta znacznie młodsze.

- Czy gdyby Thalia nie zakochała się w Caswellu, zgodziłbyś się na jej małżeństwo z Ormsbym? - zapytała nagle Juliana.

- Boże drogi, Juliano, on jest prawie w moim wieku - odparł gniewnie.

- A do tego to obmierzły rozpustnik. Taki stary zbereźnik jak Ormsby nigdy nie znalazłby się na liście kandydatów na mężów żadnej z moich córek, a tym bardziej młodszej. - Potrząsnął głową. - Znaczna część winy za to, co się stało, spada na mnie. Nie powinienem był w

ogóle wpuścić 25

go do domu. Znałem jego reputację, ale nie przyszło mi do głowy... -

Wziął głęboki oddech i cichszym głosem ciągnął dalej: - Ale, odpowiadając na twoje pytanie, gdyby twoja siostra go chciała... gdyby go kochała... -

Westchnął głęboko. - Chyba w końcu wyraziłbym zgodę na to małżeństwo. -
Zerknął na nią z ciekawością. -
Dlaczego pytasz?

Skrzywiła się.

- Życie byłoby znacznie prostsze, gdyby się w nim zakochała.

- Nie powiesz mi, że byłabyś zadowolona, gdyby takie niewinne dziewczę jak Thalia poślubiło takiego wszetecznika jak Ormsby!

Juliana potrząsnęła głową. - Poruszyłabym niebo i ziemię, żeby do tego nie dopuścić - rzekła żarliwie. - Jest właśnie taki, jak mówisz -

szubrawiec i rozpustnik. Nie. Za nic nie chciałabym, żeby Thalia poślubiła kogoś takiego jak Ormsby.

- Ale jaki mamy wybór? - zapytał pan Kirkwood. - Ormsby trzyma wszystkie karty. Baron poprzysiągł, że jeśli nie odprawię Caswella i nie oddam mu jej ręki, przekaże listy Caswellowi albo je

upubliczni. Tak czy siak, szczęście twojej siostry legnie w gruzach. Całe jej życie będzie zrujnowane.

Juliana zatopiła w oczach ojca spojrzenie pełne rozpacz. Miał

absolutną rację i jeśli nie zdobędą tych obciążających listów, przyszłość Thalii rysuje się czarno. Jeżeli Caswell zostawi ją z powodu listów, złamie jej serce i zaczną szerzyć się plotki. Zaręczyn nie podano jeszcze do publicznej wiadomości, lecz wieści o nich oczekuje się każdego dnia, a jeśli Thalia i Caswell się rozstaną, domysłem w wielkim świecie nie bę-

dzie końca. Nawet jeżeli Caswell kocha

Thalię tak mocno, jak sądzi Juliana, i mimo wszystko się z nią ożeni, młodsza siostra i tak nie będzie bezpieczna. Skoro Thalia będzie żoną innego, Ormsby, doznawszy zawodu, i tak mógłby opublikować listy

26

przez złośliwość, a publiczne ogłoszenie tej bardzo prywatnej korespondencji uczyniłoby z Thalii ofiarę szeptanych pogłosek i ciekawskich spojrzeń. Tytuł nie uratowałby jej, wiele pań z towarzystwa nie pozwoliłoby, żeby noga nowej hrabiny Caswell powstała w ich domu.

Thalia nigdy nie wyjdzie za Ormsby'ego

- tego Juliana była pewna -

ale i tak może on zniszczyć jej życie. Zaciśnęła pięści. Ten przeklęty Ormsby, myślała z wściekłością, jest tak nikczemny, że upubliczni listy, by ukarać Thalię za to, że go odrzuciła. Gorzka prawda wyglądała tak, że póki Ormsby ma listy, przyszłość Thalii spoczywa w jego rękach.

- Co zrobimy? - zapytał ponownie pan Kirkwood, odrywając Julianę od jej myśli.

Z udawaną pewnością siebie odparła:

- Musimy odzyskać listy!

- Ale jak? - wykrzyknął ojciec, wpatrując się w nią, jakby postradała rozum.

Juliana wstała i strzepnęła fałdy sukni. - Nie mam pojęcia - odparła -

ale na pewno coś wymyślę. - Ukrywając własne niepokoje, uśmiechnęła się i rzekła z otuchą:

- Obecnie nic nie możemy zrobić i proponuję, byśmy na razie, zgodnie z planem, pod koniec tygodnia wrócili do domu. Pamiętaj, że do Kirkwood wybierają się z wizytą pani Tilley z córką, a także Crawleyowie i ich córka. Gdy przyjedziemy, będziemy musieli przygotować się na przyjęcie gości.

Caswell i jego znajomi, pan Bronson i lord Hartley, mogą nawet przybyć przed innymi. Niebawem nasz biedny mały dom będzie pękał w szwach.

- Ale... - zaczął oponować.

Stanowczo odrzuciła wszelkie obiekcje.

- W tej chwili w sprawie listów nic nie możemy zrobić i wiem, że to niełatwe, ale jeżeli będziemy chodzić z minami szubieniczników albo nagle

27

zmienimy wszystkie plany, całe towarzystwo będzie wiedziało, że dzieje się coś niedobrego. - Głęboko wciągnęła powietrze. - Caswell po

prostu będzie musiał wstrzymać się jeszcze z ogłoszeniem światu, że on i Thalia zamierzają się pobrać. A jeśli zacznie się niecierpliwić, trzeba mu będzie jakoś zamydlić oczy. - Jej wzrok stwardniał. - Na pewno niebawem znajdę sposób, by wydobyć od Ormsby'ego te głupiotkie listy Thalii. Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

- Nie martw się, ojczy, dopilnuję tego.

- Dzięki - powiedział cicho. - Wiem, że nie powinienem cię tym obarczać - dodał burkliwie - i gdybym był prawdziwym mężczyzną, wyzwiałbym Ormsby'ego na pojedynek.

- Ani się waż! - krzyknęła, przerażona

wizją, jaka mignęła jej przed oczyma:
ojca leżącego trupem na placu.

Uśmiechnął się ze znużeniem. - Nie
zrobię tego. Znając reputację
Ormsby'ego, wiem, że wystawiłbym się
na pewną śmierć. - Z miną surową i
zdecydowaną, dodał żarliwie: - Chętnie
rzuciłbym życie na szalę, gdyby miało to
uratować którąś z was. - Jego oczy,
ciemnobrązowe jak u starszej córki,
napotkały jej wzrok. - Wiesz o tym,
prawda? Że zrobiłbym wszystko, co w
mojej mocy, by was chronić?

Posłała mu niepewny uśmiech. - Tak,
wiem, ale nie pomożesz nam, dając się
zaszlachtować Ormsby'emu. - Czując
ulgę, że ojciec nie myśli poważnie o

wyzwaniu Ormsby'ego, powiedziała już spokojniej: - Zostaw to mnie, wyciągnę nas z tej matni, zobaczysz.

Patrząc spod rzęs, zauważyła, że ta podróż do Londynu i niepokój o przyszłość Thalii stanowiły duże obciążenie dla słabej konstytucji ojca i wyłobiły w jego szczupłej, surowej twarzy nowe zmarszczki i bruzdy.

Nieśmiały, małomówny mężczyzna, przywykły do cichego, uregulowanego życia na wsi czuł się nieswojo pośród zamętu i hałasu miasta. Cały jego świat

Kirkwood, a Juliana wiedziała, jak bardzo ojciec cierpi, nie mogąc zaradzić niebezpieczeństwu zagrażającemu szczęściu Thalii.

Gdy żyła jego żona, a ich matka, pani Kirkwood, rozpieszczała ona i chroniła swego wysokiego, skromnego męża, a także trzęsła się nad dwiema córkami. Juliana myślała z rozrzewnieniem, że byli szczęśliwą rodziną. To pani Juliet Kirkwood w pogodzie ducha prowadziła dom i podejmowała większość decyzji dotyczących ich życia. Pan Kirkwood rad zostawiał wszystko w sprawnych rękach żony, a sam zamykał się w bibliotece, prowadził korespondencję albo snuł się

po posiadłości, podziwiając i wspierając zmiany, które wprowadziła jego energiczna połowica.

Ku zaskoczeniu wszystkich, to nie pan Kirkwood, a jego pełna życia, krzepka żona zmarła na zakażenie płuc, które zapanowało w okolicy, gdy Juliana miała siedemnaście lat, a Thalia zaledwie osiem. Jej śmierć była ciosem dla wszystkich, lecz szczególnie dla pana Kirkwooda, który w oszołomieniu błądził po domu i okolicy przez całe miesiące, jakby nie mogąc pojąć ogromu tragedii, która spadła na rodzinę.

Juliana wiedziała, że po śmierci matki nigdy już nie wrócił do siebie.

Z ukłuciem bólu uświadomiła sobie, że wszyscy nadal straszliwie odczuwającej brak. Ona sama po dziś dzień umiera z tęsknoty do niej i ciągle spodziewa się, że nagle otworzą się drzwi i wpadnie matka, zaróżowiona i pełna uśmiechów z powodu jakiegoś zwycięstwa w ogrodzie czy też nad drażliwym rządcą Kirkwood, tryskając dumą ze swych osiągnięć. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Juliana pragnęła, by matka ujęła ster spraw rodzinnych w swe spokojne, pewne ręce.

Pomyślała, że matka wiedziałaby, jak poradzić sobie z Ormsbym. Nie przestraszyłaby się jego gróźb, natarłaby mu uszu, a on poszedłby sobie jak zmyty.

Przygniotło ją poczucie winy. Przede
wszyst-29

kim matka w ogóle nie dopuściłaby do takiej sytuacji. Odgadłaby od razu, o co chodzi Ormsby'emu. Nie bacząc na to, że jest sąsiadem i markizem, z miejsca zabroniłaby mu kręcić się koło Thalii. To moja wina, przyznała z bólem Juliana. Powinnam była ją oświecić. Przestrzec przed niebezpieczeństwami. Mieć na nią oko. Matka by ją upilnowała.

Znalazłaby sposób, by pokonać Ormsby'ego. Powzięła stanowcze postanowienie. I ja też go znajdę, przysięgła sobie. I ja też!

Juliana uniosła podbródek. - Znajdę sposób, byśmy bezpiecznie z tego wybrnęli, bez obaw - powtórzyła. - Thalia wyjdzie za swojego hrabiego i pobijemy Ormsby'ego jego własną bronią.

Z uśmiechem na kształtnych ustach pan Kirkwood rzekł cicho:

- Jakbym słyszał twoją matkę. Zawsze była pewna, że przezwycięży wszelkie przeszkody, jakie się przed nią piętrzą.

Ze ściśniętym gardłem Juliana jeszcze raz musnęła wargami jego czoło. - Więc po prostu musimy iść w ślady mamy - oznajmiła. - Mama nie pozwoliłaby, żeby Ormsby został panem sytuacji, i my

też do tego nie dopuścimy.

Nie zdając sobie w pełni sprawy ze swego znużenia, Juliana weszła schodami na górne piętro. Obawiała się czekającej ją rozmowy z Thalią.

Nie dlatego, że Thalia będzie miała do niej pretensje czy też zacznie ją obwiniać za dzisiejsze niepowodzenie - Juliana nie mogła znieść myśli, że ta niewiarygodnie urocza twarz wykrzywi się, prześliczne, przejrzystobłękitne oczy napełnią się łzami i siostrą wstrząśnie spazmatyczny szloch, wywołany przygniatającym ją poczuciem winy, a od tych łkań serce Juliany rozedrze się z bólu. Za tę opłakaną sytuację nikt nie obwinał się bardziej niż Thalia, nikt nie

cierpiał dotkliwiej. To dziecko zdręczy się na śmierć i trzeba położyć temu kres, uznała stanowczo Juliana, przystając przed drzwiami pokoju siostry.

30

Thalia bezsprzecznie popełniła błąd i Juliana wcale nie zamierzała udawać, że jest inaczej. A choć w istocie była to wina Thalii, Juliana wciąż tłumaczyła siostrze, że nie tylko ona popełniła fałszywy krok. W

istocie odpowiedzialność spada przede wszystkim na Ormsby'ego.

Juliana doszła do wniosku, że nawet gdyby rzeczywiście zamierzał

ożenić się z Thalią, nie powinien był zabierać się do tego w ten sposób.

Oczy jej się zwięziły. Podstępny szelma wiedział, że ojciec za nic nie pozwoli Thalii związać się z kimkolwiek przed jej pierwszym sezonem, toteż zaczął wydierać im grunt spod nóg w niezwykle pokrętny sposób.

Zapłonęła gniewem na wspomnienie niedzielного wieczoru i okropnej wizyty Ormsby'ego. Gdy pokazał ojcu pierwszy z listów Thalii, tryskał zadowoleniem i pewnością siebie, absolutnie przekonany, że opuści pokój jako przyszły mąż dziewczyny. Dałby głowę, że ojciec odda mu córkę pod groźbą upublicznienia listów. I zapewne jego

konkury zostałyby przyjęte, gdyby sprawy nie zaszły tak daleko z Caswellem.

Gdyby Thalia nie zakochała się do szaleństwa w hrabim, a jej ojciec nie zdążył już wyrazić zgody na to małżeństwo, być może pan Kirkwood, mając przed sobą list Thalii, przystałby na prośbę markiza o rękę córki.

Juliana uśmiechnęła się złośliwie. Wydarzenia wszakże nie potoczyły się tak, jak to sobie wykalkulował Ormsby. Ojciec był przerażony, ale chłodno oświadczył markizowi, że zachował się w sposób naganny, i on żadną miarą nie wyrazi zgody na to małżeństwo. Kiedy

Ormsby warknął, że zamierza zdobyć Thalię wszelkimi środkami, po czym wypadł z domu, doszło do niezwykle przykrej, przerywanej łzami rozmowy między panem Kirkwoodem i jego dwoma córkami, rozmowy, która wszystkim sprawiła wiele bólu.

Niebawem stosunki między panem Kirkwoodem a jego młodszą córką stały się napięte i nieprzyjemne - tak jak to wyglądało dzisiejszej nocy. On czuł

31

się zraniony i rozczarowany, Thalia ugięła się pod brzemieniem winy i wyrzutów sumienia, a Juliana nie była w stanie pomóc żadnemu z nich.

Wplątaliśmy się w niezgorszą kabałę, przyznała Juliana, otwierając drzwi do sypialni Thalii.

Gdy Juliana weszła, jej siostra zerwała się z krzesła, na którym siedziała. - O... o... ojciec? Nadal jest na mnie zły? - Ukrywszy swą piękną postać pod obszernym, panieńskim szlafrokiem z delikatnego, białego batystu, stojąca przed Julianą Thalia wyglądała na młodziutką, wystraszoną dziewczynkę.

Juliana uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, skarbie, nie jest na ciebie zły. Nigdy nie był. Jest zły na sytuację.

- To wszystko moja wina. Moja wina.
Nie zasługuję na małżeństwo z Piersem.
Och, żałuję, że w ogóle się urodziłam!

Thalia rzuciła się na łóżko niczym
nieszczęśliwe dziecko, wstrząsana
łkaniem. Juliana opadła na łóżko obok
niej i delikatnie głaskała ją po plecach,
czekając, aż przejdzie najgorszy wybuch
rozpaczy.

Nareszcie Thalia podniosła zalane łzami
oczy. - Och, Juliano, co zrobimy? -
zapytała z przygnębieniem w głosie. -
Nie mogę wyjść za Ormsby'ego!
Nienawidzę go. Tak, wiem, kiedyś
wydawało mi się, że go kocham, ale się
myliłam. Jest mi wręcz wstrętny. - Po jej
twarzy przemknął cień strachu. - Ojciec

nie będzie mnie do tego zmuszał,
prawda?

- Nie opowiadaj głupstw! Ojciec nie
dopuszczy, by Ormsby dopiął

swego. - Odgarnęła z czoła Thalii
zwichrzony kosmyk przepięknych blond
włosów w srebrzystym odcieniu. - Czy
ojciec kiedykolwiek zmuszał cię do
zrobienia czegoś, na co nie miałaś
ochoty?

Thalia zdobyła się na uśmiech. - Wiem,
że jestem rozpuszczona, ale naprawdę
nie chciałam sprawiać tylu kłopotów. -
Odwróciła wzrok. -

Wtedy to było bardzo podniecające.

Wie-

32

działam, że źle robię, ale czułam się dojrzała, po raz pierwszy dorosła.

Nikt nigdy nie poświęcał mi tyle uwagi, co on. Nie mówię, że czułam się niekochana przez ciebie czy ojca, czy zanedbywana albo coś równie okropnego, ale ojciec jest ciągle zagrzebany w książkach, ty zawsze jesteś czymś zajęta, toteż czasami czułam się jak cień śledzący cudze życie.

Lord Ormsby interesował się tylko mną.
- Z błagalną nutą w głosie zapytała: -

Rozumiesz?

Każde jej słowo było dla Juliany niczym cios nożem w serce. Tak, rozumiała.

Zajmowali się własnymi sprawami i ani ona, ani ojciec nie zdawali sobie sprawy, że Thalia, która dopiero co opuściła szkołę i chciała włączyć się w nurt prawdziwego życia, miała wrażenie, że nikogo nie obchodzi, i czuła się samotna. Juliana pomyślała z goryczą, że Ormsby w pełni wykorzystał sytuację.

- Doskonale rozumiem, skarbie, i uważam, że to wszystko moja wina -

przyznała Juliana. - Gdybym tylko...

- Och, Juliano, przestań! Błagam cię. To nie twoja wina. Ty byłeś dla mnie cudowna. To moja wina! To wszystko moja wina. - Thalia ukryła twarz w pościeli i znowu zaczęła szlochać. - Będę miała za swoje, jeśli zostanę zmuszona do poślubienia Ormsby'ego. Jestem podła. Podła!

- Jesteś - wtrąciła się spokojnie Juliana - śmiertelnie nudna. Po co te dramatyczne okrzyki i łzy? W życiu nie widziałam takiej tragiczki - nawet na scenie. Zaraz! A może właśnie to powinnaś zrobić - uciec, by zostać aktorką.

Thalia stłumiła śmieшек i usiadła. - Dzięki - rzekła, ocierając łzy z

policzków. - Zawsze mi pokazujesz, jakim jestem głupiutkim stworzonkiem. Co zrobimy? - zapytała ponownie, powtarzając słowa ojca.

- Pokonamy Ormsby'ego - odparła Juliana, podnosząc się. - Ma twoje listy gdzieś schowane. Zamierzam je znaleźć.

- Och, Juliano, dasz radę? - spytała Thalia z podziwem.

33

- Oczywiście, że dam - oznajmiła pewnie Juliana. - A teraz do łóżka.

Pierś nie może zobaczyć swej przyszłej żony z zapuchniętymi oczami i

czerwonym nosem. Wielkie nieba!
Wszak olśniewająca panna Kirkwood
nie może cierpieć na tak pospolite
przypadłości.

Thalia zachichotała. Dobrze, że mnie nie
widział, jak miałam świnkę.

Pamiętasz, jak spuchłam?

Juliana wstrząsnęła się teatralnie.

- Strasznie. Na pewno wybiegłby z
krzykiem z domu. Dzięki -

powtórzyła Thalia, patrząc na nią
serdecznie i czule. Na całym świecie nie
ma mądrzejszej ani miłszej siostry od
ciebie.

Na twarzy Juliany również malowała się miłość do siostry. Pochyliła się i musnęła wargami czoło Thalii.

- Jesteś dobrym, słodkim dziewczęciem i wszyscy cię bardzo kochają.

Pamiętaj o tym, jak będziesz zasypiać.

Juliana zostawiła siostrę i poszła do własnej sypialni. Zdobyła się na uśmiech dla pokojówki, Abby, z którą gawędziły o wydarzeniach wieczoru, gdy Abby pomagała swej pani się rozebrać i wsunęła jej przez głowę miękką nocną koszulę. Dopiero gdy służąca odeszła, uśmiech zniknął z twarzy Juliany

1 opadły jej ramiona.

Gdy tak leżała w mroku, przytłoczył ją ciężar odpowiedzialności za ułożenie spraw Thalii i ojca. W jakąż straszliwą matnię się wplątali i najwyraźniej tylko ona może ich z niej wyprowadzić. Musi wydobyć te listy od Ormsby'ego! Od tego zależy szczęście Thalii i ojca.

Gdyby tylko zdołała dziś wieczór przeszukać biurko Ormsby'ego i odnalazła listy. Ale Ormsby, ten diabeł, poszedł za nią i pogrzebał

wszelką na to nadzieję! Naturalnie, gdyby Asher nie czał się za zasłoną, gdy przyjaciel Ormsby'ego, lord

Kingsley, odwrócił jego uwagę, mogłaby dokończyć poszukiwań przed powrotem do sali balowej.

Zmarszczyła brwi, próbując zgadnąć, co też mogło kryć się za obecnością Ashera dziś wieczór w bibliotece. Co on szykował? Ani przez chwilę nie wierzyła, że został zaproszony na bal, ale wszak schował się w bibliotece Ormsby'ego... Czyżby Ormsby szantażował też Ashera?

Juliana usiadła na łóżku. Nie bacząc na hałas londyńskiego ruchu ulicznego, rozważała wydarzenia, które rozegrały się w bibliotece. Asher nie zamyślał nic

dobrego, to było oczywiste. Bo czemuż by ukrywał się za zasłonami? Czemu zakrył jej usta i chciał zachować w tajemnicy ich obecność? Mógł udawać, że wymknęli się na schadzkę, ale nie zrobił nic takiego. Oczy jej się zwęziły. Asher nie chciał, by go tam przyłapano, podobnie jak ona... Co znaczy, że ma coś do ukrycia.

Znając Ashera, było niewykluczone, że Ormsby wiedział o czymś haniebnym, co Asher pragnął zachować w tajemnicy. Asher Cordwell zawsze uchodził w okolicy za postać tajemniczą, pojawiając się i znikając wedle swej woli, bez żadnych wyjaśnień, gdzie był ani dlaczego przepadł.

Pochodzenie jego majątku, podobno sporego, również było nieznane.

Jego babka, zacna pani Manley, od czasu do czasu napomykała coś mgliście o „lokatach kapitału”, ale o niczym więcej. Juliana zmarszczyła nos. I tak nikt nie byłby tak nieuprzejmy, by wnikać w to głębiej. Z

wyjątkiem Ormsby'ego...

Czyżby markiz dowiedział się o czymś, co przynosi ujmę Asherowi?

A ten usiłuje to odzyskać? Hmmm. Jeśli Asher myszkuje w rzeczach Ormsby'ego, by dostać do ręki to coś, na czym mu zależy, czy pomógłby jej w

poszukiwaniu listów Thalii?

Straszliwa myśl przeszła jej przez głowę. Jeśli jednak Asherowi by się udało, czy Juliana nie zamieni jednego szantażysty 35

na innego? Potrząsnęła głową. Nie. Choć Asher czasami bywa niezmiernie irytujący, była przekonana, że szantaż jest poniżej jego godności. Niemal zachichotała. A poza tym, on nie chce ożenić się z Thalią. A skoro węszy wokół Ormsby'ego, może też węszyć dla niej.

Pełna nadziei po raz pierwszy od wizyty Ormsby'ego w niedzielny wieczór, Juliana znowu się położyła. Zasypiając,

miała już w głowie załączki planu.
Porozmawia z Asherem. On jej pomoże.

36

Rozdział 3

Jadąc przez pagórkowate okolice Kentu ze swej posiadłości do pobliskiego majątku babki, Asher był niemal szczęśliwy. Dobrze było wrócić do domu, znaleźć się między znajomymi rzeczami, miejscami i ludźmi.

Postanowił pogrzebać przeszłość i stać się tym, za kogo zawsze uchodził w okolicy - zamożnym posiadaczem ziemskim.

Z Londynu wrócił wczoraj po południu i

cały dzisiejszy dzień spędził

na naradach z małym gronem służby, które sprawnie prowadziło mu wygodny dom, a także z rządcą, pilnującym, by rozmaite gospodarstwa i majątki prowadzone były należycie, wieczorem zaś wybrał się na kolację do babki.

Stłumiony dźwięk, który wydobył się z przykrytego kocem koszyka na siedzeniu obok, wywołał uśmiech na twarzy Ashera. Parę tygodni wcześniej rozmawiał z dzierżawcą jednego z gospodarstw babki i wieczorem zboczył nieco z drogi, by od imć pana Medleya zabrać lokatora tego koszyka. Uśmiech zamarł mu na ustach. Babka już dość długo opłakiwała śmierć Kapitana. Musi

zająć myśli czymś innym.

Para karych koni ciągnących jego niebiesko-złotą kariolkę dotarła do odgałęzienia drogi oznakowanego przez dwa potężne dęby. Asher skręcił

z głównego traktu i wjechał na podjazd

37

prowadzący do posiadłości babki, Burnham. Nie zdążył poznać swego pradziadka, ale wiedział, że gdy jaśnie wielmożny Hilary Burnham zmarł

przed czterdziestoma laty, nie pozostawiając dziedzica, tytuł przepadł

wraz z nim. No i dobrze, pomyślał Asher, bo gdyby pozostawił dziedzica, jego babka by tu teraz nie mieszkała.

Pokryty dachówką dom, który ukazał się na końcu krętego podjazdu, wyglądał uroczo. Zdobny od frontu malowniczym dwuspadowym dachem, liczył dwa piętra, a z jego boku widniało małe jeziorko, porośnięte białymi i żółtymi liliami wodnymi, okolone rozłożystymi jesionami, wśród których posadzono nadającą całości romantyczny wyraz samotną wierzbę płaczącą. Tu i tam do starodawnego żółtego muru przywierał bluszcz, a szerokie okna z szybkami oprawionymi w ołowiane ramki lśniły w złotoszkarłatnych promieniach

gasnącego słońca. Nie był

to duży dwór, lecz w pełni odpowiadał potrzebom rozmaitych Burnhamów, którzy zamieszkiwali tu przez wieki. Babka bezsprzecznie go uwielbiała, a i Asher czuł wielki sentyment do tego miejsca. Co w sumie nie było złe, gdyż babka wyraźnie dała rodzinie do zrozumienia, że zamierza posiadłość zostawić jemu, najstarszemu wnukowi.

Zatrzymawszy konie przed domem, wręczył lejce uśmiechniętemu stajennemu, który do niego podbiegł. - Jak się masz, Peltonku - rzekł

Asher, sięgając po koszyk. Ojciec dobrze się miewa?

O tak, jaśnie panie. Po wypiciu mikstury wielmożnej pani Manley niestrawność przeszła mu jak ręką odjął. - Peltonek zmarszczył nos. - Ale cuchnęła okropnie.

Z koszem w dłoni, Asher roześmiał się i lekko zeskoczył z kariolki.

- Konkokty mojej babki zawsze straszliwie cuchną, ale działają.

38

- Bardzo przepraszam - rozległ się z tyłu kpiarski głos babki - ale moja herbata miętowa wcale straszliwie nie cuchnie.

Gdy Asher się obrócił, poczuł w duszy coś ciepłego i lekkiego. Jego babka, Ann

Manley, liczyła sobie siedemdziesiąt pięć lat i mimo srebrnych włosów i pokrytej drobnymi zmarszczkami białoróżowej cery wyglądała i nosiła się jak kobieta dziesięć lat młodsza. Czubek jej głowy ledwo dosięgał barczystych ramion Ashera, postać miała szczupłą, a oczy w tym samym odcieniu kobaltowego błękitu co wnuk. W młodości jej włosy lśniły złotym blaskiem promieni słonecznych w letniej porze.

Czekała na niego na szerokiej ścieżce prowadzącej do ciężkich, dębowych drzwi od frontu. Podszedł do niej i ucałował uperfumowaną skroń.

- Naturalnie, masz rację. Nie mógłbym

przeciwstawić się opinii tak uroczej damy.

Roześmiała się i swawolnie poklepała go po policzku. - A ty jesteś zbyt doświadczoneym flirciarzem, by kobieta poważnie brała twoje słowa.

- Jej wzrok padł na koszyk, który Asher niósł na ramieniu. Zauważyła, że stary niebieski koc rusza się jak szalony. - I co też tu mamy?

Asher z uśmiechem wręczył jej koszyk. - Sprawdź sama, proszę -

rzekł, gdy wbijała wzrok w wybrzuszący się koc. -Podnieś.

Uczyniła to, po czym zrobiła rozanieloną minę na widok małego spaniela, merdającego ogonkiem. Gdy szczeniak i babka wpatrywali się w siebie speszonym wzrokiem, Asher powiedział szybko: - To chłopczyk.

Wczoraj skończył osiem tygodni. Najładniejszy z ostatniego miotu z hodowli imię Medleya.

- Och, Asherze! - Wyjęła z koszyka trójkolorowego szczeniaczka o zwisających uszach i wielkich oczach, przycisnęła go do piersi i roześmiała się, gdy pies zaraz oblizał jej podbródek. - Od Medleya? -

upewniła się, głaszcząc zwierzątko.

Asher skinął potwierdzająco. - Z tego samego rodu co Kapitan.

Medley powiada, że śledząc jego rodowód, dojdziemy do matki Kapitana.

- Ku jego konsternacji, oczy starszej pani napełniły się łzami i zdławiła szloch. - Myślałem, że się ucieszysz - powiedział, zaskoczony.

Śmiejąc się i płacząc na przemian, mocniej przytuliła szczeniaka. -

Bardzo się cieszę. Bardzo! - Pocałowała Ashera w podbródek i dodała: -

Płaczę, bo jestem szczęśliwa.

Pokochałabym każdego pieska, którego byś mi dał, ale o spokrewnionym, choćby daleko, z moim kochanym starym Kapitanem nawet nie marzyłam.

- Miałem nadzieję, że cię rozweseli. -
Łagodnie pogłaskał szczeniaka po łebku.
- Nie będzie Kapitanem, ale myślę, że wyrośnie na dobrego, lojalnego towarzysza - takiego jak Kapitan.

Kolacja przebiegła przemiło. Jedli na świeżym powietrzu nad jeziorkiem, a szczeniak hasał im u stóp i zwiedzał nowy dom na swych krótkich łapkach. W gęstniejącym mroku, pośród cieni barwy lawendy, spacerowali wokół jeziora, patrząc na figle małego spaniela. Babka

oparła Asherowi rękę na ramieniu, w drugiej trzymała koszyk i tak idąc, zastanawiali się nad imieniem dla pieska. Asher chciał podtrzymać wątek militarny, lecz pani Manley, uśmiechając się słabo, oświadczyła, że tym razem wolałaby coś bardziej romantycznego. Asher uśmiechnął się do niej, unosząc brwi. - To co, może Romeo? -zapytał kpiarsko.

Roześmiała się. Zauważywszy, że szczeniak zaczyna zostawać w tyle, pochyliła się i podniosła go. Przytuliła pieska na chwilkę, po czym włożyła go do koszyka, gdzie zwinął się i niebawem usnął. Uśmiechając się na ten widok, powiedziała:

- Nie aż tak romantycznie. Myślałam raczej o czymś w rodzaju Jowisza czy Zeusa.

40

Asher z powątpiewaniem spojrzął na czarno-brązowo-biały pulpecik, który ułożył się w koszyku.

- Jakoś nie bardzo przypomina Zeusa.

- No, może nie w tej chwili - przyznała babka. - Ale nie możesz zaprzeczyć, że nawet teraz jest śliczny. A gdy dorośnie, z pewnością będzie najładniejszym psem w okolicy.

- Skoro tak uważasz, może nazwiesz go

Apollem? Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Wspaniały pomysł! -

Patrząc na szczeniaka, powiedziała cicho: - Witaj w Burnham, Apollo.

- Na śpiącym smacznie Apollu nowe imię najwyraźniej nie zrobiło wrażenia.

Gdy Asher godzinę później odjeżdżał z Burnham, był zadowolony.

Babka zachwyciła się nowym towarzyszem, a wnuk nie miał wątpliwości, że choć szczeniak obecnie zajmuje koszyk, za parę godzin wyląduje w łóżku swej pani. Kapitan spał w nogach łóżka, a Asher nie przypuszczał, by Apolla spotkał gorszy los.

Jego posiadłość, Lisia Nora, przez kilka pokoleń należała do bogatych gospodarzy i choć dom nie był szczególnie duży ani imponujący, sprawiał

bardzo przyjemne wrażenie. Jak w Burnham, tak i tu, gdy przejeżdżał

koło ciągnącej się wzdłuż drogi budowli, po części murowanej, po części drewnianej, o dwóch szerokich oknach wykuszowych umieszczonych po obu stronach podwójnych frontowych drzwi o żelaznych zawiasach, myślał sobie, że jego siedziba jest przede wszystkim „wygodna”.

Dochodziło do tego ponad tysiąc akrów

pagórkowatej, żyznej ziemi, lecz Asher największą zaletę swej posiadłości upatrywał w tym, że sąsiadowała z Burnham. Gdy wdowa po jej właścicielu zaproponowała pani Manley, by dołączyła ją do swej posiadłości, babka poradziła wnukowi, by kupił te dobra dla siebie. - Tym sposobem zyskasz własny dom, a mnie nie

41

będzie się wydawało, że tylko czekasz, aż umrę. - Na samą myśl o jej śmierci przeszył go spazm bólu, a choć nigdy nie wydawało mu się, że czeka na jej śmierć, uznał, że rada jest słuszna, i przed pięcioma laty nabył

Lisią Norę.

Asher uśmiechnął się blado. Ormsby przymierzał się do kupna Lisiej Nory dla siebie i już zaproponował cenę w wysokości nieco ponad połowy wartości, a wówczas pani Dempster udała się do pani Manley w nadziei na uzyskanie wyższej zapłaty. Lisia Nora warta była każdego pensa, jakiego zażyczyła sobie pani Dempster, toteż Asher chętnie wyłożył te pieniądze. Jego uśmiech zgasł. Dało to Ormsby'emu jeszcze jeden powód, by go nie lubić. Wzruszył ramionami. Ten drań powinien był zaproponować pani Dempster wyższą cenę.

Oddał konia w ręce koniuszego, po czym powędrował w ciemnościach do domu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Prawie odkąd pamiętał zawsze miał przed sobą nowy cel, nowy plan, który winien był rozważyć i wcielić w życie, ale te czasy już minęły. Z

wyjątkiem kradzieży naszyjnika Ormsby'ego postanowił zostawić za sobą tę część swojego życia, której lepiej zbyt dokładnie się nie przyglądać.

Miał szczęście, że nie odkryto jego udziału w różnych knowaniach, w których uczestniczył. Wiedział, że jeśli nadal będzie wyzywał los, niechybnie spadnie na niego nieszczęście. W zeszłym roku już niewiele brakowało i

miął niesamowite szczęście, że nie zawisł na szubienicy w Newgate. Ten przeklęty Collard!

Asher zacisnął usta. Choć przez te wszystkie lata igrał z ogniem, a może nawet gorzej, nie zostawił na swej drodze trupów, póki Collard nie zabił tego nieszczęsnego Whitleya zeszłej wiosny. Oszukać gościa, czy też, przyznał, krzywić się, okraść go, to jedno, ale morderstwo? Z

każdych opałów zawsze starał się wyjść możliwie jak najmniejszym kosztem, a zeszłoroczne

wydarzenia w hrabstwie Dewon wstrząsnęły nim i kazały się zastanowić nad swym życiem.

Znikła już ta rozpaczliwa konieczność, która zmuszała go do imania się tak ryzykownych środków, tłumaczył sobie, podchodząc do frontowych drzwi.

Burnham było teraz bezpieczne, jego babka nie żyła już w obawie, że straci dom. Niemal poszła na żebry, by on i jego przyrodni bracia skończyli Eton, myślał ponuro. Nie wiedział wówczas, że rzuciła na szalę samo Burnham, po cichu robiąc długi, na których spłatę miała nikłe szanse, byle tylko jej wnukowie odebrali wykształcenie stosowne do swego urodzenia. Gdy

tylko odkrył, jak się poświęcała, natychmiast podjął kroki mające zapobiec dalszemu uszczuplaniu jej majątku. A choć chwycił się rozpaczliwych sposobów, najeżonych niebezpieczeństwami i absolutnie nie do przyjęcia, nic go to nie obchodziło. Jego babka nie straci Burnham.

Otrząsnął się, odpychając od siebie przykre wspomnienia. Obecnie Burnham było bezpieczne, a jego młodsze przyrodnie rodzeństwo miało zapewnioną przyszłość i nie sięgało już do jego sakiewki. Siostry, mające spore posagi, w które dyskretnie wyposażył je Asher, zrobiły doskonałe partie. John, który liczył sobie teraz dwadzieścia pięć

lat i był mu najbliższy wiekiem,
zarządzał rodzinną posiadłością,
Jabłkowym Wzgórzem. Robert, drugi w
kolejności, dwudziestoczwolalek,
zaopatrzony w patent oficerski i konie,
niemałym kosztem dla kieszeni Ashera,
dostał się do elitarnej jednostki
kawalerii i obecnie służył w Portugalii.

Na myśl o ojczymie, emerytowanym
podpułkowniku Denningu...

Asher zacisnął usta. Choć w głębi serca
pragnął postąpić wręcz przeciwnie, nie
miał wyboru i musiał ratować
posiadłość ojczyma, by dziewczynkom,
które wówczas liczyły dwanaście i
dziesięć lat, zapewnić dach nad głową.
I, dodał ponuro, by Johnowi zostało

cokolwiek na utrzymanie własnej

43

rodziny. Asher potrząsnął głową. Ze skóry wychodził, by dołożyć do wydatków babki, i mało szlag go nie trafił, gdy się dowiedział, czym zajmuje się „pułkownik” - ojczym bowiem życzył sobie, by tak się do niego zwracano.

Jakieś dziesięć lat temu pułkownik stracił niemal wszystko, również Jabłkowe Wzgórze, przy karcianym stoliku i Asher walczył ze wszystkich sił, by uratować rodzinę od pewnej ruiny. Z całą bezwzględnością szukał sposobów, by spłacić długi pułkownika,

nim będzie za późno, a jego metody, przyznał z lekkim tylko poczuciem winy, były zdecydowanie bezprawne. Ale, napomniał się, to już przeszłość.

Przyszła pora, by przestał martwić się o rodzinę i skupił na własnym życiu. Niemniej, przyznał, otwierając skrzydło podwójnych drzwi, czuł

się dziwnie, nie obmyślając żadnych podstępów, żadnej intrygi, która chodziłaby mu po głowie, i coraz mocniej dręczyło go przekonanie, że życie szacownego ziemianina może okazać się potwornie nudne.

Gdy wszedł do wyłożonego dębową boazerią holu, powitał go kamerdyner,

Hannum. Nie był on właściwie kamerdynerem, lecz ponieważ wykonywał wszelkie jego obowiązki, do tego ożeniony był z gospodynią, a ich oboje Asher odziedziczył wraz z domem, nie mógł

uznać go za nikogo niższej rangi. Ku jego rozbawieniu oboje traktowali go z przyjacielską poufałością, która w bardziej konwencjonalnym domu wywołałaby zdziwienie.

Służba w Lisiej Norze, początkowo składająca się z Hannuma i jego małżonki, przez lata powiększyła się o jeszcze parę osób, w jakiś sposób powiązanych z Hannumami. Obecny zarządca jego stajni, Liggett, był

mężem najstarszej córki Han-numa, Margaret. Sama Margaret również u niego pracowała, ponieważ przed paroma laty pani Hannum wspomniała, że w gospodarstwie przydałaby się jeszcze jedna para rąk i zna 44

odpowiednią osobę do tej pracy. Asher był pewny, że ogrodnika, jego pomocnika oraz paru stajennych również łączą jakieś więzy pokrewieństwa z Hannumami. Uśmiechnął się. A niech tam.

Hannumowie są uczciwi, pracowici i nie płaczą mu się pod nogami.

Przyglądając się swemu kamerdynerowi,

uśmiechnął się jeszcze szerzej. Krzepki jak dąb Hannum za młodu był niezłym pięściarzem, o czym świadczył złamany nos i ubytki w uzębieniu. Na widok tej szorstkiej, zniszczonej twarzy wielu gościom zapierało dech - co bardzo odpowiadało Asherowi. Z uśmiechem odsłaniającym szczyrby Hannum zapytał:

- Czy pani Manley ucieszyła się na widok psa?

- Bardzo. Nazwała go Apollem - odparł Asher, wręczając Hannumowi rękawiczki.

- Oho! Ładne imię.

- Jakie imię? - zapytała pani Hannum.

Przyprószone siwizną włosy były schludnie ukryte pod muślinowym czepkiem, kiedy wyłaniając się z podziemi domu, wycierała ręce w wielki, biały fartuch. - Mówcie o szczeniaku? Spodobał się pańskiej babce?

Asher skinął głową.

- Niezwykle. Spodziewam się, że w tej chwili mości się wygodnie w jej łóżku.

- Apollo, hmm? Tak, to ładne imię. - Potrzęsnęła głową, jej błękitne oczy przybrały ponury wyraz. - To straszne, co się stało z Kapitanem.

- Owszem - przyznał cicho Asher. - Ale

myślę, że Apollo zajmie ją i rozweseli.

Zostawiając Hannumów ich obowiązkom, Asher przeszedł na tył

domu do swego gabinetu. „Gabinet” to zapewne zbyt wielkie słowo na określenie pokoju, który zapewne na początku służył jako przyległy do domu składzik. Obecnie, gdy miał ściany otynkowane na biało, wysokie okna wychodziły

45

na ogród od tyłu, a podłogę z cegieł przykrywał wełniany dywan w odcieniach zieleni i rdzy, Asher uznał, że całkowicie odpowiada jego

potrzebom. W wietrzne dni ceglany kominek, wbudowany tu dużo wcześniej, nim Asher kupił posiadłość, ogrzewał pokój tak, że było w nim ciepło i przytulnie. Ściany zastawione były szafami z książkami, a podniszczone meble dobrze służyły ich użytkownikowi. Po obu stronach okien wisiały ciężkie, tkane zasłony, które można było zaciągnąć tak ściśle, że nie wpuszczały zimowego mrozu.

Asher zapalił parę świec, by rozproszyć gęstniejący mrok, po czym stanął na środku pomieszczenia, nie zatrzymując wzroku na niczym konkretnym. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, krążył niespokojnie po pokoju, przesuwał

lekkimi palcami po zestawie butelek z trunkami oraz kieliszków na długim dębowym kredensie przy ścianie.

Przebiegł

wzrokiem półki z książkami, wyjął nawet kilka, lecz myśl o zagłębieniu się w *Esejach* Bacona lub przedzieraniu się przez *Komentarze do wojny galijskiej* Cezara jakoś do niego nie przemawiała.

Podszedł do biurka, masywnego, zniszczonego mebla, który wybrał

ze względu na rozmiary, nie zaś urodę, jaką być może niegdyś się odznaczał.

Przerzucił parę leżących na nim papierów, obrzucając je wzrokiem, lecz w istocie wcale ich nie widząc. W

końcu wrócił do kredensu i nalał sobie kieliszek brandy.

Opadł na skórzany fotel w brunatnoczerwone romby, przerzucił nogę przez szerokie oparcie i siedział tak, sącząc brandy. Przesuwał wzrokiem po pokoju, rozmyślając o przyszłości.

W tej chwili przed oczyma przewinęło mu się pasmo dni straszliwej, bezdennej nudy. Ale... tego właśnie pragnął. Za ciszą, spokojem i monotonią wiejskiego życia tęsknił przez te wszystkie lata, gdy kroczył

ścieżką ryzykowną i niebezpieczną. Naprawdę czuł się szczęśliwy w domu, szczęśliwy, że nie

musi ciągle oglądać się za siebie, szczęśliwy, że nie naraża już swego życia i reputacji. Zacisnął szczęki. Ani też nie naraża rodziny na hańbę i upokorzenie, gdyby go złapano na którymś z mętnych przedsięwzięć.

Przyznał ponuro, że na nudę ciężko sobie zapracował.

Jego kłopot polega na tym, że nie wie, co ze sobą zrobić. Nigdy nie zastanawiał się nad przyszłością, a raczej - nad swoją przyszłością. Zbyt był zajęty zapewnianiem przyszłości innym, by martwić się o własną.

Skrzywił się. Nie była to cała prawda, o czym świadczą jego inwestycje w statki, kopalnie węgla i cyny, a także zakup Lisiej Nory. Więc jednak o własną przyszłość też się zatroszczył.

Problem polega na tym, że nie widzi siebie w charakterze ziemianina, nawet posiadacza ziemskiego. Poza tym ma doskonałego rządcę, który sprawnie prowadzi gospodarstwa. Uśmiechnął się. A Wetherly nie chciałby, żeby pracodawca mu się wtrącał. Rządca składa mu sprawozdania i z powagą wysłuchuje jego propozycji, czasami nawet niektóre wciela w życie, ale w sumie obaj wiedzą, że to dzięki sprawnemu kierownictwu i pilnemu

nadzorowi Wetherly'a Lisia Nora przynosi zyski.

Co do innych inwestycji Ashera... i tu miał doskonałego plenipotentą, pana Elmore'a, który podobnie jak Wetherly nie byłby zachwycony, gdyby jego chlebodawca zjawiał się w jego londyńskim biurze i wścibiał

nos w sposób prowadzenia przezeń interesów. Asher nie był wszakże leniwym pracodawcą - rozumiał się na swoich sprawach i doskonale się w nich orientował.

Dopiwszy brandy, podniósł się i nalał sobie następną. Z kieliszkiem w dłoni krążył po gabinecie jeszcze przez parę

chwil, przystając tu i tam, patrzył się tępo przed siebie, po czym ruszał dalej. Zatrzymał się przed oknami wychodzącymi na ogrody. Teraz na dworze zrobiło się ciemno i widział tylko na szybie swoje odbicie, sączące brandy.

47

Wpatrywał się w niego wysoki brunet. Granatowy surdut skrywał

postawną, barczystą postać o gęstych, niesfornych włosach, nieco dłuższych niż nakazywała obecna moda, opadających na kark i falujących koło skroni. Twarz, na którą padało jego spojrzenie, większość uznałaby za

przystojną. Czarne brwi pod szerokim czołem były mocno zaznaczone, nos zuchwale męski, usta szerokie, o dolnej wardze pełniejszej niż górna.

Wyglądał na wzór dżentelmena, choć nawet teraz, myślał, wpatrując się w swój obraz w szybie, te głęboko osadzone niebieskie oczy w kobaltowym odcieniu były czujne, mroczne, pełne tajemnic...

Asher prychnął i odwrócił się. Jeszcze trochę i zacznie do siebie mówić.

Usiadł ponownie, by zastanowić się nad sobą. Skoro nie chce poświęcić się gospodarzeniu i nie zamierza zatracić się w codziennym śledzeniu swych

interesów, to co, do diabła, będzie robił? Nie pragnie zajmować się niczym po amatorsku, nie chce zostać dandysem ani którymś z tych znudzonych próżniaków, którzy codziennie napływają do Londynu.

Doszedł do wniosku, że dla człowieka o jego pozycji nie ma wielu zajęć. Może mógłby hodować konie... Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Lubi konie. Ma do nich oko i obecnie w stajni trzyma wiele wspaniałych wierzchowców. Ale coś mu się nie widziało, by resztę życia spędził na zagłębianiu się w rodowody i bezustannym szukaniu owej magicznej „krzyżówki”, która pozwoli mu ciągle

dostarczać konie pożądane w wielkim świecie. Hodowla psów również go nie pociągała.

Zostawia to ludziom, którzy się na tym znają, jak Medley. To samo odnosi się do owiec i bydła. Ogrodnictwo również nie jest jego mocną stroną - potrafi prawidłowo nazwać zaledwie parę z setek roślin rosnących w jego ogrodzie.

Chryste!, pomyślał z irytacją. Muszę znaleźć sobie jakieś hobby. Albo żonę.

48

Aż podskoczył. Żonę? Na Boga, to śmieszne! A na co mu żona?

Z osłupiałą miną rozglądał się po pustym pokoju. Jakby to było - mieć żonę, zastanawiał się. Spojrzeć na stojące obok krzesło i zobaczyć na nim kobietę, śliczną kobietę, która czyta bądź zajmuje się robótką? Czy uniosłaby wzrok i uśmiechnęła się do niego czule? Czy łączyłaby go z nią ta sama więź, czułby wobec niej ten sam instynkt opiekuńczy, jaki odczuwa względem babki i rodzeństwa? Poczował lekkie mrowienie w kroczu. I jakby to było, gdyby wiedział, że kiedy wieczorem kładzie się do łóżka, czeka na niego ciepłe, chętne ciało? A co z dziećmi?

Przebiegło go dziwne uczucie, na poły lęku, na poły zachwyty. Nigdy nie myślał

o sobie jako o ojcu. Być może, przyznał, okaże się całkiem przyzwoitym rodzicem. Coś mrocznego i niebezpiecznego przemknęło po jego twarzy. O dzieci zatroszczy się jak należy, ich los nie będzie zależał od wyniku karcianej rozgrywki, jak to było w przypadku ojczyma.

Ale czy naprawdę chce mieć żonę? Czy zdoła się przemienić na tyle, by się kimś opiekować? Ponosić za niego odpowiedzialność?

Myśl o ożenku nie opuszczała go, nawet kiedy wieczorem wszedł po schodach i położył się do łóżka. Gdzie spoczął samotnie, co skonstatował

ze smutkiem.

Z wieloma kobietami zdążył już dzielić łóżce, ale kochanka czy przelotna miłostka to coś innego niż żona. Żonę ma się na zawsze. Żona zamieszka w jego domu. Urodzi mu dzieci. Uśmiech przebiegł mu po wargach. I będzie musiała zyskać uznanie pani Manley.

Ziewnął. Znalezienie żony to trudne zadanie, któremu dziś nie sprostą.

Prześpi się z tym.

49

W następnym tygodniu, gdy Asher ponownie wszedł w rytm życia w Lisiej

Norze, stwierdził, że wcale nie jest tak znudzony, jak się obawiał, i stopniowo porzucił myśl o szukaniu żony. Ku swemu zadowoleniu przekonał się, że mimo wszelkich zastrzeżeń, doskonale potrafi brać każdy dzień z dobrodziejstwem inwentarza. Doszedł do wniosku, że tydzień wcale nie trwa tak strasznie długo, i przypomniał sobie, jak niegdyś siedział w domu całymi miesiącami i ani trochę się nie nudził.

Zważywszy na sytuację, podejrzewał, że z czasem obejdzie się bez spędzania całych dni i tygodni na precyzyjnym planowaniu kolejnego ryzykownego przedsięwzięcia. A przede wszystkim, nie będzie przebywał miesiącami z dala

od Lisiej Nory i babki. Napomniał się, że pragnął takiego właśnie życia, jakie pędzi w swej posiadłości. Lubił

naradzać się z Hannumem i panią Hannum w sprawach domowych, lubił

rozmawiać z zarządcą stajni, objeżdżać posiadłość, oglądać i pochwalać zmiany i ulepszenia, które wprowadzał pan Wetherly. Odwiedził kilku najbliższych sąsiadów, sędziego Ripleya, mieszkającego nieopodal, i pana Woodruffa, bogatego posiadacza ziemskiego, którego rozległe grunta graniczyły z jego dobrami od południa. Miło spędził z nim czas, gawędząc o zbiorach, sadach, bydłe, trzodzie chlewnej i temu podobnym.

Wróciwszy do domu w poniedziałkowe popołudnie, Asher ze zdumieniem znalazł delikatnie perfumowany bilecik czekający nań na marmurowym stoliku w holu wejściowym. Wpatrywał się weń z namysłem i nim wziął go do ręki, uważnie przeczytał swe nazwisko wypisane na przodzie koperty śmiałą, zamaszystą ręką. Bilecik nie był od jego babki ani od żadnej z sióstr - ich charakter pisma znał dobrze. Czy to zaproszenie, może od którejś z okolicznych dam? Najprawdopodobniej.

Czy też liścik niesie ze sobą coś bardziej złowieszczego? Ze swą przeszłością zawsze brał pod uwagę

możliwość szantażu, 50

a choć niezmiennie zachowywał nadzwyczajne środki ostrożności, jest całkiem niewykluczone, że ktoś z dawnych lat widział albo usłyszał

coś, co mogło okazać się zyskowne... dla tego osobnika. Do czasu, pomyślał z tygrysim uśmieszkiem. Tylko do czasu.

Położył rękawiczki i szpicrutę na stoliku, po czym powędrował z kopertą do gabinetu, gdzie usadowił się w fotelu. Jednym szybkim ruchem rozdarł kopertę. Nie zapoznając się z treścią bileciku, przede wszystkim pobiegł wzrokiem na koniec strony. Juliana?

Skrzywił się. Zajęty urządzaniem sobie życia w Lisiej Norze, zepchnął ową noc w bibliotece Ormsby'ego w Londynie w mrok niepamięci, lecz podejrzewał, że wychynie ona stamtąd i dźgnie go w tyłek.

Szybko przeczytawszy bilecik, zmarszczył czoło. Juliana chce się z nim spotkać? Potajemnie? Co ta mała diablica szykuje?

Chyba nie próbuje go szantażować? Nie, to głupie przypuszczenie.

Nie musi zniżać się do takich środków, a choć jego obecność w bibliotece była podejrzana, niczego nie dowodziła. Z namysłem spoglądał na liścik.

Od tamtej nocy w ogóle nie myślał o pojawieniu się Juliany w bibliotece i dopiero teraz zaczął się zastanawiać, co ona tam robiła.

Znowu przebiegł bilecik wzrokiem. Kąciki jego ust wygięły się w słabym uśmiechu. Zapewne dowie się tego dzisiaj, podczas ich potajemnego spotkania w starej stróżówce. Ach, jakże on kochał intrygi i najwyraźniej Juliana miała mu przysporzyć tej jednej rzeczy, której brakowało mu w życiu.

51

Rozdział 4

Serce boleśnie waliło w piersi Juliany,

gdy zsiadła z wierzchowca i pobiegła w mroku nocy do starej, zrujnowanej stróżówki. Mała, kamienna chata świeciła pustką już od paru pokoleń, kiedy to poprowadzono inną drogę do Kirkwood, by ominąć strumień, który regularnie występował z brzegów i zalewał trakt.

W świetle słońca stojący obok pluskającego strumyka rozpadający się domek wyglądał całkiem malowniczo. Kamienie, z których był

zbudowany, wyblakły, przybierając odcień lekko różowy i choć drewniane okiennice zwisały chwiejnie obok dwóch okien, a dachówki obrośnięte były mchem, róże nadal pięły się obok

drzwi, a wielkie, stare półkrzewy lawendy porastały krętą ścieżkę prowadzącą do miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się drzwi wejściowe.

Lecz dziś wieczorem, w świetle ubywającego księżyca, Juliana nie dostrzegła tu nic malowniczego. Stojąc obok swego konia zadrżała i zawahała się, miała wrażenie, że powietrze wokół niej zgęstniało i zawirowało przy akompaniamencie boleściwych jęków strumyka. Przed nią rysowała się nieforemna bryła budynku i Juliana nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego wybrała to miejsce i tę porę na spotkanie z Asherem.

Wybrałaś to miejsce, napomniała się ponuro, bo nic innego nie przyszło ci do głowy. W mroku obrzuciła je wzrokiem. To tylko stróżówka. Nie ma w niej nic złowieszczego.

Nie bądź głuptasem, powiedziała sobie, zrobiła stanowczy krok naprzód i omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy gdzieś w pobliżu huknęła sowa. Poirytowana swą nerwowością, ciaśniej owinęła się purpurowym płaszczem i z zaciśniętymi zębami ruszyła naprzód.

Długie okrycie ocierało się o ciężkie, stare półkrzewy lawendy, a w powietrzu unosiła się uspokajająca woń tego ziela.

To tylko stara stróżówka, napomniała się ponownie, krocząc ścieżką ku domostwu. I będzie tam Asher. Nie ma się czego bać.

Zachwiała się, gdy jej oczom ukazała się zionąca czeluść w miejscu drzwi.

Doszedł ją zapach wilgotnej pleśni i klepiska, mogłaby przysiąc, że słyszała, jak coś czmycha. Zacisnęła palce na płaszczu. Wielki Boże!

Kto wie, co jest tam w środku? Myszy, bez wątpienia, odparła racjonalna część jej umysłu. Może kilka szczurów. Z pewnością nic więcej... nic niebezpiecznego. Ale stała jak przymurowana, gapiąc się na pogrążony w mroku otwór drzwiowy, niezdolna

zrobić kroku naprzód. Była przeświadczona, że zaraz przy wejściu natrafi na łasicę, która będzie świdrowała ją wzrokiem, albo rozzłoszczonego borsuka. Gdy się tak wahała, usłyszała hałas, jakby cichy szept, i instynktownie się cofnęła.

Normalnie nie bała się byle czego, lecz teraz uświadomiła sobie, że dziś w nocy tylko ręka boska może wciągnąć ją do środka tej kamiennej budowli.

- Dość nieprzyjemne miejsce na spotkanie, nie uważasz? - wycedził

Asher, którego sylwetka zamajaczyła przed nią w progu.

Mimo najlepszych chęci Juliana wrzasnęła i odskoczyła parę stóp do tyłu.

53

- No właśnie - rzekł Asher, pojawiając się w słabym świetle księżyca.

- Dlaczego, do diabła, wybrałaś to miejsce i czemuż to musimy spotykać się o północy?

Starając się za wszelką cenę dojść do siebie, Juliana warknęła:

- Nic innego nie przyszło mi do głowy, a nie chciałam wzbudzać podejrzeń.

Asher uniósł brew i rozejrzał się.

- Naprawdę uważasz, że jeśli ktoś nas tu zdybie w środku nocy, nie uzna tego za podejrzanego?

- Gdyby ktoś miał tu nas zdybać, naturalnie uznałby to za podejrzanego, ale wybrałam to miejsce właśnie dlatego, że nikt nas tu nie zdybie -

wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Asher przyglądał się jej przez chwilę w słabym świetle księżyca.

Sądząc po jej zaciśniętych szczękach i sztywnej postawie, pragnęłaby być wszędzie, byle nie tu. Ale to ona

zdecydowała o tym spotkaniu, jego porze i miejscu. Zmarszczył brwi, gdyż coś przyszło mu do głowy, coś, o czym powinien był pomyśleć z chwilą przeczytania bileciku. Nie tylko miejsce spotkania było niezwykle, całe to zachowanie nie pasowało do Juliany. Z wyjątkiem paru eskapad za dziecięcych lat Juliana zawsze robiła to, czego od niej oczekiwano, nigdy nie wykazywała chętki, by zejść z prostej, wąskiej dróżki, którą wytyczono. W przeciwieństwie do niego, nigdy nie przysporzyła rodzicom najmniejszej troski, zawsze czyniąc to, co wypada i należy. Juliana, którą znał, była wzorem cnót.

Musiało stać się coś doprawdy niezwykłego, skoro zaryzykowała, że w razie gdy ich zobaczą, stanie się przedmiotem plotek i domysłów.

Znowu rozejrzał się wokół. Normalnie zgodziłby się, że stróżówka jest doskonałym miejscem na potajemne spotkanie. Dobrze ukryta, większość okolicznych mieszkańców o niej zapomniała i jest mało prawdopodobne, by nawet kłusownik się

54

na nich natknął. Niemniej nie wybrałby tego zakątka na spotkanie z przyzwoitą młodą kobietą, jaką niewątpliwie jest Juliana. Usta wykrzywił

mu uśmiezek. Nie wybrałaby go również ona sama, gdyby jej noga kiedykolwiek powstała we wnętrzu stróżówki.

- Nie waż się ze mnie śmiać, Asherze Cordellu - rzekła ostro Juliana, zauważywszy jego rozbawienie. - Nie poprosiłabym cię o spotkanie, gdyby sprawa nie była ważna.

Asher potrząsnął głową. - Nie śmiałem się z ciebie - wyjaśnił. - Tylko z okoliczności.

Wyciągnął do niej rękę, a Juliana drgnęła gwałtownie pod dotknięciem jego dłoni na swym ramieniu. - Spokojnie - powiedział

cicho, jakby uspokajał przestraszoną kobyłę. - Nie zrobię ci krzywdy. -

Przytrzymując ją mocno, rzekł: - Nie wątpię, że to, co cię tutaj sprowadziło, jest ważne, ale nie powinniśmy tu pozostawać. Tracisz głowę ze strachu, będziesz podskakiwać i krzyczeć na widok każdego cienia, zamiast skupić się na rzeczy.

- To prawda - przyznała nieszczęśliwym głosem. - Ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Zazwyczaj nie spotykam się z mężczyznami w tak niestosownych okolicznościach.

- Z pewnością - potwierdził. Obrócił ją i na poły zaciągnął, a na poły

odprowadził do jej konia. - Poczekaj chwilkę. Mój kary jest ukryty za stróżówką - rzekł, podrzucając ją na siodło.

- Och! Zastanawiałam się... - Urwała i uśmiechnęła się do niego niepewnie. - Przepraszam, że zachowuję się tak dziwnie. Chodzi o to, że...

Czekał, a gdy nie odezwała się więcej, potrząsając tylko z zakłopotaniem głową, zniknął w ciemności. Po chwili wyłonił się, siedząc na wielkim, karym wałachu. Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

- Jedź za mną - polecił. - Znam spokojne miejsce, gdzie będziemy mogli

porozmawiać.

55

Choć Juliana czuła się bardzo skrępowana w tej sytuacji, bez słowa pojechała za nim w las. Zmarszczyła brwi, gdy uświadomiła sobie, że coraz bardziej oddalają się od Kirkwood. Jak, na miły Bóg, trafi potem do domu?

Jakby wyczuwając jej niepokój, Asher zatrzymał się, a gdy do niego dojechała, rzekł:

- Nic się nie bój. Bez kłopotów wrócisz do domu. Uśmiechnęła się niepewnie i skinęła głową. - Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Kawalek drogi stąd stoi chatka przemytnika. Tam tak samo nikt nas nie zobaczy, a widziałem, że jest czystiej i wygodniej niż w stróżówce. -

Uśmiechnął się do niej. - Znajdzie się tam nawet para stołków.

- Skąd wiesz?

- Bo, skarbie, zajrzałem tam przed przyjazdem do stróżówki.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo nie spotykam się z pięknymi, młodymi kobietami w norach pełnych

myszy i szczurów.

- Och - rzekła głupawo, zaskoczona jego słowami. Więc Asher uważa ją za piękną? Zanim zdążyła ugryźć się w język, wypaliła: - Naprawdę uważasz, że jestem piękna?

- I do tego łasa na komplementy - powiedział kpiąco.

Oblała się rumieńcem w ciemności. - Och, nie, nie - odparła pośpiesznie. - Po prostu zdziwiłam się, że to powiedziałeś. Do tej pory nikt się mną nie zachwycał. Thalia jest najładniejsza z całej rodziny.

Prychnął i uderzeniem obcasów zmusił

konia do jazdy. -Zdaniem niektórych -
mruknął do siebie.

Parę minut później Asher zatrzymał
wierzchowca przed małym domkiem w
zagajniku i gestem wskazał Julianie, by
zrobi-56

ła to samo. Wpatrując się w skromny
kontur chałupy, Juliana pomyślała, że
Asher nie skłamał, nazywając ją chatką.
Była pewna, że bieliźniarka w
Kirkwood jest większa.

- Zaczekaj tu - powiedział, zsiadając.

Wszedłszy do pozbawionej okien chatki,
Asher pośpiesznie zapalił

świecę, którą ze sobą przyniósł. Przeprowadziwszy tu wcześniej rekonesans, upewnił się, że słabe światło świecy nie będzie widoczne z zewnątrz, i używszy paru kropel stopionego wosku jako podstawki, ustawił świeczkę na środku małego, zniszczonego stołu. Ponownie się rozejrzał. Na całe umeblowanie składał się stół, dwa toporne, drewniane stołki i stos starego sitowia w kącie. Skrzywił się. Nie do takich wewnątrz przyzwyczajona była Juliana, ale w tak krótkim czasie nie mógł znaleźć niczego lepszego.

Ujrzała wąty promy czek światła, gdy Asher otworzył drzwi, by wprowadzić

ją do środka. Za parę minut znajdzie się z nim w chatce.

Przygryzła wargę, gdyż nagle opadły ją wątpliwości. Nie mogła udawać, że Asher Cordell nie różni się krańcowo od owego porywczego, niekiedy miłego, a niekiedy kpiarskiego chłopaczka, którego знаła w dzieciństwie.

I przypomnij sobie, jak potrafi nieznośnie się wywyższać, napomniała się z niezadowoleniem, gdy opadły ją pewne wspomnienia z młodości.

Pochłonięta myślami, gdy Asher lekko dotknął jej ręki, podskoczyła, a koń poruszył się niespokojnie.

- Przepraszam - rzekł Asher, stojący u jej boku. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie i pozwoliła, by pomógł jej zejść z konia. Zsadzając Julianę, mocno objął ją w pasie, a choć serce jej lekko drgnęło, jego dotyk był uprzejmie bezosobowy. Tak jak należy, powiedziała sobie stanowczo. To nie zaloty, a ona była głupią gąską, myśląc, że Asher, Asher który wepchnął ją do strumyka, gdy miała osiem lat, a on był wład-

57

czym trzynastolatkiem, nie będzie uważał jej za cokolwiek innego niż

utrapienie. Gra toczy się o przyszłość Thalii. Myśląc o siostrze, a także o tym, dlaczego się tu znalazła, Juliana wysunęła pierś do przodu i wmaszerowała do chatki.

Izba w środku okazała się nawet mniejsza niż Juliana sobie wyobrażała, i znowu przyszła jej na myśl bieliźniarka w Kirkwood. Rada, że pali się świeca, zsunęła kaptur płaszcza i weszła parę kroków głębiej.

Gdy doszła do stołu, odwróciła się i spojrzała na Ashera, jej serce znowu podskoczyło, i poczuła się nieswojo, patrząc na mężczyznę, który stał oparty barczystymi ramionami o drzwi, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Minę

miął dokładnie taką, jak wtedy, gdy zrzucił ją kucyk, a ona z rykiem wylądowała na ziemi. Na jego twarzy malowała się łagodna rezygnacja i niecierpliwość i zdało się jej, że mimo upływu niespełna dwóch dziesiątek lat, nic się między nimi nie zmieniło.

- Więc może teraz mi powiesz, z jakiego to ważnego powodu musieliśmy się spotkać o tej porze i w takiej tajemnicy? - odezwał się głosem zdradzającym irytację. Oczy mu się zwęziły. - Chyba nie zgrałaś się w karty? Nie popadłaś w długi?

Urażona, obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

-Skądże! Wiem, że niektóre panie z towarzystwa grają o stawki znacznie wyższe niż powinny, ale ja do nich nie należę.

Wzruszył ramionami.

- Więc dlaczego się spotykamy?

Spuściła wzrok z jego oczu na porysowany blat stołu. Przemknęły jej przez głowę wszelkie powody, dla których pomysł ten był niedorzeczny, ale odrzuciła je. Odkąd napisała do niego bilecik, nic się nie zmieniło, a niezależnie od tego, czy postąpiła głupio, czy lekkomyślnie, nie ma wyboru i musi przeć do przodu najzręczniejszym jak potrafi.

Głęboko zaczerpnęła oddechu, porządkując myśli. Nie do wiary, że zaledwie przed tygodniem omal nie nakryto jej i Ashera w bibliotece Ormsby'ego. Choć głowę miała zajęta pakowaniem i zamykaniem londyńskiego domu przed wyjazdem do Kentu, przede wszystkim zaprzętała ją sprawa listów Thalii. Chyba najgorszym przeżyciem była podróż z Londynu do Kentu, kiedy to ich trójka zamknięta była w ciasnym powozie. Thalia, której śliczna buzia zastygła w grymasie rozpacz, przez całą drogę połykała łzy, pan Kirkwood zaś co jakiś czas wzdychał ciężko i z ponurą miną wyglądał przez okno.

Juliana nawet nie próbowała zagajać rozmowy, wiedząc, że na nic się to nie zda, i przez te wszystkie godziny usiłowała wymyślić wyjście z sytuacji - które uchroniłoby Thalię przed niesławą, a także wymuszonym małżeństwem z tym przeklętym Ormsbym. Gdy wreszcie późnym piątkowym popołudniem dotarli do Kirkwood, choć wykoncypowała kilka dość szalonych planów, doszła do wniosku, że jedynym sposobem jest pierwotne rozwiązanie - musi wydostać listy z rąk Ormsby'ego.

Szczyście w pewnym sensie im sprzyja, przyznała ponuro, choć gdy Thalia zachorowała na odrę, zapewne nie uznała tego za pomyślny znak.

Prawda, że w pierwszej chwili poczuła paniczny strach na widok siostry, która w sobotni rano obudziła się z wysypką. Ale strach szybko minął i Juliana w sumie nie przejęła się tą komplikacją i szybko uznała ją za błogosławieństwo. Stan Thalii nie zezwalał na żadne huczne przyjęcia i dał rodzinie wspaniały pretekst do odprawienia ewentualnych gości i odłożenia zgromadzeń towarzyskich do pierwszego tygodnia sierpnia.

Nawet przyszłego narzeczonego trzeba będzie trzymać z daleka i Juliana uśmiechała się, pisząc bilecik do Caswella, w którym nakreślała mu sytuację. Thalia była niezmiernie

zawstydzona, że zapadła na taką dziecienną chorobę, lecz, podobnie jak Juliana, uznała, że da im to pewien oddech.

59

Thalia nie będzie mogła widzieć się z ukochanym, póki nie zejda jej wszelkie ślady wysypki i nie odzyska wyglądu sprzed choroby, ale oznacza to też, że nie będzie musiała stawiać czoła Ormsby'emu. Czyli, pomyślała ponuro Juliana, choroba Thalii dała im pewne pole manewru, a także czas na kradzież tych listów. I właśnie ta sprawa sprowadziła ją tutaj.

Do głowy by jej nie przyszło, żeby

prosić Ashera o pomoc, gdyby nie ich dziwne spotkanie w bibliotece Ormsby'ego. On również nie chciał, by go tam nakryto, co znaczy, że nie powinien był się tam znaleźć, a powody, dla których ukrywał się za zasłoną, nie były szlachetne. Coś szykował. Od razu odrzuciła pomysł, że Ormsby zaprosił go na bal.

Markiz nie znosił Ashera. Lecz nawet gdyby go zaprosił, to co Asher robił w tej ciemnej bibliotece?

Julianie zapało dech, gdy nasunęła się jej odpowiedź. Ze współczuciem w oczach wypaliła:

- Czy ciebie też Ormsby szantażuje?

Asher zeszywniał i oparł się plecami o drzwi. Więc dlatego Juliana znalazła się w bibliotece lorda. Ten łotr ma na nią jakiś straszak, a ona go szuka. Przeszła go fala zimnego gniewu, a niebieskie oczy w odcieniu kobaltu pociemniały niebezpiecznie, gdy ją zapytał:

- Czy Ormsby cię szantażuje?

Jego głos zabrzmiał jak smagnięcie szpicrutą i Juliana aż się wzdrygnęła. Asher wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo i jednym susem znalazł się u jej boku. Schwycił jej rękę w żelazny uścisk i prawie warknął:

- W coś ty się, do diabła, wpakowała?

Nieco zaniepokojona jego zachowaniem Juliana usiłowała się wyrwać, ale on jeszcze mocniej zaciskał dłonie na jej rękach.

- Stój spokojnie! - nakazał, nie bacząc na jej szamotaninę. - A teraz powiedz, co ten łotr ma na ciebie?

60

Miał taką samą minę jak owej nocy w ogrodach Ormsby'ego i Julianę przeszył dreszcz strachu. Wtedy twarz skrywał w mroku, lecz tu, w tej chatce, w migotliwym blasku świecy, dostrzegła w jego rysach tę samą srogą groźbę.

Z wybałuszonymi oczyma wpatrywała się w ciemne, szczupłe oblicze, szukając znamion tamtego, znanego jej chłopca. Niczego takiego się nie dopatrzyła. Serce głucho uderzyło jej w piersi, gdy zdała sobie sprawę, że ma przed sobą niebezpiecznego, twardego mężczyznę, z którym nie ma żartów. Wielki Boże! Dlaczego w ogóle przyszło jej do głowy, by prosić go o pomoc?

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest z nim sama w środku nocy, sama z tym obcym człowiekiem o kamiennym wzroku, który trzymał ją, bezbronną, w żelaznym uścisku, a jego palce boleśnie miażdżyły jej ciało.

Nie zdołała mu się wyrwać. Zaparło jej

dech, gdy uzmysłowiła sobie jeszcze coś innego. Nikt nie wiedział, że wybiera się na spotkanie z nim.

Nikt, łącznie z nią, nie wiedział, gdzie się znajduje. Wielkie nieba! Gdyby Asherowi przyszła ochota, by ją zamordować, nikt nigdy nie znajdzie jej ciała.

Ten nawał myśli łatwo dał się odczytać z mieniącego się sprzecznymi uczuciami oblicza Juliany i widząc strach w jej oczach, Asher rozluźnił

uścisk, a wyraz twarzy, który tak ją przeraził, zniknął. Miększym, łagodniejszym głosem powiedział: - Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy nie zrobiłbym

ci krzywdy. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. - Skrzywił

się. - Wiesz, co sędzę o Ormsbym, i na myśl, że mogłabyś być w jego szponach... - Uśmiechając się ponuro, dodał: - Chyba poniosły mnie emocje. Wybaczysz mi?

Niepewnie skinęła głową, jej strach nieco ustąpił. Powszechnie było wiadomo, że Asher nie znosi Ormsby'ego i pogardza nim. Powinna była zatem zdać sobie sprawę, że brutalność,

61

którą w nim wyczuła, brutalność, jaką

dojrzała w jego rysach, skierowana była wyłącznie przeciw Ormsby'emu.

Z niewiarygodną delikatnością ujął w dłonie jej twarz. Spoglądając na nią ciepło ciemnoniebieskimi oczyma, powiedział cicho: - Nie masz się co mnie bać. Może zadżgam Ormsby'ego albo się przez niego wścieknę, ale zawsze pamiętaj, że mój gniew zwraca się przeciw niemu. Nigdy przeciwko tobie. - Zniżył głos. - Wiedz, że niezależnie od tego, jak bardzo czy często mnie rozzłościysz, nigdy, przenigdy nie zrobię ci krzywdy.

Wpatrywała się w niego bez tchu, rozchyliwszy różane usteczka. To, myślała w oszołomieniu, jest ten Asher

o mrocznym uroku, fascynujący aż do zawrotu głowy. Czasami pojawiał się w jej najtajniejszych snach, podniecając ją, sprawiając, że wiła się i skręcała z pożądania.

Asher chciał ją tylko uspokoić, lecz gdy spojrzał na nią, bynajmniej nie myślał o spokoju. Zawsze uważał, że przesadnie wychwalano różano-blond urodę Thalii i że to Juliana o kruczonych włosach i piwnych oczach jest prawdziwą rodzinną pięknoscią. Wpatrując się w nią dziś wieczorem, nabierał jeszcze większego przekonania, że ma słuszość.

Była równie wysoka jak Thalia, miała kształtne łono i biodra, nie odznaczając

się przy tym niemal zbyt zmysłowymi okrągłościami, którymi szczyciła się jej młodsza siostra. Jego zdaniem Thalia, o przejrzystości błękitnych oczach i alabastrowej karnacji, stanowiła ucieleśnienie chłodnej doskonałości, ale Juliana... Ciemne włosy Juliany, jej promienne oczy w połączeniu ze skórą barwy i konsystencji dojrzałej brzoskwini, nasuwały mu myśli o gorących, tropikalnych nocach. Podczas tych nocy spoczywała naga w jego ramionach, a powietrze wypełniały egzotyczne zapachy. Utkwiwszy spojrzenie w jej pełnych, kształtnych, ponętnych ustach, tak blisko jego warg, czuł, jak ciało mu się napręża, a nabrzmiałość w spodniach uwypukla

się. Pragnął

62

Juliany. Bezgranicznie. Odchylając kształtną kobiecą główkę tak, jak mu to akurat odpowiadało, przycisnął wargi do jej ust i świat na chwilę zawirował, a on zatracił się w słodkim, niewieścim cieple.

Była miękka i uległa pod jego ustami, Asher otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Jęknął, gdy poczuł jędrność jej piersi na swym torsie, i niepomny na nic, pocałował ją jeszcze namiętniej, wsuwając jej język w usta. Zachwyciła go jej nieśmiała reakcja, a jego język szalał, szukając,

domagając się więcej.

Myśl, by go odtrącić, oprzeć się mu, w ogóle nie powstała Julianie w głowie. Po części zdawała sobie sprawę, że powinna go odepchnąć, ale nigdy w życiu tak się nie czuła, nie doznawała tak wyuzdanego, pierwotnego pożądania. Nawet miłosne zabiegi męża tak jej nie rozpalały, nie wzbudzały dojmującego pragnienia, by poczuć nagie ciało mężczyzny na swoim, rozkoszować się, gdy w nią wchodzi, długo i powoli, stapiając się z jej ciałem. W miarę jak mijały sekundy, a usta Ashera i Juliany napawały się sobą nawzajem, jej sutki stwardniały i jęcząc z rozkoszy, objęła go za szyję, a ich

języki się splotły. Nie zwróciła uwagi, że jej płaszcz spadł na podłogę.

Przeszył ją dreszcz rozkoszy, gdy chwycił jej pośladki przez cienką suknię i przyciągnął ją do siebie, zmuszając do intymnego zbliżenia z jego nabrzmiętym przyrodzeniem. Była wilgotna, płonęła z pragnienia, by znaleźć się jak najbliżej niego, i kołysała biodrami, ocierając się lubieżnie, szukając ulgi dla słodkiego bólu, który pulsował w dole jej brzucha.

Pewien, że umrze, jeśli nie posiadzie Juliany, nie odrywając ust od jej warg, Asher wsunął język w miękkie niewieście usta. Zamierzając tak samo wsunąć się w jej ciało, położył ją plecami na stole. Natychmiast znalazł

się między jej nogami

63

i błyskawicznie poddarł wysoko suknię. Wsunął palec w ciasny, pulsujący kanał i jęknął z zadowoleniem, gdyż Juliana była w środku wilgotna, podniecona i gotowa na jego przyjęcie. Odjął usta od warg kobiety i rozpiął spodnie. Jego sztywny członek wyskoczył i Asher wcisnął się głębiej między jej uda. Spojrzał na nią, na wspaniałą ucztę, czekającą, aż ją skonsumuje. Ich oczy spotkały się i w tej chwili rzeczywistość poraziła Ashera jak grom.

Chryste! Przecież to nie płatna dziewczka. To Juliana! A co gorsza, mało

brakowało, by posiadał ją jak ogarnięte
żądzą zwierzę!

Klnąc, Asher opuścił spódnice Juliany i
podniósł ją ze stołu.

Obróciwszy się do niej tyłem, z
bolesnym pośpiechem wcisnął się z
powrotem w spodnie. Oddychając
ciężko, z trudem, z pięściami
zaciśniętymi po bokach, zamknął oczy i
starał się odzyskać zmysły.

Czystą siłą woli zwalczył szalejące w
nim dzikie pożądanie, zdławił

niemal przytłaczającą go chęć, by
obrócić się i dokończyć, co zaczęli.

Do oszołomionej nagłym obrotem wydarzeń Juliany dopiero po chwili dotarło, że jeszcze chwila, a kochałaby się z Asherem Cordellem na stole w chatce przemytnika! Oblała ją fala wstydu, zażenowania i przerażenia.

Wielkie nieba! Co ją naszło?

O czym ona myślała? Czy raczej nie myślała, podpowiedziała złośliwie praktyczna strona jej umysłu.

Drżącą ręką odgarnęła kosmyk kruczych loków. Łzy wstydu i gniewu z powodu tak rozwiązłego zachowania wypełniły jej oczy i groziły wylaniem się na policzki. Jeszcze chwila i oddałaby mu się jak zwykła dziwka. Żal i rozpacz

ścisnęły jej serce. Co Asher o niej pomyśli?

Przygryzając wargę, by powstrzymać łkanie, ze złości na siebie, a także ze wstydu, wygładziła fałdy sukni. Jak po tym wszystkim ma go poprosić o pomoc w ocaleniu Thalii?

64

Pragnąc już tylko umrzeć, Juliana wzięła głęboki oddech i obróciła się twarzą do Ashera.

Choć boleśnie odczuwał nacisk członka na materię spodni, wziął się w garść. Gdy Juliana odwróciła się do niego, rzekł sztywno:

- Nie chciałem, by do tego doszło.
Zachowałem się w sposób absolutnie niedopuszczalny, wykorzystując cię w ten sposób. Jutro rano porozmawiam z twoim ojcem.

Juliana zamrugała.

- Co takiego? A co mój ojciec ma do tego?

- Wielki Boże, Juliano! Potraktowałem cię w sposób bezwstydnny i z tej sytuacji mamy tylko jedno wyjście. - Z nieco mniejszym opanowaniem dodał niechętnie: - Nie zamierzałem żenić się tak szybko, ale niedawno przeszła mi przez głowę myśl o małżeństwie, a po tym, co zaszło między nami... -

Nerwowo przeczesał dłonią włosy. - To prawda, że nie brałem cię pod uwagę jako kandydatki na przyszłą żonę i zdaję sobie sprawę, że jestem ostatnim człowiekiem, którego pragnęłabyś poślubić, ale musimy zrobić dobrą minę do złej gry i żyć razem w zgodzie. Może się nam ułożyć całkiem nieźle - dodał bez większego przekonania. - Nie jesteśmy już dziećmi. Nie zamierzam wiele od ciebie wymagać, po większej części każde z nas będzie wiodło własne życie.

Mam wystarczające środki, by cię utrzymać, i obiecuję, choć nie tego pragnęliśmy, że będę cię dobrze traktował. - Kiedy słuchała go z szeroko

otwartymi oczami, rzucił jej udręczone spojrzenie. - Wiem, że nie zawsze żyliśmy w zgodzie - dodał cicho. - Na pewno nie raz chciałaś natrzeć mi uszu - i chyba raz to zrobiłaś. - Wygiął usta w uśmiešku. - Wiem, że czasami uważałem cię za najbardziej nieznośne stworzenie, jakie, na moje nieszczęście, stanęło mi na drodze, ale w tych okolicznościach, odkładając wzajemne uczucia na stronę, jedynym honorowym wyjściem dla mnie

65

jest zaproponowanie ci małżeństwa. Jak już powiedziałem, rozmówię się z twoim ojcem jutro... dziś rano.

Gdyby Asher wymierzył Julianie policzek, nie mogłaby być bardziej zdumiona czy zła. Nadal była oszołomiona tym, do czego doszło, czy też o mały włos by doszło między nimi, i propozycja małżeństwa podziałała na nią niczym uderzenie dębową pałką. Nie wiedząc, czego się spodziewać, w żadnym razie nie oczekiwała oświadczyn, a fakt, że Asher, nieporadnie i w sposób obraźliwy, usiłował poprosić ją o rękę, przyprawił młodą kobietę o zawrót głowy. Małżeństwo? Z Asherem? Nie wiedziała, czy byłoby to gorsze od śmierci... czy też spełnieniem marzeń. Ze smutkiem odsunęła od siebie tę myśl.

Tylko zakochana gąska uznałaby małżeństwo z Asherem za spełnienie marzeń, a ona wszak go nie kochała.

To potwór. W tej chwili nienawidziła go. Nie ulegało wątpliwości, pomyślała z goryczą, że małżeństwo jest ostatnią rzeczą, jakiej Asher pragnie, a ona bezsprzecznie nie znajdowała się na żadnej liście jego kandydatek na pannę młodą. Przecież on wcale nie chce się z nią ożenić.

A więc i ona za niego nie wyjdzie!

Wyprostowała się, obrzuciła go wściekłym wzrokiem i odparła lodowato: - Po pierwsze, nie ma potrzeby, byś rozmawiał z moim ojcem.

Zapominasz chyba, że dawno przekroczyłam wiek, w którym potrzebowałamby zgody ojca na cokolwiek. Zapominasz też, że byłam już mężatką. Przypominam ci, że jestem wdową. Od lat zarządzam własnym domem i dobrami. Nie potrzebuję od ciebie nic - ani twojego nazwiska, ani majątku.

Asher długo się w nią wpatrywał. Jest wspaniała, myślał leniwie, z tym falującym łonem, zarumienionym na różowo liczkiem i oczyma roziskrzonymi oburzeniem. Pozostałości wcześniejszego pożądania nadal mu dokuczały i gdyby nie był pewien, że da mu w twarz, chwyciłby ją, pocałował i

dokończył dzieła. I mniejsza z tym, co stałoby się później.

66

Jednak wcale się nie zdziwił, że odrzuciła jego oświadczenia. Juliana zawsze była przekorna, ale sam nie wiedział, co właściwie czuje po tak zdecydowanej i natychmiastowej odmowie. Bo nie jest chyba zawiedziony?

Starannie ważąc słowa, poszedł jej śladem. - No dobrze - rzekł. - Skoro nie chcesz za mnie wyjść, a jak sama powiedziałaś, decyzja należy do ciebie, wycofuję swoją propozycję.

Serce jej załopotano, wcześniejszy gniew zniknął, ale nie dopuszczając tego do świadomości, wyszeptała:

- Dzięki.

- A to, co się stało między nami? - zapytał Asher, unosząc brew. -

Będziemy udawać, że do niczego nie doszło, i o wszystkim zapomnimy?

- Oczywiście!

Wzruszył ramionami. Skoro chce to w ten sposób rozegrać, to proszę bardzo, ale diabelnie dużo czasu upłynie, zanim zapomni smak jej ust i kuszące okrągłości, które do siebie przyciskał.

Żadnej kobiety nie pożądał

tak gwałtownie jak jej. Nie przywykł do odmów i pamiętając, jak blisko byli całkowitego zespolenia, znowu poczuł napięcie w lędźwiach.

Powstrzymując przekleństwo, odwrócił się od niej. - A skoro to już załatwiliśmy, powiesz mi wreszcie, dlaczego się tu znaleźliśmy? I co Ormsby ma z tym wspólnego?

Bardziej by zyskać na czasie niż z jakiegokolwiek innego powodu, Juliana pochyliła się i podniosła płaszcz z podłogi. Ze wzrokiem wbitym w swe okrycie złożyła je starannie i przewiesiła przez ramię.

- Byłeś w bibliotece Ormsby'ego, żeby go obrabować, prawda?

- Być może. Dlaczego cię to interesuje?

- Obrócił się twarzą do niej i oczy mu się zwięziły. - Bo ty sama też przyszłaś tam po to, by coś ukraść, mam rację?

67

Przełknęła ślinę i skinęła głową. Tej właśnie chwili się obawiała. Gdy wpadła na ten pomysł, wydawał się jej logiczny, lecz teraz, kiedy miała opowiedzieć drugiej osobie, jak głupio zachowała się Thalia, zawahała się. Czy ma tyle zaufania do Ashera? Czy nie zamieni jednego szantażysty na innego?

Nie, zdecydowała. Zupełnie nie potrafi wślizgnąć się niepostrzeżenie i dokonać kradzieży. Przeszedł ją dreszcz, gdy przypomniała sobie, jak panicznie się złąła, gdy Ormsby omal nie przyłapał jej w bibliotece.

Miała wszelkie prawo znajdować się w domu Ormsby'ego, a i tak jej się nie udało. Asher bez zaproszenia zjawił się w londyńskim domu lorda, co, musiała przyznać, wymagało pewnej zręczności. Zręczności, którą nie mogła się pochwalić. Ponadto jest mężczyzną, co również daje mu przewagę, której ona nie posiada.

Jeśli nie odważy się włamać do domu Ormsby'ego, następną okazję, by znaleźć

i ukraść listy Thalii, będzie miała dopiero wtedy, gdy Ormsby zaprosi ją do swej wiejskiej posiadłości, lecz tylko pod warunkiem, że nadarzy się okazja, Asher zaś... Asher najwyraźniej nie miał takich oporów. Włamał się już do londyńskiej rezydencji Ormsby'ego... czyż wzdragałby się przed włamaniem do innego jego domu?

Asher przerwał tok jej myśli, pytając łagodnie:

- Czy on cię szantażuje? Potrząsnęła głową. -Nie.

Asher posadził ją na jednym z drewnianym stołków, po czym usiadł

naprzeciwko niej na drugim.

- Opowiedz mi wszystko.

Przez kilka chwil wpatrywała się w jego ciemną twarz, badając go wzrokiem. Ryzykuje przyszłość siostry. Czy się odważy? Czy może mu ufać?

68

Spuściła oczy i zacierając nerwowo złożone na podolku ręce, uzmysłowiła sobie, że nie ma wyboru - w chwili gdy do niego pisała, wiedziała, że musi mu zaufać. - Załóżmy, że Ormsby coś ma - kluczyła -

powiedzmy jakieś niedyskretne listy,

którymi kogoś szantażuje czy mógłbyś je wykraść?

- Naturalnie.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

Przecież dostałem się do jego londyńskiego domu, tak czy nie?

- Asherze, wejście do jego domu to najmniejszy kłopot odparła cierpko. - Jak znajdziesz listy? Skąd będziesz wiedział, gdzie szukać?

Mógł je schować wszędzie.

Pociągnął się za ucho.

- Większość ludzi ma swoje przyzwyczajenia. Ormsby zapewne ma jakąś skrytkę, w której trzyma... cenne rzeczy. Nie twierdzę, że znajdę listy za pierwszym razem, ale dużo czasu mi to nie zajmie. Ormsby może ukrywać pewne rzeczy w zaledwie paru miejscach.

Skoro się nie odzywała, pochylił się do przodu, wziął jej niespokojną dłoń w swoje ręce i rzekł cicho:

- Pomogę ci, jeśli mi pozwolisz. Opowiedz mi wszystko. No to opowiedziała.

Rozdział 5

Gdy skończyła, Asher milczał się przez parę minut, lecz jego mina była wystarczająco wymowna.

Juliana wytrzymała to, póki mogła, po czym, nieco poirytowana, odezwała się:

- Wiem, że Thalia zachowała się niewłaściwie, ale pamiętaj, jak była młoda.

- Twoja siostra rzekł w końcu z niezmiernym niesmakiem - zasługuje na to, by zostać żoną Ormsby'ego. Jak

można być taką głuptaską!

Wojowniczy błysk w oku Juliany kazał mu powściągnąć język.

Wyciągnąwszy dłoń, powiedział: Pax! - Gdy Juliana pospiesznie skinęła głową, zapytał: - Wiesz, o ile listów chodzi?

- Tak. O trzy.

- Ile mamy czasu na ich odzyskanie?

Juliana przygryzła wargę. - Udało mi się odłożyć zjazd towarzyski na koniec pierwszego tygodnia sierpnia - czyli o miesiąc licząc od dzisiejszego dnia. Caswell na pewno będzie starał się zobaczyć z Thalią wcześniej, lecz skoro

ona nie czuje się dobrze - uśmiechnęła się lekko - i ma wysypkę na całym ciele, chyba mamy spokój na co najmniej dwa tygodnie, a może nawet trzy. Chyba to samo odnosi się do Ormsby'ego, choć jego

70

będzie trudniej utrzymać z dala od Thalii, gdyż kieruje się zupełnie innymi motywami niż Caswell.

- Nie tak bardzo innymi - zauważył sucho Asher. - Obaj chcą poślubić Thalię.

Juliana westchnęła. - Tak, masz rację. Różnica polega na tym, że podczas gdy

Caswell przyjmie odmowę Thalii i odejdzie ze złamanym sercem, Ormsby nie pogodzi się z odprawą. Zamierza zdobyć ją wszelkimi środkami. - Przypatrywała mu się z niepokojem. - Rozumiesz, że Thalia i Caswell są naprawdę w sobie zakochani? I że Thalia nie może wytrzymać z Orms-bym w jednym pokoju? Postąpiła niemądrze, lecz nikt się nie spodziewał, że Ormsby nadal będzie nalegał na małżeństwo, nawet gdy ojciec powiedział mu, że Thalia nie chce go poślubić. Jaki mężczyzna chciałby ożenić się z kobietą, która go nie znosi? - Nie spodziewając się odpowiedzi, zakończyła gniewnie: - Żaden dżentelmen nie zachowałby się tak jak Ormsby.

- W tym przyznałbym ci rację. Moja matka nie cierpiała go i nazywała szubrawcem i łajdakiem. - Po jego twarzy przemknął uśmiech. - Z tego, co mi dzisiaj powiedziałaś, wynika, że matka miała rację.

- Dlatego ty go tak nie lubisz? - zapytała z zaciekawieniem. - Z

powodu matki?

Zaczął zaprzeczać, lecz potem powiedział powoli:

- Prawdopodobnie od tego się zaczęło. Nigdy nie powiedziała o nim dobrego słowa, więc nie považiałem go już jako mały chłopiec. Gdy podrosłem i parę

razy mu się naraziłem, nie znosiłem go z zasady - już niezależnie od matki.

Juliana lekko zmarszczyła brwi. -
Ciekawe, dlaczego twoja matka tak źle o nim myślała? Ormsby zawsze był w przyjacielskich stosunkach z twoim ojczymem i większość okolicznych mieszkańców szanuje go, a nawet darzy sympatią. Ormsby często biesiadował w Kirkwood i aż do niedawna ojciec uważał go

71

za przyjaciela. Ja zawsze miałam go za człowieka zimnego i zuchwałego, ale do głowy by mi nie przyszło, że zachowa się w ten sposób.

Ojciec jest wstrząśnięty i zawiedziony. -
Kąci jej ust opadły. - Zarówno Thalią,
jak i Ormsbym. Straszna sytuacja.

-Nie tak straszna, jak by była, maleńka -
rzekł Asher z uśmiechem -

gdybym nie znalazł się pod ręką, żeby
ratować was z opresji.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

-A jak zamierzasz tego dokonać?

Uśmiech Ashera zgasł, a on wpatrzył się
w ciemność. - Jeszcze nie wiem, jakim
sposobem, ale wydobędę te listy. - Ich
oczy się spotkały i biorąc Julianę za
rękę, rzekł cicho: Przysięgam, że

wydobędę listy Thalii.

Skoro wszystko już zostało omówione, ruszyli przez las w kierunku Kirkwood. Gdy ich oczom ukazały się dworskie stajnie, Asher zatrzymał

konia na skraju lasu. - Ty jedź. Ja będę stąd patrzył - rzekł. Obrzucił

uważnym wzrokiem nieodległy budynek dworu. Dojrawszy światło w jednym z okien na górze, zapytał: - Skąd pada to światło? Czy to okno twojej sypialni?

- Tak. Wychodząc zostawiłam zapaloną świecę.

- Dobrze. Gdy zgasisz świecę, będę

wiedział, że bezpiecznie dotarłaś do środka. A teraz uciekaj do domu.

Odprawiona tak nonszalancko, Juliana poczuła zarazem rozbawienie i urazę. Nie bacząc jednak na swe mieszane uczucia, ostrzegła: - Pamiętaj, nikt nie może się dowiedzieć, co szykujemy. Tylko jak będziemy się widywać, żeby nie wywołać plotek? - zapytała z wahaniem.

Uśmiechnął się do niej, jego białe zęby błysnęły w mroku.

- Podejrzewam, że moja babka będzie was często odwiedzać, żeby pomóc w opiece nad Thalią. Naturalnie, jako oddany wnuk, będę jej towarzyszył.

Juliana potrząsnęła głową z żalosnym uśmiechem.

- Powinnam była wiedzieć, że masz już plan. Nawet jako chłopiec wszystko miałeś zaplanowane.

- Tylko głupcy - odparł ostro - działają na łapu-capu. Porządny plan pozwala ograniczać straty.

Pewna nuta w głosie Ashera zaniepokoiła ją, toteż spojrzała na niego uważnie, lecz ciemność skrywała jego twarz - pomyślała, że nawet gdyby ją widziała i tak nie zdołałaby niczego z niej wyczytać. Zdawała sobie wszakże

sprawę, że kpiny i obojętność to tylko maska, za którą Asher skrywa swą prawdziwą naturę. Ale jednego była pewna - jeśli ktokolwiek zdoła uratować Thalię przed knowaniami Ormsby'ego, to tylko on.

Ze swego miejsca w lesie Asher patrzył, jak Juliana podjeżdża do stajni i znika w niskim, długim budynku. Przeklinał mętną poświatę, w której widział jedynie upiorne cienie, lecz stalowa obręcz napięcia, zaciskająca się w jego trzewiach, zelżała nieco, gdy wypatrzył ciemny kształt, który wyłonił się ze stajni parę minut później i pospieszył do rezydencji Kirkwood. Dopiero gdy Juliana dotarła do sypialni, a w oknie

zrobiło się ciemno, zdał sobie sprawę, jak napięte miał nerwy.

Kiedy Juliana była już bezpieczna w swym pokoju, dalej siedział w ciemności, rozmyślając o tym, czego się dowiedział. Myśl o gwałtownym pożądaniu, jakie odczuł względem Juliany, odpędził od siebie - nad tym zastanowi się później. Teraz skupił swój potężny umysł na Ormsbym i sposobie znalezienia listów Thalii. Usiłował odgadnąć, z jakiego powodu Ormsby wszelkimi sposobami dąży do małżeństwa z kobietą, która jasno daje poznać, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Z miejsca odrzucił

przypuszczenie, że Ormsby może być

zakochany w Thalii. Gdyby Ormsby ją kochał, pragnąłby jej szczęścia, a Asher dałby głowę, że nawet gdyby do ich związku doszło

73

żadne z nich nie będzie szczęśliwe. Zwłaszcza że ewentualna małżonka kocha innego. Chryste! O co Ormsby'emu chodzi?

Koń pod nim niespokojnie przestąpił z nogi na nogę i Asher, uznając, że w tej chwili nie rozwiąże tego problemu ani nie znajdzie żadnego wyjścia, już miał zawrócić wierzchowca, gdy jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie w pobliżu stajni w Kirkwood. Duży, ciemny kształt

mknął

pospiesznie od stajni i dalej, podjazdem do głównej drogi. Pod osłoną drzew Asher patrzył, zmarszczywszy brwi, jak koń i jeździec przegalopowali obok niego. Dlaczego, zastanawiał się, ktoś wyjeżdża z Kirkwood tak głęboką nocą?

Zerknął w kierunku okien Juliany we dworze, lecz oprócz niewyraźnego, ciemnego zarysu budynku nie widział nic. Czy to może jechać Juliana? Oczy mu się zwęziły. Czy odczekała, by odjechał, a teraz udaje się na kolejną randkę? Być może na randkę z Ormsbym? Czy wszystko, co dziś wieczorem mu opowiedziała, było kłamstwem?

Częścią spisku, który Ormsby uknuł, by zwabić go w zasadzkę? Instynkt mówił mu, że nie... ale nie chciał ryzykować.

Wyjechał z lasu na drogę i pomknął za oddalającym się jeźdźcem.

Przez kolejne mile pędził szalonym galopem, nie zwalniając ani trochę i nie oglądając się za siebie. A niech tam, pomyślał Asher z ponurym uśmiechem. O nocnej porze droga była opustoszała, wszyscy szacowni mieszkańcy smacznie spali i prócz paru szerokich zakrętów i kilku spadków terenu, nie bardzo było gdzie się schować. Nie tracąc z oczu jeźdźca przed sobą, trzymał się od niego w ostrożnej odległości. Tętent kopyt

tamtego konia zagłuszał odgłos wierzchowca Ashera, lecz wiedział, że wystarczy, by pędzący z przodu się odwrócił i wszystko się wyda.

Na długo zanim jeździec zwolnił i skręcił z głównej drogi, Asher odgadł cel jego podróży. Rezydencja Ormsby'ego.

74

Zatrzymał konia i wpatrzył się w potężną, kunsztownie kutą bramę, która zdobiła główne wejście do rezydencji.

Z zaciętą twarzą wpatrywał się w niewyraźny zarys bramy w ciemności. Czy to Juliana go wyprzedzała? Czy

właśnie teraz spotyka się z Ormsbym? Na jego obliczu pojawił się wyraz nieprzejednania. Czy wyszedłszy z jego ramion, wślizguje się do łóżka markiza? Śmiejąc się, że opowiedziawszy mu tę rzewną historyjkę, tak udatnie wplątała go w ich knowania? Odpędził od siebie te ohydne wyobrażenia i uderzeniem pięt zmusił konia do dalszej jazdy. Nie wierzył, by Juliana była zdolna do takiej obłudy, ale mógł się przekonać tylko w jeden sposób.

Znając teren z poprzednich wizyt, Asher sprowadził konia z drogi i torował sobie drogę przez ogromny park otaczający rezydencję Ormsby'ego. Gęste drzewa osłaniały go przed wzrokiem drugiego

jeźdźca, a miękki grunt tłumił tętent galopującego przez ciemność konia.

Zwolnił bieg wierzchowca, gdy w oddali ukazał mu się zarys okazałej budowli. Znowu się zatrzymał i nasłuchiwał pilnie, rad, że usłyszał

głuchy odgłos kopyt w niewielkiej odległości od siebie. Idąc za tym dźwiękiem, jechał ciągle z tą samą prędkością, lecz gdy jeździec skręcił z imponującego okrągłego podjazdu przed domem i ruszył w kierunku stajni, Asher przyspieszył, przybywając tam przed tajemniczym ściganym.

Przywiązał konia na skraju parku, po czym pomknął w ciemności, nisko

pochylony, ku rozległym terenom stajni. Dotarł do pierwszego budynku i przywarł do ściany z boku akurat, gdy wolnym truchtem koń dowiózł tam jeźdźca. Ostrożnie przeszedł do rogu, skąd widział, jak przybyły zatrzymał konia i zeskoczył z siodła. To nie Juliana, pomyślał w radością. Sądząc po wzroście i tyczkowatej budowie, był to mężczyzna; Asher wyczuł, że młody. Ale kto? I po co tu się zjawił?

75

Przybysz otworzył jedno skrzydło szerokich, podwójnych drzwi stajni i zniknął w środku, zamykając je za sobą. Asher odczekał chwilę i rozejrzał się uważnie, pilnie nasłuchując. Ponieważ

nie wyczuł żadnego niebezpieczeństwa, prześlizgnął się na przód budynku. Przy podwójnych drzwiach zwolnił, szukając jakiegokolwiek otworu, który pozwoliłby mu zajrzeć do środka. Ponieważ niczego takiego nie znalazł, zmarnował

kolejną chwilę, przyciskając ucho do solidnych, drewnianych drzwi.

Doszedł go tylko słaby szmer poruszających się w przegrodach koni. Nie spodziewał się, że cokolwiek dojrzy - nawet gdyby znalazł szparę albo dziurę po sęku, bo w środku stajni było ciemno choć oko wykol. Przez długą chwilę wpatrywał się w drzwi, po czym uznał,

że nie należy ich otwierać. Lepiej, żeby ścigany nie wiedział o jego obecności.

Machnąwszy ręką na drzwi, przeszedł do przeciwległego rogu budynku i rozejrzał się z jego boku. Ujrzał tylko cienie, toteż nie ruszał

się, obmyślając następne posunięcie. Ze swego miejsca widział teren od przodu stajni, a gdy lekko przechylił głowę, zdołał objąć wzrokiem przestrzeń z drugiego jej boku. Oparty o deski, przypominał sobie wszystko, co wiedział o stajniach Ormsby'ego.

Nieczęsto, lecz przy różnych okazjach, wraz z ojczymem lub babką, gościł w rezydencji Ormsby'ego i nie raz markiz z

dumą pokazywał mu swą stadninę mogącą się poszczycić licznymi rodowodowymi rumakami, które cieszyły się wielkim wzięciem. Asherowi drgnęły usta. Nie można Ormsby'emu zarzucić, że nie zna się na koniach czy nie umie ich hodować, i jeśli za coś Ormsby'ego podziwiał, to za jego niezaprzeczalny dar do hodowli wspaniałych wierzchowców. Sam kupił od niego taki okaz.

Ale dziś w nocy Asher nie myślał o koniach. Usiłował przypomnieć sobie dokładny rozkład stajni markiza. Pamiętał, że 76

przez środek biegło szerokie przejście, od którego odchodziło kilka

przestronnych przegród. Pod jednym dachem umieszczono tam magazyn na zboże, siodlarnię i biuro. Jeśli dobrze pamiętał, na przeciwległym końcu znajdował się też duży pokój, gdzie spał główny stajenny.

Ponieważ osobnik, za którym tu przyjechał, nie wyłonił się na zewnątrz, a zapewne w środku nie było nikogo innego... Doszedł do wniosku, że przyjezdny przybył tu, by zobaczyć się z osobą śpiącą na drugim końcu stajni.

Asher zastygł, gdy usłyszał stłumiony odgłos jakiegoś spadającego przedmiotu albo człowieka, który potknął się o coś i wywrócił. Ze środka dobiegło go też

wystraszone prychanie kilku koni. Ktoś zaklął głośno i sekundę później przy samym końcu długiego budynku pojawiło się małe światełko, a blask z okna oświetlił mrok. Padały kolejne przekleństwa, teraz wypowiedane dwoma głosami, a żaden nie wydawał się Ashero-wi zadowolony. Po raz ostatni obrzucił wzrokiem teren przed stajniami, po czym szybko przemknął za róg i błyskawicznie przemierzył odległość dzielącą go od źródła światła.

Skulony przebiegł pod rzędem okien, zatrzymując się tuż przed ostatnim w budynku, gdzie migotało światło. Przyciskając plecy do ściany, przysunął się bliżej okna.

Noc było ciepła, przez otwarte okno wyraźnie dochodziły go głosy dwóch mężczyzn.

- Co ty tu, do diabła, robisz o tej porze?

- zapytał głos, którego Asher nie rozpoznał.

- Powiedziałeś, że jak zobaczę w Kirkwood coś dziwnego, mam ci natychmiast dać znać. Obiecałeś, że mi zapłacisz - zaskomlił drugi mężczyzna. Tego drugiego głosu Asher również nie rozpoznał.

Rozległo się kolejne przekleństwo i pierwszy mężczyzna powiedział: 77

- Idź do diabła! Nie mówiłem, żebyś

mnie zrywał z łóżka o trzeciej nad ranem!

Wymieniono dalsze żale i burknięcia.

- Mam nadzieję, że to jakaś poważna sprawa - uprzedził pierwszy mężczyzna.
- Nie dam ci ani grosza za jakieś bajeczki.

Skamlący mężczyzna wymamrotał coś, po czym opowiedział o dziwnym zachowaniu starszej córki Kirkwooda.

- I nie ruszyłeś za nią? - zapytał ten pierwszy. - Żeby się dowiedzieć, dokąd pojechała? Z kim się spotkała?

Jęczybuła widocznie potrząsnął

przecząco głową, gdyż pierwszy obrzucił go stekiem najgorszych przekleństw.

- Próbowałem, naprawdę - zarzekał się jęczący niedorajda. - Ale byłem zupełnie zbity z tropu, kiedy podpatrzyłem, jak wkrada się do stajni i siodła swojego konia. Rozglądała się nerwowo dookoła. Było jasne jak słońce, że nie chce, by ją ktoś zobaczył. Nigdy bym nie przypuszczał, że taka szacowna dama jak pani Greeley będzie się wymykać jak zwykła dziewczka. Gdy już się pozbierałem i osiodlałem konia, zniknęła.

- Jak długo jej nie było? Czy może mi powiesz, że poszedłeś spać i nie wiesz,

kiedy wróciła?

- Nie, nie poszedłem spać. Nie jestem takim głupcem, za jakiego mnie uważasz! - oburzył się drugi mężczyzna.

- Nie wiem na pewno, jak długo jej nie było, bo nie mam czasomierza, ale chyba z godzinę albo dwie. Gdy wróciła i odprowadziła konia, wyszedłem przed stodołę i patrzyłem, jak biegnie do domu. Potem pogałem tutaj.

Przez parę minut panowała cisza. Ukryty pod oknem Asher domyślił

się, że człowiek Ormsby'ego rozważa informacje swego gościa.

- Powiedziałaś mi, żebym cię jak

najszybciej zawiadomił, jeśli zauważę jakieś dziwne rzeczy. Czy nie o coś takiego ci 78

chodzi? - zapytał po chwili żałośnie przybyły. - Chyba co nieco mi się za to należy?

Człowiek Ormsby'ego wymamrotał coś, czego Asher nie dosłyszał.

Doszedł do niego szcęk otwieranej szuflady i brzęk monet. Chwilę później jęczybuła wykrzyknął:

-A niech to diabli! Tyle tylko dostanę za swoje trudy?

- Na razie - warknął pierwszy

mężczyzna - powiedziałeś mi tylko, że pani Greeley pojechała dokądś o północy. To nie jest wiele warte.

Ten drugi próbował jeszcze się stawiać, ale człowiek Ormsby'ego zbył

go.

- Zapłaciłem ci więcej, niż są warte te bzdury, i gdybyś nie był moim bratem, nie dałbym ci tyle. A teraz wracaj do Kirkwood, zanim zauważą, że cię nie ma.

- Zawsze byłeś skąpiradłem - poskarżył się jęczybuła. Pierwszy mężczyzna zaśmiał się nieprzyjemnie.

-A ty zawsze byłeś głupkiem! Czasami myślę, że mama zabawiła się z kimś na boku i stąd mam na karku takiego cymbała jak ty.

- Ponieważ za nic masz moje informacje
- rozzalił się ten młodszy -

nie będę ci więcej oddawał przysług.

- Powiedziałem ci: zarobisz, jak przyniesiesz mi coś pożytecznego. -

Urwał, po czym dodał: - Gdybyś za nią pojechał i wiedział, dokąd się udała... to by było coś warte.

Rozmawiali jeszcze przez parę minut, a człowiek Ormsby'ego stopniowo starał

się poprawić humor swemu
safandulowatemu bratu.

Asher pragnął się dowiedzieć, kim są
obaj mężczyźni, zwłaszcza ten z
Kirkwood, zastanawiał się zatem, czy by
nie zerknąć do środka, ale zrezygnował z
tego pomysłu. Może się tak zdarzyć,
uznał cierpko, że obaj będą patrzeć w
okno i wtedy z własnej woli rzuci im się
w oczy. Ale skoro wie, że obaj

79

są braćmi, nietrudno mu będzie ustalić,
który ze stajennych w Kirkwood ma za
brata głównego stajennego u
Ormsby'ego. To już coś.

Po załatwieniu interesów obaj mężczyźni rozstali się, przy czym człowiek Ormsby'ego nakazał szpiegowi z Kirkwood: - Pamiętaj, miej oczy otwarte.

Mamrocząc coś, jęczybuła wyszedł z pomieszczenia, a później świeczka zgasła. Asher pozostał na swoim miejscu i dopiero gdy usłyszał

hałas świadczący, że człowiek Ormsby'ego najprawdopodobniej mości się w łóżku, opuścił swe stanowisko pod oknem.

Bezszelestnie pomknął wzdłuż boku budynku ku przodowi stajni.

Słyszając, jak jej drzwi otwierają się i zamykają, przyspieszył kroku i zdążył do rogu, skąd patrzył, jak stajenny z domu Juliany odjeżdża w ciemność. Gdy odgłos końskich kopyt zanikł w oddali, Asher ruszył do miejsca, gdzie uwiązał swego wierzchowca.

Jadąc w nocnej ciszy do Lisiej Nory, Asher miał głowę nabitą myślami. Dzisiejsza noc była... ciekawa. Ormsby za wszelką cenę dąży do ślubu z Thalią, co w innych okolicznościach bawiłoby Ashera, lecz wykorzystanie jej listów, by zmusić ją do małżeństwa, stawia tę sytuację w zupełnie innym świetle. Uśmiechnął się. Wykradłby listy Ormsby'emu dla czystej przyjemności,

lecz skoro dzięki temu może wyrwać Thalię ze szponów markiza, jego czyn nabiera znamion szlachetności. Jeśli Juliana ma rację i Thalia jest zakochana w Caswellu, cóż może być szlachetniejszego nad pomoc w połączeniu się dwojga kochanków?

A jest jeszcze Juliana... Na wspomnienie jej miękkiego ciała, smaku jej ust pod jego wargami, poczuł w lędźwiach dokuczliwe napięcie. Chryste!

Zachował się jak nieporadne chłopię, które po raz pierwszy ma do czynienia z kobietą. Rzucił się

na nią niczym żarłoczny wilk na
młodziutkie jagnię i niewiele
brakowało, by ją posiadał na
zniszczonym stole w chatce jakiegoś
przekłętego przemytnika. Choć od tego
wydarzenia minęło już trochę czasu,
przeraziła go gwałtowność pożądania,
jakie do niej poczuł. Myślał

z niedowierzaniem, że zawsze traktował
ją jak siostrę, a o mały włos wzięłby ją
jak nierządnicę z portowej tawerny.

Choć dzieliła ich różnica pięciu lat, od
czasu gdy był jede-nastolatkiem, a jego
ojczym stracił nogę w jakiejś
nieokreślonej bitwie i wrócił na
Jabłkowe Wzgórze, wzrastali razem.
Potrząsnął głową na wspomnienie tych

beztroskich dziecięcych dni. Skarżyła się starszym na niego i jego braci, a on był tak zły, że chciał natrzeć jej uszu! W tych wczesnych latach uważał Julianę za jedną z najbardziej denerwujących przedstawicielek płci żeńskiej, jakie dane mu było poznać. Ale miał też do niej słabość i kiedy w ogóle o niej myślał, to z taką samą czułością jak wobec młodszych sióstr. Ale to się błyskawicznie zmieniło dzisiejszej nocy i wątpił, czy uda mu się znowu obdarzyć ją uczuciem, które choćby w najmniejszym stopniu przypominałoby miłość braterską.

Naga prawda wygląda tak, że pragnął jej w najbardziej podstawowy sposób, w

jaki mężczyzna może pragnąć kobiety. A pragnął jej, przyznał

niechętnie, bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety, którą spotkał na swojej drodze.

Nawet kiedy jego oczom pokazała się Lisia Nora, a on zsiadł i zajął się koniem, jego myśli krążyły wokół Juliany i namiętnego incydentu w chatce przemytnika. Swe zachowanie w pewnym stopniu rozumiał - jest mężczyzną i już od paru miesięcy nie miał kobiety. Ale gdy wszedł do domu i dalej, na drugie piętro, do swych pokojów, umysł miał zajęty odpowiedzią Juliany na jego śmiałe zaloty. Dlaczego nie trzepnęła go w

policzek i nie dała reprimendy? Juliana, jaką znał, na pew-

81

no by się nie zawahała. Uśmiechnął się. Zrobiłaby to z rozkoszą - a potem palnęłaby mu mówkę na temat niestosowności jego zachowania.

Nie zapalając nawet świecy, Asher zdjął ubranie i wsunął się do łóżka.

Moszcząc się pod powłóczką i lekką narzutą, z rękami pod głową wpatrywał się w ciemność, nadal rozpatrując owe wybuchy namiętności w chatce przemytnika. Radował się, że Juliana go nie odepchnęła, ale zastanawiał się,

dlaczego tego nie zrobiła. Czy jej zachowanie świadczy o tym, że jest łatwą zdobyczą dla każdego mężczyzny... czy też swymi wdziękami chciała obdarować właśnie jego? Podobała mu się myśl, że po prostu lubi, gdy mężczyzna ją całuje.

Myśląc o tych żarliwych pocałunkach, był niezwykle rad, że jego często irytująca towarzyszka lat dziecinnych wykazała, choćby tylko w tych krótkich chwilach, wyraźne miłosne skłonności. Czy ktoś by podejrzewał, że pod tymi cholernymi muślinowymi sukniami, za tą pruderyjną powłoką, kryje się tak namiętna istota? Co ważniejsze, czy zdoła ponownie wywabić to niezmiernie

zmysłowe stworzenie z kryjówki?

Uśmiechnął się szerzej. O tak, chyba mu się to uda.

Miło byłoby zasnąć, myśląc o Julianie, lecz świadom, że nie może tego dłużej odkładać, odłożył paradoks wysoce szacownej pani Greeley na bok i skupił się na pozostałych wydarzeniach tej nocy.

Jedno nie ulegało wątpliwości - ktoś w Kirkwood szpiegował dla Ormsby'ego. Ale po co? Ormsby miał przewagę - u niego znajdowały się listy. Czyżby obawiał się, że mimo groźby skandalu Thalia, głucha na głos rozsądku, tak czy siak ucieknie z Caswellem? Asher zmarszczył brwi i przez chwilę rozważał

możliwość, że nocne spotkanie głównego stajennego z bratem nie miało nic wspólnego z Ormsbym czy Thalią, ale odrzucił ją. No bo po co by się spotykali? Nie. Za tym musiał

82

stać Ormsby. A wychodząc z tego założenia, na podstawie podsłuchanej rozmowy, Asher wywnioskował, że Ormsby pozyskał sobie do pomocy głównego stajennego, lecz nie określił dokładnie, jakich informacji oczekuje od stajennego z Kirkwood.

Asher nie wątpił, że sługus opowie markizowi o nocnej wycieczce Juliany, lecz wzbudzi najwyżej ciekawość

Ormsby'ego, nie przynosząc żadnych zgubnych skutków. Postanowił jednak ostrzec przyjaciółkę, że ma szpiega w stajniach.

Co do szpiega w stajniach w Kirkwook, Asher doszedł do wniosku, że na razie wystarczy go zidentyfikować. Nie ma sensu informować Ormsby'ego, że jego agent został zdemaskowany, i dawać mu okazji do podstawienia innego. Gdy ustalą, który to stajenny, już się postarają, by nie dowiedział się niczego użytecznego. Usta Ashera wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu. I w razie konieczności podsunie się Ormsby'emu wygodne dla nich kłamstewka.

Kradzież listów wydawała się Asherowi najmniej interesująca.

Podjął się już trudniejszych zadań, za które, jak przyznawał, sownie mu płacono. Przez chwilę pozwolił myślom błądzić swobodnie, szukając sposobu, by uzyskać od Juliany odpowiednią i, och, jakże zadowalającą, cenę za poniesione dla niej trudy. I nie chodziło mu o pieniądze.

Ziewnął. Dziś w nocy już niczego nie rozwiąże, a za parę godzin będzie świtać. Ziewnął ponownie. Rano musi pojechać do babki i namówić ją, by po południu odwiedziła nieszczęsną, młodziutką Thalię Kirkwood. Tętno mu przyspieszyło. A on zobaczy się z tą

rozkosznie poprawną panią Greeley. Z uśmiechem na ustach zasnął.

Juliana nie spała tak dobrze. Po raz pierwszy odkąd przeniosła się z powrotem do domu ojca, by pomóc przy debiucie 83

towarzyskim Thalii, była niezadowolona z pobytu tutaj. Ma swój uroczy dworek niezbyt daleko stąd i dziś w nocy bardzo jej brakowało wygód i atmosfery własnej siedziby. Nie żeby Kirkwood nie było przyjemnym domostwem, po prostu nie tu jest jej dom.

Po nocnym spotkaniu z Asherem nerwy miała napięte i bardzo zapragnęła mieć wokół siebie własne rzeczy, przejść się

po przytulnych pokojach, które sama urządziła, i odzyskać równowagę. Od chwili gdy Ormsby odwiedził ojca i na jaw wyszły niedyskretne, głupiutkie listy Thalii, jej życie wymknęło się spod kontroli. A Juliana pragnęła panować nad swoim życiem.

Dotychczas przez większą jego część niewiele od niej zależało. Była posłuszną córką, wdzięcznie poddającą się łagodnej władzy ojca, i nigdy nie buntowała się przeciw społecznym nakazom oddającym ją całkowicie pod jego wpływ. Gdy przyszła pora na małżeństwo, nawet jej w głowie nie powstało, by mogła nie wyjść za człowieka, którego jej ojciec i elegancki

świat uznali za odpowiednią partię. W ogóle nie przyszło jej do głowy, pomyślała w lekkiej hysterii, że mogłaby nie wyjść za mąż.

Zgodnie z powszechnym obyczajem młoda dama z jej sfery po prostu powinna szukać szczęścia w małżeństwie, a inne sposoby spędzenia życia

- jako guwernantka, niezamężna ciotka czy domowe popychadło do niej nie przemawiały. I tak, tuż po dwudziestych pierwszych urodzinach, wzięła ślub. Z bardzo miłym, szacownym młodzieńcem, posiadającym skromny majątek.

Błądząc po swych dawnych pokojach w

Kirkwood, zastanawiała się, nie po raz pierwszy, czy kiedykolwiek kochała Williama Greeleya. Nie czuła do niego niechęci, był sympatycznym człowiekiem, ale... Nie, nie kochała go. Lubiła męża, dobrze się czuła w jego towarzystwie i była zadowolona, że jest jego żoną. Władzę ojcowską zamieniła na mężowską i bez

84

skargi przystosowała się do nowych okoliczności. Małżeństwo dało jej nieco więcej swobody - żonę krępuje mniej ograniczeń niż niezamężną kobietę - ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by machnąć ręką na konwenanse i się zbuntować. Osiadła w domu męża,

położonym w majątku jego ojca w Hampshire, mając nadzieję, że pojawią się dzieci -

oboje tego pragnęli i z czasem ich oczekiwania mogłyby się spełnić, gdyby William nie zmarł na gruźlicę tuż przed trzecią rocznicą ich ślubu.

Została wdową w wieku dwudziestu czterech lat, co było dla niej wstrząsem, a jej świat wywrócił się do góry nogami. Po raz pierwszy w życiu nie była zdana na mężczyznę, nie miała nad sobą łagodnego despoty, który sprawowałby nad nią władzę, i przez parę miesięcy trwała bez celu, niczym okręt pozbawiony steru. Oczywiście

ojciec i teść udzielali jej świątłych rad względem tego, co powinna zrobić i gdzie zamieszkać, ale już wtedy mgliście zdawała sobie sprawę, że nikt jej nie może do niczego zmusić.

Teściowie pragnęli, by pozostała w miłym domu, który dzieliła z ich najmłodszym synem, lecz już po paru miesiącach Juliana zaczęła odczuwać coraz dotkliwszą tęsknotę za miejscem, gdzie spędziła dzieciństwo. Samotna, odczuwała stratę męża i pragnęła być blisko siostry - uświadomiła sobie, że chce wrócić do Kentu. Majątkowa ugoda małżeńska była dla niej bardzo korzystna, toteż pewnego ranka Juliana obudziła się z pełną otuchy

świadomością, że może robić, co jej się żywnie podoba, nie napotka bowiem sprzeciwu. Skoro chce się przenieść bliżej siostry, drogę ma wolną, toteż bez szczególnego żalu pożegnała się z teściami i wróciła do Kirkwood.

Jej ojciec zakładał, że zamieszka w domu na dobre, zdziwił się zatem, gdy po paru tygodniach wspomniała, że chce kupić uroczy mająteczek, oddalony zaledwie pięć mil od Kirkwood. Odradzał jej to, był bowiem rad, że jego starsza córka znowu

85

zajmuje się Thalią i zdejmuje z jego barków ciężar prowadzenia domu, co

jemu samemu pozwala ślęczyć nad książkami, ile dusza zapragnie. Ku zdziwieniu zarówno swemu, jak i ojca, Juliana stanęła okoniem i niebawem nabyła Różaną Dolinę -dwupiętrowy budynek z muru pruskiego oraz trzysta akrów urodzajnej ziemi, która przynależała do posiadłości.

Głucha na uwagi, że jest zbyt młoda i ładna, by mieszkała samodzielnie, zaczęła przekształcać Różaną Dolinę w dom wedle swych wyobrażeń. W jednym punkcie wszakże uległa konwenansom, zatrudniając u siebie kochaną starą pokojówkę, panią Rivers, by zamknąć usta plotkarzom. To zadowoliło ojca, a ponieważ pani

Rivers była niewiastą pogodną i roztropną, ponadto czuła względem Juliany głęboką wdzięczność za zapewnienie jej wygodnego i beztroskiego życia, na jakie z własnych środków nie mogłaby sobie pozwolić, nie zgłaszała zastrzeżeń wobec żadnych pomysłów Juliany, toteż obu paniom taki układ bardzo odpowiadał. Niewielka liczba służby, w skład której wchodziła kucharka, gospodyni, pokojówka, ogrodnik i stajenny, wystarczyła, by wszystkie sprawy domowe szły gładko, toteż Juliana była szczęśliwa, prowadząc spokojne życie na wsi. Niczego jej nie brakowało. Ojciec i siostra mieszkali w pobliżu. Miała własny dom, własny majątek i mogła żyć

tak jak chciała. Przeppełniało ją to radością.

Gdy zaproponowała, że pomoże ojcu przy debiucie towarzyskim Thalii w Londynie, uważała to za przyjemną, interesującą odmianę.

Wedle pierwotnego planu miała wyjechać z Różanej Doliny na parę miesięcy wraz z rodziną do Londynu, a gdy oni powrócą do Kentu, ona znowu zamieszka w swym miłym domku, który będzie opuszczać najwyżej z takich okazji jak zjazd towarzyski, kiedy to będzie potrzebna w Kirkwood.

Kąciki ust jej opadły. Życie wydawało się tak proste, zanim Ormsby zniszczył

plany wszystkich i postawił ją na
niebez-86

piecznej ścieżce, którą teraz kroczyła.
Komuś tak szacownemu i
przestrzegającemu konwenansów jak
Juliana pomyśl, że wślizgnie się do
londyńskiego gabinetu Ormsby'ego z
zamiarem dokonania kradzieży, nigdy
nie powstałby w głowie. Ale to było
wcześniej, napomniała się, zanim
Ormsby zagroził szczęściu Thalii.

Od chwili gdy otworzyła drzwi do
gabinetu Ormsby'ego i wemknęła się do
tego ciemnego pokoju, wiedziała, że
stąpa po niepewnym, niebezpiecznym
gruncie, a każdy jej krok grozi
katastrofą. I od tej pory nic się nie

zmieniło. A być może pogorszyła jeszcze sytuację, prosząc o pomoc jeszcze kogoś i opowiadając mu, jak niemądrze zachowała się jej siostra...

Gdy przypomniała sobie, jak leżała na tym okropnym starym stole, z podgarniętą do pasa suknią, podniecona i płonąca pożądaniem, gotowa oddać się Asherowi, przeszedł ją palący dreszcz i oblała się rumieńcem.

Wielki Boże! Jak mało brakowało, by to ona, nie Thalia, została doszczętnie skompromitowana, a całe jej życie legło w gruzach!

Ukryła twarz w dłoniach, upokorzona i nieprzytomna ze wstydu. Gra toczy się o

przyszłość jej siostry, a ona zachowuje się jak zwykła ladaczniczka. O czym ona myślała? Na pewno nie o Thalii, przyznała z rozpaczą, a wszak tylko i wyłącznie ją powinna mieć na uwadze.

Juliana głęboko zaczerpnęła oddechu, by się uspokoić. To, co zdarzyło się dziś w nocy, to chwilowe oszołomienie, moment poza czasem, który się już nigdy nie powtórzy. Nie potrafi tego wytłumaczyć, nie jest pewna, jakim cudem doszło do tej sytuacji - wie tylko, że gdy Asher dotknął jej ciała, objął ramionami, świat zniknął i był tylko mężczyzna, który ją całował, pieścił, podniecał w sposób niewyobrażalny. W tych szalonych, gorączkowych sekundach

zapomniała o wszystkim, gdy przycisnął wargi do jej ust, czuła tylko cudowny dreszcz,

87

gwałtowne pożądanie, nieprzeparte pragnienie, by ją posiadał. Nic się wtedy nie liczyło. Ani Thalia, ani własna reputacja, nawet niebezpieczeństwo. Myślała tylko o owych, jakże godnych pożalowania, chwilach, gdy pożądanie, przemożne i namiętne, owładnęło nią i ku swemu przerażeniu uczuła, że sutki jej stwardniały, a miłosne rejony ogarnął bolesny żar. Zacisnęła pięści po bokach, pragnąc odpędzić te emocje. Co jest z nią nie tak? Nawet z mężem nie doświadczyła tak potężnych doznań, a

jednak Asher... Przełknęła ślinę, co sprawiło jej ból.

Przy nim zapomniała o wszelkich skrupułach, o wszystkich znanych jej przykazaniach. To się nie może powtórzyć. Nie może, napomniała się rozpaczliwie, gdyż na tej drodze czeka ją tylko szaleństwo... i strapienie.

88

Rozdział 5

Następnego ranka pierwszym zadaniem Ashera było napisanie do babki listu, w którym zawiadamiał starszą panią, że pojedzie do niej po południu, by zabrać ją do dworu w Kirkwood, gdzie pani

Manley przydałaby się jej pomoc. Gdy bilecik był już w drodze do Burnham, z apetytem zjadł śniadanie - delikatne placuszki prosto z pieca, jajka na miękko i polędwicę, a wszystko to popił kuflem piwa.

Zszedł potem do gabinetu, gdzie przejrzał dotyczące spraw gospodarskich papiery, które zarządca pozostawił mu do wglądu, ale nie mógł się na nich skupić, gdyż myśli miał zajęte wydarzeniami ostatniej nocy.

Bez wątpienia znajdzie i odzyska listy Thalii w ramach czasowych, jakie nakreśliła Juliana. Najtrudniej będzie je zlokalizować, lecz w trakcie swych niezbyt chlubnych przedsięwzięć

zorientował się, że zazwyczaj z góry wiadomo, czego po większości ludzi można się spodziewać, zwłaszcza jeśli idzie o ukrycie ważnych dla nich rzeczy. Paru osobników zachowało się w sposób nieprzewidywalny, sprawiając mu kilka niemi-

łych niespodzianek, ale byli oni wyjątkami od reguły.

Skoro markiz opuścił Londyn, Asher był prawie pewien, że trzy listy Thalii ukryte są gdzieś w jego okazałym domu. Naj-89

prawdopodobniej markiz umieścił je w sejfie znajdującym się w jego gabinecie. Jaki wielu innych znanych Asherowi

ludzi, Ormsby uważał, że bardzo sprytnie ukrył sejf za ogromnym krajobrazem Gainsborougha wiszącym na ścianie naprzeciwko kominka.

Potrząsnął głową. Każdy doświadczony złodziej przede wszystkim tam by go szukał. Uśmiechnął

się. Sejf Ormsby'ego znalazł i zapoznał się z jego zawartością przed laty, gdy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, by wykraść jego diamenty, teraz ta wiedza mu się przyda. Do jego domu dostanie się bez trudu, pokój znajdował się od wschodniej strony rozległej rezydencji i wychodził na mały ogród. Otwierała się na niego para balkonowych drzwi, umożliwiając łatwy dostęp. Co więcej,

Ormsby nie będzie się spodziewał, że jakiś złodziej okaże się na tyle bezczelny, by włamywać się do jego domu, skoro cała okolica wie, że markiz zjechał do dworu.

Asher nie lekceważył niebezpieczeństw, nie był też przesadnie pewny siebie. Ufał w swe umiejętności, udoskonalone podczas licznych akcji, podobnych do tej, ale wiedział też, że najmniejszy błąd czy fałszywy krok sprowadzi na niego nieszczęście. Wargi mu drgnęły. On pójdzie do więzienia, a babka i reszta rodziny nie będzie mogła się publicznie pokazać z powodu jego kompromitacji. Nie. Nie złapią go, tego nie ma w planie.

Podniósł się, podszedł do okna i wpatrzył się w dal. Włamanie się do domu Ormsby'ego to fraszka dla człowieka, który ma wrodzony dryg do tych rzeczy. Istnieje wszakże ryzyko, że w czasie tych paru lat Ormsby zainstalował nowy sejf i może schował w nim listy. Zastanawiał się nad tym przez parę minut, po czym wzruszył ramionami. Nowy sejf może nastręczyć pewnych trudności, lecz szczerwany złodziej sobie z nimi poradzi. Jeśli nie znajdzie listów w sejfie, będzie musiał przemyśleć sprawę.

Nawet gdyby ich tam nie było, jeszcze nie wszystko 90

stracone - być może Ormsby jest tak

bezczelny, że trzyma je w biurku, gdyż do głowy mu nie przyjdzie, że jakiś złodziej ośmieliłby się okraść markiza Ormsby'ego w jego własnym domu. Asher uśmiechnął się mimo woli. Z radością zwędzi listy Ormsby'emu... i zobaczy, jak twarz Juliany rozjaśnia się, gdy dostanie je do rąk.

* * *

Asher napisał parę listów, powiedział Hannumowi, że nie będzie go przez cały dzień, po czym wolnym krokiem poszedł do stajni. Już za parę minut powoził swą kariolką, którą ciągnęła para jego ulubionych karych koni.

W Burnham babka czekała na niego w

saloniku od frontu.

Szczeniaczka nigdzie nie było widać, toteż po przywitaniu się z babką zapytał, gdzie jest Apollo.

- Nie martw się o niego - odparła z błyskiem w oku. - Obecnie składa wizytę kucharce, wyłącznie w tym celu, by ją przekonać, że sporą kość od szynki, którą przeznaczyła do jakiejś zupy, znacznie lepiej oddać jemu. -

Zaśmiała się. - Natychmiast się zorientował, jak łatwo żalosnym spojrzeniem tych wielkich brązowych oczu wyciągnąć od kucharki najpyszniejsze przysmaki. A ja nie jestem lepsza - jak się zapewne

domyśliłeś, śpi ze mną w łóżku. -
Uśmiechnęła się do niego promiennie.

-Och, Asherze! Jak się cieszę, że znowu
mam psa. - Potrząsnęła głową. -

Ale obawiam się, że już jest
niemiłosiernie rozpuszczony.

Pocałowała go w policzek. - Dzięki,
kochany - rzekła. - Nie zdawałam sobie
sprawy, jak nudne jest moje życie, póki
Apollo się nie pojawił. To najlepsze
lekarstwo na wzmocnienie.

Razem poszli do holu, gdzie Dudley,
kamerdyner pani Manley, czekał

już z jej parasolką, rękawiczkami i

małym wikli-91

nowym koszykiem, w którym znajdowały się dwa słoiki jej ulubionej pokrzepiającej galaretki. Gdy usiadła w kariolce z koszykiem przy boku, Asher wskoczył żwawo do powozu i smagnięciem lejc popędził konie lekkim truchtem po podjeździe.

Gdy dojechali do głównej drogi, powoził w tym samym tempie i patrząc na babkę zauważył, że przygląda mu się z namysłem. - O co chodzi? - zapytał z uśmiechem. - Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz?

- Czy wiedziałaś - zaczęła swobodnym tonem - że zawsze miałam słabość do córek Kirkwooda, zwłaszcza do Juliany?

- Najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi, gdyż trajkotała dalej.

Naturalnie Thalia to czarujące dziewczę i wielka piękność, ale nie sądziłam, że jest w twoim typie.

Ręce, którymi Asher trzymał lejce, drgnęły. Spojrzał na babkę z niedowierzaniem. - Myślisz, że chodzi mi o Thalię? - zapytał.

- A co innego mogę myśleć, gdy mój ulubiony wnuk, który młodym damom z okolicy nigdy nie poświęcał najmniejszej uwagi, nagle prosi mnie, bym mu towarzyszyła do domu miejscowej królowej piękności? -

zapytała roztropnie.

- To nie ma nic wspólnego z Thalią-
powiedział pod nosem.

- Zachowuję się po prostu jak dobry
sąsiad. - Odchrząknął.

- Myślałem raczej o Julianie niż o
Thalii. Juliana z pewnością będzie
chciała wyrwać się na chwilę z pokoju
chorej i odpocząć od obowiązków
pielęgniarki.

Rzuciła mu bystre spojrzenie.

-Aha, więc mam posiedzieć przy Thalii,
podczas gdy ty z Julianą spędzicie parę
chwil na osobności? Uśmiechnął się do

niej.

- A masz coś przeciwko temu?

Potrząsnęła głową i odwzajemniła uśmiech.

92

-Podejrzewałam coś takiego, ale wolałam się upewnić. I muszę powiedzieć, że mi ulżyło.

- Ulżyło? Dlaczego?

- Wiem, że Thalia jest piękna, ale nie ją wybrałabym na żonę mojego wnuka.

Wstrząsnął się.

- Wielki Boże, oczywiście, że nie!

- Ale Juliana bardzo by mi odpowiadała
- rzekła i poklepała wnuczka po
ramieniu.

Asher ściągnął lejce i zatrzymał się na
środku drogi. Nie zwracając uwagi na
konie, które szarpały się i stawały dęba,
protestując przeciw traktowaniu ich jak
krowy, obrócił się i spojrzał na babkę z
wyrzutem. -

Zachowujesz się jak swatka -powiedział
oskarżycielskim tonem.

Babka roześmiała się. - Och, Asherze,
gdybyś mógł zobaczyć swoją minę! -
Patrząc czule na wnuka, pogłaskała go

po policzku. Jesteś teraz tak podobny do dziadka i matki, że zapiera mi dech.

- Opowiadasz jakieś niestworzone rzeczy. Matka było pięknnością, a ja nie jestem - rzekł hardo. - Krzaczaste brwi, haczykowany nos, jak na portrecie dziadka w galerii w Burnham!

Zaśmiała się.

- Zgoda - ten straszny portret! Uwierz mi, mój drogi, że wcale tak nie wyglądał.

-A co więcej - wycedził, powracając do pierwotnego tematu - nie mam najmniejszego zamiaru żenić się z Julianą Greeley. Po prostu staram się

być uprzejmy.

Popatrzyła na niego.

- Jesteś pewien?

Uderzając lejcami, by ponownie
wprawić konie w ruch, ze wzrokiem
wbitym przed siebie, odparł: -
Oczywiście! Małżeństwo to ostatnia
rzecz, na jaką... - Słowa uwięzły mu w
gardle.

93

Czyż nie myślał o małżeństwie ledwie
zeszłej nocy? Czy nie położył

się spać, właśnie nad tym się

zastanawiając? Wspomnienie Juliany, rozłożonej na stole przemytnika niczym uczta dla głodomora, zapłonęło w jego umyśle i nie potrzebował wysilać wyobraźni, by ujrzeć ją w swym łóżu w Lisiej Norze. Jako żonę.

Zerknąwszy na babkę, ujrział, że przygląda mu się z chytrym uśmieszkiem.
- Przestań - rzekł z rozbawieniem. -
Kręcisz mną jak marionetką.

Potrząsnęła głową.

-Nie. Po prostu chciałabym, żebyś zobaczył to, co masz przed samym nosem.

-I udało ci się - przyznał ponuro. -

Zostawmy to na razie. Kiedy i jeżeli zdecyduję się poślubić kogokolwiek, sam zajmę się zalotami.

- Pod warunkiem, że będziesz zalecał się do odpowiedniej niewiasty.

Pan Kirkwood był rad z ich odwiedzin, lecz Asher dostrzegł na jego twarzy oznaki napięcia i jak na jego oko, ojciec Juliany wydawał się jeszcze bardziej roztargniony niż zazwyczaj. Choć inni mogli tego nie dostrzegać, znając okoliczności było rzeczą oczywistą, że dręczyło go zagrożenie, jakie Ormsby stanowił dla szczęścia młodszej córki. Choć dobrze to ukrywał, zdaniem Ashera, powitał ich z nieco wymuszoną radością i po krótkiej rozmowie z

dwójką gości, zadzwonił na służącego, by sprowadził Julianę. Wszystko przebiegało zgodnie z planem Ashera.

Po paru minutach pan Kirkwood wycofał się do biblioteki, pani Manley poszła na górę, by dotrzymać towarzystwa chorej, Asher zaś porwał

Julianę na spacer po ogrodzie.

Dzień był ciepły, więc niespiesznie wędrowali różnymi krętymi ścieżkami, aż w końcu Juliana zaprowadziła Ashera do 94

cienistej altanki porośniętej białymi i żółtymi pnącymi różami. W

środku usadowiła się na jednej z kamiennych ławek, ułożyła fałdy zielonej, muślinowej sukni, zdobnej wzorem gałązkowym, po czym spojrzała wyczekująco na Ashera.

Od lat już nie przebywali w swoim towarzystwie, a dzisiejszy Asher różnił się krańcowo od chłopca, którego znała w dzieciństwie. Ukradkiem obrzuciła go wzrokiem. Usiadł obok niej, oparł plecy o tył ławki, wyciągnięte nogi skrzyżował w kostkach. Powędrowała spojrzeniem do jego czarnych włosów, nieco dłuższych niż nakazywała moda, lecz Juliana uznała, że niedbały styl harmonizuje z jego szczupłymi, niemal śniadymi rysami. Ciemnoniebieski

surdut doskonale leżał na jego muskularnej sylwetce, fular miał starannie zawiązany, a nankinowe spodnie zgrabnie uwydatniały mocne nogi. Czarne buty z cholewkami były nienagannie wyczyszczone.

Zdając sobie sprawę z tej lustracji, z błyskiem rozbawienia w kobaltowych oczach zapytał kpiąco:

- Ujdę?

Juliana oblała się rumieńcem, zażenowana, że ją przyłapał, jak się na niego gapi. - Przepraszam - rzekła.

- Nie ma za co. Gapi się ile chcesz... pod warunkiem że ja będę mógł

pozwolić sobie na to samo.

- Och, przestań! - rzekła niecierpliwie. -
Nie jestem w nastroju do żartów. -
Zerknęła na niego. - Wymyśliłeś jakiś
sposób na odzyskanie listów Thalii?

Asher wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Parę nocy zajmie mi
rekonesans, a potem, jeśli wszystko
będzie wyglądało jak należy, uderzę.
Zakładając, że znajdują się tam, gdzie
przypuszczam, za parę dni dostaniesz
listy siostry.

- Modłę się, żebyś miał rację - rzekła z
żarem. - Przez tę historię wszyscy
znaleźliśmy się na skraju wyczerpania.

jest bardzo niespokojna i wiem, że nie tylko z powodu choroby. Czuje się winna, zawstydzona i boi się przyszłości. - Juliana westchnęła i spojrzała na swe złożone na podolku ręce. - A biedny ojciec miejsca sobie nie może znaleźć ze zmartwienia. On też ma poczucie winy, a ponieważ nie potrafi jej z tego wydobyć, jest mu wstyd nie mniej niż Thalii. To straszne.

Asher przykrył jej rękę swą ciepłą dłonią. - A ty? - zapytał cicho, zdziwiony, że tak bardzo pragnął wziąć jej kłopoty na swe barki i zabić smoki, które burzyły jej spokój ducha.

Juliana zręcznie wysunęła rękę spod jego dłoni i na poły ze śmiechem, na poły ze łzami, wykrzyknęła:

- Och, jak zwykle jestem opoką rodziny. Nie mogę się poddać rozpacz, bo gdybym jej uległa, oboje uznaliby, że wszystko stracone.

- Twój ojciec jest dorosłym człowiekiem. Twoja siostra dawno przestała być dzieckiem i sama doprowadziła do tej sytuacji. Nie uważasz, że już pora, by przestali u ciebie wyglądać ratunku, otrząsnęli się i sami spróbowali wybrnąć ze swoich kłopotów? - zapytał ostro.

- Jak śmiesz! - krzyknęła, obrzucając go

wściekłym spojrzeniem. -

Prosiłam cię o pomoc, nie o krytykowanie mojej rodziny!

Zdając sobie sprawę z nietaktu, Asher podniósł ręce do góry. -

Przepraszam - rzekł. - Poniosło mnie, nie chciałem się wtrącać do waszych spraw. - Uśmiechnął się do niej krzywo. - Wybacz mi, proszę.

Gdy spojrzał na nią w ten swój sposób, ciemnoniebieskimi oczyma, w których kryło się ciepło i pieśczoła, z tym półuśmiechem wyginającym mu wargi, Juliana poczuła obawę, że wybaczyłaby mu chyba wszystko.

Zła na siebie, wymruczała:

- Oczywiście. Obiecałeś mi pomoc, toteż nie chcę być z tobą na noże.

Mam dość kłopotów i nowych mi nie trzeba.

96

Spojrząwszy na swe skrzyżowane kostki, Asher powiedział cierpko:

- Po tym, co odkryłem zeszłej nocy, obawiam się, że masz więcej kłopotów niż ci się wydaje.

- O co ci chodzi? - zapytała. Jej oczy rozszerzył strach. Bez owijania w

bawełnę opowiedział jej o
wydarzeniach,

które zaszły po ich rozstaniu. Gdy
skończył, przez parę sekund w altance
panowała cisza.

- Boże wielki! - wybuchnęła w końcu. -
Ormsby umieścił między nami szpiega?
Dlaczego? Przecież ma listy.

- Przypuszczalnie nie chce ryzykować,
że nagroda mu się wymknie.

-Ale póki ma listy... Listy mają tylko
taką moc, jaką sama im nadasz -

rzekł Asher. - Założmy, że Thalia
postanowi poniechać wszelkich

ostrożności i uciec z Caswellem? -
Juliana zaczęła się zarzekać, że to
niemożliwe, lecz Asher uniósł rękę w
górze, by uciszyć rozgorączkowaną
niewiastę. - Zastanów się chwilę. Gdy
tylko Thalia zostanie żoną Caswella,
władza przejdzie na niego. Ormsby
nadal może upublicznić listy, ale, skoro
Thalia i Caswell będą małżeństwem,
ukáže go to w złym świetle.

Towarzystwo może krzywo patrzeć na
twoją siostrę, ale rola Ormsby'ego w tej
całej sprawie, zwłaszcza próba
zrujnowania reputacji młodej mężatki,
poślubionej ogólnie lubianemu
dżentelmenowi sprawi, że zaczną go
uważać za łajdaka, którym zresztą jest. -
Gdy Juliana nadal wydawała się

nieprzekonana, dodał: - Pamiętaj, że Caswell uchodzi za doskonałego szermierza i strzelca - sądzisz, że Ormsby będzie chciał

zginąć w pojedynku?

-A ty pamiętaj, że Ormsby wyszedł cało już z niejednego takiego starcia - zauważyła Juliana roztargnionym tonem. Asher mówił bardzo rozsądnie i zastanawiała się, dlaczego żadne 97

z nich nigdy nie pomyślało, jaką cenę zapłaciłby Ormsby, gdyby spełnił swoje groźby. Ponieważ, uznała z goryczą, zaprzętało nas tylko to, jaką ujmę nam to przyniesie - na co właśnie liczył Ormsby. Julianie coś przyszło do głowy,

aż zaparło jej dech w piersiach. -
Ormsby umieścił

szpiega, by go ostrzegł, kiedy przyjedzie
Caswell, gdyby ten przybył

potajemnie - rzekła, patrząc na Ashera. -
Chce zapobiec ucieczce Thalii z
Caswellem!

Asher skinął głową. - Też tak uważam. -
Uśmiechnął się. -Ormsby nie jest tak
pewny siebie, jak udaje. Ma w garści
listy, ale nie Thalię.

Juliana, wbijając wzrok przed siebie,
zmarszczyła brwi.

- Teraz nie uciekną, skoro Thalia ma

wysypkę. - Przygryzła wargę. -1

nie wiem, czy Caswell zgodziłby się z nią uciec... nie wiedząc, dlaczego to takie konieczne. A gdy się dowie, w czym rzecz... - Skrzywiła się. -

Zamiast uciec z Thalią, może równie dobrze ją zostawić i złamać jej serce albo wyzwać Ormsby'ego na pojedynek. Żadne wyjście do mnie nie przemawia.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Myślisz, że nie kocha jej na tyle, by machnąć ręką na listy?

Wzruszyła ramionami. - Sama nie wiem. Myślę, że jest jej oddany i naprawdę ją

kocha, a ona niczego strasznego nie zrobiła, lecz Ormsby przedstawi to w dużo gorszym świetle.

- Skrzywiła się. - Żaden mężczyzna nie poślubi kobiety, która wcześniej mogła go zdradzić.

- Hmm, ciekawe, czy to zaszło tak daleko - myślał głośno Asher.

Juliana rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Thalia może i jest małą gąską, ale nigdy nie dałaby się Ormsby'emu uwieść! - rzekła z żarem. -

Mogła się z nim spotykać w sekrecie i napisała kilka niemądrych listów, ale to wszystko.

Asher swe uwagi zachował dla siebie. -
Więc nie mamy się o co martwić - rzekł
cicho. - Zdobędę dla ciebie listy siostry.

98

- Zerknął na nią. - Z tego co ci
powiedziałem, domyśliłaś się, kim jest
ten człowiek, za którym wczoraj
pojechałem do Ormsby'ego?

- Tak - odparła ponuro. - Zanim wiosną
wyjechaliśmy do Londynu, ojciec najął
nowego stajennego. Nie wiedzieliśmy
jeszcze o przewrotnej naturze
Ormsby'ego i gdy ojciec wtedy
wspomniął, że kogoś szuka, Ormsby
zapropozował do tego zajęcia Williego
Dockery'ego. Brat Williego, Melvin, jest

teraz jego głównym stajennym i pracował dla Ormsby'ego od dziecka; Ormsby wyrażał się o Melvinie nader pochlebnie. Wszyscy inni służący są u nas od lat. - Zacisnęła usta. - Za godzinę już go tu nie będzie.

- Radziłbym ci go nie zwalniać. - Gdy spojrzała na niego ze zdumieniem, wyjaśnił: - Wiesz, kto to jest i gdzie przebywa, co znaczy, że możesz wykorzystać go do własnych celów.

- Uniósł brew. - Główny stajenny nie skarżył się na niego?

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale to nie ma znaczenia - chcę, żeby sobie poszedł.

- Jeśli ni z tego, ni z owego wyrzucisz Williego - rzekł cicho Asher -

wzbudzisz podejrzenia Ormsby'ego, co może skłonić go do jakichś działań nie po naszej myśli.

Ramiona jej opadły. - Naturalnie masz rację. Nie wzięłam tego pod uwagę. Więc co mamy robić? - zapytała ze skłopotaną miną. - Czy ten wąż nadal ma gnieździć się w stajni?

- Przynajmniej wiemy, gdzie ten wąż jest - odparł z uśmiechem.

Wzdrygnęła się z teatralną przesadą.

- Cudownie.

Asher i jego babka pożegnali się z Julianą i jej ojcem, po czym odjechali z Kirkwood. Asher uznał, że spotkanie z Julianą przebiegło dobrze, był też rad z poznania tożsamości stajen-99

nego, za którym jechał zeszłej nocy. Nie wiedział jeszcze, jak wykorzystać tę informację, ale był pewien, że coś wymyśli.

- Wyglądasz na dość zadowolonego z siebie - zauważyła babka, przerywając tok jego myśli.

- Spędziłem właśnie miłe pół godzinki z uroczą niewiastą. Dlaczego nie miałbym być zadowolony? - Uniósł brew. - A jak twoja wizyta u prześlicznej Thalii?

- Cóż, to nieszczęsne stworzenie nie jest w tej chwili takie prześliczne, ta wysypka wygląda doprawdy okropnie. - Zmarszczyła brwi. - Ucieszyła się rozbrajająco na mój widok i była bardzo wdzięczna za galaretkę, ale trochę się o nią martwię. Wiem, że ta choroba ją męczy i bez wątpienia czuje się upokorzona swoim stanem, ale wydawała się... aż nazbyt niespokojna i przygnębiona. Obawiam się, że coś ją dręczy. - Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się. - I, jak się nad tym zastanowić, Kirkwood wyglądał na jeszcze bardziej nieobecnego duchem niż zazwyczaj. - Spojrzała na Ashera z namysłem. - Czy coś przede mną ukrywasz?

- Nie, dlaczego? - odparł z niewinną miną. Skoro nadal się w niego wpatrywała, dodał pospiesznie: - Babciu, prawie nie znam tej młodej kobiety, od lat nie zamieniłem z nią ani słowa. Co do Kirkwooda, spotkałem go zaledwie parę razy w życiu. Cóż ja mogę wiedzieć?

Wbijała w niego wzrok jeszcze przez kolejną minutę, która wlokła się niemiłosiernie, po czym wzruszyła ramionami. - Oczywiście, nie możesz nic wiedzieć. - Patrząc ponownie na drogę, spytała nagle: - Widziałeś się z Johnem albo z ojczymem po przyjeździe do domu?

Nachmurzył się.

- Nie. Zamierzam podjechać do Jabłkowego Wzgórza w tygodniu.

Może w piątek. Dlaczego?

Zrobiła zakłopotaną minę.

100

-Wiesz, że nie lubię się wtrącać, ale martwię się sytuacją na Jabłkowym Wzgórzu.

- I? - ciągnął ją za język Asher, skoro zamilkła.

Babka westchnęła. - Nie chcę robić plotek - zaczęła niechętnie - ale parę dni

przed twoim powrotem przyszedł odwiedzić mnie John. -

Zerknęła na Ashera. - Zawsze staram się nie zawieść niczyjego zaufania, ale sądzę, że w tym wypadku powinieneś wiedzieć, co się dzieje. -

Wpatrując się w swe ręce, ciągnęła dalej: - Choć John udawał, że wszystko jest w porządku, ślepy by zauważył, że się zamartwia. Nie chciał mi powiedzieć, ale w końcu to z niego wydobyłam: Denning nalega, by John zerwał majorat, który dla niego ustanowiłeś, i żeby te niżej położone dwieście akrów sprzedali Ormsby'emu. Obawiam się, że Denning znowu wpadł w tarapaty - zakończyła ponuro.

- Podjadę tam jutro rano i sam się zorientuję w sytuacji - oświadczył z poważną miną.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Niezależnie od tego, co do niego czujesz, pamiętaj, że John i jego pozostałe dzieci naprawdę go kochają.

- Przecież go nie uduszę, jeśli to podejrzewasz, ale nie pozwolę też, by zrujnował przyszłość Johna. Dlatego ostatnim razem, gdy wyciągnąłem Denninga z długów, ustanowiłem ten majorat, żeby nie mógł przegrać więcej majątku syna - rzekł z wyraźną irytacją.

Poklepała go lekko po ramieniu. -
Wiem. I choć nie mówisz o tym, zdaję
sobie sprawę, że to ty zapewniłeś hojne
posagi dziewczynkom, zapłaciłeś za
londyński sezon i za patent Roberta w
kawalerii. -

Odwróciła wzrok i ciężko westchnęła. -
Byłam taka zadowolona, gdy Denning
zaczął uderzać w zaloty do twojej matki.
Myślałam, że będą dobrym
małżeństwem. Jego rodzina była dobrze
znana w okolicy, wiedziałam, że

101

pewnego dnia odziedziczy ładny
 majątek, a do tego w mundurze
 prezentował się wówczas niezwykle

przystojnie i dziarsko. -

Uśmiechnęła się ponuro. - Chyba zawojował mnie prawie tak jak twoją matkę, ale, oczywiście, wtedy nie wiedziałyśmy, że jest hazardzistą. -

Spojrzała na jego wyrazisty profil. - Ale musisz przyznać, że był dla ciebie dobry.

Nie odrywając wzroku od koni, Asher wymamrotał pod nosem: - To prawda, na swój sposób był dla mnie dobry. Zdaję sobie sprawę, że mógł

traktować mnie zupełnie inaczej. Nigdy nie dał mi odczuć, że jestem jego pasierbem, i za to go szanuję. Ale nie

wybaczę mu, że zupełnie nie dbał o przyszłość żony i dzieci - dodał twardo. Zerknął na babkę. - Ty wiesz najlepiej, że nie raz z powodu jego karcianych długów matka ledwo da-wała radę nakarmić nas i przyodziać. Postawiłaś na szali Burnham, by nas jakoś utrzymać, i gdyby nie ty, byłoby nam bardzo ciężko. A już na pewno bez twojej pomocy ani ja, ani moi bracia nie skończylibyśmy Eton. Mało brakowało, byś poszła na żebry, bo Denning nie potrafił i nie chciał trzymać się z dala od karcianego stolika - dodał ponuro. - Nie daruję mu tego, że stawiał na kartę przyszłość rodziny - ciągnął zimno. -1

jestem pewien, że zmartwienia i nerwy

skróciły życie mojej matce.

- Umarła przy porodzie... To się zdarza -
rzekła cicho pani Manley. W

jej oczach pojawił się wyraz smutku.

Spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. -
Wędrowała za nim z wojskiem po całej
Europie, w niespełna siedem lat
urodziła pięcioro dzieci, i to jej chyba
też nie wyszło na zdrowie. Nie wiesz,
jak to wyglądało. Ja wiem.

Choć byłem dzieckiem, pamiętam, jak
ciężkie warunki panowały w niektórych
obozach wojskowych, a było tak źle, bo
Denningowi zawsze brakowało
pieniędzy na rzeczy, które ulżyłyby

matczynej doli. Nawet gdy matka była w ciąży z Elizabeth i w końcu odesłał nas do domu, na Jabłkowe Wzgórze, nie zrobił tego ze względu na nią czy 102

na któreś z nas - dodał ponuro. - Wolał, żebyśmy nie plątali się pod nogami. Żona i gromadka dzieci nie pasuje do obrazu przystojnego, dziarskiego oficera kawalerii, za jakiego pragnął uchodzić. A poza tym, gdy zesłaliśmy mu z oczu, nie musiał stawać w obliczu tej niemiłej prawdy, że za każdym razem, gdy przegrywał pieniądze, odejmował nam jedzenie od ust.

- Wiem. Wiem, że bywało nielekkko.

- Nielekkko? - wybuchnął. - Wiesz, że na

Jabłkowym Wzgórzu mama wychodziła ze skóry, byśmy mieli jakikolwiek przydziewek i dach nad głową, który nie przecieka. Wiem, że nawet wtedy wsuwałaś jej pieniądze, a jej było wstyd, że musiała je od ciebie brać. A podpułkownik Denning? Wracał do domu akurat na tak długo, by pogłaskać nas, dzieci, po główkach, zauważyć jak urosłyśmy, zrobić mamie kolejne dziecko i odjechać do swego szwadronu. Ta ostatnia ciąża ją zabiła - a także dziecko, które usiłowała urodzić. Ale czy pułkownik przyjechał do domu, by zająć się swymi osieroconymi dziećmi? - dodał ochrypłym głosem. -

Opiekę nad nami powierzył tobie.

Dzięki temu, że wzięłaś nas pod swoje skrzydła i zabrałaś do Burnham, nie wyrośliśmy na bandę dzikusów.

Czasem myślę, że los wymierzył mi należyłą karę, gdy stracił nogę pod Villers-en-Cauchies i musiał odejść z wojska.

Asher, którego nozdrza zbielewały i pulsowały, starał się powściągnąć gniew i gorycz. Zazwyczaj swe uczucia względem ojczyma starał się trzymać na wodzy, lecz niekiedy... Głośno wciągnął powietrze w płuca i warknął: - Dobrze, że kiedy wrócił, miałem osiemnaście lat i nie musiałem mieszkać z nim pod jednym dachem, bo inaczej zrobiłbym mu coś złego.

Cóż pani Manley mogła na to odpowiedzieć? Denning nie dbał o dom i dobrze wiedziała, ile trudu kosztowało Jane utrzymanie rodziny na jakim takim poziomie. Potrząsając głową, wróciła pamięcią do tych straszliwych chwil, gdy Jane umarła. Zamierzała 103

przenieść się na Jabłkowe Wzgórze na czas narodzin szóstego dziecka Jane, lecz wyjechała w odwiedziny do znajomych, gdy parę tygodni przed terminem córka niespodziewanie zaczęła rodzić. Gdy przybył służący z pilną wiadomością i pospieszyła do córki, było już za późno. Po ciężkim porodzie na świat przyszedł martwo urodzony

chłopiec, a Jane po prostu odeszła.

Nie miała do Ashera pretensji za jego stosunek do ojczyma.

Emerytowanym podpułkownikiem pogardzała równie głęboko, jak jej najstarszy i najukochańszy wnuk. Jak Asher, obwiniła Denninga za śmierć Jane - i za to, że mało brakowało, by jej wnuki znalazły się na bruku, bez dachu nad głową i środków utrzymania. Choć zabrała je do siebie do Burnham na czas, kiedy Denning kontynuował służbę wojskową - i rozwiązało życie, gdyby Asher nie wspierał rodziny finansowo, Bóg jeden wie, co stałoby się z nimi wszystkimi. Denning straciłby Jabłkowe Wzgórze, a ja zapewne musiałabym

opuścić Burnham, przyznała z drzeniem.

Wiedziała, że część pieniędzy, które przez te lata dostarczał Asher, pochodziła z hazardu. Ocalił rodzinę od ruiny, myślała ironicznie, za pomocą tego samego występku, za który urągał ojczymowi, i podejrzewała, że między innymi dlatego nie znosił Denninga.

Lecz, w przeciwieństwie do ojczyma, Asher nigdy nie grał po pijanemu, miał

bystre oko, tęgą głowę i bezsprzecznie diabelne szczęście.

- Masz prawo żywić takie uczucia względem ojczyma - rzekła. - Nie winię cię za to. Żebyś tylko nie popsuł sobie z tego powodu stosunków z rodzeństwem.

- Jak dotąd nie popsulem - stwierdził ponuro.

Nie mieli nic więcej do powiedzenia na ten temat i z wymuszonym uśmiechem na ustach pani Manley spytała:

- Czy dotrzymasz towarzystwa starej kobiecie i zjesz ze mną wieczorem kolację?

104

Twarz mu złagodniała. - Oczywiście. Muszę zobaczyć, jak się sprawuje Apollo - odparł kpiarsko.

- I to nie ma nic wspólnego z talentem kucharki do przyrządzania pasztecików,

nieprawdą?

Zaśmiał się.

- To kusi, ale do twego stołu przyciąga mnie przede wszystkim twoja czarująca osoba.

Odegnawszy złe wspomnienia, Asher uśmiechał się, gdy jego konie skręciły na podjazd prowadzący do Burnham.

Rzucił lejce stajennemu, który podbiegł, gdy zatrzymali się przed domem, po czym zeskoczył i obszedł powóz, by pomóc wysiąść babce.

Razem podeszli do domu. Szli przez hol, gdy z głębi domu wyłonił się Dudley.

- Wydawało mi się, że słyszałem nadjeżdżający powóz - rzekł, uśmiechając się do nich. Wziąwszy od pani Manley parasolkę i rękawiczki, powiedział: - Gdy jaśnie pani nie było, przyszło pismo.

Położyłem je na stole tuż przy drzwiach frontowego salonu.

- Dziękuję. A jak Apollo? - zapytała, unosząc brew. Dudley się rozpromienił.

- Jest całkiem zadowolony, gdyż kucharka ustąpiła i dała mu kość od szynki. Przez całe popołudnie obgryzał ją radośnie pod stołem w kuchni.

Asher i pani Manley uśmiechnęli się i

przeszli do frontowego salonu, gdzie pani Manley wzięła liścik.

Rozpoznavszy charakter pisma, wydała okrzyk radości.

Asher, który spacerował po pokoju urządzonym w barwach niebieskich i kremowych, wśród mebli zapraszających, by na nich spocząć, obejrzał się przez ramię. - Dobre wiadomości? - zapytał.

- Mam nadzieję - odparła pani Manley, która właśnie otworzyła kopertę i zaczęła czytać.

105

Chwilę później, uśmiechając się do

Ashera, rzekła: - To w istocie dobre wieści. Moja kochana przyjaciółka, Barbara Sherbrook, przyjedzie od piątku za tydzień, albo od soboty, zależnie od tego, jak szybko pozwoli swemu siostrzeńcowi, lordowi Thorne'owi, popędzać konie. - Zaśmiała się. - Nie ruszy się na krok bez męskiej eskorty. Lord Thorne ją zawiezie, a potem syn, Marcus, odwiezie do domu, do Sherbrook. - Z radością klasnęła w dłonie. - Często do siebie piszemy, lecz rzadko się widzimy.

Z niecierpliwością czekam na tę wizytę. Miło będzie obgadać wszystkie zaległe sprawy i dowiedzieć się nowinek o jej synu, Marcusie, i jego młodej

oblubienicy. - Przybrała zamyśloną minę. - Choć właściwie -

zreflektowała się - słowo „oblubienica” chyba nie jest tu na miejscu, pobrali się wszak zeszłej wiosny. Barbara praktycznie porzuciła już nadzieję, że on się kiedykolwiek ożeni i obdarzy ją wnukami. - Spojrzała chytrze na Ashera.

- My, starsze panie, jesteśmy szczęśliwe, gdy na świecie pojawia się nowe pokolenie, a moja przyjaciółka nie posiada się z radości

- Marcus i Isabel spodziewają się pierwszego dziecka. Czując się, jakby właśnie wepchnięto mu berdysz w absolutnie niewłaściwe miejsce, Asher

zastygł.

- Jak mówisz, Sherbrook? Chyba nie słyszałem tego nazwiska.

- Może i nie, ale ja znam Barbarę od dawna, nasi ojcowie byli dobrymi znajomymi. Barbara i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółkami od dziesiątek lat. -~ Uśmiechnęła się do niego czule. - Chyba nie znasz jeszcze żadnego z członków jej rodziny, ale gdy się z nimi poznamiesz, na pewno bardzo ich polubisz.

- Lekko uderzając w wargę liścikiem, dodała: - To bardzo romantyczne, że po tylu latach Marcus i Isabel się pobrali. Był opiekunem prawnym Isabel, zanim

poślubiła pierwszego męża, biedak zmarł w Indiach, ale Barbara zawsze uważała, że Marcus i Isabel są dla siebie stworzeni. Wygląda na to, że miała rację.

106

Rozdział 7

Asher uznał, że jest o wiele lepszym aktorem, niż mu się wydawało.

W pierwszej chwili zdrętwiał, lecz zaraz odezwał się z podziwu godnym spokojem:

- Chętnie poznam twoją przyjaciółkę, a z czasem jej syna i jego żonę.

Pani Sherbrook i o ile dobrze zapamiętałem, lord Thorne przybędą... od piątku za tydzień, zgadza się?

Gdy jego babka skinęła głową, ciągnął dalej: - Zatem postaram się być wolny tego dnia. - Patrząc na zadowoloną minę babki, zastanawiał się cierpko, czy dałby radę do tego czasu zachorować na odrę. Albo na ospę.

Dżuma byłaby jeszcze lepsza. Cokolwiek, byleby tylko nie musiał stanąć twarzą w twarz z Marcusem Sherbrookiem, gdy przybędzie, by odwieźć matkę do domu.

Przez cały wieczór zachowywał pozory normalności, ale łamał sobie głowę jak

szalony, by coś wymyślić, i przeklinał swego pecha.

Przysięgłby na grób matki, że aż do dzisiejszego popołudnia jego babka nigdy nie wymieniła nazwiska Sherbrook. Być może od czasu do czasu wspominała o swej przyjaciółce Barbarze. W istocie teraz mętnie sobie przypominał, że faktycznie mówiła o jakiejś Barbarze, ale nigdy nie zwracał na to uwagi. Bo niby dlaczego? Jego babka miała wielu znajomych

107

i przyjaciół, których nigdy nie widział na oczy, a tylko czasem o nich słyszał. Niefortunnie się złożyło, pomyślał

cierpko, że nigdy nie wymieniła przy nim jej nazwiska. Lecz czyż miałyby to jakikolwiek wpływ na wydarzenia zeszłej wiosny? Skrzywił się. Zapewne nie. Skoro raz postanowił, że zdobędzie notatkę, która Whitley wykradł z Gwardii Konnej, fakt, że jego babka przyjaźni się z matką Marcusa Sherbrooka, nie odwiódłby go od zamierzonego celu.

Kiedy parę godzin później pożegnał się z babką i jechał przez gęstniejący mrok do Lisiej Nory, świadomość, że za niewiele ponad tydzień spotka się twarzą w twarz z człowiekiem, którego żonę porwał, zżerała go niczym kwas. Mniejsza z tym, że włamał się również

do sejfu Marcusa, skąd wyciągnął niezwykle ważną notatkę. Notatkę, którą później sprzedał księciu Roxbury.

Zbliżając się do stajni w Lisiej Norze, zastanawiał się, czy mógł

postąpić inaczej. Ale znał już odpowiedź. Owszem, gdy dowiedział się, że notatka jest w posiadaniu Marcusa, wystarczyło przesłać Sherbrookowi bilecik z informacją, gdzie został ukryty dokument, a potem odjechać, wiedząc, że zostanie zwrócony komu trzeba. Wówczas mógłby odwołać całą sprawę. Zaniechać porwania Isabel Sherbrook i całej reszty. Ale czy rzeczywiście? - zadał sobie gorzkie pytanie. Nie. Za wszelką

cenę chciałem wygrać i skoro raz zacząłem wprowadzać plan w życie, zrobiłbym wszystko, by samemu odzyskać dokument... i otrzymać niemal królewski okup, o czym też należy pamiętać.

Idąc w kierunku domu, nie szukał dla siebie żadnych wykrętów i wiedział, że gdyby po raz drugi znalazł się w podobnych okolicznościach, postąpiłby tak samo. Niemniej ciążyło mu, że nieumyślnie uwikłał w to przyjaciółkę babki. W przeszłości dopuszczał się czynów, z których nie był dumny, lecz pilnował,

by ciemna strona jego życia nigdy nie rzuciła się cieniem na rodzinę, dla której bezpieczeństwa ryzykował wszystko.

Cisnął rękawiczki na stół w wyłożonym dębową boazerią holu, po czym poszedł do gabinetu. Nalał sobie trochę brandy i z kieliszkiem w dłoni chodził po pokoju, nieswój i niespokojny.

W końcu rzucił się na swój ulubiony, obity czarną skórą fotel i sączył

brandy, zastanawiając się, czy spotkanie z Marcusem Sherbrookiem będzie oznaczało jego upadek, a rodzinę skompromituje i okryje hańbą -

czego obawiał się najbardziej na

świecie. Chyba jednak nie. Sherbrook właściwie nigdy go nie widział, a co do jego żony... Porwał Isabel Sherbrook, lecz w jej towarzystwie spędził niewiele czasu. Mogłaby poznać go po głosie, ale w czasie porwania niewiele się do niej odzywał.

A poza tym, dlaczego którekolwiek z Sherbrooków miałoby wiązać wnuka drogiej przyjaciółki pani Sherbrook z wydarzeniami zeszłej wiosny? Niemniej nadal czuł się niepewnie. On sam miał doskonały słuch i gdy raz usłyszał czyjś głos, zapamiętywał go na zawsze.

Zmarszczył brwi. Jest mało prawdopodobne, by Isabel Sherbrook rozpoznała go po czymkolwiek. W

zeszłym roku powiedział do niej zaledwie parę słów. Może się jej wydawać, że zna jego głos, lecz raczej nie skojarzy go z mężczyzną, który dość dawno temu porwał ją i na krótko uwięził.

Czując się nieco pewniej, dokończył brandy.

Podniósł się, podszedł do kredensu i odstawił pusty kieliszek.

Zmarnował parę minut, błędząc po pokoju, po czym uznał, że na pewno nie zaśnie. Zastanawiając się, jak zabić czas, stwierdził, że najlepiej będzie odbyć nocną przejażdżkę i przeprowadzić krótki rekonesans

okolicy wokół posiadłości Ormsby'ego. Taka orientacja w terenie bardzo mu się przyda - majątku

109

Ormsby'ego nie odwiedzał już od paru lat i winien ponownie sprawdzić, czy nie natrafi na jakąś nową przeszkodę przy dokonywaniu łatwej, jak mu się wydawało, kradzieży. W istocie, dobrze byłoby zerknąć na dom i otaczające go grunta świeżym okiem, zanim obmyśli jakieś konkretne plany.

Powziąwszy decyzję, Asher wrócił do stajni i rezygnując z pomocy stajennego, sam osiodłał długonogiego gniadego wałacha pełnej krwi.

Chwilę później odjeżdżał w mrok.

Jazda do posiadłości Ormsby'ego przeszła gładko i niebawem Asher prowadził konia przez ten sam las, przez który jechał poprzedniej nocy.

Skryty w gęstwinie, przyglądał się stajniom, a widząc, że wokół nich jest ciemno i cicho, ruszył ku rezydencji.

Przywiązał konia do młodego drzewka, na tyle daleko, by nikt go nie zoczył ani przypadkiem się na niego nie natknął, po czym ruszył ku domowi, gdzie jego lordowska mość żył pośród pałacowego przepychu.

Trzypiętrowa budowla z otynkowanego

kamienia górowała nad okolicą.

Asher podszedł do niej od zachodu, po czym przemknął na przeciwną stronę jednego z dwóch skrzydeł odchodzących od głównej bryły budynku.

Dobrze się składa, myślał, bezszelestnie obchodząc budynek, że otaczające go ogrody są tak rozległe, a kilka ścieżek odchodzi we wszystkich kierunkach do ustronnych zakątków. Uznał, że w zaroślach, pośród drzew, w obrośniętych winem kryjówkach i szczelinach, w które obfitował ten teren, mogłaby się ukryć mała armia. Asher przekradł się do wschodniego skrzydła domu, wszedł do zdobnej białą kratownicą altanki, która wychodziła na

uroczy mały staw, i spojrzął na rozległy budynek leżący tuż za stawem. Dzieliła go od niego szeroka przestrzeń trawnika porośniętego tu i ówdzie potężnymi dębami, a także artystycznie rozmieszczonymi drzewami i krzewami, ale miał stąd wyraźny widok.

Ktoś mógłby go dostrzec tylko wówczas,

110

gdyby przechodził przez mały dziedziniec przylegający do gabinetu, a ponieważ nie zamierzał tam długo zabawić, nie uznał tego za przeszkodę.

W słabym poblasku księżyca dom w oddali rysował się jako potężny, ciemny

kształt. Sądząc po czarnych oknach, dzisiejszej nocy to skrzydło nie było używane. Jak pamiętał, apartamenty markiza znajdują się na drugim piętrze zachodniego skrzydła. Życie toczyło się w części środkowej i o tej nocnej godzinie Ormsby zapewne tam przebywał. Na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła mieściła się sala balowa, pokój muzyczny, mały salon, biblioteka i gabinet, kolejne sypialnie urządzono na drugim piętrze. Zakładał, że na trzecim piętrze ulokowano pokój dziecinny, strych albo pomieszczenia dla służby - tak daleko nigdy nie dotarł. Uważnie przesuwając spojrzeniem po rozpościerającej się przed nim ciemnej przestrzeni, rozpatrując

niebezpieczeństwa. Nigdzie nie było ani promyka światła, a więc można spokojnie założyć, że Ormsby nie przebywa w gabinecie... przynajmniej nie w tej chwili.

Asher wyszedł z altanki i przemknął przez trawnik, kryjąc się za drzewami i krzewami. Szybko przeszedł przez mały dziedziniec, nacisnął

klamkę balkonowych drzwi i uśmiechnął się, gdy ustąpiła. Słusznie liczył

na to, że na wsi domy rzadko się zabezpiecza przed nieproszonymi gośćmi.

Wsunąwszy się do przestronnego

pokoju, odczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do absolutnej ciemności, po czym z kieszeni kurtki wyjął małą świecę. Skrzesał ognia i rozbłysło światełko.

Oślaniając ciałem migocący płomyczek, rozejrzał się po mrocznym pokoju. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy ostatni raz był w tym gabinecie. Te same meble, w takim samym ustawieniu, Gainsborough nadal wisiał przed nim na ścianie, zakrywając, miał nadzieję, ten sam sejf, co poprzednio. Prze-111

sunąwszy się przez pokój, stanął przed ogromnym obrazem, zastanawiając się, co dalej.

Dziś wieczorem nie zamierzał wykradać

listów, ale skoro udało mu się dotrzeć aż tutaj, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, miał wielką ochotę skorzystać z okazji. Zmarszczywszy brwi, zastanawiał się nad tym parę sekund, rozważając wszystkie za i przeciw. Jeśli listy są w sejfie, dostanie je do rąk za kilka chwil... Ale najpierw będzie musiał zdjąć obraz, otworzyć sejf, poszukać listów i, zakładając, że tam są, wyjąć je, potem doprowadzić wszystko do stanu poprzedniego, co zajmie czas, nie bardzo dużo, ale może mu go nie starczyć. Nie chciał zostawiać śladów włamania, toteż gdy wyjdzie z pokoju, nikt nie powinien się zorientować, że coś jest nie w porządku - ani że ktoś tu był. Ale nie wiedząc, w której części

domu znajduje się Ormsby, i zdając sobie sprawę, że o tej porze markiz w każdej chwili może zajrzeć do gabinetu, Asher uznał, że na razie tylko zerknie za obraz.

Odsunął go lekko, mrugnął, gdyż zgrzytnął obrazem, kiedy wysunął

mu się trochę z ręki i otarł o ścianę. W napięciu odczekał sekundę, po czym przechylił głowę i, oświetlając sobie ścianę płomykiem świeczki, zerknął za obraz. Sejf tam był i wyglądało na to, że to ten sam, który widział przed laty. Poczul przemożną chęć, by uderzyć teraz, zdjęć obraz, otworzyć sejf i poszukać listów Thalii, ale ją zwalczył. Od zeszłej wiosny, gdy był o włos od

klapy, niemal przesądnie obawiał się nagłej zmiany planów i choć impuls popychał go do działania, napomniął się, że dzisiaj przybył tu tylko po to, by się rozejrzeć, nic więcej.

Zesztywniał, włosy na karku stanęły mu dęba. Wyczuł coś... jakąś zmianę prądu powietrza, jakiś słaby dźwięk... Nie było powodów do niepokoju, ale instynkt powiedział mu, żeby się nie ociążał, a Asher słuchał tych podszeptów. Odrzuciwszy na bok wszelkie wątpliwości, z szybkością błyskawicy umieś-

112

cił obraz na swoim miejscu i umknął

przez balkonowe drzwi, z najwyższym pośpiechem zamykając je cicho za sobą.

Nie chcąc, by zapach świeżo zgaszonej świecy unosił się w powietrzu gabinetu, już na zewnątrz przystanął na chwilę, by zdusić światło świeczki, po czym pobiegł do jednego z wielkich dębów porastających trawnik. Skryty za rozłożystym drzewem, schował zgaszoną już świeczkę do kieszeni i ukradkiem zerknął na dom. Tętno zabiło mu szybciej na widok snopu światła, który rozblysł w wysokich oknach pokoju, który właśnie w takim pośpiechu opuścił. Chryste! Uciekł w ostatniej chwili i błogosławił swemu instynktowi, wiedząc, że o mały włos zostałaby

nakryty.

Przez parę minut przyglądał się, jak ktoś obchodzi pokój, światło świec wskazywało jego trasę. Z gabinetu nie dochodził bynajmniej jakiś wątyły promyczek światła, osoba, która się tam znajdowała, oświetlała sobie drogę potężnym świecznikiem, co dawało Asherowi niemal całkowitą pewność, że po pokoju krąży markiz, a nie jakiś wścibski służący. Asher zastygł, gdy wysoki mężczyzna, dobrze widoczny w blasku płonącego świecznika trzymanego w ręce, przystanął przed drzwiami balkonowymi i wyjrzał na zewnątrz. Ormsby.

Przez trudną do zniesienia chwilę markiz

stał tam, wpatrując się w noc; czyżby wyczuł, że Asher też na niego patrzy? Ormsby obrócił się, jakby się do kogoś zwracał. Potem powrócił do poprzedniej pozycji, otworzył balkonowe drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zwężonymi oczyma Asher przyglądał się, jak obchodzi mały dziedziniec; trzymany w ręku świecznik rzucał złocisty blask na pobliski teren. Co on robi, do diabła ciężkiego, zastanawiał się Asher.

Przyszła mu do głowy niemiła myśl, że, tak jak jego ostrzegł instynkt, i markiz mógł ulec podszeptom swej intuicji. Czy chce odetchnąć nocnym powietrzem? Czy też obudziły się w nim jakieś

podejrzenia? Czyżby wyczuł intruza?

113

Bez względu na powody, które skłoniły markiza do nocnej przechadzki, po kilku dręcząco długich minutach wrócił do gabinetu, lecz zanim to się stało, Asher ujrzał jego towarzysza, który podszedł do drzwi i zapytał kwaśno, czy markiz zamierza spędzić tam całą noc. Asher natychmiast rozpoznał ten głos, a także krzepką postać i drewnianą nogę.

Denning!

Na widok ojczyma stojącego w świetle otwartych drzwi balkonowych w Asherze wezbrała pogarda. Nie ulegało

dla niego wątpliwości, że gdy Ormsby postanowił zajrzeć do gabinetu, grał z pułkownikiem w karty.

Nawet gdyby babka go nie ostrzegła, wieczorna obecność Denninga stanowiłaby dla niego wyraźną oznakę, że pokusa stolika przewyciężyła skrupuły ojczyma... jeśli kiedykolwiek miał jakieś skrupuły, pomyślał

ponuro Asher.

Najwyraźniej uspokoiony, że nikt nie czai się w mroku, gospodarz wrócił do domu, gdzie dołączył do Denninga, zamknąwszy za sobą drzwi.

Asher patrzył na obu mężczyzn, póki nie

zniknęli mu z oczu. Chwilę później w gabinecie zapadła ciemność.

Dopiero gdy Asher nabrał pewności, że markiz nie wróci, wyszedł

spod osłony drzewa i pędem przebył odległość dzielącą go od jego konia.

Niewiele brakowało, by Ormsby go przyłapał, toteż Asher pragnął

znaleźć się jak najdalej od jego rezydencji. Może to przypadek, zbieg okoliczności przywiódł Ormsby'ego wieczorem do jego gabinetu, lecz do zbiegów okoliczności Asher podchodził ze zdrową rezerwą.

Niezależnie od tego, co sprowadziło markiza do gabinetu, Asher nabrał

szacunku do jego instynktu i gdy wejdzie tu następnym razem, musi mieć absolutną pewność, że Ormsby'ego nie ma w domu. Co do jego ojczyma...

skoro Denning przesiaduje u Ormsby'ego, Asher tym bardziej musi zjawić się jutro na Jabłkowym Wzgórzu.

Odwiązał konia, wskoczył na siodło i ruszył do domu. Dzisiejsza obecność Denninga u markiza martwiła go, ale nie
114

zamierzał poświęcać temu większej uwagi. Jutro będzie dość czasu, by się

zastanowić nad tą przykrą sprawą, a teraz skupił się na tym, że Ormsby mało na niego nie wpadł, i póki nie zjawił się Denning, Asher z lubością bawił się z markizem w kotka i myszkę. A szczególną radość, przyznał ze złośliwym uśmiechem, sprawiło mu to, że wyszedł z tego incydentu bez szwanku.

Ale gdy następnego ranka jego koń, tym razem kary, truchtem zdążył

w kierunku Jabłkowego Wzgórza, Asher już się nie uśmiechał. Trudno mu będzie wybrnąć z sytuacji, w jakiej postawił go ojczym.

Denninga łatwo będzie przyprzeć do

ściany, ale miał kłopot z bratem.

Za niespełna miesiąc John skończy dwadzieścia pięć lat i nie będzie już żółtodziobem jak wtedy, gdy Asher po raz ostatni wyciągnął pułkownika z długów i ustanowił majorat, by ojczym nie mógł przegrać resztek Jabłkowego Wzgórza w karty. Asher wiedział, że obecnie sprawy mają się inaczej i że będzie musiał postępować z dużą dozą zręczności i delikatności. John jest już dorosły i nie położy uszu po sobie, gdy starszy brat wpadnie i zacznie rozstawiać go po kątach - nawet, pomyślał cierpko Asher, jeśli zrobi to dla jego własnego dobra. Nie, musi postępować ostrożnie, by brata nie

urazić ani nie zranić jego dumy. Ani nie rozbudzić instynktów opiekuńczych Johna względem ojca.

Z ponurą miną skierował konia na długi, kręty podjazd, prowadzący do posiadłości. Choć wszelkie uczucia Ashera do ojczyzna dawno wygasły, wiedział, że przyrodnie rodzeństwo kocha ojca. Bo niby dlaczego nie, pomyślał ze znużeniem. Obyczaje Denninga zniszczyły miłość i szacunek, którymi Asher niegdyś go darzył, lecz nigdy nie dał

poznać swym braciom i siostrze, jak niewiele brakowało, by ojciec doprowadził ich

wszystkich do ruiny, toteż całe potomstwo pułkownika darzyło go wielkim uczuciem.

Gdy Asher nalegał, dość gwałtownie, na ustanowienie majoratu, John mógł podejrzewać, że kryje się za tym coś więcej, jednak z całą pewnością reszta rodzeństwa nie domyślała się, iż pieniądze, dzięki którym otworzyły się przed nimi wspaniałe możliwości, pochodziły z kieszeni Ashera. Och, wiedzieli, że starszy brat przyrodni był hojny i że pomógł im pewnie stanąć na drodze prowadzącej ku wygodnej przyszłości, lecz żadne nie miało pojęcia, jak wielki był jego wkład.

Całkiem mu odpowiadało, że ojca uważali za swego dobroczyńcę, i przyznał cierpko, iż nie zadawali zbyt wielu pytań co do pochodzenia dużych sum, które na nich łożył.

Jego ojczym zakładał, że pieniądze przekazywane przez Ashera na potrzeby rodziny pochodziły z hazardu, i w znacznej mierze miał rację.

Asher nie widział powodu, by zachwiać tym jego przekonaniem. Jak można się było spodziewać, to ojczym wprowadził Ashera w tajniki gry -

chłopiec nie miał jeszcze sześciu lat, gdy Denning położył przed nim talię kart

oraz parę kości i zaczął go uczyć różnych gier hazardowych. Denning był zdziwiony, jak szybko Asher polubił kości i karty, i do dziś dnia jest bardziej dumny z bystrości i fenomenalnej pamięci pasierba przy karcianych stolikach niż z jakiegokolwiek innego jego osiągnięcia. Sam nałogowy hazardzista, Denning nigdy nie podważał gładkich wyjaśnień Ashera, że oto poszcęściło mu się na wyścigach albo w którejs z londyńskich jaskiń gier.

Droga lekko się wznosiła i gdy Asher dotarł na szczyt łagodnie falującej przestrzeni, jego oczom ukazał się dom - równe rzędy jabłoni, od których posiadłość wzięła nazwę, rozchodziły

się promieniście za głównym budynkiem w dal. Początkowo Jabłkowe Wzgórze było wąskim, trzypiętrowym dworem, ale przez stulecia, w miarę jak przybywało dobudówek, zwiększyło swą

116

powierzchnię w czwórnasób. Główna część, z wysokim, dwuspadowym dachem, w połowie była drewniana ze względu na przybudówki - parę dwupiętrowych skrzydeł po obu stronach, tworzących uroczy zlepek różnych materiałów - drewna, cegły i kamienia. Żółte róże pięły się dziko w rogach obu skrzydeł, rozsiewając w powietrzu swój zapach, latem bez kwitł

w pobliżu frontowych drzwi, a obecnie różowe i białe peonie skłaniały swe ciężkie pąki ku podmurówce głównej bryły, podnosząc jej urok. Choć spędzone tu lata były gorzkie, Asher zachował parę miłych wspomnień z Jabłkowego Wzgórza i swej młodości. Jego życie we dworze, napomniał się, zatrzymując konia przy bocznej ścianie domu, nie było całkiem pozbawione radości.

Przywiązał konia w miejscu, gdzie się zatrzymał, po czym ruszył

wyłożonym cegłą przejściem prowadzącym do domu. Zatrzymawszy się przed pociemniałymi ze starości

dębowymi drzwiami, uniósł czarną żelazną kołatkę i zastukał.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty Woodall, kamerdyner dworu na Jabłkowym Wzgórzu. Był to krągły mężczyzna w średnim wieku, o przyjemnych rysach i uważnych, brązowych oczach.

Woodall, a przed nim jego ojciec i dziadek, służyli w rodzinie Denningów. Asher zawsze był ulubieńcem Woodalla i z przyjemnością wspominał słodycze, a zwłaszcza śliwki w cukrze, które kamerdyner wsuwał jemu i jego rodzeństwu do kieszeni w czasie świąt Bożego Narodzenia.

- Panicz Asher! Co za miła niespodzianka! - wykrzyknął Woodall. -

Panicz John bardzo się ucieszy na pana widok.

-A pułkownik? Jest w domu? - zapytał Asher, wręczając Woodallowi rękawiczki i kapelusz.

Radość na twarzy starszego mężczyzny nieco przygasła. Skinął

głową. - Tak, ale jeszcze nie wstał. - Zakaszlał delikatnie. - Pański ojczym wrócił wczoraj bardzo późno.

Asher powstrzymał się od uwag. - Może wstanie przed moim wyjazdem po południu i zdążę się z nim zobaczyć - rzekł lekko.

Sądząc z miny, Woodall miał co do tego wątpliwości. - Pułkownik może obudzić się bardzo późno - ostrzegł.

Asher uśmiechnął się do niego.

- Zapominasz, że doskonale znam zwyczaje ojczyma. A teraz zaprowadź mnie do Johna.

Gdy wszedł do biura posiadłości na tyłach jednego ze skrzydeł, nie zdziwił się na widok przyrodniego brata zatopionego w pracy.

Ujrawszy Ashera, John uśmiechnął się do niego na powitanie, odłożył gęsie pióro i podniósł się zza zarzuconego papierami dębowego biurka, za którym siedział. Kiedy przemierzył dzielącą ich odległość, z entuzjazmem potrząsnął ręką Ashera i wykrzyknął:

- Mój Boże, jak miło cię widzieć!
Słyszałem, że znowu osiadłeś w Lisiej Norze, i zbieram się, żeby cię odwiedzić.

Choć nie byli bardzo do siebie podobni, nie ulegało wątpliwości, że łączy ich pokrewieństwo - obaj wysocy, postawni, o takiej samej karnacji, mieli zbliżony wygląd oczu i ust. Wszystkie dzieci Jane urodę odziedziczyły po niej,

najdobitniej przejawiało się to w oczach, lecz wszyscy wzięli po niej też czarne włosy i oliwkową cerę, choć u dziewcząt była ona nieco jaśniejsza. Jedynie John i Martha, najstarsza córka Jane, zachowali kolor oczu matki - uderzająco zielony. Ponieważ pochodzili od różnych ojców, nic dziwnego, że rysy Ashera nieco się różniły od potomków Denninga - kontury jego szczęki i nosa były subtelnie rzeźbione, czym pozostali nie mogli się poszczycić.

- Siadaj - rzekł John, wskazując na zniszczony, lecz wygodny skórzany fotel.
- Zadzwoń na Woodalla, żeby przyniósł jakieś przekąski?

Asher z uśmiechem pokręcił przecząco głową. Usadowiwszy się, patrzył, jak jego przyrodni brat zajmuje fotel naprzeciwko. John wydawał

się spokojny i pogodny, Asher nie dostrzegł w nim śladu zmartwienia. Z

całą pewnością nie wyglądał na człowieka, który właśnie ma się zrzec części swej schedy. Asher zastanawiał się, czy babka się nie pomyliła.

Może źle zrozumiała słowa Johna?

Rozglądając się po znajomym pokoju, w którym ciężkie, męskie meble

poustawiane były bezładnie, Asher pobiegł wzrokiem do dokumentów zaścielających blat biurka. Patrząc na Johna, uniósł brew i zapytał leniwie:

- Myślałem, że w taki ładny dzień będziesz objeżdżał gospodarstwa.

Dlaczego siedzisz tu jak przykuty, ślęcząc nad księgami rachunkowymi?

John nie dał się nabrać. - Babcia powiedziała ci, że wpadłem do niej jak oszalały? - zapytał z uśmiechem. Asher wzruszył ramionami.

- Coś tam słyszałem, że nie wszystko idzie jak należy.

- I po raz kolejny przybyłeś mi na ratunek? - zapytał kpiąco John.

Asher zmarszczył brwi i wbił wzrok w swój but. John nie zachowywał

się jak młody człowiek przygnieciony brzemieniem trosk. Może babcia naprawdę coś źle zrozumiała. Nie. John sam wspomniał, że wpadł do niej

„jak oszalały”, a Asher przypomniał sobie, że zeszłej nocy Denning był u Ormsby'ego.

Nie odrywając oczu od wyglansowanych butów, zapytał cicho:

-A potrzebujesz ratunku? Wiesz, że

zawsze jestem do twojej dyspozycji.

- Gdybyś zadał mi to pytanie wczoraj rano i złożył taką propozycję, prawdopodobnie rzuciłbym ci się na szyję z okrzykami wdzięczności -

przyznał szczerze John. Spojrzał na

119

Ashera z uśmiechem pełnym zakłopotania. - Gdy rozmawiałem z babcią, obawiałem się, że będę musiał zerwać majorat, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Ojciec powiedział mi wczoraj po południu, że jego sytuacja znacznie się polepszyła i uciułał pewien kapitalik. Powiedział,

żebym się już więcej nie martwił, bo nigdy nie będzie ciągnął pieniędzy z Jabłkowego Wzgórza. W istocie, ma nadzieję, że zdoła pokryć większość kosztów ulepszeń w niektórych gospodarstwach.

Mimo tych kojących słów ucisk niepokoju w piersi Ashera wcale nie zelżał. Choć Denning uspokajał Johna po południu, pułkownik był u Ormsby'ego wieczorem, a nikt tak jak Asher nie wiedział, że wygrany przy karcianym stoliku jednej nocy, następnej może ocknąć się w ruinie.

Napotkawszy wzrok brata, zapytał prosto z mostu:

- Czy dalej uprawia hazard?

John poczerwieniał i potwierdzająco skinął głową: - Tak. Często jeździ do Ormsby'ego, odkąd markiz wrócił do domu, i wiem, że grają o wysokie stawki. - John pochylił się do przodu i rzekł poważnie: - Ale, Asherze, zapewnił mnie wczoraj, że choć gra na pieniądze z markizem, ma fundusze na pokrycie wszelkich strat.

- Na razie - rzekł ponuro Asher. - A jeśli zacznie przegrywać?

Wyjaśnił ci, jak zamierza spłacić przegrane sumy? Tak by nie zagrażało to Jabłkowemu Wzgórzu?

- Nie - odparł powoli John - ale stanowczo stwierdził, że nigdy nie poprosi mnie ani nikogo innego, by znowu spłacił jego długi. - John skrzywił się. - Wiem, że nadal gra na pieniądze z Ormsbym, bo powiedział mi wczoraj późną nocą, że zaprosił go do nas na kolację na sobotę. Gdy się sprzeciwiłem - wiedząc, że kiedy pójdę spać, będą grać przez długie godziny, zbył mnie, twierdząc, żebym się nie obawiał - nie straci do markiza... - Na przystojnej twarzy Johna pojawił się wyraz 120

zdziwienia. - Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale był tak pewny siebie... niemal jakby wiedział o czymś, co

zawsze zapewni mu wygraną.

- John zaśmiał się bez wesołości. - Obaj wiemy, że to niemożliwe, ale ojciec... ojciec obstaje przy tym, że już nigdy nie straci na hazardzie. -

Zmarszczył brwi. - Nie, nie, że nie straci, ale zawsze będzie miał

pieniądze na pokrycie strat.

Asherowi wszystko to bardzo się nie podobało, zwłaszcza przyjazd Ormsby'ego na kolację na Jabłkowe Wzgórze w sobotę. Nadal żywił

głębokie przekonanie, że pułkownik doprowadzi ich wszystkich na skraj

ruiny. - Nikt - stwierdził kategorycznie - nie wygrywa stale i prędzej czy później skończą mu się fundusze, które teraz może posiadać. Twój ojciec jest głupcem, jeśli myśli, że odkrył jakąś magiczną formułę, dzięki której szczęście zawsze będzie mu sprzyjać.

- Jesteś dla niego zbyt surowy - rzekł John tonem usprawiedliwienia. -

Wiem, że spłaciłeś część jego długów, gdy ustanowiłeś majorat... - Po jego twarzy przemknął nieśmiały uśmiech. - I za to jestem ci wdzięczny -

dodał. - Nigdy nie zapomnę, że pomogłeś uratować Jabłkowe Wzgórze, lecz tego jednego błędu nie możesz mu

wypominać do końca życia. -

Widząc wyraz oczu Ashera, dodał pośpiesznie: - Przyznaję, że ojciec często postępował niemądrze, że gdy przychodzi do gry, zachowuje się wręcz głupio, ale zawsze udawało mu się wybrnąć z każdych tarapatów -

temu nie możesz zaprzeczyć.

Asher za wszelką cenę starał się powściągnąć słowa złości i oburzenia, które cisnęły mu się na usta. On nie *pomógł* uratować Jabłkowego Wzgórza - bez jego interwencji rodzina nie miałaby ani pensa i zostałyby bez dachu nad głową. A pułkownik zawsze wychodził z tarapatów obronną ręką,

gdyż to *on*, nie Denning, dostarczał pieniędzy.

Głęboko zaczerpnął oddechu, powstrzymując niechęć i wściekłość, które go dławily. Sam postanowił, napomniał się, ukrywać przed rodziną długi, 121

w jakie przez lata popadał ojczym, toteż nie ukaże bratu prawdziwego oblicza pułkownika. Bo i po co? - pomyślał ze znużeniem. John najprawdopodobniej mu nie uwierzy i tylko się do niego zrazi, a wszak Asher kocha swego młodszego brata.

Choć sporo go to kosztowało, zdołał wykrztusić: - Tak, oczywiście, masz

rację. Pułkownik zawsze ze wszystkiego wychodził obronną ręką. -

Z wymuszonym uśmiechem dodał: -

Widzę, że wszystko mocno trzymasz w garści i nie muszę się wtrącać w twoje sprawy.

- Ale cieszę się, że byłeś gotów mnie wesprzeć - rzekł John z czułością w głosie.

- Jak zawsze - odparł Asher, uśmiechając się do niego.

Rozmowa zeszła na tematy ogólne: Asher opowiedział nowinki, które przywiózł z Londynu, John podzielił się swymi planami na dalsze ulepszenia,

które wciąż wprowadzał w swych dobrach, a w końcu oplotkowali poczynania różnych członków rodziny i tak miło spędzili czas. Choć było między nimi siedem lat różnicy, obaj bracia lubili swoje towarzystwo i godziny szybko im mijały.

Dopiero uderzenia zegara na kominku uprzytomniły Asherowi, że upłynęło sporo czasu. - Czy on dobrze chodzi? Czy to możliwe, że jest już trzecia? - zapytał przerażony, zerkając na zegar.

- W istocie. - John uśmiechnął się do brata. - Paplaliśmy jak dwie starsze panie przy herbatce.

Asher podniósł się.

- Nie chciałem zajmować ci tyle czasu.
Muszę się zbierać.

- Nie musisz wyjeżdżać - zatrzymał go John, również podnosząc się na nogi.
- Jest już dosyć późno. Może zostałbyś na kolacji?

Zanim Asher zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do gabinetu Johna wkroczył pułkownik, postukując drewnianą 122

nogą. Z szerokim uśmiechem na ustach i promykiem serdeczności w błękitnych oczach, podpułkownik Denning zakrzyknął: - Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy Woodall powiedział mi, że przyjechałeś z wizytą.

- Wyciągając rękę, by entuzjastycznie uścisnąć dłoń Ashera, rzekł: - Na Boga, chłopcze! Nie zaglądałeś do nas od wieków. Co porabiałeś, odkąd widzieliśmy się ostatnim razem?

Ojczym zawsze budził w Asherze mieszane uczucia, i tak też było teraz. Tylko przed samym sobą przyznałby się, że mimo całej złości i niechęci ma jeszcze dla ojczyma trochę serca. W kwietniu pułkownik skończył sześćdziesiąt siedem lat i choć na jego twarzy odcisnęły się ślady rozwiązłego życia, był szczupły, gibki, zachował żołnierską postawę i trzymał się prosto jak struna. Poruszał się z tak elegancką płynnością, że tylko postukiwanie

drewnianego kikuta świadczyło o jego kalectwie. Rudawozłote włosy były gęsto przyprószone siwizną, co nadawało im szampański odcień, który wyglądał bardzo pociągająco przy jego opalonej cerze i błękitnych oczach. W młodszy wieku był

oszałamiająco przystojnym mężczyzną, pełnym niesłychanego wdzięku, toteż Asher rozumiał, że matka mogła dla niego stracić głowę. Choć latami tego pił, prowadził surowy żywot wojaka i stracił nogę, nadal pozostał przystojny i, jak zawsze będąc pod jego urokiem, Asher pomyślał cierpko, że ojciec odznacza się znacznie większą męską urodą, niż by mu się to po

sprawiedliwości należało.

W obecności Denninga niechęć i brak zaufania Ashera gdzieś zniknęły, toteż pasierb uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę. - Miło waszą miłość znowu widzieć - rzekł serdecznie. - Prawda, że ostatnio zaniedbałem nieco wizyty, ale teraz osiadłem w Lisiej Norze na dobre i na przyszłość się poprawię.

Doskonale! Doskonale! - Pułkownik rozejrzał się po pokoju i spostrzegłszy zavalone papierami biurko, spojrzął z przy-123

ganą na Johna. - Nie powiesz mi, że zwracałeś głowę bratu interesami.

John uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie. Pracowałem, gdy wszedł, i po prostu usiedliśmy, żeby opowiedzieć sobie, co u kogo słysząc. Próbowałem go przekonać, żeby został na kolacji.

Pułkownik spojrzał wyczekująco na Ashera. - Kapitalny pomysł!

Woodall powiedział mi, że będzie pieróg nadziewany gęsiną i indykiem. -

Uśmiechnął się czule do Ashera. - Pamiętam, że to było jedno z twoich ulubionych dań. Powiedz, że zostajesz na kolacji.

Nie mógł odmówić.

Rozdział 8

Kolacja przebiegła w niezwykle przyjemnym nastroju i gdy trzech mężczyźni parę godzin później wstali od stołu, miny mieli wesołe i zadowolone. Ani Asher, ani John nie wypili tyle, co pułkownik, lecz mimo obfitości pochłoniętego alkoholu, Denning zachował jasny wzrok i pewnym krokiem poprowadził dwóch młodszych biesiadników do swego gabinetu w północnym skrzydle rozległego domu.

Podobnie jak gabinet Johna, był to przyjemny, męski pokój, którego umeblowanie dobrano bardziej ze

względu na wygodę niż elegancję. W

oknach wisiały zasłony ze spłowiałego złotego aksamitu, dębową podłogę przykrywał dywan w stonowanych przez lata barwach brązu i zieleni, przed kominkiem z cegły zgrupowano kilka foteli pokrytych brązowym moherem, tu i tam poustawiano stoliki z ciemnego drewna. Na mahoniowej komódce za dwoma fotelami stały kryształowe karafki i kieliszki, a jedną ścianę zastawiała biblioteka wypełniona oprawnymi w skórę księgami, których złote, fioletowe i niebieskie grzbiety dodawały pokojowi promiennych barw.

Z boku pokoju stało fikuśne biurczko z wiśniowego drzewa, a obok krzesło

pokryte dekoracyjną tkaniną. Na widok tych mebelków Asherowi zaparło dech i poczuł przeszywający ból.

125

Było to biurko matki i aż nazbyt dobrze pamiętał, jak siedziała przy nim, na tym samym krześle, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w okno, niemiłosiernie długo, zanim zdobyła się na wyłuszczenie sprawy. I zazwyczaj, przypomniawszy sobie, zaciskając wargi, była to jakaś nieprzyjemna kwestia dotycząca pieniędzy.

Był zbyt młody, by Jane mogła dzielić się z nim swymi kłopotami, ale, przypomniawszy sobie ze wstydem, jako

bystry chłopaczek nie wahał się czytać jej przez ramię, gdy zbyt pochłaniały ją troski finansowe, żeby go zauważyć.

Dawny gniew, który trzymał na wodzy przez cały wieczór, znowu się zatlił, jednak nim rozgorzał na dobre, Denning przerwał tok jego myśli.

- Widzę, że poznajesz biurko matki - odezwał się pułkownik, nie wiedząc, jakie wrogie uczucia zrodziły się w piersi Ashera na widok tego mebla. - Onegdaj poskarżyłem się Woodallowi, że nie mam na czym pisać, a on zaproponował to stare biurko. Powiedział, że tylko kurzy się na strychu, a ja mogę zrobić z niego użytek. - Denning podszedł do biurka, przesunął

dłonią po jego lśniącem blacie i wbił w niego wzrok.

Wydawało się, że na chwilę zapomniał o obecności dwóch pozostałych mężczyzn i, niemal do siebie, powiedział ochryple: - Zasługiwała na znacznie lepszego męża niż ja. -

Wciągnął głęboko powietrze. - W roli męża marnie się sprawowałem, ale ona była najcudowniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła w życiu. - Zerknął na Ashera i uśmiechnął się krzywo:

- Po dziś dzień słyszę jej głos... jej śmiech...

Patrząc w oczy ojczyma, Asher uświadomił sobie coś niezmiernie

doniosłego - Denning, na tyle, na ile był zdolny do miłości, kochał żonę.

Asher spojrzał na niego zupełnie inaczej. Po raz pierwszy zobaczył w nim przyzwoitego człowieka, który czuł nadmierny pociąg do alkoholu i bezradnie miotał się w szponach hazardu, a nie obojętną na wszystko, niedbałą istotę,

126

za jaką zawsze go uważał. Co nie zmienia faktu, napomniął się chłodno, że choć Denning może i kochał żonę i dzieci, lecz do trunków i gry o wszystko był mocniej przywiązany.

Denning zapewne odczytał część myśli Ashera, gdyż odwrócił wzrok od jego oczu i patrząc na biurko, rzekł:

- Brakuje mi jej.

John odchrząknął. - Jak i nam wszystkim - powiedział cicho - nawet Elizabeth, która jej w ogóle nie pamięta.

Denning otrząsnął się ze wspomnień i rzekł żwawo: - No, dosyć tych rzewnych opowiastek! - Jowialnym, nieco wymuszonym tonem rzekł: -

Nieczęsto mam w domu dwóch moich synów i nie chcę, by tak przemiły wieczór zakończył się ponuro.

Podszedłszy do komódki, zapytał: -
Czego się napijecie?

- Mrugnął do Ashera. - Mam tu trochę
wybornej brandy, którą podzielił się ze
mną znajomy mieszkający w pobliżu
wybrzeża.

Wyobraźcie sobie tylko, znalazł całą
skrzynkę ukrytą w rogu końskiego boksu.

- Kontrabanda? - zapytał sucho Asher.
Denning zaśmiał się.

- A co innego mamy w Kencie?

Wszyscy trzej zdecydowali się na
brandy i gdy kieliszki zostały
napełnione, rozproszyli się wokół

kominka. Denning i John zasiedli na dwu moherowych fotelach, Asher zaś stał z jedną ręką opartą na szerokim, dębowym kominkowym gzymsie. O tej porze roku palenisko było czysto wymiecione, lecz starannie ułożony stosik wiązek drewna z jabłoni leżał w środku, gotów do użytku w razie potrzeby.

- Więc czym zamierzasz się zająć, skoro już osiadłeś w Lisiej Norze? -

zapytał Denning.

Asher wzruszył ramionami. - Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Wpatrując się w bursztynowy napój w kieliszku, rzekł cicho: 127

- Dżentelmen na wsi ma niewielkie pole do popisu. Chyba zajmę się gospodarowaniem, jak John.

John potrząsnął głową, w jego oczach tańczyły iskierki.

- A wiesz coś o pracy na roli? Jaki masz rodzaj gleby? Co warto uprawiać na tych terenach? Kiedy siał? Zbierać plony? Sprzedać je na rynku?

Asher uśmiechnął się lekko.

- I z tych właśnie powodów nie zdecydowałem jeszcze, co będę robił.

- Ee... a czy musisz coś robić? - zapytał Denning, unosząc brew. -

Przecież z gospodarstw, które przynależą do twoich dóbr, utrzymasz się wygodnie, nie musząc grzebać w ziemi. Nawet John, choć spędza tyle czasu w polu, wcale nie musi tego robić. Zajmują się tym jego dzierżawcy.

- O, tu się nie zgadzam - rzekł kpiąco John, patrząc na ojca.

- Zasadziłem nowe sady i w zimny styczniowy poranek przycinałem gałęzie. Nie masz nic przeciwko temu, bym grzebał w ziemi, dlaczego Asher nie może ubrudzić sobie rączek?

Denning machnął ręką. - Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz. -

Spojrzał na Johna z dumą. - Masz smykałkę do roślin i jesteś dobrym zarządcą. - Zarys jego ust złagodniał. - Masz to po matce. Ale Asher... -

Denning spojrzał na swego wysokiego pasierba. - Asher wygląda mi na człowieka czynu. Aż dziw, że nie poszedłeś do wojska. Zawsze miałeś awanturniczą żyłkę.

Wracając pamięcią do wydarzeń zeszłej wiosny i widoku ciała Collarda leżącego na ziemi przed stajnią Sherbrooka, Asher rzekł: -

Miałem już tyle przygód, że starczy mi do końca życia. Raczej będę doglądał majątku i pędził spokojny żywot

ziemianina. - A może nawet -

dodał powoli - ożenię się i będę miał gromadkę dzieci.

John zarechotał. - Ty? - ryknął śmiechem. - A masz już kogoś na widoku?

128

Asher przełknął długi łyk brandy. Stawiając kieliszek na gzymsie, rzekł z uśmiechem:

- Za dużo chcielibyście wiedzieć.

Zniósł cierpliwie kpinki i podchwytliwe pytania ojczyma i brata, lecz skoro

niczego nie dało się z niego wyciągnąć, rozmowa zeszła na inne tematy. Po godzinie i jeszcze dwóch kieliszkach brandy Asher uniósł się z fotela, w którym w końcu zasiadł. - Robi się późno - rzekł. - Choć było tak miło, muszę się zbierać.

John ziewnął.

- A może byś przenocował? Woodall przygotowuje ci łóżko. Asher potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że trochę wytrzeźwieję po drodze do domu. Od wieków tyle nie wypilem.

Denning prychnął.

- Dwa żółtodzioby. Nie opróżniliśmy nawet karafki. Pamiętam, jak...

John jęknął, Asher zaś wyciągnął błagalnie rękę. - Proszę - rzekł z uśmiechem - żadnych opowieści z twoich wojskowych czasów ani o tym, ile trunku potrafiłeś wytrąbić z kolegami oficerami.

Nie czując najmniejszej urazy, Denning wyprostował się chwiejnie. -

Żadnego szacunku! - rzekł z uśmiechem.

Asher pożegnał się i już miał wychodzić, gdy Denning rzekł:

- Zaczekaj! Właśnie przypomniałem

sobie, że mam coś, co powinieneś
wziąć.

Potyając się, podszedł do biurka i
otworzywszy długą, środkową szufladę,
wyjął z niej naszyjnik. Asher stanął u
jego boku. - Gdy sprzątałem biurko,
znalazłem to w głębi szuflady, gdzie
twoja matka musiała go zostawić - rzekł
Denning.

Asher wpatrzył się w masywny łańcuch
ze złota i kości słoniowej, z którego
środką zwisała kunsztownej roboty
kamea.

129

Stanął mu w pamięci obraz matki w tym

naszyjniku i serce nabrzmiało mu bólem.
- Zawsze mówiła, że dostała go od mego
ojca - powiedział

cicho.

Denning skinął głową. - To prawda.
Powiedziała mi kiedyś, gdy zwróciłem
na niego uwagę, że to jej jedyna
pamiątka po twoim ojcu. -

Lekko poklepał Ashera po ramieniu. - I
twoja.

Targany silnymi uczuciami, Asher zdołał
wykrztusić:

- Cieszę się, że go znalazłeś. Dzięki.

Zamykając szufladę, Denning rzekł: -
Dobrze, że potrzebowałem stołu do
pisania, co? Inaczej bym w ogóle o nim
nie wiedział. - Postukał

kłykciami w blat biurka: - Zawsze
powtarzałem Jane, że przyniosła mi
szczęście, a teraz, gdy używam tego jej
biureczka, mam wrażenie, że szczęście
mi wróciło. - Dziwny uśmiech
wykrzywił jego wargi. - Tak, mój los się
odmienił i zawdzięczam to twojej matce.

* * *

Gdy Asher dojechał do domu,
przeszmuglowana brandy Denninga
wywietrzała mu już z głowy i
postanawiając nie budzić stajennego,

sam rozsiodłał konia i szybko go wytarł. Widłami wrzucił koniowi do żłobu stertę siana, którą zdjął ze stryszku, po czym opuścił stajnię. Idąc pośród pogodnej nocy, pod gwiazdami błyszczącymi jak brylanty na tle czarnego nieba, rozmyślał o spędzonym właśnie wieczorze. Dobrze się bawił i nawet się nie zaniepokoił ani nie miał poczucia winy, że Denning po raz kolejny rozbroił go i oczarował.

Może złagodniałem, zastanawiał się, podchodząc do cichego domu.

Albo, co bardziej prawdopodobne, pomny na wszystkie grzechy, jakich się dopuściłem, lepiej rozumiem, jakie demony mogą opętać człowieka.

Wiedział, że nie zdoła całkowicie wybaczyć Denningowi, lecz przyznał, że dotarł do punktu,

130

w którym dzika wściekłość, niegdyś płonąca w jego piersi, ostygła już na tyle, że dało się wytrzymać.

Wszedł do domu i przeszedłszy hol, ruszył po schodach do swych pokojów. Ktoś, albo Hannum, albo jego kamerdyner Rivers, przewidując, że jego pan późno wróci, zostawił zapaloną świeczkę na półokrągłej komodzie stojącej przy drzwiach do jego salonu i drugą, na środku gzymsu kominka. W

migotliwym blasku tych wątych
płomyków zrzucił

marynarkę, wyjął z kieszeni naszyjnik
matki, po czym cisnął marynarkę na
najbliższe krzesło. Podszedł do kominka
z szarego kamienia i zawiesił

naszyjnik na jednym z dwóch cynowych
świeczników stojących na obu końcach
szerokiego, wyglansowanego do połysku
dębowego gzymsu.

Ułożył go tak, by kamea zwisała
swobodnie ze środka, po czym stanął

tam, wpatrując się w cenny kamień i
błądząc daleko myślami.

Długo to trwało, zanim się otrząsnął, po raz ostatni spojrzął na kameę, odwrócił się, usiadł na krześle stojącym naprzeciwko tego, na które rzucił

marynarkę, po czym ściągnął buty.

Wstał, zdjął fular, cisnął zmięty kawałek materiału na marynarkę, po czym bez celu zaczął krążyć po pokoju.

Chodząc tak, bezwiednie rozpiął guziki koszuli i wyciągnął ją ze spodni.

Zatrzymawszy się w pół kroku, przez drzwi oddzielające salonik od jego sypialni zmierzył wzrokiem ledwo widoczne łoże osłonięte aksamitnymi kotarami w kolorze szarości i burgunda, ale sen go nie nęcił.

Jeszcze nie gotów, by złożyć głowę na poduszce, nie czując jednak niepokoju, który prześladował go poprzedniej nocy, błędził po gustownie urządzonym pokoju, zatrzymując się tylko parę razy, by wyjrzeć przez okna, ale ponieważ jego wzrok napotykał jedynie ciemność nocy, ruszał

dalej.

Usiadł w końcu w czarnym, skórzanym fotelu. Usadowił się wygodnie, wyciągnął długie nogi i niewidzącym wzrokiem 131

wpatrzył się pod stopy, w misterny wzór dywanu w barwach jasnej szarości i błękitu.

Z ulgą przyjął wiadomość, że Denning nie będzie już próbował

namówić Johna do zerwania majoratu. Dobrze też, że Denning znalazł

jakiś sposób, by nie wpaść w szpony lichwiarzy, w razie gdyby jego straty

- a Asher nie wątpił, że będzie ponosił straty - stały się zbyt dotkliwe.

Z głową spoczywającą na wysokim oparciu fotela, wbił wzrok w potężne dębowe belki odsłoniętych dźwigarów sufitu. Zawsze lubił

spotykać się z Johnem - czego nie mógł powiedzieć o ojczymie, lecz dzisiaj czuł

się doskonale w towarzystwie pułkownika. Wiele też tego wieczoru skorzystał, świadomość, że choć Denning tak źle traktował jego matkę, jednak ją kochał, złagodziła nieco gorycz, jaką wobec niego żywił.

Nigdy nie obdarzy Denninga taką miłością, co jego przyrodnie rodzeństwo, ale przynajmniej nie będzie już uważał ojczyma za człowieka całkowicie bezwartościowego.

Spojrzenie Ashera powędrowało do naszyjnika matki i serce ścisnęło mu się z bólu. Matka rzadko wspominała jego ojca, nawet zanim wyszła za Denninga, lecz wiedział, że był on porucznikiem w marynarce królewskiej i zmarł przed

jego urodzeniem. Porucznik Cordell zaginął na morzu, gdy okręt zatonął u wybrzeży Kuby podczas huraganu krótko po ślubie rodziców. Matka powiedziała mu, że byli ze sobą żałośnie krótko, zaledwie parę tygodni. Pamiętał, jak jej palce pieściły łańcuch ze złota i kości słoniowej, a oczy miały daleki wyraz, gdy opowiadała mu o ojcu jaki był przystojny, czarujący, mądry i jak bardzo go kochała.

Babka natomiast nie mówiła o ojcu prawie wcale, a sądząc z tego, jak zaciskała usta, gdy już o nim napomykała, nie lubiła go albo nie była o nim dobrego zdania. Nie miał pojęcia dlaczego, ale nie robiło mu to różnicy,

gdyż ojciec nie żył

132

już od ponad trzydziestu lat.

Wspominając swe dziecięce lata w Burnham, kiedy to trzęsła się nad nim matka i babka, Asher się uśmiechnął. Przyznawał, że był to najszczęśliwszy okres jego życia, gdy tworzyli rodzinę tylko we trójkę - mama, babcia i on. A potem pojawił się Denning...

Asher skrzywił się. Trzeba jasno powiedzieć, że nie lubił Denninga w czasie, gdy ten dziarski oficer kawalerii zaczął zalecać się do jego matki.

A po ich ślubie czuł się bardzo

nieszczęśliwy, gdy zabrano go z Burnham, od babki i z całego tego znajomego, przytulnego świata, który razem tworzyli. Nie ulegało wątpliwości, że był rozpuszczonym bachorem i, jak sam przyznawał z kwaśnym uśmiechem, cierpiał, kiedy przestał być dla matki pępkiem świata. To cud, że Denning z miejsca go nie udusił.

Jak sięgnął pamięcią, wojskowe życie wcale nie było takie złe i gdyby nie zamiłowanie Denninga do hazardu, które kosztowało matkę tyle zdrowia oraz nerwów, czułby się wśród jego kompanów całkiem dobrze.

Jakże inne i o ileż szczęśliwsze byłoby

jej życie i nas wszystkich, gdyby Denning zdołał oprzeć się pokusie hazardu, myślał ze znużeniem.

Co naprowadziło jego myśli z powrotem na dzisiejszy wieczór.

Winien skakać z radości z powodu nadzwyczajnego szczęścia Denninga, który po raz kolejny przełamał kiepską passę, ale ta informacja zaniepokoiła go. Zeszłej nocy Denning był u Ormsby'ego, gdzie grali na pieniądze. Asher zmarszczył brwi, bo coś mu przyszło do głowy. Denning rozmawiał z Johnem wczoraj po południu, a więc musiał zdobyć pieniądze wcześniej. Może więc nie był to jedyny raz, gdy Ormsby i

Denning zasiedli do gry o wysoką stawkę. Może Denning wygrał od Ormsby'ego dużą sumę? W istocie, małą fortunę?

To możliwe. Markiz Ormsby jest głową zamożnego rodu Beverley i ma forsy jak lodu - mógłby stracić kilka majątków
133

i nawet by tego nie poczuł. Częścią swej duszy, przynajmy, niezbyt chwalebna, Asher odczuwał zadowolenie, że Denning oskubał

Ormsby'ego, lecz targał nim też niepokój. Jeśli to Ormsby przegrał do Denninga, nie pozwoli jego ojczymowi odejść od stolika z kieszeniami

wypchanymi złotem Bever-leyów i z pewnością będzie chciał się odegrać. Wiadomo było, że Ormsby nie lubi przegrywać, i prędzej okaże się chytrym lisem niż dojną krową. A niech to! Jeśli Denning wsadził łapę do kieszeni Ormsby'ego, myślał z niesmakiem, znowu ja będę musiał go ratować z opresji. I z obrazem tej niemiłej perspektywy udał się na spoczynek.

Gdy się obudził następnego ranka, nadal nurtował go niepokój z poprzedniego wieczora, ale przestał się już przejmować. Jeśli Ormsby zacznie bruździć, Asher niebawem się o tym dowie.

Tego samego ranka w Kirkwood Juliana

z przerażeniem wpatrywała się w swego ojca, bo właśnie dowiedziała się, jak bardzo markiz może im przeszkadzać. - Co zrobiłeś? - zapytała słabym głosem, nie wierząc własnym uszom.

Pan Kirkwood miał zakłopotaną minę. - Zaprosiłem go na dzisiaj na kolację - wymamrotał, unikając jej wzroku.

- Jak mogłeś? - jęknęła. - Zapomniałeś, do czego on zmierza?

Pan Kirkwood odchrząknął i poklepał się po starannie zawiązanym fularze. - Nie zapomniałem i kiedy zrównałem się z nim na drodze podczas porannej przejażdżki, nie chciałem mu nawet skinąć głową, tylko go minąć. Ale znasz

Ormsby'ego. Przywitał mnie, jakby nic się nie stało...

był tak serdeczny i uprzejmy, że nie mogłem zachować się niegrzecznie...

- zakończył bezradnie.

- Niby dlaczego nie? - warknęła córka, wzięwszy się pod boki. - Bo ja z pewnością mogę... - Z poirytowaną miną do-

134

dała: - Nie możesz ode mnie wymagać, żebym zabawiała tego potwora. Po prostu napisz mu bilecik, że zmieniłeś zdanie

- że ci to nie odpowiada. Albo że jestem zbyt zajęta opieką nad Thalią, by przyjmować gości. - Nachmurzyła się. - Co jest prawdą.

Z minajeszczce bardziej nieszczęśliwą, wymamrotał: - Masz rację, że się na mnie złościsz, moja droga, i nie mam o to do ciebie pretensji.

Wiem, powinienem był udawać, że go nie widzę, ale gdy do mnie zawołał, tak się wystraszyłem, że zatrzymałem konia. Zachowywał się jak człowiek, którego, jak mi się wydawało, znałem, więc zanim zdążyłem się zorientować w sytuacji, wprosił się dziś na kolację - zakończył żałośnie.

- Więc odwołaj zaproszenie - odpaliła córka, nie ustępując ani na cal.

- Aa... ee... Juliano, myślę, że nie należy go rozdrażniać. W końcu ma w rękach listy Thalii. Jeśli go sprowokujemy... - Gdy Juliana wbiła w niego spojrzenie pełne wrogości, zacisnął wargi i ciągnął dalej: - Chyba nie chcesz, żebym się z nim bił, a poza tym, niewiele mogę zrobić. Może zmienił zdanie - dodał przymilnie. - Może wrócił mu rozsądek, chce przeprosić i oddać listy.

Mina Juliany powiedziała mu dokładnie, co córka sądzi o tym pomysle, toteż pospiesznie wyjaśniał: - Wiem, nie powinienem był

pozwolić, by mną manipulował, i owszem, zdaję sobie sprawę, że tańczyłem, jak mi zagrał, ale myślę tylko o twojej siostrze. - Spokojnie wytrzymując jej wzrok, rzekł:

- Jeśli spędzenie jednego wieczoru w towarzystwie człowieka, którym się brzydzę, przyniesie nam jakąkolwiek korzyść, jestem na to gotów. A ty?

W słowach ojca była pewna słuszność i choć na myśl, że ma usiąść z Ormsbym przy jednym stole, wzdrygnęła się z odrazą, niechętnie skinęła głową. Zaproszenie zostało złożone, teraz

każdy ruch pogorszyłby tylko sytuację. -
No dobrze, Ormsby przyjdzie dziś na
kolację. - Oczy się jej zwięziły. - Ale nie
będzie to urocza, kameralna kolacyjka,
jak to on sobie wyobraża. Słabo mi się
robi na myśl, że moglibyśmy zasiąść we
trójkę do stołu. - Zacisnęła usta. -

Jeśli zostanę sam na sam z tą kreaturą,
me rękę za siebie i mogę dziabnąć go
widelcem. - Unosząc lekko spódnice,
przemknęła obok niego. - A teraz
wybacz, ojczy, muszę zaplanować tę
kolację.

Juliana pognała jak burza na górę po
schodach do swych pokojów.

Kochała ojca z całego serca, ale

czasami... Jak w tych okolicznościach mógł ulec zwodniczemu urokowi Ormsby'ego? Asher by mu się postawił.

Przygryzła wargę To niesprawiedliwe. Nie można winić ojca za to, że nade wszystko pragnie spokoju, podczas gdy Asher... Asher miałby to gdzieś - a zwłaszcza Ormsby'ego.

Napominając się, że co się stało, to się nie odstanie, usiadła przy biurczku i zaczęła się zastanawiać nad następnym posunięciem.

Ponieważ najbezpieczniej jest w kupie, natychmiast napisała bilecik do pastora i jego żony, pewna, że nie poczują się zaskoczeni zaproszeniem ich na kolację

do Kirkwood w ostatniej chwili. Pastor i jej ojciec byli bardzo zaprzyjaźnieni, a żona pastora i jej matka wychowywały się razem. Za życia pani Kirkwood obie rodziny często się odwiedzały i do dzisiaj Kirkwoodowie uważają Birrelów za najbliższych przyjaciół.

Na wieść, że Thalia zachorowała na odrę, pastor i jego żona natychmiast zaproponowali pomoc i w tym tygodniu już dwukrotnie przybywali z wizytą. Za każdym razem przyprowadzali ze sobą swe dwie córki, piętnastoletnią Serenę i siedemnastoletnią Margaret, zatem, by zwiększyć liczbę gości, Juliana również je uwzględniła w zaproszeniu.

Margaret należała do najbliższych przyjaciółek Thalii, którą, choć była tak bardzo

136

zła i nieszczęśliwa z powodu wysypki, te wizyty bardzo radowały. Nie byłoby źle, pomyślała pogodnie Juliana, gdyby w obecności Ormsby'ego wspomnieli, a zrobią to na pewno, jak bardzo chora jest Thalia... a także o powodzi listów, które niemal codziennie przychodzą od Caswella, zatroskanego o swą ukochaną. Lecz radość Juliany zgasła i młoda kobieta z kolei zaczęła się niepokoić, co powie Ormsby na wieść, że Thalia i Caswell są w prawie stałym kontakcie korespondencyjnym. Było to ryzykowne,

ale przecież córki pastora na pewno wspomną o listach, a gdyby chciała je od tego odwieść, musiałaby wdać się w bardzo niewygodne wyjaśnienia.

Westchnęła z tęsknoty za nieskomplikowanym życiem, które wiodła jeszcze tak niedawno.

Drugi list napisała do Ashera, zapoznając go z sytuacją. Zaprosiła w nim też na dzisiejszą kolację panią Manley. Pani Manley może być zdziwiona, że Juliana zrobiła to w ostatniej chwili, zwłaszcza że starsza pani gościła u nich wczoraj, ale Juliana liczyła, że Asher załagodzi wszelkie niezręczności.

Dopiero gdy wysłała z listami jednego ze służących, zaświtało jej, jak źle to sobie wykalkulowała. Stosunki między panią Manley i Ormsbym nigdy nie były zbyt przyjacielskie, a zastrzelenie jej psa nie przyczyniło się do ich poprawy. A co do Ashera... Znając uczucia Ashera względem Ormsby'ego, nie ulegało wątpliwości, że zrobi wszystko, by obrazić markiza albo wyprowadzić go z równowagi.

Ukryła twarz w dłoniach. O czym ona myślała? W ogóle nie myślała, na tym polega kłopot, sama się wpędziła w głupią sytuację i teraz będzie musiała ponieść tego konsekwencje. Poczowała przyływ współczucia dla ojca. Żadne z

nas, przyznała ponuro, nie postępowało zbyt roztropnie.

Uniosła głowę i wpatrzyła się w blat biurka. Możliwe, że pani Manley odrzuci zaproszenie, ale uświadomiła sobie ze smutkiem, że nieobecność 137

pani Manley na dzisiejszej kolacji wpędzi ją w jeszcze większe tarapaty. Asher z pewnością się stawi, a ona niepokoiła się, że jeśli nie będzie pani Manley powściągającej napastliwość wnuka względem Ormsby'ego...

Zamknęła oczy. Będzie musiała wypić piwo, którego nawarzyła. I mieć w Bogu nadzieję, że Asher i Ormsby nie powystrzelają się nawzajem już przy zupie.

Nie bacząc na niepokój, który wzbierał w jej piersi, i trzymając kciuki za odwrócenie jakimś cudem nadciągającej katastrofy, obmyśliła menu i pospieszyła do kuchni, by naradzić się z kucharką i powiedzieć kamerdynerowi Hudsonowi, żeby przygotował dom na przyjęcie gości.

Jeśli wszyscy dopiszą, będzie brakowało dla niej towarzysza do pary, lecz idąc holem do kuchni uznała, że jej to absolutnie nie przeszkadza.

Wszyscy przyjęli pospiesznie wystosowane zaproszenia, nawet Asher i jego babka, o czym Juliana myślała z ulgą, lecz nie bez obaw, gdy parę godzin

później schodziła ze schodów. Birrelowie przybyli parę minut wcześniej, a zaraz po nich Hudson zaanonsował Ormsby'ego. Juliana wykrzywiła wargi na widok miny, którą zrobił markiz ujrzawszy rodzinę Birrelów wygodnie usadowioną w różnych miejscach głównego salonu.

Markiz szybko odzyskał równowagę i Juliana podejrzewała, że tylko ona zauważyła ten błysk irytacji, który przemknął po twarzy Ormsby'ego i natychmiast zniknął pod maską uprzejmości. Węzeł w jej żołądku zacisnął się jeszcze mocniej. Jeśli tak zdenerwował go widok Birrelów, pomyślała cierpko, co będzie, gdy zjawi

się Asher z panią Manley?

Kiedy ojciec Juliany nerwowo witał się z Ormsbym, przypatrywała mu się spod rzęs. Dobiegający pięćdziesięciu dwóch lat markiz nadal sprawiał wrażenie bardzo przystojnego szelmy, a oznaki hulaszczego życia, które odcisnęły się na jego twarzy, wielce pociągały część przedstawicielek płci przeciw

138

nej. Był on dość wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o bladoniebieskich oczach i czarnych włosach, a dostrzegając swobodny wdzięk, który roztaczał w rozmowie z ojcem, zaczynała rozumieć, dlaczego

Thalii, młodej i niewinnej, zdało się, że jest w nim zakochana. Wykrzywiła wargi. I dlatego, mimo wszelkich niesprzyjających okoliczności, tak skołował ojca, że ten zaprosił go na kolację.

Ojciec rzucił jej przez ramię udręczone spojrzenie, toteż przywołując na usta uprzejmy uśmiech, Juliana wdzięcznie zbliżyła się do markiza i rzekła: - Jak to miło z pana strony, że zechciał pan dziś wieczorem nas odwiedzić. - Wskazując na pastora i jego żonę, ciągnęła gładko: - Zna pan zapewne pastora i panią Birrel, więc nie muszę państwa przedstawiać.

Pastor, sam będący człowiekiem

postawnym, podszedł, by uścisnąć dłoń Ormsby'ego. - Dobry wieczór, wasza miłość - odezwał się. - Dawno pan nie zaglądał w nasze strony. Jeśli zabawi pan dłużej w okolicy, być może będziemy częściej waszą miłość widywać. - Markiz trzymał się z dala od miejscowych spraw i jeśli w głosie pastora dźwięczała lekka nutka przygany, Ormsby w najmniejszej mierze jej nie skwitował.

- Miło wrócić w rodzinne strony - odparł swobodnie. - Londyn bywa nużący. - Podeszła do nich pani Birrel, pulchna i okrągła jak gołąbek, o włosach mocno przyprószonych siwizną.

Ledwo dosięgała głową do ramienia męża. Spojrzawszy na markiza ciekawskimi brązowymi oczyma, przywitała się z nim. - Długo wasza miłość zamierza zabawić we dworze Ormsby?

- Nie mam pojęcia - wycedził Ormsby. - Na razie mam zamiar cieszyć się wyłącznie urokami domowych pieleszy. - Jego bladoniebieskie oczy napotkały wzrok Juliany. - I być może będzie mi nawet wolno złożyć wizytę pięknej pannie Thalii, gdy wydobrzeje.

139

Juliana zacisnęła zęby, lecz zdołała utrzymać uśmiech na twarzy. Pani Birrel,

nie zdając sobie sprawy z podtekstów tej wymiany zdań, skinęła na swe córki, by do nich podeszły. Dziewczęta, rumieniąc się, zdjęte lekkim strachem przed markizem, zostały oficjalnie przedstawione miejscowej znakomitości. Lawinę powitań i prezentacji zakończono, gdy wszedł Hudson z drugim służącym, niosąc tace z przekąskami. Kiedy wszystkich obsłużono, grupa rozpadła się na dwie frakcje.

Panowie zgromadzili się wokół kunsztownie rzeźbionego kominka z drzewa orzecha włoskiego na drugim końcu salonu, urządzonego w barwach kremowo-różowych, panie zaś

przysiadły na pokrytej jedwabiem i ozdobną tkaniną kanapie i krzesłach bliżej podwójnych drzwi, które wychodziły do głównego holu. Ponieważ Serena, szczuplejsza, ciemnowłosa wersja matki, żyła swym ślubem z najmłodszym synem baroneta z sąsiedniego hrabstwa, co miało nastąpić jesienią, rozmowa skupiała się na tym epokowym wydarzeniu.

Juliana uśmiechała się, kiwała głową i wygłaszała stosowne uwagi, lecz była podenerwowana i łowiła uchem każdy dźwięk, który zwiastowałby przybycie Ashera z babką. Przynajmniej, napomniała się, oni wiedzą, że markiz tu będzie. Zerknęła w stronę kominka,

gdzie markiz rozmawiał z dwoma pozostałymi panami. Dziwiło ją przemożne dążenie Ormsby'ego, by poślubić Thalię za wszelką cenę. Zdołał uniknąć zasadzek i sideł, jakie przez dziesiątki lat zastawiały na niego młode damy, prące do ołtarza. Ormsby był ostatnim człowiekiem, którego można by posądzać o chęć szukania żony, a zwłaszcza w osobie dziewczęcia, które dopiero co skończyło szkoły. Przy swym tytule i majątku mógłby po odpowiednią kandydatkę sięgać bardzo wysoko, a jednak wybrał panienkę tak młodą, że mogłaby być jego córką, panienkę z mizernym posagiem, wywodzącą się z drobnego ziemiaństwa.

Dlaczego?

140

Słuchając ledwie jednym uchem trajkotania pań Birrel, Juliana zmarszczyła brwi. Thalia bezsprzecznie jest piękną i uległą młodą niewiastą... przeważnie. Ale ona i tak wyrafinowany światowiec jak Ormsby nie stanowiliby dobrej pary. Jej siostra, naiwne stworzonko gustujące w prostych rozrywkach, idealnie nadaje się na żonę tak łatwego w obejściu młodzieńca jak Cas-well, ale dla Ormsby'ego? Podobni są do siebie jak dzień do nocy! A wszak Thalia jest nieprzytomnie zakochana w Caswel-lu. Gdyby markiz zmusił ją do małżeństwa, zdaniem Juliany związek

ten zmierzałby prostą drogą do katastrofy.

Jej rozmyślania przerwał słaby stukot zbliżających się końskich kopyt oraz brzęk i chrzęst uprzęży. Juliana przełknęła ślinę. Te dźwięki mogą oznaczać tylko jedno. Przybył Asher z panią Manley.

Kiedy podniosła się wdzięcznie, dół bladomorelowej muślinowej sukni okręcił się jej wokół stóp. - To chyba ostatni z naszych gości -

rzuciła w przestrzeń. I, Boże, miej nas w swojej opiece.

Rozdział 9

Juliana słusznie oddała się Bogu w opiekę - kłopoty zaczęły się z chwilą, gdy otworzyły się podwójne drzwi i Ormsby zoczył dwoje gości, których kamerdyner wprowadzał do pokoju. Poczzerwieniały z gniewu, odwrócił się do swego gospodarza i syknął:

- Głupcze! Skąd ci przyszedł do głowy ten chybiony pomysł, by ich tu dzisiaj zaprosić?

Nieszczęsny pan Kirkwood skulił się ze strachu, widząc wściekłość na twarzy Ormsby'ego, tym bardziej przerażony, że nie miał pojęcia, jak odeprzeć atak markiza. Birrel uniósł brwi. - Chyba się

pan zapomina, milordzie - rzekł ze zdumieniem. - Zechce pan pamiętać, że to dom Kirkwooda - i może do niego zapraszać, kogo mu się podoba. Jeśli nie odpowiada panu towarzystwo, proponuję, by je pan opuścił, zachowując wszelkie zasady dobrego wychowania.

Juliana nie słyszała tej wymiany zdań między trzema panami, gdyż znajdowała się w drugim końcu pokoju, lecz z ich min łatwo się wszystkiego domyśliła. Jej biedny ojciec wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć, Ormsby był wyraźnie wściekły, pastor zaś, choć zaskoczony słowami markiza, jak zawsze zachowywał spokój. Cokolwiek pastor

powiedział Ormsby'emu,

142

najwyraźniej przywołał go do porządku i Juliana, która tylko jednym uchem usłyszała, jak Hudson anonsuje panią Manley i Ashera, patrzyła, z jakim trudem Ormsby usiłuje odzyskać panowanie nad sobą.

Pani Birrel i jej córki, zachwycone pojawieniem się nowych gości, zupełnie nie zdawały sobie sprawy ze sceny, która rozegrała się między panami. Dzięki Bogu, pomyślała z ulgą Juliana. Przeszła przez pokój, serdecznie przywitała panią Manley i Ashera, zastanawiając się, czy dostrzegli reakcję

Ormsby'ego na swe wejście. Po błysku w oczach Ashera z zamierającym sercem poznała, że niemiły incydent w przeciwległym końcu pokoju nie uszedł jego uwadze i prawidłowo go sobie wytłumaczył.

Gdy się witały, pani Manley musnęła wargami jej policzek, a Juliana była zarazem oczarowana i wystraszona, gdy starsza pani wyszeptała jej do ucha:

- Dzielna mała! Że też odważyłaś się zaprosić nas razem z Ormsbym.

Nie wątpię, że wieczór okaże się niezmiernie zajmujący.

- Nie zdenerwowało to pani? - zapytała

cicho Juliana, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

Pani Manley potrząsnęła głową. - Wielkie nieba, nie! - odparła z uśmiechem. - Od lat w okolicy nie mieliśmy takich atrakcji. Za nic w świecie nie przepuściłabym podobnej okazji. - Urwała, na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. - Oczywiście, musimy pilnować Ashera, żeby nie zabił Ormsby'ego przy pierwszej okazji.

Uśmiechnąwszy się blado do pani Manley, Juliana odwróciła się, by przywitać Ashera. - Bardzo przepraszam - wyszeptała. - To nie był dobry pomysł; nie mam pojęcia, co mi przyszło do głowy.

Asher uśmiechnął się.

143

- Może i nie, lecz, jak wspomniała moja babka jadąc tutaj, powinno być... ciekawie.

Przywitała się już z Asherem i panią Manley, po czym razem z nimi podeszła do pani Birrel z córkami. Tymczasem Ormsby zdołał już wrócić do siebie na tyle, by z chłodną uprzejmością wymienić grzecznościowe formułki ze świeżo przybyłymi, gdy obie grupki się zmieszały. Ku uldze Juliany, Asher zachowywał się jak należy i pilnował, by zawsze parę osób oddzielało go od

Ormsby'ego, ponadto, prócz niedbale rzuconych słów powitania, zręcznie unikał bezpośredniej rozmowy z markizem.

Mając wrażenie, że po pokoju toczy się beczka prochu z zapalonym lontem, Juliana krążyła wśród gości, uśmiechając się i zagadując, jakby był to zwykły wieczór towarzyski, a ona nie drętwiała z przerażenia.

Dobrze przynajmniej, że Ormsby nie miał ochoty na pogawędkę z Asherem i panią Manley i, podobnie jak Asher, bardzo starannie unikał

spotkania twarzą w twarz. Gdy kamerdyner ogłosił, że podano do stołu,

i goście przeszli do jadalni, miała nadzieję, iż uda się przebrnąć przez ten wieczór bez żadnych nieprzyjemności.

Łamała sobie głowę nad rozsadzeniem gości. Ich liczba była nieparzysta, z przewagą pań, a Asher i pani Manley pod żadnym pozorem nie mogli siedzieć w pobliżu Ormsby'ego. A zatem Asherowi i pani Manley wyznaczyła miejsce na jednym końcu stołu, ojciec zaś miał

borykać się z Ormsbym na przeciwległym. Birrelów umieszczono pomiędzy nimi w charakterze buforów, przy czym pani Birrel siedziała obok jej ojca, naprzeciwko Ormsby'ego. Nawet jeśli pani Birrel wydało się dziwne, że

to ona, nie zaś pani Manley, siedzi obok gospodarza, a jej mąż pośrodku stołu, zamiast przy boku Juliany, niczego nie dała po sobie poznać. Uznając, że najbardziej niebezpieczny jest Asher, Juliana dopilnowała, by między Ormsbym i Asherem znaleźli się pastor i Serena.

144

Na postawie rozmaitych pochwał z ust gości doszła do przekonania, że jedzenie jest wyborne, lecz sama czerpała z niego taką przyjemność, jakby jadła zmiotki ze stajni. Raz, gdy uniosła wzrok, dostrzegła spoczywający na niej wzrok Ormsby'ego, w którego oczach nie

dojrzała sympatii. Bez wątpienia markiz domyślił się, że to nie jej ojciec, a ona zaprosiła wszystkich innych gości, łącznie z Asherem i panią Manley.

Choć po krzyżu przebiegł jej dreszcz strachu, odwzajemniła jego spojrzenie i posłała mu olśniewający uśmiech.
Łajdak!

Patrząc, jak Juliana przez całą kolację tylko rozgrzebuje potrawy na talerzu, pani Manley wyszeptała:

- Moja droga, nie jest tak strasznie. Prawie skończyliśmy jeść, a jak dotąd obyło się bez rozlewu krwi.

- Wieczór jeszcze się nie skończył -

rzekła smętnie Juliana. Pani Manley się uśmiechnęła.

- To prawda, lecz możesz liczyć, że Asher będzie się zachowywał

przyzwoicie - w końcu został wychowany na dżentelmena, choć nie zawsze zgodnie z tym postępuje.

Juliana spojrzała na Ashera, a on posłał jej promienny uśmiech, który wcale nie uspokoił zamętu w jej sercu. Niepokój Juliany wzmógł się, kiedy biesiada dobiegła końca i panie opuszczały pokój, zostawiając panów przy porto i brandy. Z obawą myślała, że teraz, skoro pomiędzy Asherem i Orms-bym będą stać tylko jej ojciec i pastor, w każdej

chwili można spodziewać się katastrofy.

Ku jej wielkiej uldze i wdzięczności, gdy goście ostatecznie już zaspokoili apetyty, a panie podniosły się, by opuścić pokój i przejść do salonu od frontu, Asher ruszył ich śladem. Patrząc przez długi stół na jej ojca, rzekł: - Wybaczy mi pan, jeśli dołączę do dam? - Zerknął na panią Manley, po czym przeniósł wzrok z powrotem na pana Kirkwooda i dodał: - Powożę dziś parą młodych, krnąbrnych koni i babcia prosiła, bym miał moż-

145

liwie trzeźwą głowę. - Uśmiechnął się. - Powiada, że w drodze do domu nie chce

wylądować w rowie.

Pan Kirkwood uśmiechnął się. - Nawet gdyby był pan nieco podchmielony, komuś, kto tak umie obchodzić się z końmi, nigdy by się to nie zdarzyło. Ale naturalnie, proszę towarzyszyć paniom. - Z innych powodów, lecz podobnie jak Juliana, pan Kirkwood obawiał się wyjścia pań i rad z ochrony, jaką dawało mu kobiece grono, uchwycił się możliwości, którą wskazał mu Asher. Spojrzawszy na dwóch pozostałych mężczyzn, rzekł: -Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, może wszyscy dołączymy do pań?

- Doskonały pomysł - zgodził się pastor, który doszedł do wniosku, że z jakichś

nieznanych powodów on i jego rodzina mają dopilnować, by Ormsby nie przyparł do muru gospodarza. Pewien, że przyjaciel wytłumaczy mu to przy najbliższej okazji, pastor wstał i odłożył

serwetkę. - Bardzo chętnie wypiję filiżankę kawy w towarzystwie pań - oznajmił.

Nawet jeśli taki obrót wydarzeń był Ormsby'emu nie w smak, niczego nie dał po sobie poznać i wraz z innymi panami towarzyszył damom do frontowego salonu. Panie właśnie pozaj-mowały miejsca, gdy wszedł

Hudson, a za nim lokaj, niosący na

srebrnych tacach wszelkie akcesoria niezbędne do wypicia kawy i herbaty. Podano też talerz herbatniczków cytrynowych oraz pokrojony w cienkie plasterki piernik dla tych, którzy lubią sobie coś poskubać przy kawie i herbacie.

Gdy wszystkich obsłużono, zgodnie z oczekiwaniami Juliany, Birrelówny, zręcznie wspomagane przez matkę, gawędziły o biednej, chorej Thalii, na której samopoczucie tak zbawienny wpływ mają listy lorda Caswella. Juliana z obawą zauważyła, jak na wzmiankę o tych listach Ormsby zaciska szczęki, i przygotowała się na kłopoty.

Markiz wbił swe zimne jak lód,
bladoniebieskie oczy w pana
Kirkwooda i rzekł pod nosem: - O co tu
chodzi? Przed wyjazdem z Londynu
słyszałem, że nie ma mowy o
zaręczynach między nimi. Jak rozumiem,
ten Caswell nie zamierza starać się o jej
rękę? - Z

ostrzegawczym uśmiechem na twarzy
dodał: - Nie uważa pan już chyba, że się
pobiorą?

Pan Kirkwood najwyraźniej nie
wiedział, jak odeprzeć ten zuchwały
atak, i rzucił córce udręczone
spojrzenie. Julianie serce pokroilo się
na drobniutkie kawałeczki, ale zebrała

się w sobie, by stawić czoła markizowi. Jego słowom trzeba natychmiast zadać kłam, gdyż, choć Birrelówny są takie kochane i urocze, nie wiedząc, co się tak naprawdę dzieje, nie zatrzyma-jątej rozmowy przy sobie. A gdyby doszła ona uszu Caswella... Przełknęła ślinę. Żwawo pospieszy do ich domu i zażąda wyjaśnień od Thalii, nie bacząc na jej odrę czy inne niedomagania, a także od pana Kirkwooda. Ani jej siostra, ani ojciec nie zdołają zataić istnienia tych listów, a wtedy, pomyślała ze znużeniem, rozpęta się burza.

Rozpaczliwie szukała odpowiedzi, która wyrwałaby żądło ze słów Ormsby'ego. Pomoc przyszła z nieoczekiwanej strony.

- Och, nie żartuj - rzekła pani Manley. - Oczywiście, że Caswell stara się o jej rękę i wszyscy wiedzą, jak bardzo ci młodzi się kochają. Bez wątpienia Caswell i Thalia pobiorą się, najprawdopodobniej przed końcem roku. - Uśmiechnęła się blado do Ormsby'ego. - Wiesz, Bertramie, doprawdy nie powinieneś słuchać plotek. Tak często są nieprawdziwe, zazwyczaj rozpuszczają je podli i prostacy osobnicy, którzy sami nie wiedzą, o czym mówią. Doprawdy, nie powinieneś rozgłaszać takich bredni.

Twarz Ormsby'ego pociemniała. - Przypominam, że szkołę skończyłem już dawno temu i łaskawa pani nie musi

prawić mi nauk -

warknął.

147

Ze względu na Julianę i babkę Asher ze wszystkich sił starał się zachowywać nienagannie. Zdając sobie sprawę, że zostali zaproszeni na kolację, by pomóc, a nie sprawiać kłopoty, nie potrzebował napomnień babki po drodze do Kirkwoodów, by powściągał język - co mu się znakomicie udawało... aż do tej chwili. Nie pozwoli nikomu, a zwłaszcza Ormsby'emu, odzywać się tym tonem do jego babki.

Asher, który siedział w pobliżu pani

Manley niczym wielki, leniwy tygrys, wyprostował się. Świdrując wzrokiem Ormsby'ego, rzekł

chłodno: - Może i skończył pan szkoły już dawno temu, milordzie, lecz widać wyraźnie, że niczego się pan w nich nie nauczył. Chyba jest pan winien przeprosiny mojej babce, a także panu Kirkwoodowi. -

Uśmiechnął się, odsłaniając wspaniałe zęby. - Nie przystoi, by dżentelmen rozgłaszał tak ordynarne plotki ani odzywał się niegrzecznie do starszych, zwłaszcza do niewiasty w wieku i o pozycji mojej babki.

Przerażona Juliana przenosiła wzrok od

jednego mężczyzny do drugiego.

Wzajemna wrogość i agresja trzaskały między nimi niczym wyładowania elektryczne. Oddaleni od siebie o niespełna sześć stóp, stali twarzą w twarz, Ormsby z wyrazem wściekłości, malującym się na jego obliczu, Asher zaś z miną wyczekującą i czujną.

Asher przybrał swobodną pozę, choć krew pulsowała mu z podniecenia i był gotów do starcia, gdyby Ormsby posunął się tak daleko, by przypuścić na niego atak. Szkoda, że do tej konfrontacji doszło tu i teraz, lecz Asher był z niej niezmiernie rad - miał nadzieję, nie, wręcz modlił się o to, by Ormsby się na niego rzucił.

Juliana rzucała przerażone spojrzenia to jednemu, to drugiemu, łamiąc sobie głowę, jak wybrnąć z tych niespodziewanych tarapatów i uniknąć rozlewu krwi. Gdy tak się wpatrywała w obu

148

przeciwników, uderzyło ją, jak w tym momencie, gdy przemoc wisiała w powietrzu, są do siebie podobni. Podobieństwo nie rzucało się w oczy, choć dorównywali sobie pod względem budowy - obaj wysocy, barczyści, wąscy w biodrach, Asher wyższy może o cal. Obaj mieli czarne włosy i oliwkową karnację, lecz było coś... Nie potrafiła określić, o co jej dokładnie

chodzi, lecz wiedziała, że idzie o coś, czego normalnie nikt by nie zauważył, o sposób, w jaki się trzymali, o wojowniczo wystającą szczękę, wyrazisty zarys brody...

Wstrząsnęła się. Coś jej się przywidziało, a teraz nie pora na jakieś mrzonki. By sytuacja nie uległa jeszcze większemu pogorszeniu, Juliana poderwała się na równe nogi i jednym skokiem znalazła się między dwoma mężczyznami. Stanąwszy między nimi, rzuciła każdemu surowe spojrzenie, po czym rzekła stanowczo:

- Dość tego! Nie będziecie wszczynać burd w domu mojego ojca jak para

ciemnych dzikusów. Jak możecie narażać nas na oglądanie takich szopek?

Reszta gości stała jak przymurowana, oglądając zdumiewającą scenę, jaka się rozgrywała przed ich oczyma, lecz, słysząc słowa Juliany, pastor zamrugał i wtrącił się szybko: - Panowie, panowie, okażcie trochę rozsądku. - Uśmiechnął się do Ashera:

- Jestem pewien, że markiz nie zamierzał urazić pańskiej babki.

- Przeniósł łagodne spojrzenie na Ormsby'ego. - Pańskie słowa, milordzie, były może ostrzejsze, niż należało. Uspokójcie się, panowie. -

Zakasłał lekko, zakrywając usta dłonią. -
Przypominam panom, że są tu damy...
niektóre bardzo młode.

Przez pełną napięcia sekundę obaj
mężczyźni nie ruszali się ze swoich
miejsc i przybrawszy pozycje
przeciwników na polu bitwy,
pojedynkowali się wzrokiem. Juliana
już, już chciała rzucić się na Ashera i
odciągnąć go, gdyby zaistniała taka
konieczność, lecz Ormsby opuścił

wzrok. Zawstydzony, że dał się

149

ponieść temperamentowi i że wieść o
jego dzisiejszych poczynaniach, które

nie stawiają go w pochlebnym świetle, rozniesie się po okolicy i dalej, usiłował naprawić szkodę.

Czerwony z wściekłości i zażenowania, oświadczył sztywno: -

Przepraszam wszystkich. Coś we mnie wstąpiło. - Złożył ogólny ukłon, po czym rzekł pod nosem: - To był... pouczający wieczór. A teraz proszę wybaczyć, na mnie już pora. - I za chwilę wymaszerował z pokoju.

Póki drzwi się za nim nie zamknęły, panowała cisza, gdyż wszyscy stali jak oniemiały, po czym pani Manley rzuciła w przestrzeń:

- Muszę przyznać, że nie bawiłam się tak na żadnej sztuce w londyńskim teatrze.

Juliana stłumiła na pół histeryczny chichot, ledwo mogąc uwierzyć, że niebezpieczeństwo, przynajmniej na razie, zostało zażegnane. -

Fascynujące - wydusiła z siebie, ponownie zajmując miejsce.

Asher przysiadł niedbale na poręczu fotela babki. - Zgoda, i musicie przyznać, że doskonale odegrałem swoją rolę - rzekł kpiąco.

Juliana rzuciła mu ponure spojrzenie, a on uśmiechnął się do niej.

Pani Manley postukała go energicznie zwiniełym wachlarzem w przegub. -
Choć doceniam twoją interwencję,
chciałam ci przypomnieć, że miałam do
czynienia z rodziną Beverleyów dłużej
niż żyjesz na tym świecie - rzekła sucho.
- Bertrama należało przywołać do
porządku i z radością bym go usadziła. -
Uśmiechnęła się do Ashera szelmowsko.
-

Ale swoją rolę rzeczywiście odegrałeś
doskonale.

Pastor odchrząknął i skierował wzrok na
swe dwie córki, które z zapartym tchem
obserwowały tę scenę. Pomna na swe
obowiązki Juliana, spojrzała na młode
damy i rzekła cicho:

- Jeśli wasi rodzice nie mają nic przeciwko temu, może przed wyjściem chciałybyście wpaść do Thalii? Wiem, że bardzo się ucieszy na wasz widok.

Roztropna Serena domyśliła się, że dorośli chcą się ich pozbyć na jakiś czas, by mogli swobodnie porozmawiać, lecz, jako starannie wychowana panna, po otrzymaniu błogosławieństwa pani Birrel, nie sprzeciwiała się, gdy przyszedł Hudson, by odprowadzić je do pokoju chorej. Opuszczając salon, nie zostanie wtajemniczona w sprawy, o których będzie tu mowa, lecz och, co za historię ona i Margaret opowiedzą

Thalii!

Gdy tylko za dziewczętami i Hudsonem zamknęły się drzwi, pan Kirkwood rzekł:

- Bardzo was wszystkich przepraszam za to pożałowania godne zajście.

- Akurat! - rzekła pani Manley. - Beverleyowie znani są ze swych despotycznych, zuchwałych zapędów, toteż nie musisz przeproszać za cudze złe zachowanie, a Bertrama nigdy nie obchodziło, co inni sądzą o jego wyniosłych manierach! - Prychnęła. - Jest zbyt impertynencki, by mieć wzgląd na innych. Ty nie zrobiłeś niczego niewłaściwego.

- Wiem, że to nie po chrześcijańsku, ale nie potrafię polubić Ormsby'ego - wtrąciła pani Birrel. - Pamiętam, że już jako dziecko zachowywał się okropnie, był wtedy tak samo nieznośny. -

Spojrzała na pana Kirkwooda. - Nie pamiętasz, Edmundzie? Zawsze znęcał się nad tobą albo nad jakimś innym chłopcem z sąsiedztwa i doprowadzał

dziewczęta do płaczu. - Jej zazwyczaj uśmiechnięte oblicze teraz miało wyraz zaciętości. - Ciągnął twoją żonę za włosy i mnie też - żaliła się cicho - i straszył nas robalami i węzami. Juliet wręcz prosto w oczy nazwała go tyranem, kiedy wepchnął ją do błotnistej kałuży i zniszczył jej nową sukienkę. Był

niemiłym chłopakiem i wyrósł na bardzo nieprzyjemnego mężczyznę.

151

- Nie znam go z chłopięcych czasów, ale skłonny jestem się z tobą zgodzić - rzekł pastor, dodając z uśmiechem: - I nic mnie nie obchodzi, że to nie po chrześcijańsku z mojej strony. Źle traktuje swoich dzierżawców i mimo swego bogactwa oraz licznych próśb z mojej strony, nigdy nie kiwnął palcem, by pomóc którejś z ubogich rodzin z okolicy.

- Tacy są ci wszyscy Beverleyowie: samolubni do szpiku kości -

wypaliła pani Manley. - Jego ojciec, Arthur, był takim samym sknerą, zapatrzonym we własny pępek, co kochany synalek. Nic dziwnego, że Bertram wyrósł na człowieka tak chciwego i pysznego jak jego ojciec. -

Zerknęła na panią Birrel, szukając u niej potwierdzenia. - Ile on miał lat, dwa, trzy?, kiedy jego matka umarła?

Pani Birrel skinęła głową.

- Biedne maleństwa. Ja byłam wtedy berbeciem, ale po latach pamiętam, jak moja matka mówiła o dwóch osieroconych malcach pozostawionych na łasce tego oschłego człowieka. Nie miał odrobiny serca, był nieczuły i

okrutny, nie nadawał się na ojca dwóch chłopaczków. Bardzo ich żałowała.

- Bo byli godni współczucia -
potwierdził cicho pan Kirkwood. -

Pamiętam, że obaj się go bali, jednak
Vincent bardziej. Bertram unikał

go, ale Vincenta wprawiał w absolutne
przerażenie. Do tej pory mam w oczach,
jak blednie na dźwięk głosu ojca.

- Vincent? - zapytał Asher, włączając
się do rozmowy. - Nie słyszałem nigdy
tego imienia.

- Bo ten biedny chłopak zmarł, och,
wieki temu, jeszcze przed twoim

urodzeniem - rzekła pani Manley. - To był miły dzieciak, zupełnie niepodobny do Bertrama. - Uśmiechnęła się słabo. - Gdyby pani Ormsby była inną kobietą, podejrzewałabym, że przyprawiła rogi mężowi, gdyż Vincent był... - ze smutkiem w oczach wyszeptała: - Świetnie się zapowiadał.

152

- Mój Boże, tak - westchnęła pani Birrel. - A gdy zginął tak tragicznie...

- Co się z nim stało? - zapytał pan Birrel, który nie znał tej miejscowej historii.

- Dokładnie nie wiadomo - odparła pani

Manley. - Znaleziono go ze złamanym karkiem nieopodal głównej bramy do dworu w Ormsby.

Lekarz nie potrafił powiedzieć, czyjego koń się wystraszył, stanął dęba, zrzucił go na konar drzewa, i to było powodem śmierci, czy też z jakiegoś powodu spadł z konia, źle wylądował i złamał sobie kark. - Zawahała się.

- Zastanawiano się, czy nie padł ofiarą rozboju, bo zniknął złoty sygnet z herbem Ormsbych, który Vincent zawsze nosił na palcu. O ile mi wiadomo, nigdy go nie odnaleziono, ale ponieważ nie zabrano mu złotych monet z kieszeni ani szpilki z brylantem i rubinem, nie wydaje mi się, by padł ofiarą rabusiów.

- Rozejrzała się wokół. - Pytam, jaki szanujący się zbójca zabrałby tylko łatwo rozpoznawalny sygnet, a zostawiłby monety i szpilkę? To tajemnica, a cała okolica wiedziała jedynie, że dziedzic markiza zmarł w wieku dwudziestu jeden lat.

- Jaka smutna historia - wyszeptała Juliana. - Nie wiedziałam, że Ormsby miał starszego brata. Myślałam, że jest jedynakiem.

- Bezsprzecznie jest tak samolubny, jakby wychowywał się samotnie -

rzekła pani Manley.

Właśnie wtedy wróciły Serena z

Margaret i rozmowa zesłała na tematy ogólne. Zrobiło się późno i niebawem pan Kirkwood wraz z Julianą stanęli na tarasie od frontu, żegnając gości. Gdy nadeszła kolej Ashera, by podziękować gospodyni, Juliana wyszeptała mu do ucha:

- Spotkaj się ze mną przy drzwiach balkonowych do biblioteki.

Musimy porozmawiać.

Poszukał wzrokiem jej spojrzenia i szybko skinął głową.

153

Asher pospiesznie odwiózł babkę do

domu, lecz nim odjechał, musiał

wysłuchać z jej ust przestrogi. Gdy zatrzymał konie przed domem, dotknęła ramienia wnuka i rzekła: - Uważaj na Ormsby'ego. Wiem, że chciałbyś się z nim porachować, ale musisz pamiętać, że nie jest uczciwym ani godnym przeciwnikiem. Zadarłeś z nim dziś wieczorem, zawstydziłeś przed innymi i jeśli będzie mógł ci się za to odplacić, uczyni to. - Spojrzała w noc, myślami będąc daleko. - Choć Libby Birrel i Edmund urodzili się i wychowali tutaj, są zbyt młodzi, by pamiętać plotki krążące po śmierci Vincenta. Pastor wtedy tu nie mieszkał, więc niczego nie mógł słyszeć, ale powiadam ci, że paru

ludzi z okolicy sekretnie snuło domysły, czy aby Bertram nie ma czegoś wspólnego ze śmiercią brata.

Asher zmarszczył brwi.

- Ludzie myśleli, że Ormsby go zamordował?

Skinęła głową potwierdzająco. - Tak. Ja uważałam tak samo i nie raz słyszałam, jak jego niewinność podawał w wątpliwość ojciec sędziego, ówczesny pastor, a także ojciec Dennin-ga. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że Bertram był zazdrosny

o Vincenta, czuł zawiść o to, że starszy brat odziedziczy tytuł

i wszystko, co się z tym wiąże. -
Westchnęła. - Żywiliśmy poważne
wątpliwości co do śmierci Vincenta, ale
nikt niczego nie mógł dowieść, bo
wyglądało to na tragiczny wypadek.

-A ich ojciec? Co on uważał?

-Arthur Beverley był gburowatym
despotą, ale po prawdzie, każdy rodzic z
miejsca odrzuci myśl, że jedno jego
dziecko mogło zamordować drugie. -
Skrzywiła się. - Arthur zawsze
wyróżniał Bertrama i nie pozwalał na
żadną krytykę względem niego, nawet
najbardziej zasłużoną, więc
najprawdopodobniej z wściekłością
odsunąłby na bok taką hipotezę, nawet
gdyby ktoś odważył się mu ją podsunąć.

- Zamyśliła się. - Arthur nie ukrywał, że jego zdaniem przyszłemu dziedzicowi brakowało 154

cech, jakimi powinien się odznaczać, a którymi Bertram wykazywał

się w obfitości. Wątpię, czy w ogóle opłakiwał śmierć starszego syna. Był

zbyt rozradowany, że to Bertram odziedziczy po nim tytuł.

- Jaki ojciec, taki syn?

- Właśnie. O Beverleyach zawsze szeptano, że albo stawiają na swoim, albo nieszczęśnikom, którzy psują im szyki, przytrafiają się straszliwe rzeczy.

Tak jak mojemu Kapitanowi powiedziała łamiącym się głosem. - Tyle że czasami nie tylko zwierzęta ginęły, niekiedy również mężczyźni i kobiety. Beverleyowie zawsze uważali, że należy im się wszystko co najlepsze... że mają święte prawo posiadać najlepszego konia, największy klejnot i brać sobie do łóżka najpiękniejszą kobietę. -

Ze znużeniem dodała: - I nie cofną się przed niczym, by tego dopiąć.

Asher zmarszczył brwi. Dlaczego nigdy przedtem o tym nie wspominałaś?

Zacisnęła mu palce na ramieniu. - Póki nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo,

nie było sensu mamrotać przestróg
niczym stara wiedźma, warząca swoje
wywary. - W ciemności wyczuł na sobie
jej wzrok. - Lecz po dzisiejszym
wieczorze boję się o ciebie. Niezależnie
od tego, czy umyślnie chciałeś go
obrazić, czy też wcale nie miałeś takich
intencji, uzna twoje słowa za zniewagę i
zrobi wszystko, by ukarać cię za twą
zuchwałość.

- A ty? - zapytał ponuro. - Ciebie też
będzie prześladował?

Westchnęła. - Być może, ale jestem stara
i zemsta na mnie nie będzie dla niego tak
słodka jak na tobie. Asherze, uważaj na
siebie

- dodała z usilną prośbą w głosie.
Przykrył jej rękę swą ciepłą dłonią.

- Babciu, nie boję się Ormsby'ego.

- A powinieneś - odpaliła ostro.

-A co, chciałabyś, żebym uciekł i gdzieś się przed nim ukrył? - zapytał

cierpko.

155

Zaśmiała się bez wesołości.

-I tak byś tego nie zrobił! Proszę tylko, żebyś na siebie uważał i miał

oczy dookoła głowy.

Jadąc z wolna w kierunku Lisiej Nory, Asher zadumał się. Ostrzeżenie babki przed Ormsbym zapadło mu w pamięć i teraz zwracał baczniejszą uwagę na mijane okolice, badał wzrokiem ciemność, wyęczał słuch, by pochwycić wszelkie dźwięki mogące zwiastować niebezpieczeństwo.

Gdy dotarł do domu i rzucił wodze czekającemu nań stajennemu, czuł

się trochę głupio. Czego się spodziewał - że Ormsby wyskoczy zza drzewa i napadnie na niego?

Poniechawszy myśli o Ormsbym,

poszedł do domu i na górze zdjął

wieczorowy strój, łącznie z
błyszczącymi butami, a w zamian
wciągnął

spodnie z kozłej skóry, wygodną lnianą
koszulę i stare buty. Nie chciało mu się
znowu wiązać fulara, toteż zostawił gołą
szyję i włożył

ciemnozieloną marynarkę. Ponieważ
słowa babki nadal chodziły mu po
głowie, upewnił się, że ma nóż w bucie i
parę pistoletów pod marynarką.

W razie czego Ormsby'emu nie pójdzie
łatwo.

W stajni osiodłał rączego kasztanowatego wałacha, którego kupił przed paroma tygodniami na aukcji w Tattersalls, i parę chwil później jechał truchtem podjazdem w kierunku głównej drogi, na spotkanie z Julianą.

Ledwo ostatni powóz odjechał od Kirkwoodów, gospodarz odwrócił się do Juliany i krzyknął z rozpaczą:

- Co mamy począć? Ormsby był wściekły. Nigdy nie wybaczy zniewagi i będzie za nią obwinał mnie, nas wszystkich.

Wiedząc, że słyszy go stojący w pobliżu

Hudson, Juliana popchnęła ojca do holu, skąd przeszli do jego gabinetu.

Zamykając za sobą drzwi, powiedziała z większą pewnością siebie niż w istocie czuła: 156

- Przesadzasz. Owszem, Ormsby był wściekły, ale do tego incydentu doszło wyłącznie z jego winy i na pewno, gdy się nad tym zastanowi, sam dojdzie do tego wniosku.

Ojciec spojrział na nią, jakby postradała zmysły. - Zdajesz sobie sprawę, że mówimy o Ormsbym? Człowieku, który ma w swych rękach przyszłość twojej siostry? - Podszedł do biurka zasłanego książkami i papierami, usiadł za nim i ukrył twarz w dłoniach. - Całe nasze

życie legnie w gruzach. Upubliczni listy albo oddaje Caswellowi. - Patrząc udręczonym wzrokiem na Julianę, rzekł z przygnębieniem: - Tak czy siak, Thalia nie ma nadziei na szczęśliwą przyszłość.

W słowach ojca było wiele prawdy, lecz Juliana postanowiła nie poddawać się czarnej rozpacz. Gdy tylko ojciec przyniósł do domu wieść, że zaprosił Ormsby'ego na kolację, wiedziała, że trzeba będzie coś zrobić z markizem. Jej pośpiesznie urządzona kolacja była zaledwie cienkim murkiem, zbudowanym na piasku, by powstrzymać ocean i jeśli czegoś się nie wymyśli, i to szybko, Ormsby ich zatopi.

Jeżeli mogła z czegoś czerpać otuchę, to z faktu, że nie wszystko poszło tak, jak chciał Ormsby, i to on musiał się wycofać z podkulonym ogonem. Ale tylko dzisiaj, napomniała się smętnie. Wróci i następnym razem mogą nie wyjść z tego bez szwanku.

Nie wiedziała, jak pocieszyć ojca, i zostawiając go jego czarnym myśлом, poszła na górę do pokoju Thalii. Thalia będzie ciekawa, jak to się wszystko skończyło, i nie chcąc, by siostra się niepokoila, pragnęła ją zobaczyć i zapewnić, że nie doszło do najgorszego.

Jeden rzut oka na wystraszoną twarzyczkę, którą Thalia do niej zwróciła, gdy tylko Juliana weszła do

dużej sypialni, powiedział jej, że miała powody niepokoić się stanem siostry.

157

Siedziała sztywno wyprostowana na łóżku, a w bladej twarzy jej oczy wydawały się jeszcze większe. - Nie ma go już tu, prawda? - zapytała z lękiem.

Zmuszając się do uśmiechu, Juliana przeszła przez pokój i opadła na brzeg łóżka. Odgarniając kosmyk prostych włosów z czoła Thalii, odparła:

- Nie. Markiza nie ma w naszym domu. Jesteś bezpieczna. Poczucie ulgi sprawiło, że osłabła i osunęła się z powrotem na górę poduszek ułożonych

za jej plecami.

- Tak się przeraziłam! Gdy Serena i Margaret przyszły na górę i opowiedziały mi, z czym on wyskoczył i jaką odprawę dała mu pani Manley... Złękałam się, że będzie chciał się ze mną zobaczyć osobiście.

- Akurat bym na to pozwoliła - odparła Juliana, krytycznym wzrokiem obrzucając oblicze siostry. Gorączka opadła parę dni temu i choć Thalia wyglądała blado i mizernie, najgorsza wysypka zaczęła schodzić. Trochę schudła, z powodu zarówno choroby, jak i nerwów. Śliczną skórę pokrywały jeszcze krostki i oczy miała wpadnięte, ale jej stan się poprawiał. Nadal przez

jakiś czas nie będzie mogła opuszczać swego pokoju, ale najwyraźniej wychodziła już z choroby.

Thalia zamknęła oczy i spod długich rzęs łzy pociekły jej po policzkach. - To wszystko moja wina. Biedny papa jest na mnie strasznie zły i wiem, że choć nic nie mówisz, przyniosłam ci zawód i wstyd.

Dlaczego byłam taka głupia... - Stłumiła szloch. - Nie zasługuję na szczęście i małżeństwo z moim ukochanym Caswellem. Zasługuję na życie z takim potworem jak Ormsby.

- Z pewnością zasługujesz na człowieka, którego kochasz, i żadną miarą nie

pozwolę, byś wyszła za tego potwora -
rzekła gwałtownie Juliana. - Nie byłaś
głupia, a ja nie wstydzę się za ciebie!
Nie mogę udawać, że nie byłam zła, i
papa też,

158

ale kochamy cię i wybaczyliśmy ci
prawie zaraz, jak tylko dowiedzieliśmy
się o listach. Tak samo jak ja, papa wie,
że byłaś młoda i niemądra, a Ormsby cię
wykorzystał. - Przesunęła pieśczośliwie
palcem po policzku Thalii i
powiedziała:

- Cokolwiek byś zrobiła, zawsze
będziemy cię kochać i nie ma mowy,
byśmy się ciebie wstydzili.

Thalia otworzyła oczy i na widok rozpaczliwej kryjącej się w ich głębi Juliana poczuła ból w sercu. Cienkim głosem Thalia spytała:

- Czy uważasz, że powinnam odprawić Caswella i w-w-wyjść za Ormsby'ego? Jeśli t-t-to zrobię, będziesz mogła wrócić do swojego ukochanego domku, a papa znowu będzie miał spokój. N-n-nieważne, co się stanie ze mną. Małżeństwo z Ormsbym będzie o-o-odpowiednią karą za moją głupotę.

- Co za bzdury! - Juliana pochyliła się i ujęła w dłoń bezwładną rękę Thalii. - Posłuchaj, kochanie - rzekła cicho.

- Owszem, zachowałeś się niemądrze,

ale gdyby Ormsby był

człowiekiem honoru, nie doszłoby do żadnych perturbacji. Przysięgam ci, że znajdziemy wyjście z tego zapętlenia.

-Nie widzę sposobu - wyszeptała Thalia. - Póki Ormsby ma moje listy... - Jej głos zdławiły łzy i nie mogąc ciągnąć dalej, odwróciła głowę.

Gdyby Juliana mogła chwycić miecz i przeszyć nim Ormsby'ego, niezawodnie by to zrobiła. Nigdy w życiu nie czuła takiej bezradnej furii ani chęci, by zadać ciężkie obrażenia innej żywej istocie, jak teraz.

Starając się zachować opanowanie,

Juliana podniosła się. Musnąwszy wargami czoło Thalii, rzekła cicho:

- To z powodu choroby tracisz głowę. Dziś w nocy masz myśleć tylko o Caswellu. Ormsby'ego zostaw mnie.

Thalia tylko słabo kiwnęła głową, co nie dodało Julianie ducha, ale wiedziała, że w tej chwili nic więcej nie może zro-

159

bić. Wyszła cicho i przez chwilę stała w holu, z głową opartą o drzwi.

Ze względu na Thalię i ojca udawała dzielną, lecz teraz zalała ją fala wątpliwości, czy nawet z pomocą

Ashera zdoła doprowadzić tę sprawę do szczęśliwego końca. Jej ojciec i siostra zamartwiali się na śmierć, a ona nie mogła patrzeć, jak cierpią. Żadne z nich nie zdoła już tak dłużej ciągnąć. Trzeba coś zrobić, myślała z rozpaczą... i to szybko.

160

Rozdział 10

Juliana była tak pogrążona w ponurych rozmyślaniach, że nie usłyszała, jak Asher dyskretnie stuka w balkonowe drzwi biblioteki. Parę chwil później doszły do niej coraz bardziej natarczywe dźwięki stukania z zewnątrz.

Wróciwszy do rzeczywistości, zeskoczyła z obitej złoto-zielonym adamaszkiem kanapy, na której siedziała, i podbiegła do balkonowych drzwi. Otworzywszy je, wciągnęła Ashera do słabo oświetlonego pokoju.

Wyjrzała na ciemny ogród i spojrzawszy znowu na Ashera, zapytała z niepokojem:

- Nikt cię nie widział?

- Wątpię. Uważałem.

- A twój koń? Nie znajdą go i nie zaczną zadawać jakichś pytań?

Asher westchnął.

- Wiem, co robię, złotko. Postarałem się, żeby nikt mnie nie zobaczył, i zostawiłem konia przywiązanego w bezpiecznej odległości, a resztę drogi do domu przeszedłem na piechotę.

Jedyna świeca, jaka paliła się w bibliotece, stała na gzymsie kominka z ciemnozielonego marmuru, nieopodal drzwi balkonowych, toteż większość pokoju tonęła w ciemnościach.

161

Z powodu zamiłowania pana Kirkwooda do książek biblioteka stanowiła najwspanialszy pokój w domu. Trzy jego ściany zastawiały szafy na książki, ciągnące się od podłogi do sufitu,

szeregi oprawnych w skórę tomów przerywały tylko wysokie okna, w których wisiały zasłony z bladozielonego aksamitu - ta strona wychodziła na zewnątrz. Pozostałą ścianę zajmował kominek i drzwi balkonowe. Wyfroterowany do połysku parkiet przykrywały dwa duże, kunsztownie tkane wełniane kobierce w barwach kremowych, złotych, zielonych i różowych, ponadto w tym przestronnym pokoju stały eleganckie sofy, a po ich bokach najprzeróżniejsze stoliki. Nawet teraz pograżony w ciemności pokój zachęcał, by usadowić się tu i przejrzeć olbrzymi zbiór książek pana Kirkwooda.

Ashera nie interesowały książki pana Kirkwooda... ale co do jego starszej córki, to już zupełnie inna sprawa. Jak to już mu się zdarzało, nawet częściej niżby pragnął, sam widok Juliany napełniał go niezwykle pożądanymi myślami. Na wspomnienie tych chwil w chatce przemytnika, gdy ją całował, fala gorącej krwi napłynęła mu do żył, oblał go żar i zapłonęła w nim przemożna chęć, by sprawdzić, czy rzeczywistość odpowiada wspomnieniom.

Wyglądała dziś niezwykle uroczo w morelowej sukni, której barwa uwydatniała głębię jej piwnych oczu i czerń gęstych włosów. Asher powędrował spojrzeniem do jej

kuszających ust, po czym opuścił je na skromnie wycięty stanik, gdzie można było dojrzeć nęcący zarys jędrnych piersi ukrytych pod materiałem. Z niepokojem, lecz bez zdziwienia wyczuł potężne naprężenie w lędźwiach, wiedząc, że jeśli nie skupi się na bieżących sprawach, ulegnie chęci sprawdzenia, jak silne namiętności kryją się za skromną minką Juliany.

Nie dostrzegając lubieżnego błysku w oczach Ashera, przygryzła wargę i spytała ponownie:

162

- Jesteś pewien, że nikt cię nie widział?

- Nikt mnie nie widział, Juliano - odparł zniecierpliwiony, po czym chwycił dziewczynę za ramię i zaprowadził do złoto-zielonej sofy. Lekko pchnął ją na siedzenie, usiadł obok niej i rzekł: - A teraz powiedz, co cię tak wyprowadziło z równowagi.

Nerwowo zacierając ręce na podołku, odparła smętnie: - Wszystko! -

Zerknęła na niego z nieszczęśliwą miną.
- Dzisiejszy wieczór był

katastrofą i tylko dzięki łasce bożej nie będziesz musiał o świcie stoczyć pojedynku z Ormsbym. Markiz był upokorzony i wściekły, gdy stąd wypadł, a ja wiem, że ten potwór będzie chciał

się zemścić na mojej rodzinie, gdyż to za jej przyczyną spotkał go taki wstyd. - Gdy Asher chciał się odezwać, uniosła rękę. - Nie musisz mi mówić, że to była moja wina - wiem o tym! Nie powinnam była zapraszać ciebie i twojej babki na kolację, na którą miał przyjść Ormsby, ale zupełnie straciłam głowę. Gdy ojciec powiedział mi, że markiz podstępem wprosił się dziś na kolację - a uwierz mi, że jego zachowanie można tylko tak określić, myślałam tylko o tym, co zrobić, by nie zdołał przyprzeć ojca do muru. Byłam wściekła z powodu zuchwalstwa Ormsby'ego i za wszelką cenę chciałam popsuć mu szyki... gdybym się tylko chwilę zastanowiła, nie wciągałabym w to ani ciebie, ani

twojej babki. - Rozejrzała się po ciemnym pokoju. - Powinnam była napisać do sędziego i zaprosić go z żoną; rodziną - każdego, byle nie ciebie.

- No to pokazałaś mi, gdzie jest moje miejsce. - Iskierki śmiechu w oczach Ashera kłóciły się z żalosnym tonem jego głosu. - A myślałem, że jadę ratować z opresji uciśnioną dziewczycę. Jakże mogłem się tak pomylić?

Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. - Nie jestem w nastroju do kpinek. Spędziłam właśnie okropny wieczór, przez cały czas lękając się tego, do czego o mały włos nie doszło,

a ty robisz sobie z tego śmiechy. -
Spuściwszy wzrok, wyszeptała: -

Mój nieszczęsny ojciec jest tak
zrozpaczony, że boję się, by nie zabrał
go atak apopleksji, a on żyje w strachu
przed następnym posunięciem
Ormsby'ego, Thalia zaś... - Głos jej się
załamał. - Asherze, Thalia gotowa jest
poświęcić własne szczęście i wyjść za
Ormsby'ego! Ujął ją za rękę i wyszeptał:

- Przechodzisz ciężkie chwile, co,
skarbie? Zacisnąwszy palce na jego
dłoni, rzekła z goryczą: - Być

może, ale to, co się ze mną dzieje, nie
może się równać z losem Thalii, jeśli
nie znajdę sposobu, by uratować ją

przed Ormsbym. -

Spazmatycznie wciągnęła oddech, walcząc z przygnębieniem, które ogarniało ją z przemożną siłą. Uniósłszy głowę, napotkała spojrzenie Ashera. - Musimy zdobyć te listy! Tak dalej być nie może. -

Przepraszającym tonem dodała: - Wiem, że wciągnęłam cię w coś, co cię kompletnie nie dotyczy, i bardzo cię za to przepraszam, ale po prostu nic innego nie przyszło mi do głowy. Wiem, że pod żadnym pozorem nie powinnam niczego więcej od ciebie wymagać, ale natychmiast trzeba coś zrobić, bo inaczej ojciec zadręczy się na śmierć ze zmartwienia i wstydu, że nie potrafi

obronić Thalii przed zakusami Ormsby'ego, lecz przede wszystkim obawiam się, że Thalia zrobi coś bardzo niemądrego.

- Jeszcze bardziej niż napisanie tych listów? - zapytał, nie poprawiając tym bynajmniej humoru Juliany.

Wyrwała rękę z jego dłoni, a jej oczy zabłyśły gniewem. - Właśnie sobie przypomniałam, jakim nieznośnym byłeś młokosem.

Wyszczrzył zęby, lecz świadom powagi sytuacji, odparł z wolna: -

Ormsby będzie na kolacji u mojego ojczyma - zerknął na zegar z

połączanego brązu stojący na gzymsie kominka i spostrzegłszy, że jest już po północy, ciągnął dalej - za mniej

164

niż dwadzieścia godzin. Zabawi tam do wczesnych godzin porannych i pod jego nieobecność będę miał doskonałą sposobność, by wykraść listy

- zakładając, że są tam, gdzie mi się wydaje. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dostaniesz do ręki listy Thalii przed upływem doby.

Jego słowa dodały jej otuchy, póki nie zaczęła się zastanawiać, na jakie niebezpieczeństwo go naraża. Do tej

pory, uwikłana we własne kłopoty, nie pomyślała, o co tak naprawdę prosi Ashera, i odezwało się w niej poczucie winy. Włamując się do domu Ormsby'ego i wykradając listy-jeżeli je znajdzie - wystawi się na straszliwe ryzyko i zrobi to dla niej, dla jej rodziny. Jeśli go nakryją, straci reputację, a życie jego babki legnie w gruzach, a nawet, nagle zaświtało jej w głowie, mogą go deportować do Australii albo nawet powiesić jako pospolitego złodzieja.

Na myśl, iż Asher może umrzeć albo zostać deportowany, że nigdy więcej go nie zobaczy, że nie spojrzy w te kpiarskie granatowe oczy i nie usłyszy

jego głosu, z wolna cedzącego słowa, całe jej ciało przeszył taki strach, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznała.

Pobladła jak ściana, jej oczy przywodziły na myśl dwa wielkie stawy barwy przydymionego złota. - Nie. Nie. Nie możesz.

- Czego nie mogę? - zapytał Asher, unosząc lewą brew.

- Nie możesz brać na siebie takiego ryzyka - rzekła wzburzonym głosem. - Gdyby cię nakryli... - Potrząsnęła głową, oczyma duszy ujrzała straszliwy obraz: ciało Ashera, dyndające na szubienicy. - Nie. W ogóle nie powinnam była cię

prosić, byś się tak narażał. - Oderwała wzrok od jego oczu i niewidzącym spojrzeniem wpatrzyła się w przestrzeń. - Musi być jakiś inny sposób. Muszę wymyślić coś innego. Teraz widzę, że to był niemądry plan, i w ogóle nie powinnam była cię w to wciągać.

165

Asher schwycił ją za rękę i odszukał wzrokiem jej spojrzenie. - Nie możesz mnie powstrzymać - rzekł, uśmiechając się krzywo.

- Nie wolno ci tego robić! - krzyknęła, a serce jej łomotało ze strachu.

- Zabraniam ci! Nie rozumiesz, jakie

niebezpieczeństwo ci grozi, gdyby cię
nakryli na włamaniu do domu

Ormsby'ego? Co by zrobiła twoja babka,
gdyby cię złapali?

- Nie złapią mnie.

- Tego nie możesz wiedzieć!

Nie zamierzał się z nią spierać.

Niezależnie od woli Juliany i tak
włamie się dziś wieczorem do domu
Ormsby'ego i, jeżeli szczęście będzie mu
sprzyjać, znajdzie listy jej siostry' i
wykradnie je markizowi. Tak będzie i
żadne jej słowa czy czyny nie zmienią
jego decyzji. Widząc niepokój na jej
twarzy, poczuł wyrzuty sumienia. Nie
może jej przecież wytłumaczyć, że

pozbawienie Ormsby'ego tych listów sprawi mu wielką radość i że pod wieloma względami ta kradzież nie ma nic wspólnego z Julianą ani z jej rodziną. Do diabła, jest niezmiernie rad, że może pokrzyżować plany Ormsby'ego względem Thalii.

Unosząc jej palce do ust, ucałował je, uśmiechnąwszy się, gdy wyrwała mu rękę i jak dobrze ułożona niewiasta położyła ją na podołku. -

Musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że mnie nie złapią - rzekł lekko, zastanawiając się przy tym, co by zrobiła, gdyby schylił się i ucałował te jej słodkie usteczka. - Pamiętaj' że Ormsby'ego nie będzie w domu. A skoro

pana nie będzie,' służący albo położą się spać, albo zajmą się własnymi sprawami. Żaden z nich nie będzie miał po co zbliżyć się do biblioteki, a tym bardziej do niej wchodzić. Wiem już, gdzie jest sejf, i jestem pewien, że otworzę go bez trudu. - Skoro nie wydawała się przekonana, wyjaśniał dalej: - Juliano, w bibliotece Ormsby'ego będę najwyżej dziesięć minut... a jeśli listy tam są, skończą się wszystkie wasze kłopoty.

166

- A jeżeli...

Położył Julianie palec na ustach, by ją uciszyć, rozkoszując się miękkością jej

warg. - Powiem ci dokładnie, co się stanie - rzekł. - Markiz pojedzie dziś na kolację na Jabłkowe Wzgórze. Skoro będę miał pewność, że tam dotarł, podjadę do dworu Ormsby'go i wykradnę listy. Załatwię sprawę i wymknę się z biblioteki, zanim ktokolwiek się zorientuje, że w ogóle wszedłem na teren posiadłości.

Poszukała wzrokiem jego oczu. Znała to spojrzenie z dawnych lat. Nic go nie powstrzyma. - Będiesz uważał? - zapytała bojaźliwie, poddając się nieuniknionej konieczności. Popatrzyła na swe ręce spoczywające na podołku. - N... n... nie zniosłabym, gdyby c... c... coś ci się stało.

Jej słowa przyjemnie go zaskoczyły i uznał wreszcie to, o czym wiedział od dawna: że wiele rzeczy mu się w Julianie podoba -

niezmiernie. Dłuższą chwilę wpatrywał się w jej pochyloną głowę, pobiegł wzrokiem za niesfornym kosmykiem, który miękko układał się na jej policzku, po czym wbił wzrok w kuszącą krągłość piersi. Nie chciał

rozmawiać o Ormsbym ani o tych przeklętych listach Thalii, chciał

porozmawiać o... o Boże, pomyślał cynicznie; teraz, gdy jego przyrodzenie nabrzmiewało, a krew w żyłach zaczęła krążyć szybciej, w ogóle nie chciało mu

się gadać. Owładnięty żądzą, cholernie trudną do opanowania, chciał wziąć Julianę w ramiona i całować ją, dotykać jedwabistej skóry, która kryła się pod tym zwiewnym muślinem. Pragnął

miażdżyć wargami te słodkie usta, aż jej jędrne, bujne ciało wygnie się ku niemu, gdy zatopi się w niej głęboko.

Skoro mijały sekundy, a Asher się nie odzywał, Juliana uniosła ku niemu wzrok i aż jej dech zaparło na widok nieskrywanego pożądania w jego oczach. Z zaambarasowaniem stwierdziła, że sutki jej stwardniały, zmieniając się w sztywne pąki, a między udami poczuła żar i wilgoć.

Atmosfera zrobiła się gorąca, zatonęli w sobie oczami. Asher, siedzący na końcu sofy, wyglądał bardzo przystojnie w koszuli rozpiętej pod szyją, a jego muskularne ciało sprężyło się jak u kocura gotującego się do skoku. Byli sami w cichym domu, jej ojciec, służba, wszyscy udali się na spoczynek... Nikt nie wiedział, że Asher jest w domu. Nikt się nie dowie, jeśli ją zniewoli, a po jego minie poznała, iż tego pragnie, i przeszło ją podniecające drżenie na myśl, że ta twarda męskość przywrze zmysłowo do jej nagiego ciała.

Po śmierci męża kilku godnych kandydatów wykazywało nią bardziej

niż przelotne zainteresowanie, lecz Juliana nigdy nie czuła najmniejszej pokusy, by zachęcić jakiegoś konkurenta bądź wdać się z którymś w szalony romans. Ale Asher... Puls jej przyspieszył i przyznała, że Asher pociągał ją jak żaden inny mężczyzna - nawet jej mąż. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, by przerwać coraz bardziej gęstniejącą ciszę, ale mogła tylko wpatrywać się w zmysłowe wygięcie jego ust i wyobra-

zić sobie, jakim gorącym spadłyby na jej wargi. Powinnam się podnieść, pomyślała w oszołomieniu i powiedzieć mu, żeby sobie poszedł.

Powinnam wybiec. Ale nic z tego, wpatrywała się tylko weni, oddychajac coraz szybciej, a jej sutki rysowaly sie wyraźnie pod cienką muslinową tkaniną.

Nie udawala, ze nie wie, jak niebezpieczna jest to chwila, ani tez, ze nie wie, co sie stanie, jezli nie polozy kresu tej grze zmyslow, ktora stawala sie coraz gorętsza. Wiedziala, co powinna zrobic, wiedziala, co powinna powiedziec, ale jakze mogla, skoro kazde włókienko jej ciala krzyczalo, by wziął ją w ramiona.

A w nim tetnienie krwi, goracej jak lawa, zagluszylo resztki zdrowego rozsadku i, nie baczac na konsekwencje, wiedzac tylko, ze jezli jej nie pocałuje,

będzie tego żałował do końca życia,
wyciągnął do niej ręce.

Owładnięty pierwotną namięt-

168

nością, objął ją za ramiona i przyciągnął
do siebie. Spadł na jej usta i całował je
z ledwo skrywaną gwałtownością.

Juliana ani myślała mu odmawiać.
Nawet gdy ustami siłą rozchyłał jej
wargi i wsunął język w jej usta, by się w
nie zagłębić i podniecić ją, nie
odepchnęła go. Jego pocałunek był zbyt
uwodzicielski, ruch języka, pożądliwe
wtargnięcie, zbyt słodkie, by odmówić.
Gdy opuścił ręce i ujął

w dłoń jej pierś, zadrżała i wygięła się pod wpływem jego pieszczoty.

Wybuchła między nimi ślepa, dzika namiętność, popychając Julianę na sofę, na którą zaraz spadło wielkie ciało Ashera. Leżąc na poły na Julianie, a na poły obok, długo ją całował, wiele razy, z każdym pocałunkiem goręcej, mocniej niż poprzednio. Przesuwał po niej rękami, ugniatał jej piersi, pociągał za sztywne sutki, żar i pragnienie paliły go na wskroś, aż mało nie oszalał z pożądania.

Julianę upajały pieszczoty Ashera, przesuwiała palcami po jego włosach i niżej, po twardych mięśniach pleców. Gdy odjął usta od jej warg, jęknęła z

żału, by zaraz drgnąć z rozkoszy, gdy zacisnął zęby na jej sutku. Kiedy ssał go przez materiał sukni, dotyk tych natarczywych ust na jej piersi wzmógł narastający słodki ból między nogami. Poruszała się pod nim niespokojnie, zaciskając mu ręce na ramionach, pieszcząc go wszędzie, dokąd tylko dosięgnęła. Ponieważ przeszkadzało jej ubranie, utrudniające bezpośrednią bliskość, odciągnęła mu marynarkę i westchnęła, gdy wsunąwszy palce pod jego koszulę, natrafiła na ciepłe, nagie, męskie mięśnie.

Jej ręka, zaciskająca się Asherowi na torsie, palce, zaplątane w gęstwinę sprężystych, czarnych włosów

porastających jego pierś, wyrwały mu jęk z głębi serca. Pragnął więcej, znacznie więcej i choć za nic nie chciał odrywać ust od jej warg, uniósł się, zrzucił marynarkę i ściągnął koszulę. W ślad za nimi poszły buty i spodnie.

169

Odwrócił się i głosem ochrypłym z pożądania rzekł: - A teraz ty.

Przekonajmy się, czy wizje, które prześladowały mnie już od jakiegoś czasu, odpowiadają rzeczywistości. - Nawet gdyby myśl, by powstrzymać Ashera, przyszła Julianie do głowy, nie zdołałaby przeszkodzić mu w szybkim i sprawnym zdjęciu z niej każdej sztuki

ubrania. Jej pantofle, suknia i koszula wylądowały na podłodze obok jego spodni i butów.

Gdy oboje byli już nadzy, Juliana osunęła się na sofę, Asher zaś usiał

obok niej, przyciskając nagie biodro do jej biodra. Przez chwilę przyglądali się sobie, świadomi, że dotarli do punktu, od którego nie ma już odwrotu. Asher przesunął wzrokiem po ciele Juliany. - Chryste! -

wyszeptał - rzeczywistość znacznie przewyższa moją ubogą wyobraźnię.

Jesteś prześliczna. - Pochylił się i skubnął zębami jej sutki. - Żadna kobieta

nie ma prawa być tak piękna i pociągająca.

Wiedziała, że Asher jest szczupły i muskularny, lecz jego umięśniona męska uroda, ukryta dotąd pod ubraniem, wstrząsnęła nią. Nie mogąc się powstrzymać, przesunęła po nim ręką, rozkoszując się węzłami mięśni, drgającymi pod jej dotykiem; niemal mruzczała z rozkoszy, gdy jej palce przedzierały się przez gąszcz włosów na jego piersi.

Asher pochwycił jej wędrującą dłoń i z twarzą spiętą z pożądania rzekł

szorstko: - Jeszcze nad sobą panuję na tyle, że jeśli mi każesz odejść, usłucham.

- Poruszył się, trzymając usta tuż przy jej wargach i patrząc na nią oczyma pociemniałymi z żądy, wypalił prosto z mostu: - Ale ostrzegam, jeżeli jeszcze raz cię dotknę... nie spocznę, póki nie będziesz moja.

Juliana wyciągnęła do niego rękę, śmiejąc się i płacząc:

- Jeśli nie będziesz się teraz ze mną kochał, Asherze Cordellu, znienawidzę cię na resztę życia.

Z czymś na kształt jęku i przekleństwa spadł na nią, wpijając się w jej usta niczym dziki zdobywca. Wbił się w jej usta językiem jak gorącym trzonem i torsem miażdżył jej piersi.

Oszołomiona ciepłem jego nagiego ciała na swoim, wtargnięciem jego języka, szorstkim, owłosionym torsem ocierającym się o jej piersi wpadła w wir lubieżnych doznań. Czuła w nozdrzach zapach mężczyzny, usta wypełniał jej jego smak, przygniatające ją muskularne ciało sprawiło, że cała rozpłynęła się z rozkoszy. Pragnęła go. Pragnęła go w najbardziej pierwotny sposób. Pragnęła go tak, jak nigdy dotąd nie pragnęła żadnego mężczyzny.

Ta sama żywiołowa namiętność, która przepełniała Julianę, owładnęła też Asherem. Zatopił się w słodczy kobiety, językiem i ustami delectował

się każdym skrawkiem jej ciała, do którego zdołał dotrzeć, kosztował wszelkich jej wdzięków. Pragnąc zaspokoić pożądanie, które chwyciło go w swe szpony, przesunął ręką w dół jej brzucha, szukając kuszącej miękkości między udami. Jej wzgórek porastał gąszcz kędzierzawych włosów, z którymi igrał przez chwilę, nim wsunął palec między śliskie fałdy, których strzegła sprężysta gęstwina. Była wilgotna i rozpalona, miękkie ciało, delikatne jak jedwab, płonęło ogniem.

Julianie zapało dech, to pierwsze, próbne wtargnięcie przeszło ją szaloną, bolesną rozkoszą. Wygięła biodra i zacisnęła mężczyźnie ręce na ramionach,

gdy z wolna wsunął w nią drugi palec i drażnił ją.

Pod wpływem pieszczoty tych doświadczonych palców Julianę opadły tak silne emocje i doznania, że omal nie wyskoczyła ze skóry.

Nigdy czegoś podobnego nie czuła, nawet w najbardziej intymnych chwilach z mężem, i nie była przygotowana na to gorączkowe pożądanie, które ją przytłoczyło. Nie liczyło się nic, pragnęła tylko, by ulżył tej straszliwej potrzebie, którą w niej rozbudził.

Asher nie zdołał już dłużej zwlekać. Wyjął z niej palce i wsunął się między jej uda. Ustawiając swą potężną buławę

naprzeciw niej, wepchnął

się w nią z całą mocą, jęknąwszy, że jest
tak 171

rozpalona i ciasna. Gdy leżał, głęboko w
niej zatopiony, każdy nerw ciała miał
skupiony tam, gdzie się połączyli. Była
samym ogniem i uniesieniem, czuł pod
sobą bujność jej miękkiego,
jedwabistego ciała, zaskoczony magią
ich stopienia się w jedno.

Kochał się z wieloma kobietami, lecz
żadna, nim spotkał Ju-lianę, nie
rozbudziła w nim wzruszeń, które
wstrząsały teraz całą jego istotą. Nie raz
już doznawał namiętności, pożądania i
rozkoszy, jednak dzisiaj rozpłomieniło

go jakieś nowe uczucie, które rozpaliło te wszystkie pozostałe emocje, tak potężne i głębokie, że poczuł się wobec ich siły bezbronny. Podniecony mocą tych wszystkich zespolonych wzruszeń, poruszał biodrami i wchodził w nią raz po raz. Za wszelką cenę pragnął

przedłużyć tę chwilę, delectować się tymi doznaniem, ale nie mógł

myśleć, nie mógł oddychać, a zdolny był tylko czuć i poddawać się pierwotnej żądzy miłosnego zaspokożenia.

Julianie zaparło dech od jego pokaźnych rozmiarów i żaru, z jakim wypełnił jej ciało. Od śmierci męża nie miała mężczyzny, a mąż był jej jedynym

kochankiem. Teraz, w ramionach Ashera, odkryła, że są kochankowie i kochankowie... Kunszt miłosny Ashera przytłoczył ją, objął jak płomień, przerzucił w zupełnie nowy świat zmysłowego upodobania tego jedyne, prostego aktu. Zatraciwszy się w upojnym zamroczeniu, odpowiadała na każde pchnięcie Ashera, z każdym jego ruchem przepływały przez nią fale rozkoszy. Obejmowała go z całych sił, jego tors, rytmicznie ocierający się o jej piersi, wzbudzał w niej najdziksze erotyczne fantazje, jego natarczywy język i natrętne usta podsycaly w niej tęsknotę za dalszymi pieścizotami, a gorączkowe uderzenia jego ciała o jej nagą skórę podniecały ją do szaleństwa.

W

rozkoszej udręce i tęsknocie wiła się pod jego naporem, wyginając biodra, a ciche dźwięki, które wydawała, pobudzały go do silniejszych, szybszych pchnięć, aż wreszcie wstrząsnęła się pod nim i świat zawiro-

172

wał. Jej spełnienie zgubiło go, drżąc w jej ramionach, Asher bezradnie podążył jej śladem do kresu.

Leżeli na kanapie nadal złączeni ciałami, a w pokoju słychać było tylko ich gwałtowne oddechy. Asherem nadal wstrząsało drzenie i wiedział, że

powinien się ruszyć, lecz nie mógł i leniwie, jakby miał

zacząć od nowa, wszedł w nią jeszcze raz, ale siły już go opuściły i niechętnie wycofał się z jej ciała. Pogmerawszy wśród rozrzuconych na podłodze ubrań, znalazł w kieszeni marynarki dużą, lnianą chustkę, którą starannie ułożył między udami Juliany, by usunąć wszelkie zewnętrzne ślady ich miłosnego aktu.

Wsunąwszy chustkę do kieszeni marynarki, ucałował brzuch Juliany.

- Przepraszam, że nie mam dla ciebie nic lepszego - następnym razem będziemy troskliwiej przygotowani - powiedział

cicho.

Omal nie wyrwał się jej szloch, gdy z niej wyszedł, nie chciała bowiem, by ta chwila się skończyła, lecz jego słowa brutalnie przywróciły ją do rzeczywistości. Zaspokoiwszy namiętność, Juliana uzmysłowiła sobie całą okropność swego postępowania. Świadomość, że oto leży naga na kanapie w bibliotece ojca, po szaleńczym, gorączkowym zespoleniu, którego dopuściła się z Asherem, spadła na nią jak lawina.

Usiadła gwałtownie, a jej policzki oblały się ogniem. Wielki Boże! Co ona zrobiła? Czy będzie mogła kiedykolwiek spojrzeć mu w twarz? Jakże ma prawo,

by kierować własną siostrą i radzić jej, skoro sama zachowuje się jak głupia, słaba kobietka? Powściągnęła histeryczny śmiech. Listy?

Listy Thalii są niczym w porównaniu z jej postępkiem.

Zawstydzona swym brakiem zasad moralnych, upokorzona faktem, iż do tego dopuściła - i mniejsza z tym, że błagała Ashera, by się z nią kochał - po omacku szukała w ciemności swego ubrania. Jej policzki zapłonęły jeszcze mocniej, gdy Asher bez

173

słowa wręczył jej koszulę, której na

próżno szukała. Powstrzymując jęk rozpacz, wyrwała mu ją i wciągnęła na siebie. Jeszcze chwilę na łapu-capu wyciągała sztuki odzieży z plątaniny ubrań na podłodze, aż znalazła suknię i pantofle. Zgarnąwszy je, popędziła za kanapę, by nałożyć na siebie resztę garderoby.

Asher z namysłem wciągnął spodnie, a potem buty. Słyszał ciche dźwięki, które wydawała Juliana, i te odgłosy oraz pośpiech, z jakim okrywała swą nagość, pozwoliły mu odgadnąć stan jej umysłu, przez co znalazł się w kropce. Wiedział doskonale, że Juliana nie jest żadną flirciarą, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że będzie żałować tego, co

właśnie zaszło między nimi albo do czego to ich doprowadzi. Z

nachmurzoną miną wziął koszulę i włożył ją na siebie. A niech to! Musi mnie uważać za skończonego łajdaka, pomyślał z irytacją. Wie przecież, że zamierzam się z nią ożenić. Musi wiedzieć, że nigdy nie doszłoby do wydarzeń dzisiejszej nocy, że za nic w świecie nie pozwoliłbym, by sprawy posunęły się tak daleko, gdybym nie pragnął jej poślubić. Nie uważa chyba dzisiejszego zdarzenia za początek romansu albo, co gorsza, za jednorazowe igraszki.

Dźwięki dochodzące doń w ciemności z miejsca, w którym Juliana pospiesznie

nakładła na siebie odzienie, nie dodawały mu otuchy.

Szybkość jej ruchów nie wróżyła niczego dobrego.

Zapiął koszulę i włożył ją w spodnie, przeczesał ręką zmierzwiłone włosy, po czym rzekł cicho:

- Juliano, musimy porozmawiać.

Odziana czuła się nieco spokojniejsza, lecz pragnęła wybiec z tego pokoju, ukryć się i nigdy nikomu więcej nie pokazywać się na oczy. - O

czym? - zapytała. - Sporządziłeś plan wykradzenia listów Thalii, więc nie

widzę potrzeby...

Obszedł kanapę i zacisnął ręce na jej ramionach, nim zorientowała się, co mężczyzna zamierza. - Nie chcę rozmawiać - wycedził przez zaciśnięte zęby - o Thalii czy o jej przeklętych

174

listach! Chcę porozmawiać o nas. O tym, co dziś w nocy zaszło między nami.

Juliana przełknęła ślinę i usiłując przybrać światowy ton, co zupełnie jej nie wyszło, odparła: - Ach, o tym! Było bardzo miło.

- Miło! - powtórzył wściekle.

Najwspanialszy akt miłosny, jaki dotychczas przeżył, uznała za ledwie za „miły”? Ale nie da się jej zbić z tropu. Głęboko odetchnął i rzekł już spokojniej: - Nie chodzi o to, jak wypadłem, i uwierz mi, skarbie, „miło” ani w ułamku nie oddaje tego, co się między nami działo. Ale chodzi mi o nasze małżeństwo.

Poprzez ciemność Juliana wpatrzyła się weń z otwartymi ustami. -

M... m... małżeństwo? - wyjąkała. Borykając się ze świadomością, że pogwałciła wszelkie zasady, jakimi dotychczas kierowała się w życiu, rozpaczliwie pragnęła zrozumieć, jak mogła dopuścić się takiej nieprawości.

Myśl o małżeństwie w ogóle nie powstała jej w głowie.

Rozluźnił nieco uścisk na jej ramionach i lekko nią potrząsnął. -

Oczywiście, małżeństwo. Dziś po południu przyjdę porozmawiać z twoim ojcem i w niedzielę pastor będzie mógł ogłosić zapowiedzi. Za miesiąc się pobierzemy.

Czując burzę uczuć, Juliana odepchnęła go od siebie. - Nie rzekła bez tchu. - Nie chcę ponownie wychodzić za mąż.

Kompletnie zaskoczony Asher wpatrzył się w nią, przeklinając ciemność, która nie pozwalała mu dojrzeć miny Julia-ny.

Pomyślał

chwilę nad jej słowami. Nie powiedziała, że nie chce wyjść za niego, tylko że nie chce ponownie wychodzić za mąż... - Czy aby na pewno dobrze cię zrozumiałem? - zapytał, starannie ważąc słowa. - Jesteś przeciwna nie tyle mnie, co małżeństwu jako takiemu?

Skinęła głową, po czym, zdając sobie sprawę, że jej nie widzi, potwierdziła:

175

- Tak. O to właśnie chodzi. Nie chcę wychodzić za nikogo.

- Nigdy?

- Tak. Nigdy.

- A więc zgadzasz się zostać moją kochanką, ale nie żoną? - zapytał z nutką przygany w głosie, co sprawiło, że Juliana poczuła się nieswojo.

Zawahała się. Nie, nie chciała zostać jego kochanką, ale po niebiańskich przeżyciach dzisiejszej nocy podejrzewała, że wystarczy, by Asher kiwnął palcem, a ona znowu padnie mu w ramiona. I zostanie jego kochanką. Poczowała się głęboko nieszczęśliwa. Nie odpowiadała jej rola kochanki, choć nigdy w życiu nie doznała tak nadziemskich, zmysłowych rozkoszy jak dzisiejszej nocy. Była posłuszną córką, oddaną i uległą żoną, przez całe życie

przestrzegającą zasad obowiązujących w jej sferze...

Przygryzła wargę. Prawda, że usiłowała wykraść listy Thalii i kochała się dzisiaj z Asherem, ale z wyjątkiem tych niesłychanych wybryków trzymała się konwenansów równie sztywno, co żona pastora! Myśl o zostaniu czyjąkol-wiek kochanką, nawet mężczyzny, od którego jednego spojrzenia jej ciało mięknie jak wosk, była nie do przyjęcia, ale inne wyjście, małżeństwo z nim, na razie nie wchodziło w rachubę. Czując, że traci panowanie nad własnym życiem, milczała, nie potrafiąc wykoncypować sensownej odpowiedzi.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? -
zapytał sucho Asher.

- Nie chcę zostać twoją kochanką -
oznajmiła stanowczo.

- W takim razie pobierzemy się,
najszybciej jak się da.

- Nie - oświadczyła.

To słowo zawisło między nimi w
ciemności. Głosem, w którym przebijała
zwykła ciekawość, zapytał:

Możesz mi powiedzieć, dlaczego? Tylko
nie próbuj mi wmawiać, że jestem dla
ciebie odstręczający.

Zacisnęła usta.

176

- Gdybyś był dżentelmenem, nie naciskałbyś na mnie. Zaśmiał się bez wesołości. - Skarbie, mogę wyglądać jak

dżentelmen, ale uwierz mi, nie jestem nim. Dżentelmeni -oznajmił

sucho - nie włamują się do cudzych domów ani nie wykradają z nich pewnych, hm, listów.

- To nie przekreśla twojej pozycji jako dżentelmena - zaprotestowała gwałtownie Juliana, przerażona, że

Asher ma się za gorszego, gdyż pomaga Thalii w jedyny sposób, w jaki może jej pomóc. - Podjąłeś się tego ze szlachetnych pobudek - by uchronić niewinne młode dziewczę przed rozpaczliwym losem.

- Ustalmy jedno - rzekł, stając obok niej.
- W moim postępowaniu nie ma nic szlachetnego. Niech mnie diabeł porwie, jeśli robię to dla Thalii. -

Znowu zacisnął ręce na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie. - Robię to

- wycodził - dla ciebie. Tylko dlatego gotów jestem nadstawić karku. Dla ciebie i dla nikogo innego.

Przeszył ją dreszcz radości, ale szybko go stłumiła. Nieważne, z jakich powodów to robi, napomniała się. Najważniejsze, że chce to zrobić i że Thalia będzie ocalona.

Odchrząknęła. - Dziękuję ci - rzekła. - Wiem, że moja prośba była bardzo nierozsądna, ale jestem ci bardzo wdzięczna.

-Nierozsądne - rzekł surowo - było odrzucenie moich oświadczeń.

- Mhm, nie przypominam sobie, żebyś mi się oświadczył -zauważyła Juliana. - Powiedziałeś, że się pobierzemy.

-Czy o to chodzi? Chcesz, żebym ci się

oświadczył? -W jego głosie brzmiało takie niedowierzenie, że omal się nie uśmiechnęła.

-Nie, chodzi...

- Jeżeli jeszcze raz wypowiesz to słowo, nie ręczę za siebie - warknął.

177

Aż nazbyt świadoma tych grzesznych ust o parę cali od jej warg, niepokojącego żaru i drżenia między udami, jakie wywoływała w niej bliskość Ashera, tkwiła nieruchomo w jego ramionach. Zauważyła też, że i on z trudem się hamuje, i zastanawiała się, jak wybrnąć z tej nieprzewidywalnej sytuacji.

Znowu potrząsnął nią niecierpliwie.

- Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść?
Co ci się we mnie nie podoba?

- Och, Asherze - zakrzyknęła cicho. -
Wszystko mi się w tobie podoba.

- Przyłożyła dłoń do jego policzka. -
Gdybym chciała wyjść za męża,
wyszłabym tylko za ciebie.

Lekko obrócił głowę i musnął wargami
jej palce. - Więc dlaczego mnie
odrzucaasz? zapytał ochryple.

Jak mu to wytłumaczyć?, zastanawiała
się z rozpaczą. Jak przekonać, że lubi
swój sposób życia? Jak dowieść, że jest

szczęśliwa w swoim domku z panią Rivers, jej starą nianią, szczęśliwa, że może robić, co jej się podoba, wydawać pieniądze i spędzać czas tak, jak chce - i nikomu nic do tego.

Żyjąc najpierw pod okiem ojca, potem męża, rozkoszowała się teraz swobodą. Choć żaden z nich nie był tyranem, zawsze zdawała sobie sprawę, że jej los spoczywa w ich rękach. Od czasu śmierci męża nauczyła się cenić swą niezależność i myśl o rezygnacji z tego wszystkiego, o przekazaniu komu innemu władzy nad swym życiem, którą teraz mocno dzierżyła, była dla niej nieznośna.

Kocha Ashera. Otwarcie się do tego

przyznaje. Była w nim zakochana od dawna - najprawdopodobniej od dziecka. Ale na małżeństwo z nim się nie zgodzi. Gdyby miała ukochanego więcej nie ujrzeć albo, co gorsza, patrzeć, jak żeni się z inną, serce by jej pękło. Tu nieco zachwiała się w swoim postanowieniu. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może stanąć przed takim wyborem, toteż nie zastanawiała się nad swą decyzją.

178

Czy kiedyś będzie żałować, że go odrzuciła? Czyż niezależność jest dla niej ważniejsza, niż małżeństwo z jedynym mężczyzną, którego naprawdę

kochała? Czy rzeczywiście może odwrócić się od miłości?

- Do diabła! Musisz za mnie wyjść - oświadczył stanowczo Asher, nie czekając na jej odpowiedź. - Jutro porozmawiam z twoim ojcem.

Juliana zeszywniała. - Chyba zapominasz, że jestem pełnoletnia i mój ojciec nie ma nic do powiedzenia w kwestii mojego zamążpójścia czy też ewentualnego kandydata na męża - warknęła ze złością. A potem powiedziała najgorszą rzecz, jaka mogła wymknąć się jej z ust. Uniósłszy podbródek, niebaczna na nutkę wyzwania w głosie, oznajmiła: - Nie możesz mnie zmusić do małżeństwa ze

sobą.

Przed oczyma Ashera zamigotały krwawe fale. Mocniej zacisnął ręce na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie. Nim jego usta mocno i pożądliwie spadły na jej wargi, wymamrotał pod nosem:

- Owszem, mogę. I zmuszę.

179

Rozdział 11

Pod osłoną nocy Asher, oparty o dąb rosnący przed biblioteką we dworze Ormsby'ego, wpatrywał się w górujący nad nim ciemny kształt.

Dochodziła północ i zdążył już obejść posiadłość, dwukrotnie sprawdzając, czy służba postąpiła tak jak się spodziewał i pod nieobecność pana udała się do swoich kwater. I tak właśnie było.

Wcześniej, by uniknąć jakichkolwiek niespodzianek, pojechał za markizem na Jabłkowe Wzgórze i zaczekał, aż Ormsby zniknie we wnętrzu domu, zanim wykonał następny ruch. Konia Ormsby'ego zaprowadzono do małej stajni poza głównym budynkiem, gdzie służący z Jabłkowego Wzgórza wrzucił mu do żłobu trochę siana i dopilnował, by koń w każdej chwili mógł się napić wody, po czym odszedł, zostawiając

zwierzę uwiązane w boksie.

Ponieważ Asher znał tę posiadłość od dziecka, bez trudu wślizgnął się do stajni i trafił do właściwej przegrody. Koń, rączy kasztanowaty wałach o jednej białej nodze, prychnął, zwęszywszy intruza, lecz Asher szybko go uspokoił. Był przygotowany do czekającego go zadania i przyniósł ze sobą potrzebne narzędzia. Uniósł prawe tylne kopyto wałacha, odczekał, aż koń przestanie zgłaszać wszelkie zastrzeżenia, po czym oblu-180

zował podkowę. Przy odrobinie szczęścia odpadnie parę minut po odjeździe z Jabłkowego Wzgórza. Opuścił nogę konia, lekko poklepał

wałacha po zadzie i zniknął w ciemnościach.

Wpatrując się w imponujący zarys dworu Ormsby'ego, uśmiechnął się na myśl o obluzowanej podkowie.

Zgubiona podkova to żadna katastrofa, ale na pewno opóźni powrót markiza do domu. Co prawda Asher nie spodziewał się go jeszcze przez kilka godzin, ale wolał nie ryzykować. Chciał jak najprędzej wykonać swe zadanie, by ta sprawa została wreszcie załatwiona, gdy bowiem dostanie w ręce te przekłete listy, będzie mógł skupić się na pewnej upartej, zawziętej, niezwykle ponętnej młodej wdówce.

Na samą myśl o Julianie przeszedł go dreszcz pożądania i zastanawiał

się, jakim cudem zdołał się od niej oderwać niespełna dwanaście godzin wcześniej... zwłaszcza że nie zdobył jej ręki. Nachmurzył się.

Co, do diabła, jest z nią nie w porządku? - zastanawiał się ponuro, obserwując dom. Domyślił się już, że zależy jej na nim, może nawet bardzo. Juliana nigdy nie pozwoliłaby mu kochać się z nią, gdyby nie była już w nim na poły zakochana i, co równie ważne, nie powierzyłaby mu kłopotów siostry, gdyby mu nie ufała.

Więc dlaczego nie chce za niego wyjść?

Musi wiedzieć, że nie jest pijakiem ani hazardzistą... No, zgoda, był hazardzistą, gdy powstała taka potrzeba, ale Juliana o tym nie wie. Ma piękną posiadłość. Prezentuje się całkiem, całkiem. Zawsze wygląda schludnie. Troszczy się o swą babkę, rodzeństwo, jest dobry dla psów i zwierząt... Uśmiechnął się. Na Boga, można go uznać za wzór cnót - każda niewiasta poślubiłaby go z radością.

Więc dlaczego Juliana nie zarzuciła mu ramion na szyję i nie dała odpowiedzi, której pożądał... i której się spodziewał?

181

Może na tym polega problem? Czyżby Asher był zbyt pewny siebie?

Pocierając szczękę, rozważał przez chwilę tę możliwość, ale odrzucił ją.

Nie, chodzi o coś innego, lecz niech go diabli porwą, jeśli wie o co, i w ciągu następnych paru minut nie znajdzie odpowiedzi. Musi się włamać do domu, znaleźć listy i wykraść je.

Przestał zastanawiać się nad tym, co mogło dziać się w głowie Juliany, i skupił się wyłącznie na czekającym go zadaniu. Sunąc jak cień, przemknął przez rozległy trawnik i już po sekundzie otwierał drzwi do biblioteki.

Wszedłszy do przestronnego pokoju, przystanął i choć jego wzrok napotykał tylko ciemność, rozejrzał się. Niemal

niczym wężący tygrys, wciągnął w nozdrza zapach pokoju i nie znajdując niczego niepokojącego, podszedł prosto do ściany, na której wisiał portret pędzla Gainsborougha. Zdjął go bezszelestnie i oparł wielkie malowidło o pusty kominek.

Zapaliwszy świeczkę, którą sobą przyniósł, spojrzął na sejf i uśmiechnął się. Otworzył go w ciągu paru chwil i poszperał w jego zawartości. Zacisnął w palcach diamenty Ormsby'ego i westchnął. Nie ośmieli się zabrać ich dzisiaj - gdy rozejdzie się wieść o kradzieży diamentów, Juliana będzie dobrze wiedziała, kto je zwędził. Kolejny

zawód, pomyślał cierpko.

Wzruszył ramionami, odłożył diamenty na miejsce i sięgnął po paczuszkę zawiniętą w ceratę. Czujnie nasłuchując najmniejszych sygnałów zwiastujących niebezpieczeństwo, rozwiązał skórzany rzemyk i otworzył paczkę. Zawierała kilka listów, które szybko przejrzał, szukając korespondencji Thalii. Przebiegając wzrokiem różne pisma, zmarszczył czoło. Ormsby szantażował nie tylko ją.

Listy Thalii, wszystkie trzy, znalazł gdzieś w połowie stosiku. Nie marnując czasu, zawinął paczkę, owiązał ją na nowo, wsunął sobie do kieszeni i zamknął sejf. Po chwili obraz Gainsbo-

rougha został starannie zawieszony na swoim miejscu i Asher zdmuchnął świecę. Kilkoma długimi krokami opuścił bibliotekę, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Szybko rozejrzał się wokół, lecz nie widząc ani nie słysząc niczego niepokojącego, pomknął, by schronić się pod dębami. Trzy minuty później siedział już na koniu, kierując się w stronę Lisiej Nory.

* * *

W swych apartamentach na piętrze w Lisiej Norze Asher wpatrywał się w podłużną, owiniętą w ceratę

paczuszkę, którą położył na stole przy swoim krześle. Siedział w samej koszuli i spodniach i pociągał brandy z kieliszka. Duży świecznik, stojący na stole obok paczuszki, rzucał jasne, migotliwe światło ze wszystkich sześciu świec na leżący przed nim zwitek.

Czując się, jakby miał otworzyć puszkę Pandory, Asher odstawił

kieliszek, ostrożnie wziął paczuszkę i po chwilowym jedynie wahaniu otworzył ją i zaczął wczytywać się w znalezione w środku listy i notki.

Ich treść była wiele mówiąca, potwierdzając przypuszczenie Ashera, że Thalia nie była jedyną osobą, którą

Ormsby chciał nagiąć do swej woli z powodu niedyskretnej i niemądrej pisaniny.

Nie zapoznał się z żadnym listem w całości, przeczytał tylko tyle, by utwierdzić się w swych podejrzeniach, niemniej zajęło mu to nieco czasu.

Parę minut później leżały obok niego na stole dwie kupki papierów.

Najmniejsza zawierała jedynie listy Thalii, druga, o wiele większa, pozostała. Listy Thalii Asher wziął i podszedł do niedużej mahoniowej skrzyni stojącej przy drzwiach do jego sypialni. Natężając nieco mięśnie, podniósł skrzynię, ukląkł i przesunął palcami po odsłoniętym kawałku drewnianej podłogi. Wymacał lekko wystającą krawędź, po czym naciskał ją, póki nie zdołał jej podważyć. Pod podłogą 183

ukazała się wąska skrytka, w której umieścił listy Thalii. Starannie wsunął kawałek dębowej deski na swoje

miejsce i przycisnął ją, by ukryć skrytkę, po czym nasunął na nią skrzynię. Gdy wszystko wyglądało tak jak przedtem, przyjrzał się jeszcze uważnie ustawieniu skrzyni, upewniając się, że nie ma śladu, by ją przesuwano. Rad, że listy Thalii są bezpiecznie ukryte do czasu przekazania ich Julianie, odwrócił się i podszedł do krzesła.

Podniósł kieliszek, upił trochę brandy i spojrzał na pozostały stosik listów, obmyślając następne posunięcie. Choć wszystkie listy obciążały ich autorów i nie przynosiły im chwały, jedynie pisanina dwóch osób zaniepokoiła go i znowu podzielił kupkę na dwoje. Większy stosik listów każe zwrócić ich

najrozmaitszym właścicielom. Wolałby, żeby to Hannum doręczył poszczególne listy, lecz jego kamerdyner odznacza się wielce wyrazistą fizjonomią, Asher zaś postanowił dostarczyć listy anonimowo. Hannum zatem wybierze służących z Lisiej Nory, którym można powierzyć tak delikatne zadanie.

Asher westchnął, gdy jego wzrok padł na pozostałe listy. Autorem jednego był wybitny poseł do parlamentu, drugiego znany generał, obecnie służący w Gwardii Konnej w Londynie -oba ocierały się o zdradę stanu i Asher wiedział, do kogo winien się z tym zwrócić. Tych listów nie odważy się oddać w ręce służącego. Skrzywił się.

Sam je będzie musiał

zawieźć, a to może okazać się trudne.

Miał nadzieję, że Roxbury nadal przebywa w Londynie - są na to spore szanse. Stary książę, stworzywszy szeroką siatkę dżentelmenów szpiegów, nie oddali się zbytnio od jej środka. Wellesley wyparł w maju francuskiego marszałka Soult'a z Portugalii, co rokowało pomyślnie, lecz sytuacja w Hiszpanii nadal była nieprzewidywalna. Asher założyłby się o niemałą sumkę, że pośród hiszpańskich powstańców przebywa niejeden ze

szlachetnie urodzonych poszukiwaczy przygód zwerbowanych przez Roxbury'ego oraz że ci dżentelmeni regularnie przesyłają do Londynu raporty do wglądu księcia. Wojna między Austrią i Napoleonem jeszcze się nie zakończyła, Asher zatem nie miał wątpliwości, że przynajmniej kilku ludzi Roxbury'ego, będących uszami i oczami starego księcia, znajduje się w pobliżu pola walki. Nie, Roxbury nie oddali się od Londynu.

Asher zastanawiał się nad tą sprawą, uznając w końcu, że do-pilnowanie, by owe dwa listy trafiły do rąk księcia, nie sprawi mu zbyt trudności. Uśmiechnął się lekko. Już raz zakradł się

do miejskiej rezydencji księcia,
powtórzenie tego wyczynu będzie
dziecinną igraszką.

Ziewnął szeroko. Miał przed sobą kilka
pracowitych dni, a skoro czeka go
wizyta rodziny Sherbrooków, podróż do
Londynu i z powrotem musi odbyć
naprawdę szybko. Zwłaszcza, pomyślał
smętnie, że musi zdobyć rękę wielce
niechętnej mu damy.

Jego myśli popłynęły do Juliany.
Dlaczego nie chce za niego wyjść?

Nadal go to zdumiewało, ale nie miał
zamiaru dać za wygraną.

Uśmiechnął się. Ta smarkula absolutnie

nie powinna była rzucać mu takiego wyzwania.

Juliana doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że popełniła błąd taktyczny, tak zdecydowanie dając Asherowi kosza. Pomyślała ze znużeniem, że prowokując go, nawet bezwiednie, by skłonił ją do małżeństwa, sprawiła, że ta perspektywa stała się dlań jeszcze bardziej kusząca. Gdy wyszedł tamtej nocy, pomknęła na górę, pełna lęku, że ktoś mógł ją zobaczyć i domyślić się, jak się zabawiała. Abby zostawiła zapalone świece w kinkietach po obu stronach wejścia i gdy wślizgnęła się do środka, pokój skąpany był w ciepłym blasku. Zamknąwszy za sobą drzwi, oparła się o

nie, oddychając gwałtownie. Była bezpieczna. Nikt jej nie widział.

185

Odpychając się od drzwi, zmusiła się, by przejść przez pokój i stanąć przed dużym lustrem. Rzuciwszy okiem w szklaną tafłę, stwierdziła, że miała rację, strzegąc się, by nikt jej nie zobaczył. Widać było, że przywdziała suknię w najwyższym pośpiechu, splątane loki wiły się w nieładzie, wargi miała czerwone i obrzmiałe, źrenice rozszerzone, a na twarzy widoczne oznaki przeżytej dopiero co burzy zmysłów. Na jej widok nikt nie miałby wątpliwości, że wygląda jak kobieta, która właśnie przeżyła namiętny akt

miłosny. Albo, pomyślała z wściekłością, jak nierządnicą, która właśnie opuściła łóżko kochanka!

Odwróciwszy się od tego godnego potępienia obrazka, pobiegła do małego stolika, na którego blacie z bladozielonego marmuru znajdowały się dzban i miska. Zdarła z siebie suknię i cisnęła ją na podłogę. Za nią poszła koszula, a satynowe pantofle zrzuciła tak gwałtownie, jakby parzyły jej stopy. Drżącymi rękami nalała wody z dzbana i chwyciła czystą myjkę oraz kostkę pachnącego kwiatowego mydła, które leżało obok. Zabraniając sobie myślenia o Asherze i o tym, co razem robili, przez następnych parę minut zmywała z siebie

wszelkie oznaki niedawnych igraszek. Zaprzestała tych wysiłków dopiero wówczas, gdy dokładnie wyszorowała całe ciało, które teraz słodko pachniało mydłem.

Abby rozłożyła na łóżku białą, lnianą nocną koszulę oraz bladoróżowy szlafrok i Juliana z ulgą włożyła koszulę, machnąwszy ręką na wierzchni strój nocny. Wyszczotkowała i uczesała włosy, po czym, czując się nieco spokojniejsza, dokładnie obejrzała garderobę, którą miała dziś na sobie. Ku jej ogromnej uldze, rzeczy były tylko pomięte, toteż odłożyła je na jedno z niedużych krzesełek, by rano zajęła się nimi pokojówka. Asher wziął chustkę,

wszelkie obciążające ją dowody zniknęły, a więc odetchnęła spokojnie.

Juliana zdmuchnęła obie świece przy drzwiach i pokój pogrążył się w ciemności. Gdy weszła do łóżka, przycisnęła do

186
piersi poduszkę i skuliła się wokół niej. Leżała tak, niczym ranne zwierzę, mając zamęt w głowie.

Dziś wieczorem kochała się z Asherem Cordellem... w bibliotece ojca! Ona, która uważała się za mentorkę młodszej siostry, ona, która była dumna ze swego nieposzlakowanego życia i zawsze prowadziła się jak przyzwoita młoda niewiasta, na jaką została wychowana,

w chwili upajającej namiętności zachowała się jak najgorsza londyńska dziewczka!

Przeniknęło ją zdziwienie pospołu ze wstydem. Zdziwienie, gdyż nie mogła uwierzyć, że tak nisko się stoczyła, i wstyd, bo nie zdołała oprzeć się pokusie, jaką stanowił dla niej Asher.

W pewnej chwili z oszołomieniem stwierdziła, że wcale tego nie żałuje. Ani jednej sekundy. Nie, nigdy nie będzie żałować tych szalonych chwil w jego objęciach. Nigdy. Nigdy nie pożałuje, że poznała jego pocałunki, pieścizoty, jego ciało, które ją posiadało. Będzie hołubić w pamięci ich zespolenie, wspomnienie ich wspólnych

chwil, ale to nie może się powtórzyć i Juliana nigdy do tego nie dopuści. W przyszłości będzie się wystrzegać wszelkich sytuacji, w których ten mężczyzna mógłby osłabić jej wolę. Nie może być mowy o tym, by została jego kochanką, ale dobrze wiedziała, jak łatwo mogłoby do tego dojść. Zawsze będzie pragnąć upojenia, jakiego zaznała w jego ramionach. Zdawała sobie z tego sprawę i miała tylko nadzieję, że znajdzie dość siły, by oprzeć się pokusie konfrontacji wspomnień z rzeczywistością.

Jego oświadczenia zaskoczyły ją. Nie myślała o ponownym małżeństwie, toteż propozycja Ashera wprowadziła ją w

osłupienie. Wygięła wargi. Musi przyznać, że prośba o rękę była najmniej zaskakującą niespodzianką, która spotkała ją tego wieczoru.

Jej niepohamowana reakcja na pieśczoły Ashera była dla niej objawieniem. Skąd się wzięła ta chętna, namiętna kobieta?

187

Podczas jej małżeństwa wspólne łóże sprawiało jej radość, a przynajmniej nie uważała miłosnego pożycia za przykry obowiązek. Ale dziś wieczorem, z Asherem, miała wrażenie, że kobieta, która tak biernie spoczywała w łóży Williama Gree-leya, i kochanka, która

wiała się i jęczała pod Asherem Cordellem, to dwie różne istoty. Wspominając żarliwe amory Ashera, upojenie, jakiego doznawała pod jego dotykiem, jego kunszt jako kochanka... całe jej ciało oblało się gorącem i przeniknęło ją podstępne, bolesne ciepło.

Jęknąwszy ze wstydu, oderwała myśli od gorączkowego zespolenia w bibliotece i chcąc nie chcąc, zaczęła rozważać jego propozycję. Czy małżeństwo z ukochanym mężczyzną naprawdę byłoby takie straszne? -

zastanawiała się. Małżeństwo z mężczyzną, dzięki któremu krew zaszumiała jej w żyłach i który sprawił

jej niewyobrażalną fizyczną rozkosz? A może, odrzucając tak z miejsca jego oświadczenia, okazała się największą głuptaską na świecie?

Ale małżeństwo, rozmyślała z przykrością, wszystko zmieni. Asher naturalnie będzie oczekiwał, że Juliana zamieszka w jego domu w Lisiej Norze. Jak zdoła porzucić własny, przytulny domek? Przeszył ją spazm bólu.

Uwielbiała Różaną Dolinę, zakochała się w tym urokliwym zakątku z chwilą, gdy go ujrzała, i było to pierwsze i jedyne miejsce, które naprawdę należało do niej. Będzie jej brakowało spokoju tego domu, który stworzyła dla siebie po śmierci męża, lecz w końcu pojęła, że to

tylko budynek. Ale co czeka panią Rivers? Czy Asher będzie chciał się jej pozbyć, czy też pozwoli, by dawna piastunka zamieszkała z nimi?

Majątek Juliany, choć niewielki, wystarczał aż nadto na wszelkie jej potrzeby, lecz czy Asher potrafi nim mądrze zarządzać? Czy też przepuści go, jak to czynili inni mężczyźni z posagami żon? A jeśli ojciec lub siostra będą jej potrzebowali? Czy zabroni Julianie udać się do nich?

188

Te obawy mogły wydawać się błahe wobec faktu, że ma poślubić ukochanego mężczyznę, ale musiała spojrzeć w oczy

twardej rzeczywistości, że jako mąż Asher całkowicie zapanuje nad jej osobą, a także wszelkim majątkiem, jaki wniesie w małżeństwo. Będąc wdową, mogła wydawać pieniądze na co się jej żywnie podobało, żyć tak, jak chciała, ale po ślubie będzie własnością męża. Mógłby ją bić, gdyby mu przyszła ochota. Suma pieniędzy na jej wydatki będzie zależała od jego dobrej woli. On będzie decydował o składzie i liczbie służby w ich posiadłości. Z wyjątkiem dożywocia wdowy, które otrzyma dopiero po śmierci męża, pomyślała cierpko, będzie decydować o swym życiu o tyle, o ile pies może decydować o swej strawie i miejscu do spania. Czy ufa Asherowi tak dalece, by

zaryzykować wszystko?

Wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w ciemność, myśląc o Asherze, jakiego znała. Przez lata snuto domysły na temat jego długich nieobecności w okolicy, lecz rodzina zawsze utrzymywała, że udał się w podróż w interesach albo w celach turystycznych - często za granicę. Aż do owej nocy w bibliotece Ormsby'ego, od czasów wczesnej młodości widziała go zaledwie parę razy. Często wyjeżdżał, ona zaś wyszła za mąż, wyprowadziła się, owdowiała, po czym wróciła do domu ojca.

Bieg jej życia potoczył się tak, że ich ścieżki rzadko się krzyżowały, i o dorosłym Asherze wiedziała niewiele.

Był miłym chłopcem, choć nieco niecierpliwym i porywczym wobec niej, lecz nigdy nie przejawiał

najmniejszych oznak okrucieństwa czy brutalności. Nie obawiała się, że gdyby się pobrali, biłby ją czy źle traktował. Nie wykazywał nadmiernej słabości do butelki, nie plotkowano też o nim, że całe noce spędza w jaskiniach gry czy zmienia kochanki jak rękawiczki. Co nie znaczy, że nie jest pijakiem, hazardzistą czy kobieciarzem, a jedynie, 189

że wady swe starannie ukrywa, jednak Juliana nie wierzyła, by przejawiał jakąkolwiek z tych skłonności.

Jedno wiedziała na pewno: kochał

swoją rodzinę, zwłaszcza babkę, i odnosił się do niej z wielką troską, szacunkiem i miłością. Czyż nie wynika z tego, że żonie będzie okazywał taką samą troskę, szacunek i względy?

Wygięła usta w łagodnym uśmiechu na myśl o Apollu, nowym szczeniaku pani Manley. Ilu mężczyzn wykazałoby tyle dbałości o starszą panią? I ufała mu, napomniała się. Wszak to do niego się udała, szukając pomocy w sprawie Ormsby'ego.

Westchnęła i mocniej przytuliła poduszkę. Czy jest niemądra, że się waha? Zapewne tak, ale patrząc od strony praktycznej, ta część jej natury, która do głębi radowała się życiem bez

męskiej ręki na karku, nie była przekonana. Juliana stłumiła ziewnięcie, czując nagłe znużenie.

Próbowała się bronić przed zaśnięciem, ale zmęczenie przeważało i przymknęła powieki.

Godzinę przed świtem obudziło ją stukanie.

Usiadła i półprzytomnie rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, co ją obudziło. Jej wzrok napotkał tylko ciemność i zaczęła opadać z powrotem na łóżko, gdy znowu dobiegł ją ten hałas.

Zorientowała się, że ktoś rzuca

kamykami w szybę, toteż wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Dobrze wiedząc, kto ją obudził, otworzyła okno, wychyliła się i syknęła:

- Przestań!

- Teraz tak, skoro wreszcie zwróciłaś na mnie uwagę - odparł

spokojnie Asher z dołu. - Spisz jak kamień. Od dziesięciu minut rzucam kamykami, żeby cię obudzić.

W mroku przedświtów ledwie rozróżniała na dole jego wysoką postać i zdając sobie sprawę, że łatwo można ich przyłapać, rzekła ostro: 190

- Oszalałeś? Co ty tu robisz o tej porze?

- Chcę ci oddać owoce mego trudu, skarbie. Spotkajmy się w drzwiach biblioteki, a wręczone ci je.

- Zdobyłeś listy Thalii? - zapytała z zapartym tchem, błyskawicznie rozbudzona.

- Chyba nie wątpiłaś, że potrafię usłużyć damie mego serca - odparł

kpiąco Asher.

Błyskawicznie odwróciwszy się od okna, zaczęła po omacku szukać szlafroka. W nocy zsunął się z jej łóżka na podłogę, ale wreszcie zdołała go

wymacać. Włożyła szlafrok, starannie się nim owinęła i wypadła z pokoju.

W domu panowała jeszcze nocna cisza, lecz zbiegając ze schodów, Juliana wiedziała, że niebawem służba zacznie się zbierać w kuchni, by poczynić przygotowania do nadchodzącego dnia. Jeśli nie chce, by zadawano jej kłopotliwe pytania albo przy dybano w kompromitującej sytuacji z Asherem, ma zaledwie parę minut, nim możliwość natknięcia się na zaspanego służącego zamieni się w pewność.

Kiedy dotarła do biblioteki, wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Odwracając wzrok od kanapy, na której jeszcze przed paroma godzinami kochała

się z Asherem, podbiegła do drzwi balkonowych i otworzyła je. Asher wszedł do pokoju.

Zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, sięgnął do zanadru marynarki i wyciągnął kopertę.

- Wszystkie trzy listy, moja pani. Radziłbym je spalić. Thalia nie napisała niczego szczególnie skandalicznego, ale gdyby Ormsby znowu je zabrał, będzie ich już lepiej pilnował.

Juliana wzięła kopertę od Ashera i mocno przycisnęła ją do piersi. -

Były tam, gdzie się spodziewałeś? - zapytała bez tchu, jeszcze nie bardzo

wierząc, że naprawdę trzyma w ręku listy Thalii.

191

- Dokładnie tam, gdzie powiedziałem. -
Wychwyciła nutkę satysfakcji w jego głosie.

- I nie miałeś żadnych kłopotów? -
zapytała z niepokojem. - Nikt cię nie
widział? Ormsby niczego nie
podejrzewa? - Zawahała się, po czym
wypowiedziała głośno, co jej naprawdę
leżało na sercu: - Nic ci nie grozi?

Ormsby nie będzie cię obwiniął, gdy
odkryje kradzież?

Asher uśmiechnął się. - Nie poniosę żadnych konsekwencji.

-Ponieważ nadal wyglądała na zdenerwowaną, powiedział łagodnie: -

Nikt mnie nie widział, Juliano.

Wślizgnąłem się do domu Ormsby'ego i wymknąłem się z niego jak cień, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. - Skrzywił się. - Jednakże, gdy Ormsby będzie chciał użyć listów Thalii przeciwko niej, natychmiast się zorientuje, że okradziono jego sejf

- ostrzegł. Pociągnął się za ucho. - Aha, i wziąłem też parę innych listów leżących obok korespondencji Thalii, toteż choć Ormsby może podejrzewać,

że to twoja rodzina ma coś wspólnego z jego stratą, musi wziąć pod uwagę, że być może maczał w tym palce jakiś inny nieszczęśnik, którego szantażował.

W mrocznym, szarym świetle poranka jej oczy się rozszerzyły.

- Szantażował jeszcze kogoś?

- Tak. Gdy tylko wrócę do domu, dopilnuję, by te listy zwrócono anonimowo prawowitym właścicielom.

Julianę ogarnęło tak ogromne poczucie ulgi, że omal nie wybuchnęła płaczem. Thalia jest bezpieczna! Asherowi udało się ocalić jej siostrę od zguby. - Och, Asherze, nie wiem, jak ci dziękować -

rzekła głosem nabrzmiiałym
wzruszeniem. - Nie mogę powiedzieć
ojcu ani siostrze, co dla nas zrobiłeś, ale
wiedz, że zawsze będę twoją dłużniczką,
a moja wdzięczność nie ma granic.

- Nie chcę twojej cholernej
wdzięczności - odpalił ostro. -Chcę,
żebyś za mnie wyszła.

192

- Oczywiście - rzekła, ku zdumieniu ich
obojga. Nie powzięła świadomej
decyzji, że go poślubi, ale mając serce
przepełnione wdzięcznością, już
zakochana w Asherze, uznała, że kolejna
odmowa, skoro zrobił dla niej tak wiele,
jest niesprawiedliwa i świadczy o

zadufaniu. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru mogły wszak przybrać zupełnie inny obrót - gdyby Ashera przyłapano, jego przyszłość byłaby zrujnowana, a rodzina zhańbiona.

Zaryzykował dla niej życiem, jak może odmówić mu tego samego - postawienia na szalę własnego losu? - Na zawsze pozostanę twoją dłużniczką i zważywszy na wszystko, co dla mnie zrobiłeś - wyszeptała - nie mogę ci odmówić.

Asher zeszywniał. - Przyjmujesz moją propozycję, bo uważasz, że jesteś mi to winna? - zapytał tonem, w którym dźwięczała groźba.

Zmieszana, usiłowała w ciemności dojrzeć jego minę.

- Mhm, niedokładnie, ale przecież to ci się należy?

- Należy mi się? - Wyrzucił z siebie te słowa jak truciznę. - Wyjdiesz za mnie, bo to mi się należy?

- O co ci chodzi? - zapytała. Przyjęła jego oświadczenia. Czego jeszcze chce?

- Zgodziłam się wyjść za ciebie, owszem, tak, dlatego że ci się to należy - dodała niecierpliwie. Nie chciałeś się ze mną ożenić, dopóki...

nie doszło do tego, do czego doszło w tym pokoju. Bo uważałeś, że tak należy.

- Nie musiałem prosić cię o rękę - rzekł

przez zaciśnięte zęby.

- Nie, nie musiałeś - przyznała. - Ale jesteś honorowym człowiekiem i po tym... po tym, co się stało, jedynym honorowym wyjściem były oświadczyzny.

- A ty je odrzuciłaś - warknął. - A przez ten czas nastąpiła tylko taka zmiana, że zwróciłem ci listy Thalii. - Głosem pełnym pogardy ciągnął

dalej: - Przyjęłaś moją propozycję

193

w nagrodę za to, że byłem miły i służyłem ci na dwóch łapkach jak

wierny piesek?

Wymierzyła mu policzek. - Jak śmiesz! -
rzekła wzburzona i rozsierdzona. -
Obrażasz mnie, jesteś nie do
wytrzymania i nie wyszłabym za ciebie
nawet, gdybyś był jedynym mężczyzną
na świecie. -

Obróciła się na pięcie i wypadła z
pokoju.

Z płonąącym policzkiem Asher stał w
ciemności, przeklinając siebie, ale
przede wszystkim to piekielnie irytujące
stworzenie, które właśnie opuściło
bibliotekę. Jak ona to zrobiła,
zastanawiał się wściekle, wyskakując z
tarasu i podchodząc do swego konia. Jak

zdołała wywrócić wszystko na nice i postawić na głowie? Przecież to on został obrażony!

Zgodziła się wyjść za niego z wdzięczności! Ponieważ mu się to należało!

Jeśli taki stosunek do mężczyzny nie jest obelgą, to co nią jest?

Gdy doszedł do konia, wskoczył na siodło i pogalopował do Lisiej Nory. Kiedy dotarł do celu, zostawił konia w stajni i wolnym krokiem powędrował do domu.

Choć dopiero świtało, wiedząc, że już nie zaśnie, wszedł do małego pokoju

śniadaniowego. W jego nozdrza uderzyło kilka kuszących zapachów i z przyjemnością ujrzał, że na stole postawiono już na podstawce parujący dzbanek kawy, a obok niego kilka plastrów bekonu, lekko ścięte jajka oraz cynaderki.

Ledwo zdążył nalać sobie filiżankę kawy, gdy do pokoju pospiesznie wkroczył Hannum, niosąc na tacy gorące bułeczki, prosto z pieca. - Skąd wiedziałeś, że dziś rano będę tak wcześnie jadł śniadanie? - zapytał

Asher, unosząc brew.

Na zniszczonej twarzy Hannuma pojawił się szeroki uśmiech. - Pani Hannum

usłyszała, że jaśnie pan wychodzi.
Powiedziała, że najprawdopodobniej po
powrocie będzie pan chciał coś zjeść. -
Zrobił

chytrą minę. - Moja pani powiada, że
jeśli dżentelmen opuszcza swą sypialnię
przed świtem, zazwyczaj w grę wchodzi
kobieta. - Z błyskiem w oku dodał: -
Mówi, że żadna

194

dama nie lubi, by ją budzić przed
wschodem słońca i najpewniej panu
naurągała.

Asher zaśmiał się i gestem kazał mu
odejść.

- Zostaw to tutaj i przekaz żonie, jak bardzo się cieszę, że przestano palić czarownice. Nie chciałbym szukać następczyni na jej miejsce.

Krztusząc się ze śmiechu, Hannum postawił tacę z bułeczkami obok jajek i wyszedł.

Po śniadaniu wziął ze sobą ostatnią filiżankę kawy i wyszedł przed dom, radując się pięknym, letnim porankiem. Nie bardzo wiedział, dokąd się udać, ale w końcu zawędrował do małego, lecz przyjemnego ogrodu za swoim gabinetem. Przysiadłszy na kamiennej ławce stojącej w cieniu wielkiego dębu, rozważał wydarzenia ostatniej nocy. Może zapomnieć o Thalii i jej

kłopotach. Juliana otrzymała listy, a w jaki sposób rodzina powiadomi Ormsby'ego, że jego groźby są czcze, to już nie sprawa Ashera. Chyba że Juliana poprosi go o załatwienie tej sprawy.

Uśmiechnął się i dotknął policzka. Ta niewiasta ma temperamencik i najprawdopodobniej wolałaby, żeby rozszarpały ją dzikie zwierzęta, niż poprosić go o pomoc.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ale zgodziła się za niego wyjść...

Nachmurzył się. Zgodziła się za niego wyjść - wyłącznie z niewłaściwych powodów. Choć właściwie to nieważne, że wyszłaby za niego z wdzięczności,

Asher przystanie na to... na razie. Nie ma też znaczenia, że się z tego wycofała. Na jego usta powrócił uśmiech.

Powiedziała, że za niego wyjdzie, i będzie ją trzymał za słowo. Zmusi ją, by dotrzymała obietnicy, i choć spodziewał się kłopotów z krnąbrną narzeczoną, był

pewien, że ich zaręczyny zostaną ogłoszone w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Martwił się Ormsbym i choć wmawiał sobie, że Juliana wraz z rodziną da sobie z nim radę, nie raz przechodziła mu przez 195

głowę myśl, iż markiz może wyrządzić im krzywdę. Instynkt kazał mu się

wtrącić, ale instynkt również przestrzegał go, że mądrzej będzie poczekać, aż sytuacja się wyklaruje. Wywiązał się z obietnicy zwrotu listów, lecz teraz najważniejsza była obrona Juliany i jej rodziny przed gniewem markiza. W razie potrzeby wkroczy - niezależnie od woli Juliany - ale na razie postanowił zostawić wodze w jej rękach.

Z namysłem wpatrzył się w swoje buty. Dwa zdradzieckie listy spoczywały obecnie wraz z innymi w skrytce pod podłogą jego sypialni i nie mógł się zdecydować na następny krok. W pierwszym odruchu, dopilnowawszy, by listy Thalii znalazły się w rękach

Juliany, chciał

wrócić do domu, zabrać wraz z sobą pisma i natychmiast wyruszyć do Londynu, lecz nie był pewien, czy postąpiłby słusznie. W obu listach nie było niczego, co wymagałoby natychmiastowych działań, wynikało z nich jedynie, że dwie osobistości zajmujące stanowiska publicznego zaufania w swych poczynaniach nie kierowały się najlepiej pojętymi interesami Wielkiej Brytanii. Roxbury musiał wiedzieć o zmijach, skrycie czających się w jego własnym mateczniku. Asher zmarszczył

brwi. Czy popełni błąd, jeśli odwlecze podróż do Londynu o dobę?

Nie wiadomo, kiedy Ormsby dowie się o wykradzeniu listów -

wszystkich listów z sejfu. Gdy tylko markiz odkryje ich brak, zacznie rozglądać się w poszukiwaniu najbardziej prawdopodobnego winowajcy.

Ponieważ żaden z listów nie miał związku z nim, Asher nie obawiał się zbyt, że podejrzenia Ormsby'ego padną na niego, choć być może markiz w nim chciałby widzieć winnego ze względu na panującą między nimi wrogość. Gdy zaręczyny Ashera z Julianą zostaną podane do publicznej wiadomości, Ormsby będzie dokładniej mu się przyglądał, ale wówczas

wszystkie listy trafią tam, gdzie jest ich miejsce, i Ormsby może go sobie podejrzewać, ile mu się żywnie podoba.

196

Nie chciał wszakże ściągać na siebie uwagi Ormsby'ego bez wyraźnej potrzeby, a podejrzewał, że nagły wypad do Londynu, tuż po kradzieży, zakładając, że Ormsby z miejsca ją odkryje, spowoduje taki właśnie skutek. Ale wahał się z jeszcze innego, ważniejszego powodu - Juliana i jej rodzina zapewne nie zwlekając powiadomią markiza, że jego groźby są już im niestraszne.

Uśmiechnął się lekko na myśl, że już za

parę godzin Ormsby'ego spotka bardzo niemiła niespodzianka. Powiedział sobie, że nie będzie się wtrącał, lecz za nic nie chciał wyjeżdżać do Londynu, zostawiając Julianę i jej rodzinę na pastwę Ormsby'ego, kiedy markiz się dowiędzie, że pozbawiono go jadu. Węży są ohydne i niebezpiecznie jest z nimi igrać, napomniął się ponuro. Asher dobrze wiedział, że potrafi uniknąć jadowi-tego, być może śmiertelnego uderzenia, ale nie był pewien, czy Juliana obdarzona jest tą samą umiejętnością.

Spojrzał na rozciągający się przed jego oczyma pogodny widok -

porośnięte drzewami, łagodnie falujące

wzgórza w oddali - wiedząc, że w istocie nie ma wyboru. Do Londynu wyjedzie dopiero jutro, gdyż nie może zostawić Juliany na łasce i niełasce Ormsby'ego.

197

Rozdział 12

Juliana wypadła z biblioteki i pomknęła po schodach do swego pokoju. Gdy dobiegła do sypialni, przez parę minut chodziła po niej tam i z powrotem, przypominając sobie, szczególnie, dlaczego zawsze uważała Ashera Cordella za krańcowo antypatycznego, okropnego i zdecydowanie najbardziej nieznośnego

człowieka, jakiego spotkała w życiu.

Zgodziła się go poślubić, ale czy uradował się jej ustępstwem? Nie! Z

niepojętych dla niej przyczyn poczuł się głęboko urażony i zachowywał

się, jakby go obraziła. Co z nim jest? Prychnęła. Wiadomo, mężczyzna.

To tłumaczy wszystko.

Dopiero odgłos gniecionych karteluszków, które nadal ścisnęła w dłoni, odwrócił jej uwagę od irytującego pana Cordella. Listy Thalii!

Naprawdę je miała.

Przepełniona po części poczuciem ulgi, a po części wdzięcznością i niechęcią, opadła na brzeg łóżka. Później zajmie się Asherem, tym głupkowatym zadufkiem - teraz ma ważniejsze sprawy na głowie.

Drżącymi palcami przerzucała listy, wpatrując się w nie tylko po to, by nabrać pewności, że rzeczywiście nagryzmoliła je Thalia swym charakterystycznym pismem z zawijasami.

198

Było tego w sumie siedem stron i choć usiłowała ich nie czytać, od czasu do czasu, gdy wpadał jej w oko jakiś zwrot,

chcąc nie chcąc przesuwała wzrokiem po całym zdaniu i oblewała się rumieńcem - tyleż z powodu zażenowania, jakie wzbudzały w niej dziecinnie romantyczne wynurzenia Thalii, co świadomości, że tak dalece wkracza w prywatny świat siostry. Na ile zdążyła się zorientować, listy nie były szczególnie obciążające, lecz na tyle niedyskretne, że gdyby dostały się w niepowołane ręce, poważnie zagroziłyby przyszłemu szczęściu Thalii.

Głęboko oddychając, Juliana zastanawiała się nad następnym krokiem. Oczywiście, musi o wszystkim powiedzieć ojcu i siostrze - i zniszczyć listy. Nie zazna spokoju, póki nie ujrzy,

jak idą z dymem, a na palenisku zostanie tylko popiół. Ale potem...

Przełknęła ślinę. Po pierwszym wybuchu radości i ulgi ojciec i Thalia będą chcieli się dowiedzieć, jak weszła w posiadanie tych listów. Z

zakłopotaniem zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie mogła wyjawić, ani im, ani nikomu innemu, jakim cudem listy znalazły się w jej rękach.

W końcu uznała, że to nie ma znaczenia. Ojciec i Thalia, przepelnieni niezmierną radością, nie będą domagać się od niej wyjaśnień. Zostaje więc tylko kwestia Ormsby'ego...

Juliana nie byłaby człowiekiem, gdyby myślała o starciu się z potężnym i przerażającym markizem Ormsbym nie skłoniła jej do zastanowienia.

Ormsby nie będzie zachwycony, że sprzątnięto mu ofiarę sprzed nosa.

Uśmiechnęła się bez wesołości.

Szczerze mówiąc, jego samopoczucie nic ją nie obchodziło, ale zastanawiała się, jak najlepiej do niego podejść.

Powiadomić go, że mają listy? Czy też po prostu machnąć na niego ręką, żyć normalnie i niech sam odkryje, że nie może im już niczym zagrozić?

Skrzywiła się. W końcu to ojciec będzie

musiał rozmówić się z Ormsbym i choć wysłucha, co Juliana ma do powiedzenia

199

na ten temat, to on poweźmie ostateczną decyzję, więc szkoda tracić czas na jałowe rozważania.

Złote światło poranka wypełniało pokój, przepędzając mroczne cienie, i przez chwilę Juliana stała w jego blasku, zastanawiając się nad następnym krokiem. Najważniejsze jest powiadomienie ojca i Thalii, lecz nie chce wzbudzać ciekawości służby niezwykłym zachowaniem.

Pamiętała, że w stajni ojca czai się szpieg, i choć minie trochę czasu, nim

służba zorientuje się, że rankiem we dworze wydarzyło się coś niezwykłego, Willie Dockery dowie się o tym, nim słońce znajdzie się wysoko na niebie. A gdy Willie wyniucha, że w domostwie Kirkwoodów doszło do jakiegoś zamieszania, po paru godzinach dojdzie to do Ormsby'ego. Markiz może nie zdawać sobie sprawy z wagi tego wydarzenia, ale Juliana wołała nie ryzykować.

Brzęk zastawy herbacianej niesionej na tacy i szelest otwieranych drzwi skierował jej myśli ku teraźniejszości. Instynktownie rzuciła się w stronę łóżka i schowała listy pod poduszkę.

Widząc, że jej pani już wstała i kręci się

po pokoju, młoda pokojówka odezwała się:

- Och, pani Greeley, nie spodziewałam się, że obudzi się pani tak wcześnie. Czy wszystko w porządku?

Juliana uśmiechnęła się i usiadła na skraju łóżka, na wszelki wypadek kładąc palce na poduszce. - Wszystko jest świetnie, Floro. W tak piękny poranek po prostu musiałam wstać wcześnie - odparła pogodnie.

Stawiając tacę na pobliskim stoliku, Flora uśmiechnęła się. - To prawda! - Już przy drzwiach, nadal z uśmiechem na ustach, zapytała: -

Czy dopilnować, by zagrzano pani wodę na kąpiel?

- Tak. Dziękuję.

Po wyjściu Flory Juliana nalała sobie filiżankę kawy i skubała małą grzanekę, nie odrywając wzroku od poduszki, pod którą ukryła listy.

Odetchnie dopiero, gdy zostaną zniszczone, ale na 200

tę przyjemność będzie musiała zaczekać jeszcze parę godzin. A na razie trzeba znaleźć dla nich bezpieczniejszą skrytkę.

Nigdy nie lubiła tajemnic i dopiero po paru minutach przyszło jej do głowy, by

wsunąć listy głęboko pod materac. Nie bardzo to wymyślna kryjówka, przyznała cierpko, ale jest też mało prawdopodobne, żeby w tym krótkim czasie, kiedy tu pozostaną, przypadkowo natrafił na nie któryś ze służących.

Czas włókł się Julianie niemiłosiernie, ale w końcu, gdy się wykąpała i ubrała, godzina zrobiła się na tyle późna, że ojciec i Thalia powinni byli już wstać, by przygotować się na nowy dzień.

Czując się trochę śmiesznie, Juliana wyciągnęła listy, zwinęła starannie i wsunęła za dekolt. Muślinowa suknia w lawendowy wzór miała z przodu małe wycięcie, obszyte koronką. Juliana przejrzała się w dużym lustrze i

upewniwszy się, że nie widać najmniejszego zarysu listów, wyszła na korytarz.

Thalia nadal przebywała w swoim pokoju, gdzie wracała do zdrowia, i wiedząc, że ojciec zawsze zachodzi do młodszej córki przed śniadaniem, Juliana pospieszyła hołem w nadziei, że przybędzie w samą porę.

I tak się stało. Gdy weszła do pokoju Thalii, siostra w prostym, bladoniebieskim muślinowym szlafroku siedziała na krześle przy oknie wychodzącym na ogród za domem, pan Kirkwood zaś zajmował drugie krzesło. Na małym stoliku stojącym między nimi

stały resztki śniadania.

Zmuszając się do uśmiechu, pan Kirkwood dźwignął się na nogi.

- Dzień dobry, moja droga. Mam nadzieję, że dobrze spałaś? Napijesz się herbaty? Chyba jeszcze trochę zostało.

Juliana potrząsnęła głową, obrzucając ich oboje szybkim spojrzeniem.

Thalia miała trochę lepszą cerę, a wysypka

201

zmniejszała się wyraźnie, lecz sińce pod jej ślicznymi błękitnymi oczyma

świadczyły o niespokojnej nocy. Pan Kirkwood wyglądał

niewiele lepiej. Sądząc ze zmarszczek na policzkach i wokół oczu, których nie było tam wcześniej, również źle spał. Napięcie tych strasznych minionych dni odbiło się na nich wszystkich. Cała rodzina starała się zachowywać pozory normalności, lecz Juliana wiedziała, ile ich to kosztuje. Szczęściem ta sytuacja dobiegła końca.

Nie potrafiąc utrzymać tajemnicy ani sekundy dłużej, Juliana sięgnęła za dekolt sukni i wyjęła listy. Kładąc je na stoliku przed Thalią, rzekła:

- Sprawdź jeszcze, ale wydaje mi się, że

to te listy napisałaś do Ormsby'ego.

Thalii zaparło dech, wpatrywała się w zwinięte arkusiki, jakby Juliana położyła przed nią węża. Pan Kirkwood podskoczył i z niedowierzaniem wpatrzył się w starszą córkę.

- Listy Thalii? - zaskrzeczał, przenosząc wzrok z papierów na twarz Juliany i z powrotem. - Ale skąd je masz? Czyżby Ormsby'emu się odmieniło i zdecydował się je oddać?

Juliana pominęła milczeniem jego pytanie i kładąc rękę na ramieniu Thalii, rzekła cicho: - Spójrz na nie. Czy to twoje? -Znała już odpowiedź, ale chciała, by Thalia ją potwierdziła.

Wyraźnie drżącymi palcami Thalia wzięła mały stosik kartek i przejrzała je. Nie posiadając się ze zdziwienia, spojrzała na Julianę i wykrzyknęła:

- Tak! To te moje głupie, głupie listy! Ale jak to się stało? Jak je wydostałaś od Ormsby'ego?

- To nieważne. Liczy się tylko to - rzekła Juliana stanowczo - że Ormsby nie ma już nad nami żadnej władzy. A raczej nie będzie miał z chwilą, gdy zostaną zniszczone.

Pod speszonym wzrokiem Thalii i pana Kirkwooda Juliana wyjęła listy z bezwładnych palców Thalii, pomaszerowała 202

do kominka w rogu i sięgnęła po krzesiwo leżące na gzymsie z szarego marmuru. Gdy Thalia i pan Kirkwood zorientowali się w zamiarach Juliany, ruszyli do niej, by popatrzeć, jak podpala listy.

Cała trójka wpatrywała się jak urzeczona w mały płomyczek, który rósł i ogarniał arkusiki. Ramię przy ramieniu skupili się wokół paleniska, patrząc w milczeniu, jak papier czernieje i zwija się pod naporem migotliwego, żółtopomarańczowego płomienia. Zgodnie wydali westchnienie ulgi, gdy na kominku została tylko kupka popiołu.

Zwracając pełne wdzięczności oczy na Julianę, Thalia przycisnęła obie ręce do

piersi i wykrzyknęła: - Uratowałaś mnie! Och, Juliano, czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Teraz mogę poślubić mego ukochanego Piersa! - Zerknąwszy na ojca, spytała drżącym głosem: -

Och, papo, nie będziesz już się za mnie wstydził? Przeszła ci złość?

Pan Kirkwood delikatnie objął młodszą córkę. - Z początku byłem trochę zły, lecz nigdy się za ciebie nie wstydziłem. - Pocałował ją w czoło.

- A gniew, który wyczuwałaś, brał się z mojej bezradności, niemożności ratowania cię. - Z kpiącym błyskiem w oku dodał: - Jakże mógłbym gniewać się

na kogoś tak uroczego - nawet z wysypką?

Thalia zaśmiała się słabo i zerknęła na Julianę, która stała obok, uśmiechając się do nich z bezmierną czułością. Młodsza córka wyszła z objęć ojca, przytuliła Julianę i wycisnęła na jej policzku pocałunek. -

Jesteś prawdziwą bohaterką! - zakrzyknęła.

Z uśmiechem wyrażającym bezbrzeżną miłość Juliana przenosiła wzrok od jednego do drugiego. - Uwierzcie mi, że nie jestem żadną bohaterką, a jedynie siostrą i córką, która nie mogła znieść, że ten straszny człowiek przyprawia o

takie cierpienia moich najbliższych. -

Głos jej stwardniał. - I nie mogę

203

się doczekać, by zobaczyć minę Ormsby'ego, gdy odkryje, że Kirkwoodowie wystrychnęli go na dudka.

Pan Kirkwood zaśmiał się i biorąc Julianę w ramiona, odtańczył z nią kilka szalonych pas.

- Nie wiem, jak to zrobiłaś, mój skarbie, ale, na Boga, to cud! Thalia ma rację - jesteś bohaterką.

Juliana nie chciała nawet o tym słyszeć.

- W żadnym razie. Po prostu...

miałam szczęście - zakończyła kulawo.

Czuła się nieswojo, podszywając się pod cudze zasługi, a także dlatego, że nie mogła wspomnieć o Asherze

- mężczyźnie, który był prawdziwym bohaterem, który postawił na szalę swoją reputację i życie, by uratować jej siostrę. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Uratował Thalię, a Juliana podziękowała mu, odprawiając go i policzkując na pożegnanie. Jej radość zniknęła, jakby wcale jej nie doznała, gryzło ją poczucie winy i patrząc na swe jedwabne pantofelki, przypominała sobie ową gniewną scenę w jadalni i

straszne słowa, które mu rzuciła. Opadło ją straszliwe przygnębienie. Jest niewdzięcznicą. Co gorsza, obiecała, że za niego wyjdzie, a potem się z tego wycofała. A więc jest też kłamczuchą. I jakby tego było mało, na dodatek ladaczną, napomniała się gorzko, gdy przez głowę przemknęło jej wspomnienie ich pospiesznego miłosnego zespolenia. Thalia i ojciec uważają ją za bohaterkę, a jest wszak tylko kłamczuchą bez serca i kobietą upadłą.

Trudno było uśmiechać się i udawać niezmaconą pogodę ducha, skoro zzerają ją wyrzuty sumienia i poczucie winy, ale wyraźnie była niezłą aktorką, gdyż ani

ojciec, ani siostra nie zauważyli, by
działo się z nią coś dziwnego.

Gdy pierwszy wstrząs i euforia minęły,
pan Kirkwood i Thalia zapragnęli się
dowiedzieć, w jaki sposób odzyskała
listy. Obsypując Julianę pochwałami
jako zbawczynię Thalii, raz po raz
dręczyli ją pytaniami, skąd listy trafiły
do jej rąk.

204

Wyjawienie prawdy nie wchodziło w
rachubę, toteż potrzasała tylko głową i
zbywała ich. Nie mogąc dłużej znieść
nienależnej wdzięczności rodziny ani
nieustannych pytań, rzekła wreszcie: -
Nieważne, jak zdobyłam te świstki, liczy

się tylko to, że zniszczyliśmy je i Ormsby nie może już trzymać Thalii w szachu jakimiś głupimi niedyskrecjami. -

Boleśnie świadoma, że to Asherowi winny przypaść w udziale te słowa radości i wdzięczności, rzekła niemal z rozpaczą: - Dajmy już temu spokój! Mamy na głowie ważniejsze sprawy... na przykład trzeba powiadomić Ormsby'ego, że nie ma już nad nami żadnej władzy.

Thalia z radością porzuciłaby temat odzyskanych listów, ale pan Kirkwood zawahał się i utkwiał pełen napięcia wzrok w twarzy starszej córki. - Czy z tego powodu... nic ci nie grozi? - zapytał cicho. - Czy poświęciłaś się dla swojej

siostry?

Juliana zdołała uśmiechnąć się naturalnie. - Nie, papo, nic mi nie grozi i nie poświęciłam się.

Odpowiedź córki nie całkiem trafiła mu do przekonania, lecz gotów był poniechać tej kwestii, zwłaszcza że Juliana poruszyła ważną sprawę -

trzeba teraz stawić czoło Ormsby'emu. Odkładając zagadkę odebrania listów, cała trójka zaczęła się zastanawiać, jak najlepiej powiadomić markiza, że nie dysponuje już bronią, za pomocą której mógł zmusić Thalię do poślubienia go.

Dyskusję zakończył pan Kirkwood,

oznajmiając stanowczo:

- Zostawcie to mnie, moje drogie. Zaproszę go do nas dziś po południu i wszystko mu wyjaśnię. - Uśmiechnął się ponuro.
- Z najwyższą przyjemnością przekażę mu tę wiadomość i wyrzucę go z naszego domu. Z najwyższą przyjemnością.
- Tak, ale będziesz musiał zrobić jeszcze coś - odezwała się cicho Juliana. Gdy ojciec spojrział na nią, powiedziała: - Ormsby umieścił u nas swojego szpiega. Willie Dockery jest jego

narzędziem. Gdy tylko rozmówisz się z Ormsbym, zwolnij Dockery'ego.

Pan Kirkwood z przerażeniem wysłuchał tej wieści, jednak po chwili namysłu oświadczył spokojnie:

- To też zrobię z przyjemnością.

Zostawiwszy uszczęśliwioną Thalię, która obmyślała list, jaki napisze do Piersa, Juliana wyszła za panem Kirkwoodem z pokoju. W holu dotknęła ramienia ojca, po czym zapytała:

- Na pewno chcesz się widzieć z Ormsbym sam na sam? Chętnie dotrzymam ci towarzystwa.

Spojrzał na nią z niezmiernie czułą miną.
- Tak, jestem pewien, że sam sobie z tym poradzę. Jako wasz ojciec mam obowiązek chronić ciebie i twoją siostrę, a jak na razie, nie wychodziło mi to zbyt dobrze, co? - Gdy Juliana chciała zaprotestować, położył palec na ustach córki, by ją uciszyć, i ciągnął dalej: - Wstyd mi, że tyle czasu pozwalałem temu potworowi zastraszać i przerażać nas wszystkich. Powinienem był stawić mu czoła, gdy tylko zaczął wysuwać groźby względem Thalii, zamiast zachowywać się tak tchórzliwie i chować się, licząc na cud - cud, którego dokonałaś ty, nie ja. - Patrząc gdzieś w głąb siebie, ciągnął z wolna: -

Gdybyś nie odzyskała listów Thalii...
wolę nie myśleć, jak by się to wszystko
skończyło. - Uśmiechnął się ze
smutkiem. - Ty zachowywałaś się
męźnie i odważnie podczas całej tej
udręki. Kiedy stanę z Ormsbym twarzą
w twarz, odzyskam choć pozór
męskości. Niech mam przynajmniej tyle.

Skoro ojciec postawił sprawę w ten
sposób, Juliana musiała się zgodzić.
Pobiegła wzrokiem za panem
Kirkwoodem, który schodził ze
schodów. Zauważyła, że przybrał
zdecydowaną postawę i stąpa śmiało.

Jej ojciec nie przypominał Ashera, ale
był dobrym człowiekiem, troskliwym,
czułym ojcem i wiedziała, że obwiniął

siebie za fatalną sytuację wywołaną sprawą listów

206

Thalii, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo wstydził się swej bezwolności. Słaby uśmiezek wykrzywił jej wargi. Gdy ojciec porządnie zrugą Ormsby'ego, od razu lepiej się poczuje.

Asher tylko przez parę minut zastanawiał się, jak spędzić dzień, który właśnie się zaczynał. Choć pora była jeszcze wczesna, wiedział, że babka już wstała. Gdy podjedzie do Burnham i niedbale wspomni o podróży do Londynu, uniknie wrażenia, że jest to

nagła sprawa. Po odwiedzinach u babki uda się na Jabłkowe Wzgórze i tam również napomknie o wyprawie do Londynu, a przy okazji dowie się, jak przeszedł wieczór z Ormsbym.

Uśmiechnął się. Miłym zakończeniem dnia byłaby wizyta w Kirkwood, ale ponieważ nie może tam wpaść niezapowiedziany, obmyślił krótki liścik, który każe wysłać Hannumowi tak wcześnie, jak tylko będzie wypadało.

Spojrzał na swą marynarkę, spodnie i buty. Zdecydowanie powinien się przebrać.

Było jeszcze wcześnie, kiedy Asher przybył do Burnham, i Dudley

wprowadził go do pokoju
śniadaniowego. W granatowej
marynarce i gołębioszarych pantalonach
wyglądał przystojnie i wytwornie. Fular
miał

starannie zawiązany, długie buty lśniły,
gdy zasiadł do stołu, by wraz z panią
Manley wypić filiżankę kawy i
opowiedzieć jej o swym wyjeździe do
Londynu. Pani Manley nie wyraziła
zdziwienia jego jutrzejszym wyjazdem -
interesowała ją data powrotu. Babka
trzymała na podołku drzemiącego
Apolla, który wespół ze swą pobłażliwą
panią zjadł kilka plasterków bekonu. -
Ale wrócisz na spotkanie z moją
przyjaciółką Barbarą? - zapytała,

utkwwszy wzrok we wnuku.

Z miną tak niewinną, na jaką tylko mógł się zdobyć, Asher wykrzyknął: - Ależ naturalnie! Masz moje słowo. - Co prze-

207

kreśliło wszelkie jego pomysły, by wizytę pani Sherbrook i jej syna przeczekać gdzieś w ukryciu.

Lekko głaszcząc palcami jedwabiste uszy Apolla, pani Manley spojrzała na wnuka, a Asher musiał zmobilizować całą swą silną wolę, by nie skrećić się ze wstydu, niczym niesforny dzieciak opowiadający jakieś bajdy. - No dobrze - rzuciła lekko. -Zobaczymy się po

twoim powrocie.

Uciekając przed nazbyt przenikliwym spojrzeniem babki, Asher ruszył na Jabłkowe Wzgórze. Gdy przybył do domu, Woodall, po gorącym powitaniu, powiadomił go, że pułkownik spoczywa jeszcze w łóżu, a John przebywa parę mil stąd, oglądając plantację chmielu.

Asher bez trudu odnalazł przyrodniego brata, nie można bowiem było przeoczyć plantacji chmielu - równych rzędów wysokich tyczek i z artyzmem rozciągniętego szpagatu, nieoczekiwanie sterczących w górę za porośniętymi trawą, falującymi wzgórzami oraz sadami wiśni i jabłoni, które mijał po drodze. Zatrzymał konia, zsiadł i

przywiązał zwierzę do starej jabłonki, która się uchowala, kiedy John karczował sad, by zabrać się za uprawę chmielu.

John, który rozmawiał z jednym z robotników, dostrzegł

nadjeżdżającego Ashera. Z uśmiechem na przystojnej twarzy podszedł

doń i stanął przy nim w cieniu jabłonki.

Asher, spojrzawszy na górujące nad nim pnącza, uniósł brew.

- Chmiel?

John zaśmiał się. - Tak, chmiel.

Browary coraz więcej go potrzebują, a choć to wymagające rośliny i w ich uprawę trzeba włożyć wiele pracy, zarabiam na zbiorach tyle, że cały ten trud mi się opłaca. - Poklepał brata po ramieniu. - A poza tym, czy to nie ty powiedziałeś mi, że nie należy wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka?

208

- A więc te pola to moja sprawa? - zapytał Asher, wskazując na wielkie połacie wyniosłych, błyszczących w słońcu zielonych pnączy.

John potrząsnął głową. - Nie. Ale twoje nauki, żeby trzymać za ogon więcej srok, przywiodły mnie do przekonania, że

może nie należy najbardziej żyznych ziem przeznaczać na sady. Jabłkowe Wzgórze to już nie tylko drzewa owocowe - hoduję bydło mleczne, owce, a prócz jabłoni i wiśni uprawiam też chmiel. -Uśmiechnął się do Ashera. - Trzymam za ogon sporo srok.

Dwaj bracia gawędzili leniwie przez parę minut. Asher skorzystał z okazji, by wspomnieć, że wyjeżdża jutro do Londynu na parę dni, po czym sprowadził rozmowę na wczorajszą wizytę Ormsby'ego na Jabłkowym Wzgórzu.

Na wzmiankę o Ormsbym John się skrzywił. Pocierając podbródek, ze wzrokiem utkwionym w strzelających w

górze pnączach chmielu, rzekł: -

Wiesz, po prostu nie lubię tego gościa - jak na mój gust jest zbyt bezczelny.

Obnosi się ze swą pozycją, jakby to była jego cholerna druga skóra, nie rozumiem, dlaczego ojciec tak gustuje w jego towarzystwie.

- Twój ojciec gustuje nie tyle w jego towarzystwie, co w tym, że Ormsby jest znanym hazardzistą i grywa wysoko.

- Chyba masz rację; po kolacji, dodam, że kompletnie nie zwracając na mnie uwagi, natychmiast udali się do gabinetu ojca i zaczęli grać w pikietę. Byłem uprzejmy i odczekałem kilka partii, ale ponieważ karty mnie nie interesują i nie

ulegało dla mnie wątpliwości, że żaden nie ustąpi mi miejsca, żebym rozegrał partyjkę, niebawem pożyczyłem im dobrej nocy i poszedłem sobie.

- Więc nie wiesz, jak głęboko pułkownik musiał sięgnąć do kieszeni? - zapytał ze znużeniem Asher.

John potrząsnął głową. - Z całą pewnością nie przegrywał, gdy wychodziłem - nie potrafił ukryć zdenerwowania. - Nie 209

umiem tego wytłumaczyć - rzekł z wolna - ale zeszła noc była...

dziwna. Choć Ormsby zachowywał się

uprzejmie, odniosłem wrażenie, że znalazł się w naszym domu, bo musiał, i siedzi tu z krańcową niechęcią. I jeszcze coś, Ormsby cieszy się reputacją znakomitego karciarza, a ja się na tym nie znam, ale gdy patrzyłem jak grają... -

Westchnął. - Zabrzmi to strasznie głupio, ale Ormsby jakby umyślnie przegrywał - dając ojcu wygrać.

Asher wysłuchiwał tego wszystkiego z niepokojem. Ormsby chadzał

tylko tam, gdzie chciał, a jednak John, a Asher ufał jego intuicji, wyczuł, że markiz przybył na kolację na Jabłkowe Wzgórze pod jakiegoś rodzaju przymusem. Przypominając sobie

własną rozmowę z ojczymem, nabierał coraz większej pewności, że coś się za tym kryje. Pułkownik był

absolutnie przekonany, iż nie może przegrać, a teraz, najwyraźniej, jeśli John ma słuszość, z jakiegoś powodu Ormsby robił wszystko, by pułkownik wygrał. Znając Ormsby'ego, jego dumę, bogactwo, pozycję, Asherowi przychodził do głowy tylko jeden powód, dla którego markiz pozwalał pułkownikowi tak swobodnie podkradać sobie pieniądze z kieszeni - szantaż.

Ale to wydawało mu się nieprawdopodobne - co, do diabła, odkrył

ojczym, czym mógłby trzymać markiza w szachu? Zmusiłby markiza do uległości z jednej tylko przyczyny - gdyby wiedział, że Ormsby popełnił

morderstwo. Asher uważał, że markiz jak najbardziej jest do tego zdolny, lecz, jego zdaniem, gdyby Ormsby rzeczywiście kogoś zamordował, uczyniłby wszystko, by odwrócić od siebie podejrzania. I w jaki sposób ojczym zdołałby się o tym dowiedzieć - i, co równie ważne, zdobyć dowód? John musi się mylić.

Myśl o szantażu przyszła również Johnowi do głowy i utkwivszy wzrok w twarzy Ashera, zapytał z zakłopotaniem:

- Chyba nie przypuszczasz, że stary szantażuje markiza, co?

210

Asher skrzywił się.

- Ale czym? Oczywiście istnieje taka możliwość, ale co takiego mógłby odkryć twój ojciec, by markiz tańczył, jak mu pułkownik zagra?

Skłoniłby go do posłuchu, gdyby wiedział, że markiz popełnił ciężką zbrodnię. Może źle odczytałeś sytuację?

John wzruszył ramionami. - To niewykluczone, ale było coś... -

Potrząsnął głową. - Przepraszam, nie powinienem był

O tym wspominać. - Urwał, po czym rzekł z mocą: - Wiem, że nie jestem taki mądry jak ty ani że nie zjeździłem całego świata... - Rzucił

Asherowi twarde spojrzenie. - Zdaję sobie sprawę, że większość życia spędziłem na Jabłkowym Wzgórzu

I że jestem zwykłym chłopkiem-roztropkiem, ale mam swój rozum i niech tam, wiem, że między ojcem i Ormsbym dzieją się jakieś dziwne rzeczy!

Asher przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- A więc to mi wystarczy. -

Uśmiechnął się lekko. - A każdy dureń, który zbyje cię jako głupka albo nazwie chłopkiem-roztropkiem, będzie miał ze mną do czynienia.

- Sam potrafię o siebie zawalczyć -
mruknął John pod nosem. - Nie musisz
stawać w mojej obronie.

- Mój drogi - zakrzyknął Asher, unosząc
brwi. - Źle mnie zrozumiałeś.

- Choć w jego oczach błyszczały iskierki
rozbawienia, nad wyraz wyniosłym
głosem wycedził: - Jeśli ktoś mówi o
tobie źle, rzuca to niekorzystne światło
na mnie, a wtedy nie mam wyboru i

muszę podjąć odpowiednie kroki.

John zaśmiał się.

- No, skoro tak do tego podchodzisz...

Asher w zamyśleniu wracał ze spotkania z bratem. Ufał intuicji Johna, a skoro John uznał, że coś jest nie w porządku, najprawdopodobniej coś rzeczywiście jest nie tak w stosunkach Ormsby'ego i pułkownika.

211

Asher uznał w końcu, że najpewniej chodzi o morderstwo. Gdyby uszczęśliwił damę wysokiego rodu nieślubnym dzieckiem, wybuchłby

skandal, który wszakże nie zaszkodziłby zbyt wiele reputacji markiza.

Uwiedzenie niewinnej pani?

Również skandaliczne i rodzice ostrzegaliby przed markizem córki, lecz w końcu tylko najsurowsi dżentelmeni patrzyliby na Ormsby'ego krzywo.

Wyższe sfery były bardzo pobłażliwe wobec osób o jego tytule i majątku.

Oszustwa w grze? Zastanawiał się nad tym chwilę. To mogłoby przysporzyć markizowi poważnych kłopotów. Gdyby takie przewinienia dostały się do publicznej wiadomości i można by ich było dowieść, Ormsby'ego unikano by w towarzystwie, a żaden honorowy mąż nie zasiadłby z nim do stolika - ani nie

pozwolił, by Ormsby przekroczył próg jego domu.

Asher przez parę minut zastanawiał się nad ewentualnymi nadużyciami hazardowymi. Ze wszystkich przestępstw, o jakie można by obwiniać Ormsby'ego i na jakie pułkownik zdołałby wpaść, oszustwo wydawało się najbardziej prawdopodobne, a jednak... Jakie dowody mógłby zdobyć jego ojczym? Oszusta zazwyczaj demaskuje się podczas popełniania oszustwa, nie da się dostarczyć na nie dowodów całe dni czy tygodnie później. A sam czyn musiałoby potwierdzić kilka osób. Bez świadków ojczym mógłby do znudzenia twierdzić, że Ormsby go oszukał, gdy

grali sami długo w noc, lecz nikt nie dałby mu wiary. Z żalem i to podejrzenie odrzucił.

Nie. Tu musi chodzić o morderstwo. Ale kogo? I kiedy? Na chwilę powrócił myślami do plotki, którą powtórzyła mu babka, gdy się z nią ostatnio widział. Wedle niej, kilka wybitnych osobistości w okolicy podejrzewało, że Ormsby maczał palce w zabójstwie swego brata... że go zamordował, tak jak Kain Abła. Znając markiza, Asher uważał, że jest on zdolny do każdej zbrodni, lecz zakładając, że Ormsby rzeczywiście 212

zabił brata, by odziedziczyć tytuł, jaki dowód na to mógł zdobyć pułkownik? Ormsby wszak nie jest tak głupi, by

usiąść i spisać wyznanie, które dziesiątki lat później wpadło w ręce pułkownika.

Uznał, że do zdarzenia tego musiało dojść później, a ono samo zapewne ma charakter bardziej sensacyjny. Gdyby Ormsby dopuścił się zabójstwa kogoś nic nieznaczącego, wykpiłby się byle wymówką albo nikt nie przywiązywałby do tego wagi - niestety, osobom o pozycji Ormsby'ego świat wybacza najgorsze okropieństwa. Gdyby wskazano go z nazwiska jako mordercę, z pewnością miałby kłopoty, lecz przy pomocy pieniędzy i potężnych przyjaciół wszystko rozeszłoby się po ko-

ściach. Mówiłoby się o tym przez jakiś czas, ale w końcu sprawa by przyschła i Ormsby wyszedłby z tego bez szwanku. Ale gdyby ofiara była kimś znacznym... żadne bogactwa ani tytuły nie uratowałyby markiza.

Asher zmarszczył brwi. W tej chwili nie mógł przypomnieć sobie śmierci żadnego członka wyższych sfer, która dałaby asumpt do szantażu.

Zastanawiając się, czy przypadkiem nie goni w piętę, przestał rozmyślać o morderstwie i szantażu i ruszył do następnego miejsca przeznaczenia.

Asher zostawił rękawiczki Hudsonowi, po czym zaprowadzono go do biblioteki,

gdzie miał czekać na przybycie pana Kirkwooda. Tam z wyraźną przyjemnością wpatrzył się w kanapę, na której zeszłej nocy kochał się z Julianą. Gdy wyobraził sobie jej bujne kształty, oparte na miękkich poduszkach, pewna część jego ciała drgnęła.

Oderwawszy wzrok od tak niewinnie wyglądającego mebla, szybko rozejrzał się po pokoju, przeklinając niesforny członek, który w obcisłych pantalonach wyraźnie pokazywał, jakimi torami błądzającego myśli.

Gdy po paru minutach przybył pan Kirkwood, Asher zdążył już wziąć się w garść i normalnie przywitał się z ojcem

Juliany. Obaj mężczyźni wymienili uprzejmości, a Asher bez zdziwienia odnotował, że jego gospodarz różni się wielce od niespokojnego pana Kirkwooda, jakim był w dzień przyjęcia. Poruszał się i wyglądał jak człowiek, który nabrał nowych sił, toteż Asher nie miał

wątpliwości, że Juliana przekazała ojcu listy albo że zostały zniszczone za jego wiedzą. Miał nadzieję, iż zdecydowano się na ten drugi krok, gdyż nie chciało mu się po raz drugi wykradać tych cholernych gryzmołów.

Pan Kirkwood usadowił się w wygodnym fotelu - na szczęście, z punktu widzenia Ashera, w przeciwnym

krańcu pokoju, z dala od miejsca, w którym wczoraj w nocy pewna para uprawiała szaloną miłość.

Pan Kirkwood, patrząc na Ashera z ciekawością, rzekł:

- W bileciku napisał pan, że chce się ze mną widzieć.

- Jestem wdzięczny, że zechciał mnie pan przyjąć tak szybko - odparł

Asher, stając przed ojcem Juliany. Rankiem udaję się do Londynu i chciałem porozmawiać z panem jeszcze przed wyjazdem. - Zawahał się chwilę, po czym ciągnął dalej: - Zdaję sobie sprawę, że jest pełnoletnia i niezależna

materialnie, zatem nie muszę prosić pana o pozwolenie, ale bardzo chciałbym uzyskać pańską zgodę na ubieganie się o rękę pańskiej starszej córki, pani Greeley. Pragnę ją poślubić za specjalnym zezwoleniem, gdy tylko będzie to możliwe.

214

Rozdział 13

Trzeba przyznać panu Kirkwoodowi, że nie wykazał zbytniego zaskoczenia deklaracją Ashera. W istocie parę spraw natychmiast stało się dla niego jasnych. Choć tak bardzo pochłaniała go sprawa Ormsby'ego, był człowiekiem spostrzegawczym i nie uszło jego

uwadze, że podczas wizyty pani Manley, gdy starsza dama bawiła u Thalii, Juliana spacerowała po ogrodzie z Asherem. Nie umknęło mu też, że kiedy Ormsby wprosił się do nich na kolację, jedną z osób, u których Juliana szukała wsparcia w zażegnaniu niebezpiecznej sytuacji, znowu był Asher Cordell. Patrząc na stojącego przed nim, elegancko odzianego młodzieńca, pan Kirkwood zauważył twardy zarys szczęki, a także bijącą od niego brutalną bezwzględność i zdecydowanie - takiemu człowiekowi lepiej nie wchodzić w drogę. Ale przyszło mu też do głowy, że w trudnym, nawet niebezpiecznym położeniu właśnie kogoś takiego jak Asher Cordell

chciałby mieć u swego boku... i nagle
nabrał pewności, że patrzy na osobę,
która wręczyła Julianie listy Thalii. A
teraz ten właśnie młody człowiek, który
uratował Thalię, a w istocie całą
rodzinę wybawił

ze strasznych tarapatów, w jakich
ugrzeźliby na dobre, chce poślubić jego
córkę? Wielkie nieba! Nawet gdyby
Asher nie był jego sąsiadem, wnukiem
bli-215

skiej przyjaciółki i właśnie takim
człowiekiem, jakiego Kirk-wood
życzyłby sobie na męża starszej córki,
po tym, co dla nich zrobił, z radością
oddałby mu rękę Juliany. Dzięki niemu
spotkanie, jakie ma dziś po południu

odbyć w swym gabinecie z Ormsbym, przebiegnie zupełnie inaczej, niż stałoby się to jeszcze przed paroma godzinami. Jest wielkim dłużnikiem tego młodzieńca i skoro Asher chce poślubić Julianę, czyż ojciec ma prawo mu odmówić?

Pan Kirkwood zdjął spojrzenie ze szczupłej twarzy Ashera. Rola przyszłego zięcia w odzyskaniu listów Thalii najwyraźniej miała pozostać tajemnicą... Westchnął, zastanawiając się, odkąd to życie stało się tak skomplikowane, lecz skoro Asher i Juliana pragną utrzymać swój udział w odzyskaniu listów w sekrecie, a najwyraźniej tego chcą, będzie udawał,

że niczego się nie domyśla.

Zdając sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć, pan Kirkwood zapytał:

- A czy, hm, rozmawiałeś o tym z Julianą?

- Owszem, ale przyznam, że choć z początku przyjęła moje oświadczenia, potem nadąsała się i dała mi kosza. - Asher uśmiechnął się.

- Ale raz się zgodziła i będę ją trzymał za słowo.

Pan Kirkwood spojrzał na niego z zadziwieniem. Ten młodzieniec nie da sobie w kaszę dmuchać. - Ale zdajesz

sobie sprawę - ostrzegł - że nie mam na nią żadnego wpływu? Sam będziesz musiał się postarać, by zmieniła zdanie.

Z błyskiem w oku, Asher skinął głową.

- A więc mam pańską zgodę?

Pan Kirkwood z uśmiechem odchylił się w fotelu. - Od dawna przyjaźnię się z twoją babką, znałem i podziwiałem twoją matkę. Z tego co wiem, jesteś człowiekiem zamożnym, właścicielem ziemskim, a twoi ludzie dobrze o tobie mówią, wszyscy

216

też bardzo cię poważają za twoje

oddanie rodzeństwu. Drogi chłopcze, będę szczęśliwy i zaszczycony, przyjmując cię do mojej rodziny.

- Dziękuję - odparł Asher, któremu odpowiedź pana Kirk-wooda niebywale pochlebiła. Nie spodziewał się żadnych zastrzeżeń względem swych starań o rękę Juliany, a nawet gdyby jej ojciec nie wyraził zgody, nie zrobiłoby mu to żadnej różnicy - do małżeństwa musi wszak przekonać Julianę. Czując, że powinien jeszcze coś dodać, rzekł cicho: -

Będę dla niej dobrym i kochającym mężem. - Z uśmiezkiem na mocno zarysowanych ustach, powiedział pod nosem: - Aha, i myślę, że dla dobra nas

wszystkich i ze względu na moje dalsze
zaloty, najlepiej będzie, jeśli
zatrzymamy tę rozmowę dla siebie, nie
uważa pan?

Pan Kirkwood zamrugał: - O Boże,
naturalnie! - wybąkał.

Londyn w lipcu był gorący i
nieprzyjemny, toteż krocząc po schodach
do swego apartamentu, który
wynajmował na Fitzroy Square, Asher
miał

nadzieję, że w ciągu doby wyruszy w
drogę powrotną do Kentu. Po przybyciu
do stolicy późną nocą w poniedziałek,
choć zmęczony wyczerpującą jazdą,
niezwłocznie się zorientował, że

Roxbury nadal przebywa w swej rezydencji i że w środowy wieczór weźmie udział w kolacji z paroma przyjaciółmi z Gwardii Konnej. We wtorek rano udał się do miejscowego biskupa i w dzień po przyjeździe specjalne zezwolenie spoczywało już w kieszonce jego kamizelki.

Czas spędził na wizytach u krawca i szewca, lecz przede wszystkim na sprawdzeniu informacji co do planów Roxbury'ego; odbył nawet krótki rekonesans w książęcej posiadłości. Powróciwszy do swych pokoiw późnym popołudniem w środę, Asher usiadł i napisał bilecik do księcia.

Tuż przed północą, upewniwszy się, że

w kolacji, wślizgnął się do imponującej rezydencji Roxbury'ego i podążając tą samą trasą, którą przebył przed niespełna rokiem, wszedł do biblioteki. Choć panowały w niej egipskie ciemności, poruszał się w jej wnętrzu swobodnie, rad ze swej dobrej pamięci oraz z tego, że nie przestawiono mebli. Dotarł do biurka na końcu pokoju, przesunął palcami po jego gładkim blacie i stwierdziwszy, że nic na nim nie leży, wyjął listy oraz swój bilecik i umieścił je na środku biurka. Z uśmiechem wyciągnął czarną, jedwabną maskę, którą miał na sobie w zeszłym roku, i upuścił ją na listy.

Roxbury niechybnie się domyśli, kto
zostawił mu listy

- nawet bez bilecika.

Wyszedł stamtąd w ten sam sposób, w
jaki dostał się do wnętrza, bezszelestnie
i niedostrzeżony przez nikogo.

Zachowywał jednak ostrożność i krył się
w ciemności, póki nie oddalił się spory
kawał od siedziby księcia. Zadowolony
z przebiegu wyprawy, idąc do swych
pokojów, pogwizdywał wesołą
melodyjkę.

W przestronnym pokoju przylegającym
do jego sypialni Asher zdjął

marynarkę i nalał sobie brandy z jednej

z kryształowych karafek, którymi zastawiony był dębowy kredens. Światło ze świec osadzonych w dwóch posrebrzanych świecznikach tańczyło po całym pokoju, Asher zaś, usadowiony wygodnie w czarnym, skórzanym fotelu, z kieliszkiem brandy w ręce, wyobrażał sobie reakcję Roxbury'ego na widok listów. Na twarzy młodzieńca igrał diabelski uśmiezek.

Zastanawiał się, czyby osobiście nie wręczyć listów Roxbury'emu, lecz doszedł do wniosku, że to krok niepotrzebny, nazbyt ryzykowny i wymagający drobiazgowego zaplanowania. Stał już ze starym księciem twarzą w twarz i wyszedł z

tego bez szwanku, ale więcej nie chce ryzykować. Od zeszłego roku Roxbury mógł przedsięwziąć środki ostrożności, by zapobiec kolejnym, niespodziewanym nocnym wizytom...

218

choć dzisiejsza wyprawa świadczyłaby, że tego nie uczynił, lecz lepiej nie kusić losu - zwłaszcza kiedy nie musi. A do tego należałoby całą rzecz dokładnie zaplanować - gdyby chciał wręczyć listy Roxbury'emu, musiałby znaleźć taką porę, kiedy książę jest w domu - i właśnie siedzi w bibliotece - a Asherowi po prostu nie chciało się wkładać w to przedsięwzięcie czasu ani wysiłku. Znacznie łatwiej było położyć

listy i zniknąć w mroku.

Choć większość lepszego towarzystwa opuściła miasto, ciągły zgiełk londyńskiego ruchu ulicznego przenikał przez ściany pokoiów, które zajmował Asher. Słuchając pokrzykiwań woźniców, słabego stukotu końskich kopyt, brzęku uprzęży i szczęku kół toczących się po kocich łbach, zatęsknił za ciszą Lisiej Nory.

Sącząc brandy, przyznawał, że pragnie wrócić w rodzinne strony, gdyż jest tam Juliana, która niebawem zostanie jego żoną - choć zapewne jeszcze o tym nie wie. Pragnął ją poślubić i nie wątpił, że dopnie swego, że zdobędzie to uparte

serce i że przyszła oblubienica pokocha go tak, jak on umiłował ją.

Asher wyprostował się nagle, jakby ktoś wyrzucił mu na plecy kubełek lodu. Do stu tysięcy diabłów! On ją kocha.

Smętnie wbił wzrok w swoje buty.

Małżeństwo zawsze miał w planach, lecz zakładał, że gdy nadejdzie właściwa pora, po prostu się rozejrzy, wybierze jakąś wdzięczną, odpowiednią młodą niewiastę i osiadzie w miłym, domowym ciepełku. Nie dla niego namiętne uniesienia, dzikie szały i bezbrzeżne rozpacz, jakie niesie ze sobą miłość - nie, serdeczne dzięki. Mając w pamięci przykład matki, nie zamierzał tracić głowy ani nikomu

oddawać serca, a to właśnie mu się przytrafiło. Prychnął. Miłość nie leżała w jego planach na przyszłość.

Zmarszczywszy brwi, pociągał brandy. Ale czy to byłoby takie złe?

Owszem, odpowiedział sobie, krzywiąc się - zwłaszcza 219

gdyby Juliana go nie kochała.

Podejrzewał, że darzy go uczuciem, ale pewności nie miał. A jak może zmusić do małżeństwa ukochaną kobietę, skoro ona go nie kocha? Z irytacją stwierdził, że byłby wówczas draniem, nie lepszym od Ormsby'ego.

Do tej pory uganiał się za Julianą, jeśli

można to tak nazwać, bez specjalnego zapachu, jakby prowadził zabawną grę, w której zamierzał

okazać się zwycięzcą, ale miłość... miłość zmieniła wszystko i wcale go to nie radowało. Chodziło o coś więcej niż szacunek i sympatię... A niech to diabli! W niebezpieczeństwie znalazło się jego serce, zagrożone były najgłębsze uczucia zdawał sobie sprawę, że jest bezbronny jak nigdy dotąd. Juliana miała moc zadawania mu ran i nie był zadowolony, że jego przyszłe szczęście znajduje się w rękach innej osoby.

Więc co zamierza z tym zrobić?
Uśmiezek z wolna wypełził mu na twarz. Skoro na szali waży się jego

serce, nie jest to już jedynie gra , teraz wyęży wszystkie siły, by złowić ponętą panią Greeley. Jego uśmiezek przeszedł w szeroki uśmiech. A myśliwym jest doskonałym.

Juliana dowiedziała się o wizycie Ashera u ojca w ten niedzielny poranek dopiero na parę minut przed spodziewanym przybyciem Ormsby'ego do domu Kirkwoodów. Rozumiała, że ojciec winien rozmówić się z markizem w cztery oczy i pochwałała postanowienie, by samodzielnie stawił czoła ich dręczycielowi. Była pewna, że skoro listy zostały zniszczone, pan Kirkwood doskonale poradzi sobie z Ormsbym, lecz ciekawość i instynkt

opiekuńczy nie pozwoliły jej wycofać się do innej części domu i potulnie wyczekiwać na wynik spotkania.

A zatem, gdy zbliżała się pora przybycia Ormsby'ego, znalazła się w pokoiku naprzeciwko gabinetu ojca, gdzie układała bukiety upojnie pachnących lilii, które następnie zamierzała rozmieścić po domu. Celowo zostawiła uchylone drzwi, wie-

220

dząc, że usłyszy, gdy ktoś przejdzie korytarzem, a także dyskretnie będzie miała oko na drzwi do gabinetu.

Flora, młoda pokojówka, była ze swą

panią, patrząc, jak Juliana tworzy urocze kompozycje. Skończone dzieła służąca po kolei zanosila do rozmaitych pokojów w głównej części domu. Powrót z jednej z tych wędrówek zbiegł się z przybyciem markiza.

Akurat gdy Flora weszła do pokoju, Julianę doszły głosy Hudsona i markiza, którzy kroczyli w kierunku gabinetu ojca. Wyraźnie było słychać, jak się zbliżali, i Flora, stojąca obok Juliany, wykrzyknęła: -

Boże, iluż mamy dzisiaj gości! Po południu jego lordowska mość przybywa z wizytą do jaśnie pana, a rano pan Cordell zamknął się z nim w bibliotece.

Juliana zeszywniała, nie zwracając prawie uwagi, że Ormsby'ego wprowadzono do gabinetu ojca. Asher tu był? Rano? Żeby zobaczyć się z ojcem? Tknęło ją złe przecucie. Asher przecież by nie... Oczy jej się zwężyły. Ależ owszem, tak! Diabelskie nasienie.

Z podziwu godnym opanowaniem, Juliana rzekła pogodnie:

- Doprawdy? Musiało to być bardzo wcześnie. Flora potrząsnęła głową.

- Pan Cordell nie przyszedł tak bardzo wcześnie. Ale Hudson powiedział, że nie posiadał się ze zdziwienia, kiedy służący z Lisiej Nory walił tu w drzwi

przed ósmą z bilecikiem dla jaśnie pana.

Juliana straciła cały zapal, ale zmusiła się do uśmiechu. -Cóż, widocznie był powód - powiedziała pod nosem.

Flora skinęła głową. - Pewnie ma to coś wspólnego z panią Manley. -

Straciwszy zainteresowanie tematem, spojrzała na duży bukiet różowych i białych lilii, których ciężkie pąki obramowane były ciemnozielonymi, strzępiastymi paprociami. - Czy włożyć go do wazonu na stoliku w holu?

221

- O tak, doskonale.

Gdy Juliana została sama, wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w ścianę przed sobą. Asher widział się z jej ojcem! Przygryzła wargę. Może jego wizyta nie ma nic wspólnego z nią... ani z tym, co zaszło między nimi zeszłej nocy, lecz gdyby Asher chciał spotkać się z jej ojcem w sprawie pani Manley, ojciec wspomniałby o tym. Co prawda ojciec nie mówi jej wszystkiego, ale dziś wielokrotnie miał okazję, by napomknąć o odwiedzinach Ashera, ale nie powiedział nic. Ani słowa. Co było dziwne.

Nie zgodne z jego charakterem... Lecz jeśli Asher zjawił się z jej powodu... Nachmurzyła się. Teraz uświadomiła

sobie, że przez cały dzień ojciec miał niezmiernie zadowoloną minę i od czasu do czasu spoglądał

na Julianę z pobłażliwym błyskiem w oku, a niekiedy z dziwnym uśmiechem... Takie jego zachowanie przypisała odzyskaniu listów Thalii, ale teraz nie była już taka pewna.

Nerwowo rozważała sytuację. Ojciec w ogóle nie wspomniał o wizycie Ashera dzisiejszego ranka, Asher zaś nic nie mówił, by kiedykolwiek miał zamiar odwiedzić jej ojca, a tym bardziej dziś rano.

Być może powód przybycia Ashera i powściągliwości ojca jest całkiem

niewinny, ale zupełnie jej na to nie wyglądało. Do postępowania obu panów pasuje tylko jedno wyjaśnienie - że coś knuli przeciwko niej.

Z błyskiem w pięknych oczach krążyła po pokoiku. Asher poprosił ją o rękę, a ona przyjęła jego oświadczyzny... po czym cofnęła zgodę - z całą mocą, przyznała z niejaką skruchą, przypominając sobie plaśnięcie dłoni o jego policzek. Pytanie, czy Asher pogodził się z faktem, że w końcu dostał kosza? Znając go, podejrzewała, że nie i dlatego jego dzisiejsza wizyta u ojca wydaje się jej podejrzana. Domyślała się, iż Asher usiłuje wyprowadzić ją w pole.

Nie uczestniczyła w spotkaniu ojca z Asherem, lecz gdyby miała iść o zakład, uznałaby za bardzo prawdopodobne, że
222

Asher usiłował wytrącić jej broń z ręki i oświadczył się o nią.

Uśmiechnęła się cierpko. Jej ojciec zapewne nie posiada się z radości, ale cóż to ma za znaczenie, czyjej ojciec pochwała ten związek, czy nie -

Juliana jest pełnoletnią wdową, sama zarządza swoim majątkiem i nikt, nawet własny ojciec, nie może jej zmusić do małżeństwa z Asherem Cordellem.

Jeśli jednak ten oświadczył się o jej

rękę, a ojciec przystał na jego zaloty, wszystko staje się jasne. Z nachmurzoną miną zrobiła gwałtowny skręt w swym marszu po pokoiku, rozważając sytuację. Jeśli Asher poprosił ojca o błogosławieństwo, a ten mu go udzielił, poszczególne kawałki układanki zaczyna-jądo siebie pasować, łącznie z łagodną, zadowoloną miną ojca. Teraz Juliana rozumie już, dlaczego nie wspomniał o wizycie Ashera.

Nie wiedząc, czy śmiać się, czy wściekać, potrząsnęła głową. Czy Asher naprawdę uważa, że ojciec zmusi ją do małżeństwa?

Nagły huk zatrzaskiwanych drzwi do gabinetu ojca i odgłos szybko

oddalających się kroków odciągnął ją od rozważań na temat ewentualnych poczynañ jej zalotnika. Szybko podbiegła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Ormsby wielkimi krokami kroczył ku frontowym drzwiom. Z nachylenia głowy oraz sztywnych ramion i pleców, wyprostowanych jakby kij połknął, można było wnosić, że markiz nie jest zadowolony.

Hudson spotkał markiza w połowie holu wejściowego, lecz nim kamerdyner zdołał dojść do drzwi, markiz przemaszerował obok niego, warcząc:

- Zejdź mi z drogi, niezdaro! Potrafię sam wyjść.

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i Ormsby wypadł na zewnątrz.

Idąc w ślad za Ormsbym, który jak burza sunął po korytarzu, Juliana zauważyła zajście między markizem i kamerdynerem.

223

Dostrzegła też pełen zadowolenia uśmiezek, jaki przemknął po twarzy Hudsona, gdy markiz ciężkim krokiem wyniósł się z domu.

Hudson cicho zamknął drzwi, które Ormsby zostawił otwarte, spiesząc się, by jak najprędzej opuścić te progi. Odwróciwszy się, zobaczył, że Juliana

na niego patrzy. Nadal z uśmiezkiem na ustach, rzekł cicho:

- Obawiam się, że markiz usłyszał jakieś niemiłe wieści.

- Chyba tak, myślę, że masz rację. Zapewne w przyszłości markiz nie będzie tu częstym gościem - odparła rozpromieniona Juliana.

- I bardzo dobrze - stwierdził Hudson, znikając gdzieś w czeluściach domostwa. Juliana szła do gabinetu ojca z zamyśloną miną. Czyżby służba wiedziała o groźbach Ormsby'ego? Z wolna skinęła głową. Mogli nie znać szczegółów, ale wyczuwali, że coś wisi w powietrzu.

Uśmiechnęła się. Już nie wisi.

Zastukała lekko do drzwi gabinetu ojca i na jego wezwanie weszła do środka. Z rękami założonymi do tyłu, pan Kirkwood stał, wyglądając przez okno wychodzące na ogród.

- Ojczy, czy wszystko poszło tak, jak się spodziewałeś? - zapytała cicho. Pan Kirkwood obrócił się do niej. Cała jego twarz zmarszczyła się w szerokim uśmiechu. Juliana uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Pan Kirkwood, nadal rozradowany, podszedł do biurka z wiśniowego drzewa. - Przykro mi to powiedzieć i wiem, że nie zachowuję się po

chrześcijańsku, ale na Boga! Z jaką radością powiedziałem temu zdradzieckiemu łajdakowi dokładnie, co myślę o nim i jego zagraniach!

Jak śmiał szantażem zmuszać takie niewinne dziecko jak Thalia, by za niego wyszło? - Z błyskiem w oku dodał cicho: - Z przyjemnością wyjaśniłem mu wyraźnie, co sędzę o jego metodach i o nim! Azjeszcze większą frajdą odrzuciłem jego groźby i kazałem mu wynosić się z mojego domu; - obiecałem też, że jeśli kiedykolwiek jego noga tu postanie albo

224

ponownie zbliży się do którejś z moich

córek, wychłosczyć go szpicrutą.
Oznajmiłem mu również, że wiem o jego
nędznym szpiegu i że w ciągu godziny
będzie się musiał stąd zabrać. -Z
wyraźną satysfakcją w głosie ciągnął
dalej: - Początkowo nie mógł w to
uwierzyć, ale gdy nie ustępowałem,
zaświtało mu, że coś poważnie
pokrzyżowało jego plany i że nie ma nad
nami żadnej władzy. - Uśmiechnął się
ciepło do Juliany. -

Dzięki tobie nie będziemy już mieć
więcej kłopotów z Ormsbym.

Ktoś ze służby musiał powiedzieć
Thalii, że Ormsby już sobie poszedł,
gdyż weszła do gabinetu akurat w sam
czas, by usłyszeć ostatnie zdanie

padające z ust pana Kirkwooda.

Podbiegła do ojca z okrzykiem:

- Och, papo, czy ten koszmar naprawdę już się skończył? Czy Ormsby rzeczywiście zniknie z naszego życia? Już nie muszę się go obawiać?

Pan Kirkwood objął młodszą córkę. -

Tak, w istocie. - Ze wzrokiem

błyszczącym radością, dodał: -

Powiedziałem mu, że go wysmagam

szpicrutą, jeśli ośmieli się zbliżyć do

którejkolwiek z was albo postawi nogę

w domu Kirkwoodów. - Jego twarz

przybrała stanowczy wyraz, który

wcześniej się na niej nie pojawiał. - I,

jak mi Bóg miły, dotrzymam słowa!

Nie było rady, pan Kirkwood musiał opowiedzieć Thalii całą rozmowę z Ormsbym, słowo w słowo, a gdy skończył, jej twarz promieniała, a radość bijąca z uśmiechu dziewczęcia była niemal namacalna.

-Nie mogę uwierzyć, że to się wreszcie skończyło. Że uwolniliśmy się od tego potwora.

Lekko zmarszczywszy czoło, Juliana spojrzała na ojca.

- Myślisz, że będzie próbował szkodzić nam w jakiś inny sposób?

Pan Kirkwood wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Póki do tego nie

doszło, nie znałem Ormsby'ego od tej strony i nie 225

uwierzyłbym, że zdolny jest do tak haniebnego zachowania. -

Westchnął. - Nie wiem, w jaki sposób może nam zaszkodzić, ale ostrzegam was obie, byście miały się przed nim na baczności. - Spojrzał

przeciągle na Thalię. - Zwłaszcza ty, kochanie. Uważaj na niego. Thalią wstrząsnął dreszcz.

- Nie chcę go więcej widzieć na oczy, a tym bardziej z nim rozmawiać.

To skończony łajdak.

Wiedząc, jak łatwo jej siostra ulega
wzburzeniu, Juliana uśmiechnęła się i
wtrąciła szybko:

- Ponieważ najwyraźniej kłopoty z
markizem mamy już za sobą, a ty czujesz
się coraz lepiej, może pora zacząć
myśleć o zjeździe towarzyskim, który
musieliśmy odłożyć.

Ta perspektywa tak uradowała Thalię,
że aż klasnęła w dłonie. - O

tak! Bardzo się stęskniłam za Piersem! -
Lekko się zarumieniła, rzucając ojcu
nieśmiałe spojrzenie. - A papa może
teraz ogłosić moje zaręczyny.

Pan Kirkwood lekko uszczypnął ją w

policzek. - Będiesz szczęśliwa,
poślubiając Piersa? - zapytał z leciutkim
uśmieszkiem.

- Och, papo, pragnę tego nade wszystko
- wyszeptała Thalią, patrząc nań
rozpromienionym wzrokiem.

- Ha, w takim razie chyba powinniśmy
zacząć planować zjazd towarzyski i
ogłosić zaręczyny - rzekł, rzucając
spojrzenie Julianie. - Z

błyskiem w oku, wymruczał pod nosem:
- Przewiduję, że tego lata wiele się
wydarzy i wszyscy będziemy bardzo
zajęci.

Słowa te zabrzmiały dość niewinnie,

lecz Juliana wychwyciła w jego głosie pewną nutkę, która wzbudziła jej podejrzenia. Znając ojca i jego niechęć do sporów, gdyby Asher poprosił ojca o jej rękę, a on wyraziłby zgodę i tak do niczego by się Julianie nie przyznał. Lekko uniosła kąciki ust w uśmiešku.

226

Biedny ojciec. Przyparty do muru, jąkałby się i coś mamrotał, po czym wszystkiemu by zaprzeczył.

- Kiedy możemy urządzić ten zjazd towarzyski? - zapytała Thalia, przerywając tok myśli Juliany.

Odsuwając na bok dręczącą kwestię

porannej wizyty Ashera, Juliana uśmiechnęła się do młodszej siostry. - Dopilnuję, żeby zaproszenia rozesłano jutro. - Krytycznym wzrokiem obrzuciła bladą twarz Thalii. -

Choć masz się lepiej, minie jeszcze parę dni, zanim całkiem wydobrzejesz, więc goście mogą zacząć się zjeżdżać od przyszłego czwartku - akurat tyle czasu potrzeba, żebyśmy się przygotowali na ich przybycie.

- Ojej, to ponad dziesięć dni. Zdążymy ze wszystkim wcześniej -

zaprotestowała Thalia.

Juliana objęła siostrę i przytuliła ją. - W

istocie - rzekła, uśmiechając się do niej
czule - ale, maleńka, nie możesz pokazać
się przyszłemu mężowi taka
wynędzniała i z ziemistą cerą, mam
rację?

Thalia przyłożyła dłonie do policzków,
a jej piękne, błękitne oczy rozszerzyły
się.

- Ach tak, mowy nie ma!

Ormsby odjechał z domu Kirkwoodów
rozzłoszczony do ostateczności, myśląc
tylko o tym, by Kirkwood niezwłocznie
pożałował

swych obraźliwych słów. Gniewnie
zacisnął usta, zwężone oczy zaszły mu

mgłą wściekłości, tak że nie widział tych kilku pojazdów i koni, które go minęły. Jakże Kirkwood śmie odzywać się do niego w ten sposób? Jak ten wiejski prostak śmie wyrzucać go ze swego domu niczym nieuczciwego służącego? Jak on śmie! Jest przecież Ormsbym! Nikt nigdy nie mówił do niego w ten sposób! Nikt. Policzki zapłonęły mu czerwienią. I nikt, pomyślał z nienawiścią, nie odmawiał mu tego, czego chciał.

227

Długo zanim Thalia Kirkwood wkroczyła na londyńskie salony, stając się oczkiem w głowie najwyższych sfer,

patrzył jak rozkwita ze ślicznego dziecka w olśniewającą piękność i wtedy to uznał, że godna jest zostać jego żoną. Jej rodzina, choć nie należała do najlepszego towarzystwa, była szanowana, przy jego majątku na posagu mu nie zależało, lecz jej uroda... jej uroda była niezrównana. Ułożył stosowny plan i ukradkiem zaczął uwodzić niewinną ślicznotkę pod samym nosem jej ojca.

Gdy Kirkwoodowie przenieśli się do Londynu na sezon towarzyski, Ormsby był niezmiernie rad, że Thalia podbiła miasto oraz wszystkie salony.

Delektował się myślą o tej chwili, gdy odsunie na bok wszystkich młodych

głupców, który się wokół niej cisną, i ogłosi podziwianą piękność swoją żoną. Och, jakaż zazdrość i zawiść zapłonie w sercach odtrąconych zalotników, gdy bożyszczce angielskich mężczyzn przyjmie rękę potężnego lorda Ormsby'ego. Spędził niejedną radosną godzinkę, wyobrażając sobie tę chwilę. W ogóle natomiast sobie nie wyobrażał, by Thalii mogło się uroić, że zakochała się w tym szczeniaku Caswellu, w związku z czym odtrąci jego, albo że ojciec pozwoli jej iść za głosem serca. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Thalia odrzuci olbrzymi majątek Ormsbych ani że będzie wolała zwykłego hrabiego od markiza.

Zraniła jego próżność i poczucie własnej godności, przez co jeszcze mocniej pragnął ją poślubić.

Wolałby nie wykorzystywać listów, by postawić na swoim, ale głupiutka Thalia, upierając się, że kocha Caswella i wyjdzie tylko za młodego hrabiego, nie pozostawiła mu wyboru. Był pewien, że groźba szantażu przechyli szalę na jego stronę i aż do dzisiaj owa groźba odnosiła skutek. Ale coś się zmieniło... Szalejąc z wściekłości, nagle poczuł się nieco nieswojo. Mogło się zmienić tylko jedno, tylko jedna rzecz dałaby Kirkwoodowi odwagę, by rozmawiać z nim w ten sposób. Z nagłym pośpiechem zaciął konia, zmuszając go do

morderczego galopu.

228

Kiedy markiz przybył do dworu Ormsbych, rzucił wodze spienionego konia oczekującemu nań lokajowi i pomaszerował do domu. Minąwszy kamerdynera, kroczył prosto do gabinetu. Gdy wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po elegancko urządzonej pokoju.

Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Podszedł do obrazu Gainsborougha i przez kilka chwil przyglądał mu się, a także najbliższym fragmentom ściany. Znowu najwyraźniej niczego nie przesunięto ani nie

zmieniono. Zdjął obraz, otworzył sejf i zeszywniał, kiedy się zorientował, że zniknęła paczka owinięta w ceratę.

Usiłując opanować dławiący go gniew, Ormsby zmusił się do sprawdzenia zawartości sejfu; serce, bijące mu jak szalone, uspokoiło się nieco, gdy znalazł diamenty Ormsby'ego i inne klejnoty - brakowało tylko listów. Klnąc, zatrzaskał drzwiczki sejfu i opadł na fotel. Patrząc na misterny wzór tureckiego kobierca na parkiecie z drzewa orzechowego, borykał się ze świadomością, że do jego domu wtargnął niezwykle sprytny złodziej. Nie zdziwił się, że listy zniknęły, podejrzewał to od chwili, gdy

Kirkwood praktycznie wyrzucił go z domu. Z sejfów zabrano nie tylko listy Thalii, co rozszerzało grono ewentualnych sprawców kradzieży.

Skupiwszy się tak silnie, że aż stężały mu rysi, odrzucił przypuszczenie, by z kradzieżą tą miały coś wspólnego żony, które zbłądziły -

gdyby upubliczniono ich listy, wybuchłby skandal, co byłoby nieprzyjemne, ale nie aż tak bardzo nieprzyjemne, żeby odważyły się wynająć jakiegoś złodziejaska. Ale lord... i pułkownik... gdyby zapiski tych panów przedostały się do publicznej wiadomości, ich życie ległoby w gruzach - jeżeli uniknęliby szubienicy.

Być może któryś z nich chciał

wyrwać się spod jego władzy i wynajął kogoś, kto ukradł papiery.

Zmarszczył brwi. Złodziejowi chodziło tylko o jedną rzecz - listy.

Ktoś, kto otworzył sejf i je zabrał, zostawił cenne klej 229

noty, a żaden zwykły złodziej tego by nie zrobił. Nie. Złodzieja interesowały tylko papiery. Był na tyle przebiegły, że wywęszył, gdzie znajduje się sejf, i gładko go otworzył. Znowu omiótł wzrokiem pokój.

Intruz nie pozostawił śladu swej

bytności i Ormsby zastanawiał się, po jakim czasie odkryłby kradzież, gdyby nie rozmawiał z Kirkwoodem.

Oczy mu się zwięziły. Od razu nasuwa się pytanie: kiedy dokonano kradzieży? Sądząc po dzisiejszej rozmowie z Kirkwoodem, musiało to nastąpić bardzo niedawno - ojciec Thalii przystąpiłby do działania natychmiast po otrzymaniu listów, a stawił mu czoło dopiero dzisiaj.

Toteż zdał sobie sprawę, że do kradzieży musiało dojść po tej przeklętej kolacji u Kirkwoodów w piątkowy wieczór, jednak przed niedzielą rano, kiedy to otrzymał wezwanie Kirkwooda. Gdyby listy wykradziono przed kolacją

w piątkowy wieczór, do spotkania pewnie doszłoby tego samego wieczoru. A jeżeli tego złodziejstwa dopuszczono by się, kiedy przebywał u Kirkwoodów na kolacji, zażądano by jego przybycia w sobotę rano, a nic takiego się nie stało.

Ormsby podniósł się i obszedł pokój, wysilając umysł. Zeszłej nocy jadł kolację na Jabłkowym Wzgórzu. Wrócił bardzo późno. Kradzieży najpewniej dokonano wtedy, gdy był zajęty tym głupcem Denningiem.

Rad, że ustalił porę przestępstwa, skupił się teraz na osobie, która najwięcej by na nim zyskała. Kto, wedle

największego prawdopodobieństwa,
nastał na niego złodzieja?

Ponownie wykluczył cudzołożne żony.
To głupiutkie kobietki, którymi łatwo
manipulować. Ale dwaj skłonni do
zdrady dżentelmeni to już inna para
kaloszy. Każdy z nich mógłby
zaryzykować rabunek.

Zmarszczył brwi, wpatrując się w swe
buty. Ma ich w garści od lat.

Dlaczego któryś miałby uderzyć teraz?
Nie. To żaden z nich. Pozostawał

zatem Kirkwood...

Ormsby skinął głową. Naturalnie. To on jest winowajcą. Zdumiało go, że Kirkwoodowi starczyło odwagi, by nająć złodzieja do wykradzenia listów. Nigdy by się tego po nim nie spodziewał, ale ta jego starsza córka...

Uniósł głowę, słysząc pukanie do drzwi gabinetu. - Tak. O co chodzi?

- warknął.

- E... wasza miłość, przybył z wizytą pułkownik Denning -odparł

przez drzwi jego kamerdyner, Baker.

Ormsby zaklął i zacisnął dłoń w pięść. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął

w tej chwili, było towarzystwo Denninga. Zdając sobie sprawę, że nie ma wyboru, burknął: - Przyprowadź go tutaj i przygotuj jakieś przekąski. Widok uśmiechniętej twarzy Denninga mu poprawił Ormsby'emu humoru, ale markiz powitał gościa serdecznie. Gdy zasiedli, a Baker nalał

im reńskiego wina i wyszedł, Ormsby zapytał:

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Denning odchylił się na krześle. - Nudzi mi się na wsi - mruknął

leniwie. - Myślałem, żebyśmy rozegrali

parę partyjek pikiety dla zabicia czasu. .

- Wczorajsza wygrana ci me wystarczy?
- zapytał cierpko Denning przyjrzał się winu w kieliszku. - Zamierzam dokupić kawałek ziemi graniczący z gruntami Jabłkowego Wzgórza i puścić go w dzierżawę. - Spojrzał przez kieliszek na Ormsby'ego. - Wiesz, jak kosztowna jest ziemia. Ormsby zgrzytnął zębami.
- A jeśli nie będzie mi się chciało grać? Denning uśmiechnął się łagodnie.

_ Och w taki razie odbędę długą rozmowę z moim pasierbem. Moja opowieść zapewne da mu wiele do myślenia, nie sądzisz?

Rozdział 13

Ormsby pociągnął długi łyk wina. Denning na razie trzyma go w szachu, myślał markiz z wściekłością, ale wiecznie tak trwać nie będzie.

Uwolni się od niego prędzej czy później. Świadomość, że jego kłopoty miną, uspokoiła go i zmusił się do uśmiechu, co prawda dość ponurego.

Zwróciwszy na Denninga zimne i twarde spojrzenie niebieskich oczu, rzekł:

- Niedzielne popołudnie na wsi najprzyjemniej jest spędzić na paru

partyjkach ze starym znajomym.

Denningowi znowu nadzwyczajnie się poszczęściło kosztem markiza, toteż wielce rad dopiero o drugiej w nocy podniósł się od stolika i pojechał do domu. Gdy Denninga już nie było, z twarzy Ormsby'ego spadła maska uprzejmości i z mrocznym, wściekłym obliczem popędził

po schodach do swojego pokoju, płonąć bezsilnym gniewem.

W swych apartamentach, urządzonych z pałacowym przepychem, zdejmował ubranie, rzucając za sobą poszczególne sztuki odzieży na podłogę, aż trafił do łóżka. Spoczawszy w ogromnym łożu

pod jedwabnym baldachimem, usiłował skupić się na swych kłopotach, ale, podпиты i wyczerpany wymuszonym

232

ugrzecznieniem, które okazywał przez cały wieczór, zapadł w niespokojny sen.

Kiedy się obudził następnego ranka, mimo bólu głowy myślał jasno.

Wziął kąpiel, ubrał się i zszedł na dół po imponujących przepychem schodach. Kazał Bakerowi, by przygotował śniadanie złożone z wędzonej szynki, sera, chleba i miodu na popitkę. Poleciał, by wszystko to przyniesiono mu do gabinetu, po czym ruszył dalej holem.

Czekając na śniadanie, chodził w tę i w tę po tureckim kobiercu, zastanawiając się nad sytuacją - myślał nie tylko, jak poskromić Denninga, lecz także nad kradzieżą listów. Nawet gdy z uśmiechem przegrywał do Denninga, myśli miał skupione na kradzieży, lecz, zamroczony alkoholem, nie mógł się w pełni skupić. Dziś rano jednak udało mu się poskładać w całość kilka ciekawych faktów.

Uwadze Ormsby'ego nie uszło nagłe zbliżenie Cordella do Kirkwoodów. W końcu aż do wczoraj miał szpiega w ich stajni i Willie służbiście doniósł mu o wizycie Ashera i pani Manley, którzy przyjechali zobaczyć się z Thalią.

Ormsby mógłby to uznać za zwykłe sąsiedzkie odwiedziny, lecz Cordell i Manley uczestniczyli też w owej upokarzającej kolacji u Kirkwoodów. To również mógł być zbieg okoliczności, w końcu pani Manley i Kirkwood przyjaźnią się od lat, ale w spojrzeniach, jakie pani Greeley rzucała na Cordella, gdy wydawało się jej, że nikt na nią nie patrzy, było coś, co kazało markizowi zastanowić się nad jej prawdziwymi uczuciami względem niego.

Stukanie do drzwi nie zdziwiło go, gdyż spodziewał się Ba-kera ze śniadaniem, ale wieść, jaką przyniósł kamerdyner, była zaskakująca.

- Dockery chce się ze mną pilnie widzieć? - zapytał, zastanawiając się, czego, do diabła, stajenny może od niego chcieć o tej godzinie.

Wstrzymał oddech. Naturalnie. Willie.

233

Baker skłonił się.

- Tak, milordzie. Czeka właśnie w kuchni.

- Przyrowadź go do mnie.

Parę minut później Dockery wszedł do gabinetu, mnąc czapkę w rękach.

Skłoniwszy głowę, wybąkał: -

Przepraszam, że tak wczesnie zawracam panu głowę, milordzie, ale wczoraj w nocy Willie wrócił z Kirkwood. -

Pod lodowatym wzrokiem Ormsby'ego odchrząknął i dodał nerwowo: -

Nie zrobił nic złego. Pilnował swego nosa, ale, ni z tego, ni z owego, pan Kirkwood przyszedł do stajni i kazał mu się wynosić.

- Tak. Tak. Wiem o tym. Powiedz mi coś, czego nie wiem -warknął

Ormsby.

-Willie mówił ciekawe rzeczy o tym, co

działo się dzień wcześniej, nim go wyrzucili - zaczął Dockery, oblizując wargi. - Willie powiedział, że wczoraj, wcześnie rano, służący z Lisiej Nory przyniósł wiadomość od pana Cordella, a parę godzin później on sam złożył prywatną wizytę panu Kirkwoodowi. Willie nie wie, o czym rozmawiali, ale później usłyszał, jak Hudson plotkuje z ochmistrzą na temat nieoczekiwanej wizyty pana Cordella, który powiedział panu Kirkwoodowi, że dziś rano wyrusza do Londynu.

Ormsby skojarzył sobie parę rzeczy. Asher Cordell. Zmarszczki koło ust zbiegły mu z wściekłości i niemal dławiąc się z gniewu, zdołał

wykrztusić:

- Dlaczego nic powiedziałeś mi o tym wczoraj wieczorem?

- Przepraszam, wasza miłość, ale miał pan wczoraj gościa. - Dockery przełknął ślinę, przerażony miną swego pana. - Nie chciałem przeszkadzać. Myślałem, że to nic ważnego.

- Nic ważnego? - wrzasnął na niego Ormsby. - Ty idioto, ja decyduję, co jest ważne, a co nie. Spurpurowiały, warknął: -Precz z moich oczu.

Sam w gabinecie, powściągnąwszy najgorszy gniew, podszedł do balkonowych drzwi wychodzących na

utrzymany trawnik i dęby. Cordell mógł odwiedzić Kirkwooda wczoraj wieczorem z wielu powodów, ale sądząc z jego własnego, żenującego spotkania z Kirkwoodem w późniejszych godzinach tego dnia, Cordell pojawił się w domu Kirkwoodów w niedzielę tylko w jednym celu... Ten młokos z piekła rodem zwracał ojcu Thalii jej listy, listy wykradzione *jemul*

Niewidzącym wzrokiem spoglądał na rozciągający się przed nim uroczy krajobraz. Dzisiejsza podróż Cordella do Londynu tylko potwierdzała jego

podejrzenia co do tożsamości złodzieja,
który wtargnął

do jego domu, wykradł listy i sprawił,
że Orms-by musiał znieść upokarzającą
reprimendę z ust Kirkwooda. Asher
Cordell, myślał z wściekłością, stawał
się wielkim problemem, lecz on dobrze
wiedział, jak go rozwiązać...

Asher załatwił swoje sprawy w
Londynie i pragnąc podjąć na nowo
zaloty względem Juliany, wyruszył do
domu w środę, o pierwszym brzasku.
Był to długi, ciężki dzień w siodle, a on
zatrzymywał się tylko po to, by zmienić
konie i spożyć szybki posiłek złożony z
chleba, sera i piwa w różnych zajazdach
pocztowych, po czym ruszał w dalszą

drogę. Chciał

ujrzeć Ju-lianę, wziąć ją w ramiona, ucałować te kuszące usta i ten syreni śpiew nie dawał mu spokoju.

Pochłonięty myślami o Julianie i najprzeróżniejszych nie-przyzwoitych figlach, jakie będzie z nią wyprawiał, nie zwracał większej uwagi na to, co dzieje się na gościńcu; dopiero parę mil przed Lisią Norą zorientował się, że ktoś za nim jedzie. Nie było nic dziwnego w tym, że publicznym traktem podąża inny jeździec, ale coś w jego wyglądzie wzbudziło podejrzenia Ashera. Zapadał zmierzch i w miarę jak upływały minuty i robiło się coraz

ciemniej, Asher zdał sobie sprawę, że ten z tyłu celowo się ociąga, utrzymując swego konia w tym samym tempie co on.

235

Spodziewając się jakiegoś posunięcia, Asher nie bardzo się zdziwił

gdy przed nim na drodze pojawił się inny jeździec. Uśmiechnął się ponuro. Gdyby planował zasadzkę, urządził - by ją dokładnie w ten sposób. Nowo przybyły, któremu dolną połowę twarzy zakrywała niebieska chusta, ustawił konia w poprzek drogi i wymierzywszy pistolet w pierś Ashera wykrzyknął:

- Pieniądze albo życie! .

Asher zatrzymał konia, nie odrywając wzroku od jeźdźca przed sobą, ale nasłuchiwał, gdzie znajduje się ten z tyłu. Chwilę później wolno podjechał drugi konny, zatrzymując wierzchowca koło wałacha Ashera.

- No i co my tu mamy? - wycedził jeździec, stojący obok Ashera Ten zerknął na niego, odnotowując w pamięci jego barczystą budowę i czarną chustkę skrywającą mu część twarzy Wyczuł też silny zapach dżinu bijący od obu mężczyzn.

- Galanty szlachciura, dawno żem takiego nie widział - rzekł

ten z niebieską chustką.

Asher tkwił nieruchomo, obliczając, jakie ma szanse w starciu nie z jednym, lecz z dwoma rozbójnikami na mało uczęszczanym wiejskim gościńcu. Szanse, że to zwykły napad, były zerowe, a więc zapewne dobrze się to dla niego nie skończy... chyba że zwiększy swoje szanse.

Przyjrzał się napastnikowi z pistoletem. Jeśli, jak podejrzewał, wynajęto ich, by go zabili, dlaczego po prostu go nie zastrzelą i nie skończą sprawy? Na drodze pod wieczór nie ma dużego ruchu, jest nawet mniejszy niż za dnia, ale z każdą minutą zwiększało się prawdopodobieństwo, że ktoś jednak nadjedzie. Dlaczego zatem się ociągają?

Chyba tylko dlatego, myślał
niepiesznie, że chcą coś od niego
wydobyć, nim go wykończą.

Niebieska chustka zbliżyła się i ustawiła
konia obok rumaka Ashera Uwięziony
między dwoma napastnikami, Asher roz-
236

glądał się na prawo i lewo,
zastanawiając się, jak to rozegrać.
Pistolety miał w płaszczu przytroczonym
za siodłem, nóż schowany w bucie, a
mniejszy spoczywał sprytnie w
specjalnej pochwie, którą krawiec
wszył

mu w rękaw marynarki. Pistolety w tym
momencie na nic mu się nie zdadzą, ale

noże... Nadal oceniając sytuację,
zapytał:

- Czego chcecie?

- Czego chcemy? - powiedziała czarna chustka z lewego boku Ashera.

- Wszystkiego, czego nam się zachce!

Obaj mężczyźni zaśmiali się i choć Asher spodziewał się ataku, brutalne uderzenie kolbą pistoletu w policzek, wymierzone przez niebieską chustkę, niemal zrzuciło go z siodła. Asher odchylił się na bok, ze wszystkich sił starając się utrzymać w siodle, lecz niebieska chustka wymierzyła mu kolejny, jeszcze silniejszy cios i zwałił

się na ziemię.

Oszołomiony, starał się otrząsnąć, ale czarna chustka zeskoczyła z konia i kopnęła go w głowę. Ashera ogarnęła ciemność.

Stracił przytomność zaledwie na kilka minut, lecz gdy odzyskał

zmysły, stwierdził, że znajduje się w małym zagajniku, bezsilnie oparty o drzewo, z rękami związanymi z tyłu. Czując, że za chwilę głowa mu pęknie, stłumił jęk i udawał, że nadal jest nieprzytomny, przez przymknięte powieki rozpatrując się w sytuacji.

Ciemniało, jednak nadal zdołał

rozdzielić kształty i cienie. Wszystkie trzy konie były przywiązane do tego samego młodego buka naprzeciwko niego, a tuż przed nim stali dwaj jego napastnicy. Nie zorientowali się, że odzyskał przytomność, i rozmawiali swobodnie.

- Nie bardzo mi się widzi zabicie tego szlachciury - odezwał się jeden do drugiego. W gasnącym świetle nie bardzo widział kolory, lecz sądząc po głosie była to czarna chustka. - Złoić

237

skórę temu młodemu lordziątku, cośmy go zdybali w Lunnon, to jedno

- ciągnęła czarna chustka - ale do cholernego morderstwa jakoś mi się nie pali. Nie możemy po prostu zgarnąć mu sakiewki i dać nogę?

- Ten możny gość powiedział, że mamy go zabić. Na śmierć. -

Niebieska chustka wahała się. - Gadał, żebyśmy najsam-pierw porachowali mu kości, a potem zabrali papiery. A jak zabierzemy papiery, mamy go ukatrupić - było mu wszystko jedno jak.

Powiedział, żeby nie chować ciała. Chce, żeby je znaleźli.

Asher zamknął oczy. Możliwym gościem może być tylko Ormsby. Gdy jego umysł wgryzał się w tę wieść, palce jednej

ręki ostrożnie przesuwały się po krawędzi rękawa po przeciwnej stronie. Kiedy dotknął zimnej stali ukrytego tam małego noża, omal się nie uśmiechnął, lecz świadom, że przeżyje, jeśli porywacze będą uważać go za nieprzytomnego, nawet nie drgnął ani nie poruszył powieką.

Mając już nóż w dłoni, w ciągu sekundy przeciął sznury krępujące mu przeguby. Teraz, z wolnymi już rękami, rozmyślał nad następnym ruchem. Jego nóż był mały i zastanawiał się, czy zdoła wyciągnąć z buta większy, o skuteczniejszym ostrzu, nim jego prześladowcy zorientują się, że odzyskał świadomość.

Przez przymknięte powieki patrzył na niedużą przestrzeń, która dzieliła go od napastników. Wpatrywali się w siebie nawzajem, zajęci rozmową, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi...

- Nadal mi się to nie podoba. Nie chcę mieć na sumieniu mokrej roboty tylko dlatego, że jakiś możny pan ma cykora i sam nie potrafi tego załatwić - wymamrotała czarna chustka.

- Mnie się też do tego nie pali - przyznała niebieska chustka. - Nigdy nie zabijaliśmy, ale obiecał nam butelkę rumu, jak go załatwimy.

- I sakiewka złota to nic, jak nas złapią. Po co ryzykować spotkanie z szubienicą? Powiadam, zgarnijmy jego konia, forszę i zostawmy go tu.

Kiedy się obudzi, będziemy daleko.

Żaden z mężczyzn pochłoniętych tą wymianą zdań nie zauważył

ukradkowych manewrów Ashera. Głowa bolała go potwornie i obawiał

się, że przy jakimkolwiek gwałtownym ruchu może mu się w niej zakręcić - co przesądzi o powodzeniu bądź fiasku jego ucieczki.

Niespiesznie sięgnął do buta i palce

właśnie zacisnęły mu się na trzonku noża, gdy jeden z rozbójników krzyknął:

- Szlachciura się ocknął! Bierzmy go!

Obaj ruszyli na Ashera, a on, zgrzytając zębami, by stłumić walenie w głowie, skoczył na nogi, odpierając atak opryszków. W zapadającym zmroku żaden z nich nie widział, że ich uprzednio bezbronna ofiara jest teraz uzbrojona, i dopiero gdy nóż Ashera przeciął rękę czarnej chustki do kości, a niebieskiej przebił ramię, napastnicy wzięli nogi za pas. Asher ruszył za nimi, w szczególności pragnąc dopaść niebieską chustkę. Uznał, że ten bandyta jest hersztem, niebieska chustka mierzyła do niego z pistoletu, toteż chciał ją

wyeliminować - nie zabić, tylko uczynić niezdolną do walki.

Asher zwarł się z niebieską chustką i zaokrąglonym końcem trzonka noża z całej siły walnął go w skroń. Zbój jęknął i osunął się na ziemię.

Asher pochylił się nad leżącym i wyciągnął mu pistolet z za pasa. Z

pistoletem w ręce z kocią zwinnością obrócił się i skoczył ku czarnej chustce. Ten napastnik, ściskając krwawiącą rękę i cofając się najszybciej jak potrafił, krzyknął:

- Nie pan nas poniecha! Nic do pana nie mamy. Asherowi tak się kręciło w

głowie, że chwiał się na nogach. -

Inaczej mówiliście, gdy leżałem tam na ziemi - rzekł. - Chyba słyszałem słowo „morderstwo”.

239

Czarna chustka przełknęła ślinę.

- To prawda - jeden możny pan nas najął, cobyśmy pana zabili. Ale nie mamy do tego drygu.

Prywatnie Asher przyznał mu rację, lecz mimo to był szczęśliwy, że nie jest już zdany na ich łaskę i niełaskę.

Przeszukawszy tego w czarnej chustce, znalazł przy nim tylko nóż, podobny do

swego, po czym odstąpił

od pokonanego bandyty. Przenosił wzrok od człowieka stojącego przed nim do leżącego na ziemi i z powrotem. Ku przerażeniu czarnej chustki, ściągnął ją z twarzy rozbójnika. Było jeszcze dość jasno, by dojrzał jego rysy, i Asher wpatrzył się w nie bacznie, żeby je zapamiętać.

Mając oko na leżącego przestępcę, Asher podszedł do drugiego i ściągnął mu niebieską chustkę. Nie spodziewał się, że rozpozna któregoś z nich, i rzeczywiście, nie znał żadnego. Byli to ludzie nijacy, ten od czarnej chustki wyglądał na młodszego i postawniejszego, ten od niebieskiej

wydawał się starszy i chudszy, a na jego policzku widniała blizna - prawdopodobnie ślad po ranie odniesionej w bójce na noże.

Zapamięta obu mężczyzn, lecz nie ma powodu ich zabijać - wiedział dokładnie, kto ich najął i dlaczego.

To dziwne, że Ormsby pragnął śmierci Ashera i wynajął w tym celu parę tych nieudolnych opryszków. Mieli go zamordować, bo ukradł jakieś listy z sejfów Ormsby'ego? Asherowi trudno było w to uwierzyć, a co się tyczy markiza, uwierzyłby w niejedno. Ale może najlepsze jest wyjaśnienie najprostsze - Ormsby miał go dosyć. Po

twarzy Ashera przemknął uśmiezek. On z pewnością miał dosyć Ormsby'ego.

Machając pistoletem w stronę leżącego mężczyzny, który chwiejnie usiłował usiąść, powiedział do czarnej chustki:

- Pomóż mu się podnieść i wskakujcie na konie.

Gdy obaj mężczyźni siedzieli już w siodłach, rzekł spokojnie, jednak z wyraźną groźbą w głosie:

240

- Ostrzegam was po dobroci... Jeżeli nasze ścieżki znowu się przetną, zabiję was.

Mężczyźni zniknęli w mroku, Asher zaś podszedł do swego konia i nie bacząc na zawroty głowy, które raz po raz go chwytaly, wskoczył na siodło. Choć mężczyźni wystraszyli się i nie mieli broni, w każdej chwili spodziewał się zasadzki, gdy kierował konia w stronę, w którą udali się rabusie. Parę minut później jego wierzchowiec wyszedł z małego zagajnika i znalazł się na drodze.

Teraz było już ciemno choć oko wykol i Asher zdązał do domu głównie na nosa. Zjechał wreszcie z publicznego traktu i truchtem zmierzał podjazdem ku Lisiej Norze. Gdy przez mrok przebiło się światelko świecy w oknie, westchnął z ulgą. Rodzinne gniazdo jeszcze nigdy tak

silnie go ku sobie nie wabiło.

Podobne myśli snuła tego wieczoru Juliana, siedząc wraz z panią Rivers przy herbacie w swym uroczym saloniku w Różanej Dolinie.

Skoro Thalia miała się coraz lepiej i wybrnęli już z kłopotów z Ormsbym, wyskoczyła do domu na parę dni. Do Kirkwood powróci, by dopilnować przygotowań na zjazd towarzyski. Pan Kirkwood i Thalia protestowali, lecz Juliana twardo obstawała przy swoim. Musiała pobyć u siebie.

Wraz z pokojówką, Abby, wróciła do domu w Różanej Dolinie we wtorek rano i od tej pory z radością na nowo

odkrywała uroki, jakie daje pobyt na własnych śmieciach. Gospodyni i kucharka, pani Lawrence, oraz pozostałe parę osób służby powitały ją radośnie, jakby wróciła z Indii, a nie z ojcowskiego dworu parę mil dalej.

- Och, moje kochanie! - zakrzyknęła pani Rivers, biegnąc na spotkanie Juliany ze łzami w wyblakłych niebieskich oczach.

- Jak ja się za tobą stęskniłam!

Cudownie, że do nas wracasz, choćby na parę dni.

241

Obejmując drobniejszą, słabszą kobietę, Juliana odparła z uczuciem:

- A ja za tobą! Mam wrażenie, jakbym wyjechała na całe wieki. Czulaś się bardzo samotna? Pani Lawrence i inni dobrze się tobą opiekowali?

Widząc zatroskaną minę Juliany, pani Rivers zarumieniła się z radości. Przypominając sobie niektóre miejsca, gdzie pracowała jako piastunka w ciągu całego swego życia, była niesłychanie zadowolona, że szczęśliwym zrzędzeniem losu ponad dwadzieścia pięć lat temu zatrudniła ją pani Kirkwood. Gdy rodzina nie potrzebowała już usług niani, ku niezmiernemu zadowoleniu dawnej służącej, pan Kirkwood zaproponował jej niewielką pensję oraz zamieszkanie

w jednym z domków na terenie posiadłości Kirkwoodów.

Kiedy Juliana kupiła Różaną Dolinę, poprosiła dawną nianię, by zamieszkała wraz z nią w charakterze towarzyszki. Pani Rivers, nie zastanawiając się ani chwili, natychmiast przyjęła nową posadę przy swej ukochanej Julianie. Obie panie były zadowolone z tej umowy.

Pani Lawrence w towarzystwie pokojówki Sarah Penny oraz lokaja Webstera Arnetta podążyła za panią Rivers po wyłożonym kamiennymi płytami tarasie. - Dobrze, że jaśnie pani wróciła - rzekła pani Lawrence z szerokim uśmiechem na twarzy. - Pani

Rivers niepokoi się, gdy pani nie ma, i traci apetyt, bez względu na to, jakimi smakołykami staram się jej dogodzić.

- No nie, na to nie możemy pozwolić - rzekła Juliana, rzucając pani Rivers czułe spojrzenie. - Wiesz, że nie wolno denerwować kucharci.

Pani Rivers nieśmiało potrząsnęła głową, uśmiechnęła się, cały czas ściskając swą drobną, pomarszczoną dłońią rękę Juliany.

242

Juliana miała niewiele służby. Prócz osobistej pokojówki, Abby, i paru innych, zatrudniała męża pani Lawrence

jako ogrodnika i stajennego. W różnych zajęciach panu Lawrence'owi pomagał najstarszy syn, dwudziestotrzyletni James. Do grona służby należała też Anne Boone, ciotka Sarah, które pomagała przy wszystkim w miarę potrzeby, a także pełniła obowiązki pokojówki pani Rivers, co starsza dama przyjmowała z pełną podniecenia przyjemnością.

Choć w poprzednim domu Juliana miała wszelkie wygody, z radością spała we własnej sypialni i we własnym łóżku. Kirkwood było o wiele wspanialszą rezydencją niż Różana Dolina, lecz obity drewnem domek, zbudowany w technice pruskiego muru, o czterospadowym

dachu, obrosły wkoło różami, od których wzięł nazwę, w zupełności jej odpowiadał. Dysponując pięcioma przestronnymi sypialniami, Juliana miała dość miejsca, by zaprosić przyjaciół, gdyby przyszła jej na to ochota, a salon, jadalnia i bawialnia, choć nie odznaczały się niczym szczególnym, aż nadto zaspokajały jej potrzeby. W przyjemnym pokoju tuż za salonikiem urządziła sobie gabinet, w którym z panią Lawrence omawiała menu na kolejny dzień, płaciła rachunki i zarządzała swym małym gospodarstwem.

Gdy tego środowego wieczoru siedziała w kremowo-zielonym salonie, popijając

herbatę, o poniedziałkowym powrocie do dworu Kirkwoodów myślała bez jakiegś szczególnej niechęci, ale i bez przyjemności.

Po jej twarzy przemknął uśmieszek. Przed powrotem do Różanej Doliny dopilnowała, by rozesłane zostały zaproszenia na zjazd towarzyski i zostawiła ojcu, Thalii, Hudsonowi i kuchmistrzynie odrębne listy spraw do załatwienia podczas jej nieobecności. Co prawda nie miała pełnego zaufania do kompetencji ojca i Thalii, ale wiedziała, że Hudson i kuchmistrzynie dopilnują, by wszystko było jak należy.

Podczas tych kilku dni spędzonych w Różanej Dolinie, często myślała o Asherze. Wędrując wśród grządek obsadzonych ziołami, wdychając unoszące się w ciepłym, letnim powietrzu aromaty szczypioru, mięty, tymianku i majeranku, cierpiała męczarnie, zastanawiając się, jakiego wyboru dokonać.

Ceniła swą niezależność i uwielbiała Różaną Dolinę, lecz, przyznawała ponuro, nie na tyle, by odrzucić życie z ukochanym mężczyzną. Ale gdy pomyślała, że ma zamienić swe małe, lojalne grono służby, panią Rivers i spokojne bytowanie, jakie sobie urządziła, na nieznaną, niepewną

przyszłość jako żona Ashera, wiedząc, że będzie nią rozporządzał, w gardle tworzyła się jej gula. Czy kocha go na tyle i na tyle ufa, by całkowicie powierzyć temu mężczyźnie los swój i najbliższego otoczenia?

Patrząc na panią Rivers z przyjemnością sączącą herbatę w małym saloniku, zastanawiała się, co pomyśli Asher, gdy jego młoda żona zjawi się w towarzystwie starej niani i z paroma służącymi na dokładkę. Co powie na to jego służba? Czy będzie dochodziło do wojen domowych?

Juliana źle spała tej nocy, nawet sny miała sprzeczne, to pełne radości, to niepokoju. Za dnia nie było lepiej.

Ciągle przez jej głowę przewijały się myśli o Asherze, przerywała pracę w roztargnieniu, czuła zmysłowy zawrót głowy, gdy nagle nachodziła ją wizja, jak zatraca się w jego ramionach. Potem, rozejrzawszy się, przypominała sobie, że kiedy za niego wyjdzie, wszystko, co do niej należy, stanie się jego własnością, będzie mógł rządzić jej życiem, i to uczyni.

Wyczerpana targającymi nią burzliwymi uczuciami, umknęła do ogrodu, by doprowadzić myśli do ładu. Siedząc w altanie spory kawałek od domu, patrząc na strumyk przepływający nieopodal, uświadomiła sobie, że jej rozterki sprowadzają się do jednego,

zasadniczego pytania: czy kocha Ashera na tyle, by zaryzykować przyszłe szczęście?

244

Asher od rana był bardzo zajęty. Gdy wstał, pojechał prosto do babki, by jej pokazać, że powrócił z Londynu w porę, żeby poznać panią Sherbrook i lorda Thorne'a. Czekala go miła niespodzianka.

Kiedy zasiadł z babką do śniadania w czwartek rano, dowiedział się, że pani Sherbrook upadła i naciągnęła ścięgno w kostce, w związku z czym musi odłożyć podróż do Burnham na parę dni. Bilecik, wyjaśniający powody

opóźnienia wizyty, dostarczono dopiero wczoraj.

Asher próbował przybrać zmartwioną minę. - Jesteś bardzo rozczarowana? - zapytał babkę.

Potrząsnęła głową. - Nie. Cieszę się, że to nic gorszego -gdyby złamała nogę, w tym roku w ogóle nie mogłaby przyjechać. - Rzuciła mu chytre spojrzenie. - Dzięki tej zwłóce łatwiej znajdziesz dla mnie miejsce w swoim kalendarzu.

- Naturalnie - wybąkał pod nosem.

Wyrwawszy się od babki, pełen oczekiwania, czując jak w żyłach tętni

mu krew, pojechał do Kirkwood tylko po to, by się dowiedzieć, że Juliana uciekła do Różanej Doliny.

Przeklinając pod nosem tę stratę czasu, po krótkiej rozmowie z panem Kirkwoodem niecierpliwie popędził do majątku Juliany. Otarłszy się o śmierć w środowy wieczór, jeszcze goręcej i bardziej stanowczo zapragnął, by została jego żoną, i nie bardzo wiedząc, co czyni, zeskoczył

z siodła i wielkimi krokami pomaszerował do domu przyszłej oblubienicy.

Drzwi otworzyła mu pani Lawrence. Była miejscowa i jeszcze zanim się

odezwał, od razu wiedziała, kim jest ten wysoki, przystojny mężczyzna, który pyta o jej panią. Obdarzywszy ją olśniewającym uśmiechem, rzekł cicho:

- Jeśli pozwolicie, wolałbym sam zawiadomić ją o swoim przybyciu.

Gdzie ona jest?

245

Pani Lawrence wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym, z błyskiem w oku świadczącym, że wie, o co chodzi, powiedziała mu, gdzie znajdzie Julianę.

Młoda kobieta, która siedziała zatopiona w myślach, wpatrując się w przestrzeń,

podskoczyła, gdy Asher wkroczył do altanki pełnej zapachu róż i uroków poranka.

- Och! Przestraszyłeś mnie -
wykrzyknęła, wstając z filigranowego żelaznego krzeselka. Ogarnęło ją nagłe onieśmienie, gdy przypomniała sobie, w jakich okolicznościach się rozstali. -
P... p... przyjemnie było w Londynie?

Asherowi zaparło dech w piersiach, gdy ujrzał, jak Juliana ślicznie wygląda. Bładożółta muślinowa suknia uwydatniała czerń włosów zebranych w węzeł z tyłu głowy. Pełne piersi wyraźnie rysowały się pod obcisłą tkaniną i pamiętając ciężar i smak tych jedwabistych kul, myślał

tylko o tym, jak bardzo jej pragnie. Cała powstrzymywana namiętność uwolniła się i jednym susem Asher znalazł się przy Julianie.

- Przyjemnie w Londynie? - zapytał ochryple. - Przyjemnie to będzie dopiero teraz. - I wziął ją w ramiona.

Juliana zadrżała, gdy objęły ją te silne ręce, a gdy jego usta spadły na jej wargi, do głowy jej nie przyszło, by go odepchnąć. Całował ją mocno, namiętnie, wpychając jej język w usta. Przyciśnięta do niego, złączona z nim ustami i językiem, czuła, jak między jej udami rozpala się płomień, jak sztywnieją sutki. O Boże, pomyślała w

zamięcie, ależ ja go kocham.

Odchyliła głowę pod naporem jego ust i zacisnęła mu palce na ramionach, by utrzymać równowagę. Zawładnęło ją ślepe pożądanie, nie istniało nic prócz Ashera i magii, którą między nimi wytworzył.

Łapczywie wchłaniała jego zapach i smak, a jej ciało domagało się, by ją wziął.

Asher nie zamierzał rzucić się na Julianę niczym żarłoczny wilk, ale nie mógł się pohamować. Jeszcze zanim ją dotknął, 246

jeden rzut oka na to ponętne kobiece

ciało sprawił, że wybuchnął

żarem i namiętnością, a w mózgu zapłonęła mu pierwotna potrzeba wzięcia tej kobiety. Owładnięty gwałtowną chęcią ponownego zakosztowania oszałamiających wdzięków jej ciała, drżącymi rękami wędrował wszędzie, pieścił jej piersi, ujmował pośladki i łagodnie wsuwał się między nogi.

Juliana nie zamierzała mu odmawiać. Można by rzec, że ich pierwsze zespolenie oswobodziło w niej natarczywą, rozpustną istotę i pragnęła go rozpaczliwie, chciała czuć na sobie jego ręce, chciała, by wchodziło w nią jego pokaźne przyrodzenie, tak jak nie

pragnęła jeszcze niczego w życiu.

Nawet gdy oparł ją o ścianę altany i zadarł wysoko dół sukni, nie kazała mu zaprzestać tych śmiałych zalotów.

Całował ją tak, jakby umierał z głodu, a jej usta stanowiły jedyny dostępny pokarm. Ona była równie wygłodniała, ich języki pieściły się z tą samą gwałtownością, zarazem napierając i żądając. Nabrzmiały członek wypychał Asherowi przód spodni, zatem wsunął kolana między nogi Juliany, by mógł łatwiej się do niej dostać. Dół muślinowej sukni zbił się w kłęb między nimi i Asher musiał przedrzeć się przezeń, by pogłaskać sztywne kędziorki

u zbiegu jej ud. Roztopiła się pod jego zapuszczającymi się w nią palcami, a on jęknął, gdy się przekonał, że jest wilgotna, rozpalona i gotowa na jego przyjęcie.

Juliana drżała od pocałunków i pieszczot Ashera, oparta o ścianę altanki, zdjęła ręce z jego ramion i przesunęła je niżej, do pasa i dalej.

Gdy natrafiła na rozporek spodni, wyciągnęła potężny, nabrzmiwały członek. Czowała w rękach jego twarde przyrodzenie, ciepłe i ciężkie, i niemal zamruczała, gdy obmacując je, poznała jak jest długie i szerokie.

Asher oderwał usta od jej warg i z

dzikim błyskiem w ciemnoniebieskich oczach rzekł:

- Chryste! Mózg mi płonie. Rzuciłaś na mnie urok.

247

Patrząc na niego wzrokiem szklistym z pożądania, zapłoniona Juliana półprzytomnie skinęła głową. - Tak jak ty na mnie -zdołała wykrztusić.

Wymruczał coś pod nosem, przesunął się lekko, ujął w dłonie jej pośladki, podniósł ją i ustawił tuż naprzeciwko siebie. -Obejmij mnie nogami - wyjęczał.

Gdy usłuchała, wszedł w nią jednym ciężkim pchnięciem. Była gorąca i ciasna; zagłębiał się w nią, a serce waliło mu tak mocno, że mało nie pękło, i krew w żyłach płonęła. Czując na ustach jej wargi i pulsujący jedwabisty tunel zaciśnięty wokół jego męskiego oreża, oddał się szalonej rozkoszy, która po każdym głębokim pchnięciu domagała się następnego, aż do zatracenia.

Przygwożdżona do muru altany, oszołomiona pocałunkami, które miażdżyły jej usta, Juliana drżała z obawy, że za chwilę rozplynie się w tych namiętnych zmaganiach. Pieszczota sztywnego członka, który gwałtownie

wsuwał się i wysuwał, była tak słodka, tak czysto zmysłowa, że jęczała w miłosnych spazmach. Wiła się w objęciach kochanka, pragnąc, szukając, potrzebując tego cudownego szczytu, na który z nim wstąpi. Sekundę później jej ciało zadrgało, a ona zdławiła okrzyk, gdy przetoczyły się przez nią fale uniesienia.

Kiedy Asher poczuł, jak gorące, pulsujące ciało zaciska się wokół jego członka i usłyszał westchnienie, którego nie zdołała stłumić, był stracony.

Miał nadzieję, że ostatnim, spazmatycznym pchnięciem zdoła przedłużyć słodkie szaleństwo, lecz jego ciało nie chciało o tym słyszeć - i

wytrysnął

ekstacycznie. Poczł ból w lędźwiach, z całej siły przycisnął Julianę do siebie i zapadł w nieświadomość.

Pozostali tak spleceni ze sobą, lekko się kołysząc, ale stopniowo przytomność im wracała i Asher jęknął lekko, gdy jego wyczerpany wojownik wysunął się z niej. Czule teraz dotykając ustami jej warg, wyszeptał:

248

- Boję się, że gdybym mógł, zatopiłbym się w tobie na resztę życia.

Juliana, którą nadal targały drobne

wstrząsy rozkoszy, rozluźniła nogi zaciśnięte wokół ciała Ashera i opuściła stopy na ziemię, a za nią opadła skłębiona między kochankami suknią. Julianie zdało się, że kości ma z roztopionego na słońcu miodu, i była rada, że może oprzeć się o ścianę altanki. Gdyby nie ta ściana i twarde ciało Ashera przed nią i gdyby mężczyzna nie obejmował jej w pasie, z pewnością osunęłaby się na ziemię.

Wargi miała różane i nabrzmiałe, rozglądała się nieprzytomnie zamglonym wzrokiem. Gdzieś nieopodal pluskał strumyk, powietrze napełniał zapach róż, a we wnętrzu altany tańczyły promienie słońca, które wpadały przez dziury w

kratownicy. Rzeczywistość z wolna zaczęła wsączać się w umysł Juliany - chwiejnie odsunęła się od Ashera i ciężko usiadła na krześle, na którym spoczywała tak niedawno.

Asher pospiesznie doprowadził ubranie do porządku i stanąwszy przed Julianą, zapytał:

- A teraz za mnie wyjdiesz?

249

Rozdział 15

Zmysłowa mgiełka spowijająca Julianę znikła, jej oczy się zwęziły.

Asher Cordell jest bez wątpienia najbardziej nieczułym, nieznośnym fircykiem, jakiego miała nieszczęście spotkać! Z niezmierną lubością oświadczyła:

- Nie, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.

Asher wybuchnął śmiechem i przyklękając przed nią na kolano, zmysłowym głosem zapytał: - Mam, na co zasłużyłem, ale może jeszcze się zastanowisz? - Spoważniał i patrząc na nią mrocznymi, ciemnoniebieskimi oczyma, ujął ją za rękę. - Bardzo pragnę cię poślubić -

rzekł. - Nie mogę ci obiecać, że zawsze

będzie tak dobrze, ale, Juliano, będę się starał jak wszyscy diabli.

Nie powinien był, myślała gorzko, w ten sposób wytrącać mi broni z ręki. I czy musi wyglądać tak uwodzicielsko, gdy przed nią klęczy? Jego nieskazitelny fular jest tylko lekko pognieciony po ich szalonych amorach, a marynarka w intensywnie niebieskim kolorze podkreśla błękit jego oczu, głęboki odcień ciemnych włosów i oliwkową cerę.

Odwróciła od niego wzrok, nie chcąc podchwycić jego gorącego spojrzenia. Spoglądała na rozciągający się przed nią spokojny pejzaż, lecz oblała się rumieńcem, gdy przypadkiem

zerknęła na ścianę altany, gdzie właśnie pozwoliła, nie, zachęcała go, by wziął ją niczym uliczną dziewczkę.

Przykryła dłońmi policzki, nie wiedząc, gdzie się podziać ze wstydu i przerażenia. Co ją naszło? Przecież nie jest jakąś wszeteczną! Spojrzała wściekle na Ashera. To wszystko jego wina. Zadał jej coś, rzucił na nią urok i sprawił, że sprzeniewierza się swemu wizerunkowi szanującej się, porządnej wdowy. A na domiar złego, to się jej podoba. Jeszcze jak!

- Jeśli za ciebie wyjdę - zaczęła

ostrożnie - co się stanie z Różaną Doliną i moją służbą?

Mrugnął, zaskoczony. To cała Juliana, pomyślał z rozbawieniem -

żeby zaprzętać sobie głowę sprawami praktycznymi w takiej chwili.

Szybko wróciwszy do siebie, rzekł:

- Juliano, nic mnie nie obchodzi twój dom, twoja służba ani twój majątek... Chcę tylko, żebyś została moją żoną.

Szukała oczami jego wzroku.

- Asherze, ja... Mocniej ścisnął ją za rękę.

- Możesz zaprzeczyć, że między nami dzieje się coś niezwykłego?

Możesz zaprzeczyć, że wystarczy, bym cię dotknął, a ty rozpłomieniasz się w moich objęciach? Ja z pewnością nie mogę zaprzeczyć, że jesteś jedyną kobietą, jakiej kiedykolwiek pragnąłem za żonę, i że gdy tylko na ciebie spojrzę, pragnę cię bardziej niż czegokolwiek w życiu. Ledwo na ciebie zerknę, mogę myśleć tylko o tym, jak bardzo cię pragnę, jaka jesteś słodka i chętna w moich ramionach.

Poruszyły ją jego słowa i niewiele brakowało, by zaniechała ostrożności i dała mu odpowiedź, jakiej pragnął, odpowiedź, jaką chciała mu dać.

Głęboko zaczerpnęła oddechu. - Chcę za ciebie wyjść - przyznała cicho - ale przed śmiercią mojego męża nie mogłam o niczym decydować... Całe życie spełniałam życzenia ojca, a potem męża.

Uśmiechnęła się lekko.

251

- Nie musisz się nade mną litować, nie sądź też, że byłam mal-tretowana bądź nieszczęśliwa, bo nie byłam.. ale nie byłam też szczęśliwa. - Odwróciła wzrok. - Po śmierci męża, gdy skończyła się żałoba, stwierdziłam, że bardzo lubię żyć tak, jak mi się podoba i samej podejmować decyzje. Ojciec nie chciał, bym kupiła Różaną Dolinę, pragnął, bym

wróciła do Kirkwood, ale już nie musiałam go słuchać -

mogłam kupić własny dom, skoro przyszła mi na to ochota. To było podniecające doświadczenie. Podczas tych ostatnich paru lat przekonałam się, że nie muszę odpowiadać przed mężem ani ojcem, po raz pierwszy w życiu brałam pod uwagę własne potrzeby i bardzo mi to odpowiadało. - Znowu przeniosła na niego wzrok pełen zakłopotania. -

Gdy się pobierzemy, Różana Dolina, moja służba, moja niezależność nie będą już moje - wszystko, co mam, przejdzie pod twoją władzę.

Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, zastanawiając się nad jej słowami. W zasadzie powinien czuć się oburzony zastrzeżeniami Juliany.

To prawda, że prawo i zwyczaj oddają wszystko pod jego władzę, ale mając przed oczami przykład matki, nie zlekceważył tak od razu obaw Juliany.

Kiedy jego matka poślubiła Denninga, pułkownik nie wziął w posagu ziemi ani dużego majątku, lecz nawet gdyby była bogatą dziedziczką, jego ojczym mógłby korzystać do woli z wszelkich dóbr ziemskich czy pieniędzy, jakie wniosła do ich małżeństwa - może z wyjątkiem dożywocia wdowy. Asher zacisnął usta. I Denning przepuściłby w grach

hazardowych wszystko co do pensa. Zapewne powinien poczuć się urażony zastrzeżeniami Juliany, wręcz odebrać je jako policzek, lecz wiedząc, ile trudu ponosiła jego matka, by zaspokoić podstawowe potrzeby rodziny, podczas gdy Denning przegrywał bądź przepijał wszelkie sumy, które znacznie ułatwiłyby jej życie i zapewniły minimum wygód, rozumiał uczucia Juliany.

252

Podniósł się i usiadł na krześle obok niej. Trzymając ją za ręce, rzekł cicho: - Pragnę się z tobą ożenić nie

dlatego, że chcę przejąć od ciebie dobra, służbę czy majątek. Proszę, byś za mnie wyszła, bo nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. - Zmarszczył brwi. - Część problemu można rozwiązać, ustanawiając powiernictwo nad Różaną Doliną i takim majątkiem, jaki będziesz uważała za stosowne, do twego wyłącznego użytku. Naturalnie ustanowię wysokie kwoty na twoje osobiste wydatki. -

Uśmiechnął się lekko. - A jeśli chodzi o resztę... Juliano, naprawdę sądzisz, że odmówiłbym ci usług i towarzystwa twojej własnej służby?

Czasami bywam władczy, nie będę udawał, że jest inaczej, i zapewne nie

raz się na mnie rozzłościł, ale musisz mi uwierzyć, że nigdy źle cię nie potraktuję ani nie postąpię okrutnie.

Wpatrywała się w niego, wstrząśnięta. Nie wyobrażała sobie, by jakiś inny mężczyzna z takim spokojem uznał jej stanowisko. - Naprawdę ustanowisz na mnie powiernictwo nad Różaną Doliną?
- zapytała ostrożnie.

- O tak, naprawdę. - Oczy mu pociemniały. - Uczyniłbym wszystko, żebyś tylko za mnie wyszła. - Zrobił kpiącą minę. - Jak bardzo muszę jeszcze się przed tobą płaszczyć, żebyś dała mi upragnioną odpowiedź?

Nie ufasz mi na tyle, by wiedzieć, że

zawsze będę o ciebie dbał?

Czy mu ufa? Z wolna przesunęła wzrokiem po jego przystojnej twarzy. Kocha go. Jakże może go kochać i jednocześnie mu nie ufać?

Czyż nie działają ręka w rękę? Poszedł na wielkie ustępstwa, ustępstwa, które wywołałyby niechęć bądź gniew człowieka mniejszego formatu, a on poczynił je szczerze i bez wahania. Czy naprawdę wierzy, że Asher ni z tego, ni z owego zmieni się w potwora? Oczywiście, że nie!

- Musisz uważać mnie za straszego głuptasa albo za pazerną jędzę -

powiedziała cicho, opuszczając wzrok na ich złączone ręce.

253

Uśmiechnął się do jej pochylonej głowy.

- Uważam, że jesteś potwornie irytująca, uparta i absolutnie cudowna.

A teraz za mnie wyjdiesz?

Rzuciła mu nieśmiałe spojrzenie i na poły ze śmiechem, na poły z płaczem, odparła zduszonym głosem:

- Tak. Tak, wyjdę.

Asher wydał gromki okrzyk i przesadził

ją z krzesła na swe kolana.

Obsypując pocałunkami jej zaróżowioną twarz, wyszeptał:

- Będiesz ze mną szczęśliwa,
przysięgam.

Z wyjątkiem brzęku pszczół w ogrodzie i cichych szeptów między kochankami, w altanie długo panowała cisza.

- Ale gdzie będziemy mieszkać? -
zapytała Juliana, gdy wrócili myślami do spraw praktycznych.

Trzymając Julianę wygodnie na kolanach, z głową opartą o jego ramię, rzekł: - To nie ma znaczenia, ale sądzę,

że ponieważ Lisia Nora jest większa od twojego domu, tam nam będzie lepiej. - Gdy uniosła ku niemu wzrok, dodał pośpiesznie: - Ale oczywiście wybór pozostawiam tobie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Chyba masz rację.

- I pamiętaj - dorzucił niechętnie - że w końcu odziedziczę Burnham i kiedyś tam zamieszkamy - mam nadzieję, że dopiero w odległej przyszłości.

Juliana z powagą skinęła głową.

Omawiali codzienne sprawy, jak wspólna służba, co, jak zgodnie

przyznali, nie powinno stanowić problemu. - I naprawdę nie będziesz miał nic przeciwko temu, by pani Rivers z nami zamieszkała? - spytała, unosząc brwi.

- Pod warunkiem, że nie będzie ciągle plątała się pod nogami -

powiedział z jawnie zmysłowym uśmiechem. - Byleby 254

nie przeszkadzała mi kochać się z moją piękną żoną, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota, nie mam zastrzeżeń co do jej obecności.

Julianę przeszło drżenie na myśl o ich dwojgu, splecionych w namiętym

miłosnym uścisku w łóżku Ashera czy gdziekolwiek indziej.

Rozejrzała się po altance z lekkim uśmiechem. Albo w każdym innym miejscu, gdzie będzie chciał się z nią kochać...

Asher ujął w dłonie jej piersi, pochylił się i lekko przygryzł jej ucho.

- Kiedy możemy się pobrać?

Czuła, jak się pod nią porusza, i jej ciało odpowiedziało, rozpalając w podbrzuszu żar i pożądanie. Wiła się na jego kolanach, rozkoszując się doznaniem narastającej pod jej pośladkami twardości.

- Przestań! - rzekł Asher chrapliwym głosem.

Juliana uśmiechnęła się tajemniczo. Sugestywnie ocierając się o niego pośladkami, zapytała:

- Dlaczego?

- Bo jeśli nie - wycedził - sprowokujesz mnie do zachowań nieelicujących z mianem dżentelmena.

Była to intrygująca wizja, lecz, zdając sobie sprawę, że w każdej chwili mógłby ich przydybać służący czy ktokolwiek inny, a nie chcąc ryzykować po raz drugi, Juliana podniosła się i wygładziła suknię.

- Myślisz, że twoja babka będzie zadowolona?

Asher skinął głową. - Będzie zachwycona. Zapewne uzna, że to wszystko jej sprawka. - Zerknął na Julianę, przechylając głowę na bok. -

Powiemy jej?

-Dzisiaj?

- Dlaczego nie? Możemy pojechać razem, o wszystkim jej opowiedzieć, a potem pojechać do Kirkwood i zawiadomić twojego ojca.

- Który nie będzie bardzo zaskoczony, co? - spytała z prowokacyjnym błyskiem w oczach.

Uśmiechnął się lekko. - Rzeczywiście, nie bardzo. - Bez najmniejszych oznak skruchy, rzekł: - Wiesz przecież, że już go poprosiłem o twoją rękę.

- Podejrzewałam to. - Pogroziła mu palcem. - Krecia robota. Podniósł się.

- Ale konieczna; zamierzałem się z tobą ożenić i nie chciałem dopuścić, byś zasłaniała się ojcem.

- Jakbym się zasłaniała - rzekła,

rozsierdzona.

- Więc kiedy możemy się pobrać? -
zapytał ponownie, biorąc ją w ramiona i
całując w nos. - Mam w kieszeni
specjalne zezwolenie.

Odchyliła się w jego objęciach.

- Taki byłeś mnie pewny?

Potrząsnął głową. - Nie. Zdecydowany.
A skoro otrzymam pożądaną odpowiedź,
nie zamierzam czekać tygodniami czy
nawet miesiącami, by pojąć cię za żonę.
- Przyciągnął ją bliżej i, skubiąc
wargami jej ucho, wyszeptał: - Poza tym
chcę, by mój dziedzic został poczęty w
związku małżeńskim, a gdybyśmy

odwlekali ślub, łącznie mogłoby się okazać, że tak się nie stanie, ponieważ skorzystam z każdej sposobności, by cię do-paść.

Julianie zaparło dech. Ani razu nie pomyślała o dzieciach. A powinnam była, stwierdziła ze zdziwieniem. Choć z pierwszym mężem nie mieli dzieci, z Asherem może być zupełnie inaczej. Już mogę być w ciąży, uświadomiła sobie radośnie. Dziecko Ashera może rosnąć w jej łonie w tej właśnie chwili!

- Mogę być, hm, bezpłodna... Z pierwszym mężem nigdy nie byłam przy nadziei.

- To nieważne. Jeśli nie doczekamy się

dzieci, mamy wszak rodzeństwo, które może po nas dziedziczyć. - Ucałował ją namiętnie. - Ale tymczasem wyteżę wszystkie siły, by pozabawić 256

ich wszelkiego dziedzictwa, jakiego mogliby się spodziewać w przyszłości. Więc kiedy się pobierzemy?

Jak dla Juliany, wydarzenia biegły zbyt szybko. Ledwo zgodziła się oddać rękę Asherowi, a już ma ustalić datę ślubu? Nie tak zaraz, pomyślała w oszołomieniu. Musi jeszcze załatwić tyle spraw, a żadna nie ma najmniejszego związku z rychłym małżeństwem. Przyszedł jej do głowy zjazd towarzyski w Kirkwood i zbliżające się wielkimi krokami ogłoszenie zaręczyn Thalii z

lordem Caswellem oraz zaplanowanie wspaniałego ślubu, który te zaręczyny za sobą pociągają. Przyszło jej do głowy, że jeśli będą z Asherem zbyt długo się ociągać, ich ślub może odwlec się o całe miesiące. Zaręczyny i ślub Thalii, opóźnione z powodu Ormsby'ego, w zasadzie powinny odbyć się najpierw, ale gdybym była w ciąży... Juliana przygryzła wargę. Kochała Ashera i chciała go poślubić, a ciąża zwiększyłaby tylko jej radość. Nie ma żadnego prawdziwego powodu, by odkładać małżeństwo, z wyjątkiem... Westchnęła. Za nic na świecie nie chciała ubiec Thalii. Była jak najdalsza od tego, by ogłaszać własne zaręczyny przed zaręczynami siostry, a nagle

małżeństwo wywoła kolejną lawinę domysłów i plotek... Ale jeśli ona i Asher będą czekać, aż zaręczą się tamci, jej własny ślub odbędzie się znacznie później.

Specjalne zezwolenie Ashera nagle okazało się bardzo przydatne.

Dlaczego mieliby czekać? Na mocy specjalnego zezwolenia, myślała w oszołomieniu, mogą się pobrać za parę dni. Przed zjazdem towarzyskim. Przed zaręczynami i ślubem Thalii z Caswellem. Jeśli pobiorą się z Asherem szybko, dumiała Juliana, być może ogłoszenie zaręczyn młodszej siostry przyćmi burzę, która rozpęta się z racji jej niespodziewanego ślubu.

Małżeństwo z Asherem zapewne będzie jednodniową sensacją, ale z chwilą, gdy Thalia i Caswell ogłoszą zaręczyny, na Julia-

257

nę nikt nie będzie zwracał uwagi - oczy wszystkich skierują się na świeżych narzeczonych - jak powinno być.

- Najpierw powiedzmy rodzinie, że zamierzamy się pobrać, a potem zastanowimy się nad datą ślubu - grała na zwłokę.

Wziął ją w ramiona. Muskając ustami jej wargi, rzekł ochryple:

- Dobrze, ale, Juliano, ostrzegam, nie będę czekał długo.

Pani Manley i pan Kirkwood byli wniebowzięci, gdy Asher i Juliana przybyli do nich z wieścią o zaręczynach. Jedyne Thalia mocno się zdziwiła, że jej siostra wychodzi za pana Cordella, ale ze słodkim uśmiechem na ustach objęła siostrę i wykrzyknęła: - Och, Juliano, to cudownie! Oboje z papą mieliśmy nadzieję, że ponownie wyjdiesz za męża.

- Uśmiechnęła się promiennie do Ashera. - I pomyśleć tylko, że za wnuka przyjaciółki papy, pani Manley. Z całego serca życzę wam obojgu wiele szczęścia. - Na jej ślicznej twarzyczce

pojawił się wyraz zdziwienia.

Przenosząc wzrok od Juliany do Ashera, rzekła: - To się zdarzyło dość nagle, prawda? Nie pamiętam żadnych wzmianek, żadnych oznak...

rozwijającego się między wami uczucia.

Lekko zarumieniona Juliana odparła żwawo:

- Zawsze mieliśmy dla siebie wiele sympatii, a podczas twojej choroby, gdy Asher przyjeżdżał tu z babką, stwierdziliśmy, że łączy nas coś więcej.

Twarz Thalii wypogodziła się. - Ach, to wszystko wyjaśnia. -

Uśmiechnęła się szelmowsko. - Jak to dobrze, że zachorowałam na odrę, prawda? W przeciwnym razie w ogóle byście się nie zorientowali, co do siebie naprawdę czujecie.

Po słowach zachęty ze strony pana Kirkwooda i pani Manley w Różanej Dolinie pospiesznie przygotowywano na wieczór przyjęcie zaręczynowe. Gdy Juliana z zapalem krzątała się po 258

domu, doglądając, by wszystko wypadło jak najlepiej, przypomniawszy sobie o ostatniej, okropnej kolacji, którą urządzała w Kirkwood. Jakże była wtedy niespokojna. Ileż dręczyło ją obaw o przebieg tamtego wieczoru.

To zebranie towarzyskie będzie zupełnie inne, pomyślała radośnie, chociaż urządza je też naprędce i przybędzie wielu tych samych gości.

Ale dziś przy stole zasiądzie pani Rivers, w niezmiennie dobrym humorze, odkąd rozproszono jej obawy o miejsce dla niej w nowym domu, a także Thalia, która po chorobie może wreszcie opuścić swój pokój, zjedzie też ojczym i brat Ashera. Radosny obraz zaciemniła mała chmurka. I, pomyślała ponuro, nie będzie ani śladu Ormsby'ego. To przyjęcie, powtarzała sobie, odbywa się w Różanej Dolinie, i to jej służba, z pomocą paru osób z Lisiej Nory, krząta się, pilnując, by wszystko odbyło się jak

należy.

Ku uldze Juliany, pani Lawrence i pani Hannum, zmierzyszy się nawzajem wzrokiem, przyjaźnie podzieliły obowiązki między siebie.

Pani Lawrence, z pomocą Sarah Penny i wnuczki pani Hannum, Nancy Ligget, uwijały się w kuchni, a pani Hannum i jej córka, Margaret, miały oko na parę osób ze służby z Kirkwood, których przysłano, by dom był w jak najlepszym porządku na wieczorną kolację. Hannum na dzisiejszy wieczór mianował się kamerdynerem w Różanej Dolinie i radośnie wymuszał na lokaju Juliany, Websterze, by pucował kryształ i porcelanę, aż będą lśniły i błyszczały.

Nawet jeśli rodzina Birrelów oraz panowie Denning zdziwili się, otrzymując tak nagłe i niespodziewane zaproszenie, przybywszy niczego nie dali po sobie poznać. Pani Manley zjawiała się wcześniej, podobnie jak pan Kirkwood i Thalia. Thalia wciąż jeszcze była nieco blada, ale wyglądała zjawiskowo w kremowej, muślinowej sukni z wierzchnią spódnicą z mieniącą się, niebieskiej gazy.

259

Podczas kolacji panował pogodny nastrój. Jedzenie było wyśmienite, obsługa wzorowa, choć za Hannumem i Websterem biegły badawcze spojrzenia,

gdy krążyli wokół długiego, przykrytego
lnianym obrusem stołu, usługując
gościom. Nie raz Juliana
podchwytywała wzrok gości,
spoglądających na nią, potem na Ashera,
a później na Hannuma i Webstera.

Kiedy pod koniec posiłku pan Kirkwood
wreszcie podniósł się, by ogłosić
zaręczyny, nikt nie był zbytnio
zaskoczony. Wzniesiono kilka toastów
za zdrowie Ashera i Juliany, aż w końcu
zostawiono panów przy porto i winie,
panie zaś Juliana poprowadziła do
kremowo-zielonego salonu.

Zbywając pełne ciekawości pytania pań,
Juliana zastanawiała się, czy Asher
toczy podobne potyczki. A i owszem.

- Muszę powiedzieć, że szczywany z ciebie lis - rzekł pod nosem pułkownik, sącząc porto. - Ani słówkiem nie wspomniałeś, że zamyślasz małżeństwo, a tym bardziej, że już masz wybraną wybrankę serca.

Asher wzruszył ramionami, leniwie obracając w długich palcach kieliszek z brandy. - Zapominasz, że znamy się z Julianą od dziecka. - I, biorąc przykład z przyszłej żony, dodał: -Dopiero gdy zachorowała Thalia i spędziliśmy trochę czasu razem, uświadomiliśmy sobie, ee...e, co naprawdę do siebie czujemy.

John spojrział na niego z szelmowskim błyskiem rozbawienia w oczach. - Niech

no tylko Robert i dziewczęta dowiedzą się o tym! Martha i Elizabeth oszaleją ze szczęścia i bez litości będą wypytywać cię o wszystkie szczegóły twoich zalotów. A Robert! Będzie piał z radości, że niebawem znajdziesz się pod pantoflem.

Pan Birrel zaśmiał się. - Dobrze jest mieć rodzeństwo, ale niekiedy chciałoby się, żeby nie było aż tak wścibskie. - Uniósł kieliszek w kolejnym toaście. - Ale tobie należą się gratulacje.

260

Pani Greeley jest niezmiernie wartościową młodą niewiastą i życzę wam szczęścia. Wypijmy za wasze

długie i szczęśliwe wspólne życie.

Pan Kirkwood promieniał.

- Gorąco pragnąłem, by Juliana ponownie wyszła za mąż, i żywiłem nadzieję, że jej wybranek nie wywiezie mi córki gdzieś daleko. Jestem tak zadowolony z tego małżeństwa, jakbym sam ją wyswatał.

- Więc kiedy zamierzacie się pobrać? - zapytał pułkownik ze wzrokiem utkwionym w kieliszek porto.

Asher nie widział powodu, by się wykręcać od jasnej odpowiedzi.

- Kiedy byłem w Londynie, załatwiłem

specjalne zezwolenie. Gdyby to ode mnie zależało, ślub odbyłby się w tym tygodniu.

- Tak szybko? - wykrzyknął zaskoczony pan Kirkwood.

- Przypominam panu, że pod koniec przyszłego tygodnia - rzekł Asher

- w pańskim domu znajdzie się tłum gości, którzy przybędą na zjazd towarzyski, i najprawdopodobniej wówczas zostaną ogłoszone zaręczyny Thalii z Caswellem. Juliana i ja za nic w świecie nie chcemy przyćmić tego wydarzenia jednoczesnym ogłoszeniem naszych zaręczyn. Ta chwila będzie należeć do Thalii i nie powinna jej

dzielić z Julianą.

- Tak, tak, rozumiem, o co panu chodzi, ale zapewne zdaje pan sobie sprawę, że pańskie niespodziewane małżeństwo spowoduje właśnie taki skutek, którego chciał pan uniknąć - wytknął mu Kirkwood.

Asher potrząsnął głową.

- Omówiliśmy to z Julianą i uważamy, że jeśli w momencie przybycia gości będziemy już po ślubie, taka bomba zajmie ich przez chwilę, lecz gdy tylko zostaną ogłoszone zaręczyny Thalii, nikt już nie będzie zwracał

uwagi na Julianę i na mnie.

Oczy wszystkich skierują się na Thalię i Caswella - nas uznają po prostu za przelotną sensację. Pan Kirkwood zamyślił się.

- Tak. Tak. To przekonujący argument. Ale taki pospieszny ślub... Czy Juliana nie chce wspaniałej ceremonii? Kobiety uwielbiają pompę i różne drobiażdżki związane z tym wydarzeniem.

Asher uśmiechnął się.

- I dlatego chciałbym, żebyśmy pobrali się jak najprędzej. Juliana była już zamężna i, jak twierdzi, nie tęskni za wielką galą. Dała mi do zrozumienia, że

chce jedynie skromnego ślubu, może tutaj, w Różanej Dolinie, tylko w obecności naszej rodziny. Gdyby to ode mnie zależało, pobralibyśmy się dziś wieczorem.

Reszta zrobiła zaskoczone miny.

- Dziś wieczorem? - wyskrzeczwał pan Kirkwood, omal nie zakrztusiwszy się winem.

Asher uśmiechnął się.

- Gdyby to ode mnie zależało. Juliana woli poczekać do niedzieli.

- Do niedzieli? A co z Martha i Elizabeth? - zapytał John, marszcząc

brwi. - Naturalnie Robert nie może przybyć, bo jest Bóg wie gdzie na kontynencie z Wellesleyem. Ale czy sądzisz, że starczy czasu, by nasze dziewczęta otrzymały wiadomość o twoim rychłym ślubie i zdążyły przyjechać na czas, by uczestniczyć w ceremonii w niedzielę?

Asher dopił brandy. - Po południu wysłałem listy do nich obu i kazałem służącym jechać przez całą noc. Według moich obliczeń obie powinny otrzymać wiadomość jutro rano. - Uśmiechnął się. - I jeśli siostry naprawdę chcą uczestniczyć w moim ślubie, powinny zjawić się na Jabłkowym Wzgórzu w sobotę po południu.

John zaśmiał się.

- Zjawią się na pewno. Na głowie staną, żeby zobaczyć, jak się wprzęgasz w małżeńskie jarzmo.

Z przeciwnej strony stołu pułkownik z namysłem przyglądał się Asherowi. - To poważny krok, mój chłopcze. Żona zazwyczaj oznacza dzieci... - Z dziwnym wyrazem oczu powiedział, jakby do siebie: - W

przyszłym roku o tej porze możesz być dumnym ojcem syna, dziedzica...

- Pociągnął długi łyk porto. - Mając

dzieńców, inaczej się patrzy na życie. Myśli się więcej o przyszłości i o tym, co się zostawi swoim dzieciom.

Asher miał obojętną minę, ale w środku czuł gorejącą w nim łunę dawnego gniewu. W przeszłości Denning nigdy nie zaprzętał sobie głowy losem swych dzieci, myślał Asher z goryczą, więc dlaczego stary drań martwi się o jego dzieńców?

Zanim panowie dołączyli do dam, Juliana zdążyła im udzielić tej samej informacji, jaką Asher przekazał męskiemu gronu - że ona i Asher zamierzają pobrać się w niedzielę w Różanej Dolinie. Naturalnie rozległy się okrzyki zdumienia i zaskoczenia, choć,

jak zauważyła, nie wydała ich pani Manley, lecz gdy wytłumaczyła, że w jej domu odbędzie się zjazd towarzyski, w czasie którego zostaną ogłoszone zaręczyny Thalii, pani Bir-rel skinęła głową.

- Zapewne tak będzie najlepiej - przyznała. Patrząc z uśmiechem na Thalię, rzekła: - Co za szczęście mieć taką siostrę. Niewiele sióstr, nawet takich, które już były zamężne, zrezygnowałoby z uroczystego ślubu, by to na młodszą siostrę zwrócone były wszystkie oczy.

- Och, wiem o tym - przytwierdziła z zapalem Thalia, której przez myśl

przeszły owe godne najwyższego
pożałowania listy, cudem odzyskane
przez Julianę. - Mając taką kochającą
siostrę, jestem największą szczęściarą
ze wszystkich kobiet.

263

Tego wieczoru, gdy goście wyszli,
wszystko już było ustalone. Pastor Birrel
udzieli ślubu Julianie i Asherowi w
Różanej Dolinie w niedzielne
popołudnie.

Dwie młodsze siostry Ashera, Martha
Beckley i lady Elizabeth Claxton, w
towarzystwie pobłażliwych mężów,
przygnały co koń wyskoczy, tak jak
przewidywał Asher - podniecone i

zrzedzące - w sobotę późnym popołudniem. Obie młode kobiety - Martha liczyła sobie dwadzieścia jeden lat, Elizabeth ledwo w lutym skończyła dwudziestkę -

znały Julianę od lat i były zachwycone jego wyborem. Asher wraz z Julianą zostali zaproszeni na uroczysty rodzinny obiad na Jabłkowe Wzgórze, lecz gdy młodzi i pani Manley gotowali się do wyjścia, siostry wykradły chwilkę, by pobyć z bratem sam na sam i pochwalić jego decyzję. Gdy babka i Juliana, zatopione w rozmowie z pułkownikiem i Johnem, szły do czekającego na całą gromadkę powozu Ashera, siostry, każda z jednego jego boku, odciągnęły go od

reszty.

- Wiesz - wyznała Martha, której uderzająco zielone oczy, tak podobne do oczu matki, błyszczały zadowoleniem - zawsze uważaliśmy z Lizą, że byłoby bardzo romantycznie, gdyby twój wybór padł na naszą kochaną Julianę.

- Tak - powiedziała cicho niebieskooka Elizabeth z drugiego jego boku - miałyśmy nadzieję, że wybierzesz kogoś miłego, a nikt nie jest miłszy od Juliany.

Uśmiechnął się - co w ostatnich dniach robił często.

- Więc, jak rozumiem, pochwalacie mój wybór? Martha zaśmiała się i

uszczypnęła go w ramię.

- Jakby cię to cokolwiek obchodziło.

- W istocie - rzekła, chichocząc,
Elizabeth - już widzę twoją minę, gdyby
któraś z nas ośmieliła się powiedzieć
choć słówko przeciw twojej przyszłej
żonie. - Uniosła głowę i pocałowała 264

Ashera w policzek. - Och, Asherze, mam
nadzieję, że będziesz szczęśliwy -
rzekła. - Jesteś najlepszym bratem na
świecie i zasługujesz na szczęście -
dodała z ogniem. - Gdy spojrział na nią
kpiąco, powiedziała:

- Wiem, że gdyby nie ty, nie wyszłabym
za mojego ukochanego Claxtona.

- Ani ja za Beckleya - dorzuciła Martha.
- Pozwalasz, by wszystkie zasługi
przypisano papie, ale wiemy, że to ty
dopilnowałeś, by za głosem naszego
serca poszły też odpowiedniej wielkości
posagi. - Pocałowała go w drugi
policzek. - Dziękujemy ci.

Zakłopotany i głęboko wzruszony,
pierwszy raz w życiu zapomniał

języka w gębie. Widząc wbite w swoją
twarz dwie pary błyszczących oczu,
wiedział, że musi coś powiedzieć.
Odchrząknąwszy, wybąkał

cicho:

- Ach, może i trochę wspomogłem

pułkownika.

Siostry spojrzały na niego znacząco, a gdy dochodzili do pozostałych, odezwała się Martha: - Oczywiście, że tak. Tak jak trochę pomogłeś Johnowi, zapewniając mu Jabłkowe Wzgórze, i dorzuciłeś trochę do kupna patentu oficerskiego dla Roberta.

- Uśmiechnęła się w sposób tak przypominający matkę, że aż zaparło mu dech. - Myślisz, że jesteś taki sprytny... ale uważaj

- my wszyscy cię przejrzelśmy.

Kompletnie zaskoczony Asher nigdy nie był tak rad z zakończenia rozmowy, jak

teraz, kiedy wreszcie doszli do reszty.

* * *

Ślub Juliany i Ashera w ogrodach Różanej Doliny w niedzielne popołudnie przebiegł tak gładko i spokojnie, jakby planowano go miesiącami, a nie zaledwie parę dni. Lipcowe popołudnie było ciepłe, w powietrzu unosił się zapach róż, lilii i heliotropu, a leniwe pobrząkiwanie pszczół brzmiało jak ci-

265

chy koncert. Grono zaproszonych gości było niewielkie, prócz pani Rivers, pastora, pani Birrel i ich dwóch córek jedynie rodzina patrzyła, jak Asher

pojmuje Julianę za żonę.

Asher stał pod pospiesznie wzniesionym łukiem przyozdobionym zielenią i białymi liliami z cieplarni. Jego wysoka sylwetka prezentowała się imponująco, gdy czekał tam, aż podejdzie do niego przyszła żona. W

dopasowanym, ciemnoniebieskim surducie z mosiężnymi guzikami i w bufiastych pantalonach wyglądał jak ucieleśnienie męskiego wdzięku, śnieżnobiała koszula i takież fular podkreślały ciemną cerę jego przystojnej twarzy. Juliana miała na sobie niebieskofioletową suknię, jej ciemne włosy zdobił mały stroik z żółtych róż, a na plecy spływał welon z

mechlińskiej koronki. W ręce trzymała bukiet żółtych róż.

Ujrawszy ją, jak wolno zbliżała się ku niemu, wsparta na ramieniu ojca, Asher wiedział, że gdyby już jej nie kochał, w tej właśnie chwili zakochałby się w niej bez pamięci.

Dostrzegła ten wyraz oczu Ashera, gdy ojciec wkładał jej dłoń w rękę przyszłego męża i aż palce u nóg podkurczyły się jej w oczekiwaniu ich wspólnego życia. W głębi tych kobalto-woniebieskich oczu był taki żar, taka namiętność i - czy może w to uwierzyć? - miłość, że serce w piersi zrobiło jej fikołka i nagle poczuła się niezmiernie

rada, że tak ją popędzał

do ołtarza.

Ceremonia była prosta i po paru minutach Juliana i Asher zostali małżeństwem. Słuchając, jak Asher mocnym głosem powtarza słowa przysięgi, wiedziała niezawodnie, że powzięła słuszną decyzję. Kocha go. A co ważniejsze, ufa mu.

Resztę popołudnia pamięta jak przez mgłę. Spadł na nich ciepły deszcz życzeń szczęścia, sama nie wie, ile razy całowano ją obejmowano, a uśmiechała się tak często, że rozboleły ją mięśnie twarzy.

Mniejsza z tym - nie mogła przestać się
uśmie-266

chać. Połączona służba z Lisiej Nory i
Różanej Doliny krążyła wokół

małej grupki, proponując
najprzeróżniejsze przysmaki, które
przyrządziła pani Lawrence i inne
mistrzynie kuchni.

W końcu, żegnani śmiechem i
żartobliwymi okrzykami, Juliana wraz z
Asherem udali się do uroczego domku
nad jeziorkiem na drugim końcu
posiadłości Burnham, by rozpocząć
wspólne małżeńskie życie.

- Muszę was na to namówić - rzekła

pani Manley, gdy po raz pierwszy
podzieliła się tym pomysłem z Asherem.
- To najlepsze miejsce na spędzenie
nocy poślubnej. - Odwróciła wzrok, w
którym pojawiło się rozmarzenie. - Tam
z twoim dziadkiem spędziłam pierwszą
noc. Na pewno pochwaliby ten wybór.
- Otrząsnęła się, po czym rzekła
spokojnie: - Nikt wam tam nie będzie
przeszkadzał - Hannum i jego żona
wszystkim się zajmą, a w poniedziałek
czy wtorek wróćcie albo do Lisiej
Nory, albo do Różanej Doliny i
zdecydujecie, gdzie chcecie zamieszkać.

Jej rozumowaniu Asher nie mógł nic
zarzucić, a i Juliana nie oponowała.
Zapadał zmierzch, gdy Asher zatrzymał

konie przed jednopiętrowym domkiem z pruskiego muru. Hannum i jego żona przyjechali wcześniej, by przygotować wszystko na ich przyjęcie, a w gęstniejącym mroku światło świec, padające z wielodzielnych okien, wabiło swym urokiem. Domek przycupnął nad jeziorem okolonym wierzbami i liliami wodnymi, którego wody migotały w srebrzystej poświacie wschodzącego księżyca.

- Och, Asherze - wykrzyknęła Juliana, gdy wyciągnął ją z kariolki i zaniósł do frontowych drzwi - jest idealny.

Przystanął, postawił ją na ziemi i objął w miążdzącym uścisku. - Nie -

rzekł ochryple, trzymając wargi przy jej ustach - to ty jesteś idealna. Dla mnie.

267

Rozdział 16

Prócz namiętnych nocy spędzanych w ramionach męża, Juliana niewiele zapamiętała z pierwszych dni małżeństwa z Asherem. Po nocy spędzonej w domku nad jeziorem późnym popołudniem w poniedziałek wrócili do Różanej Doliny i natychmiast zaczęli łączyć dwa gospodarstwa.

Mimo całej radości, jakiej Juliana teraz doświadczała, sądziła, że rozłąkę z Różaną Doliną odczuje boleśnie, lecz

wcale tak się nie stało.

Krzążając się, wybierając rzeczy do zapakowania, stwierdziła, że to niezwykle przyjemne zajęcie.

Uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, że jej pogodny nastrój ma wiele wspólnego z bardzo nowym, bardzo podniecającym mężem, a mniej z wyprawką z dawnego domu.

Nie wiedzieli, co zrobić z Różaną Doliną, lecz we wtorek rano, gdy Juliana i Asher nadzorowali pakowanie już ostatnich, ulubionych przedmiotów, wszedł pułkownik z zadziwiającą propozycją. Chciał kupić Różaną Dolinę!

Asher wpatrzył się w niego zwężonymi oczami.

- Dlaczego?

Denning uśmiechnął się łagodnie. -
Chciałem dokupić trochę ziemi do
Jabłkowego Wzgórza, ale potem
pomyślałem

268

o Robercie. Teraz jest sfiksowany na
punkcie kawalerii, lecz z czasem ożeni
się, założy rodzinę i będzie potrzebował
własnego kąta. - Rozejrzał

się po eleganckim, wyłożonym boazerią
pokoju, w którym się znajdowali. -

Myślę, że Różana Dolina byłaby dla niego wymarzoną posiadłością. Dom jest uroczy, a do tego dochodzi trochę ziemi - i leży niedaleko od Jabłkowego Wzgórza i Lisiej Nory.

Asher wzruszył ramionami i spojrzał na Julianę.

- Decyzja należy do ciebie.

Juliana zawahała się, walcząc z myślami. Sprzedać Różaną Dolinę?

Jej pierwszą reakcją było stanowcze nie! Ale gdy wyobraziła sobie najmłodszego przyrodniego brata Ashera mieszkającego tu z własną rodziną, uznała, że to doskonałe rozwiązanie. -

Będę podbijać cenę, lecz, jeśli naprawdę chce pan kupić Różaną Dolinę, jestem gotowa ją panu sprzedać - rzekła z uśmiechem do pułkownika.

Pułkownik wymienił sumę, a Juliana się zgodziła. Jeszcze tego popołudnia w biurze notariusza urzędującego w pobliskiej wiosce podpisała papiery przenoszące własność Różanej Doliny na nazwisko Denninga. I znowu, sądziła, że będzie to dla niej bolesne przeżycie, a tymczasem z żalem stwierdziła, że sprzedaż domu potraktowała jak usunięcie kolejnej przeszkody na drodze swego życia.

Podczas gdy Juliana gawędziła jeszcze z notariuszem w jego biurze, Asher,

czekając na nią na zewnątrz, spojrział uważnie na ojczyma. - Bez urazy, ale skąd wzięłeś pieniądze? - zapytał prosto z mostu. - Zapłaciłeś Julianie całą sumę.

- Ach, ostatnio doskonale szła mi karta. Różana Dolina to dobra inwestycja i dom dla Roberta.

- Więc za wygraną kupiłeś dom dla Roberta?

- Dlaczego nie? To mój syn i jestem w stanie na niego łożyć. -

Denning westchnął. - Wiem, że twoim zdaniem moje 269

dzieci w ogóle mnie nie obchodzą, ale to

nieprawda. Nadarzyła się okazja i wykorzystałem ją.

- A dom ma być tylko dla Roberta? -
dopytywał się Asher. Denning
uśmiechnął się.

- No cóż, tak, ale na razie zamierzam w
nim pomieszkać. John musi mieć dom
dla siebie, nie mogę ciągle siedzieć mu
na karku.

- John musi mieć dom dla siebie? -
zapytał z niedowierzaniem Asher,
zastanawiając się, co właściwie jego
ojczym kombinuje. Prawda, że Denning
kocha swoje dzieci, ale nigdy przedtem
nie troszczył się o ich dobro. I nie można
zaprzeczyć, że dla Juliany sprawy

ułożyły się w sposób najlepszy z możliwych - szczęśliwym zrządzeniem losu Denning miał pieniądze i chciał kupić Różaną Dolinę, lecz Asher nie wyzbył się podejrzeń.

Denning machnął ręką. - Oczywiście, ja też chciałbym mieć dom dla siebie. - Poruszył brwiami. - Mam oko na pewną atrakcyjną wdówkę i czasami chciałbym spędzić z nią trochę czasu... ale żeby twój brat nie kręcił się w pobliżu. - Skoro Ashera bynajmniej to nie przekonało, dodał

cierpko: - Wiesz, John prawie tak samo jak ty wścieka się, że gram w karty. Mając własny dom, nie będę musiał znosić jego fukania i kazań.

Ponieważ to wyjaśnienie miało cechy prawdy, Asher pomyślał, że być może właśnie taki jest prawdziwy powód nagłej tęsknoty ojczyzna do własnego domu.

Znowu uśmiechnięty, Denning ciągnął dalej:

- A ponieważ twoja żona z dobrego serca pozwoliła mi kupić wiele rzeczy, które nie będą jej potrzebne w Lisiej Norze, najprawdopodobniej będę mógł się wprowadzić za dzień, dwa. Wiem, że John użyczy mi paru służących, póki nie najmę własnych, a Woodall spakuje moje rzeczy od ręki. Ha, jutro o tej porze mogę już mieszkać w Różanej

Dolinie.

270

- Coś cię nagli? - zapytał Asher.

- Nie. Nie. Jak wiesz, nie lubię zasypiać gruszek w popiele.

Juliana, którą notariusz odprowadził do drzwi, właśnie wychodziła, więc wymieniwszy jeszcze parę uprzejmości, Denning pożegnał się z nimi i wsiadł na swego konia. Asher ze zmarszczonymi brwiami patrzył, jak znika w oddali, lecz Juliana dotknęła jego ramienia i zapomniał o ojczymie i jego manewrach. Pomógł Julianie wsiąść do kariolki, wskoczył z drugiej strony, chwycił lejce

i konie ruszyły.

Gdy wyjechali z wioski, a konie gładko przeszły w kłus, wysoko podrzucając przednie nogi, Asher zapytał: -Nie jest ci żal?

Uśmiechnęła się do niego. - Myślałam, że będzie, ale twój ojciec dobrze mi za wszystko zapłacił i cieszę się, że kiedyś zamieszka tam Robert. Zostanie w rodzinie. To jednak trochę dziwne, nieprawdaż, że twój ojczym zamierza zamieszkać tam samotnie - dodała z namysłem. -

Myślałam, że jest absolutnie szczęśliwy na Jabłkowym Wzgórzu. Chyba nie pokłócił się z Johnem, co?

- Nie - odparł. - Ale za tą nagłą chęcią posiadania własnego domu kryje się coś więcej.

Juliana zastanawiała się nad tym przez chwilę, jednak niebawem dała sobie spokój. Dzień był wspaniały, a ona miała pilniejsze sprawy na głowie... na przykład, jak uwieść swego przystojnego męża, gdy tylko znajdą się sami w Lisiej Norze.

Lisia Nora okazała się urocza, Juliana, pani Rivers i służba z Różanej Doliny bez zbytniego zamieszania rozlokowały się wygodnie w tym przestronnym domostwie, które niegdyś było chłopską zagrodą. Na razie Juliana miała dzielić z Asherem dużą sypialnię i salon, ale

rozważano już dobudowanie całkowicie nowego skrzydła, które da im tak potrzebną dodatkową przestrzeń.

271

Marząc o chwili, kiedy zjazd towarzyski w Kirkwood i ogłoszenie zaręczyn Thalii nie będą już jej wisieć nad głową, Juliana ucieszyła się, że ojciec zatrudnił panią Starling, by starsza córka nie musiała poświęcać tyle czasu jego gospodarstwu. Pani Starling, wdowa koło pięćdziesiątki, która od czasu do czasu pełniła rolę guwernantki i towarzyszki zarówno Julia-ny, jak i Thalii, zamieszkała teraz w Kirkwood. Panią Starling, osobę z natury spokojną i

miłą, niełatwo było wyprowadzić z równowagi.

Skoro Juliana rozpoczęła małżeńskie życie, w owym czasie Thalia potrzebowała właśnie kogoś takiego jak pani Starling, by służyła jej też za opiekunkę i przyzwoitkę podczas zjazdu towarzyskiego - co nie znaczy, że Thalia nadal wielce nie polegała na radach siostry.

W ten środowy rano, otrzymawszy wezwanie od siostry, Juliana westchnęła i przygotowała się do wyjazdu do Kirkwood. Odłożywszy list od Thalii, poszła poszukać Ashera. Znalazła go w holu wyjściowym, gdzie stał z nachmurzoną miną. - Czy coś się stało? -

zapytała.

Asher potrząsnął głową. - Nie, nic się nie stało. Przyjaciółka mojej matki, pani Barbara Sherbrook, i jej siostrzeniec, lord Thorne, przybyli do Burnham wcześniej, niż się ich spodziewano. Babka chce, żebym tam podjechał i poznał ich. - Uśmiechnął się krzywo. - Bardzo się kaja, że nam wchodzi w paradę, ale nalega, bym się oderwał od młodej żony i poświęcił jej trochę czasu.

- Och, doskonale się składa. Ja i tak muszę jechać do Kirkwood -

uśmiechnęła się Juliana. - Pamiętam, że często wspominała o pani Sherbrook,

gdy byłam młodsza, i zawsze miałam nadzieję, że kiedyś ją poznam.

- No to będziesz miała okazję - rzekł sucho Asher. - Babka zaprasza nas do Burnham jutro na kolację. - Spojrzał na nią z żalem. - Nie tak wyobrażałem sobie pierwszy tydzień nasze-272

go małżeństwa - rzekł pod nosem, pieszcząc ją wzrokiem, aż serce zabiło jej mocno. - Chcę spędzać czas sam na sam z moją młodą żoną, a nie tańczyć jak mi wszyscy inni zagrają. Jutro kolacja w Burnham. Potem Kirkwood...

Wiedzieli, że ich nagły ślub niweczy wszelkie nadzieje na to, że zdołają wyrwać się na parę tygodni tylko we

dwoje, ale żadne z nich nie przypuszczało, że będą mieli dla siebie tak mało czasu. Nawet sprzedaż Różanej Doliny, choć była tak bardzo po ich myśli, wykradła im cenne godziny i Juliana nie mniej niż Asher tęskniła za dniem, gdy będą spełniać tylko swoje zachcianki.

Z żalem pożegnała się z nim i pojechała do Kirkwood. Ojciec, jak zwykle nieobecny duchem, uśmiechał się z roztargnieniem do swej młodszej córki, lecz przygotowania do zjazdu rodzinnego w zasadzie pozostawiał w niedoświadczonych rękach Thalii i znikał w swej bibliotece. Dzięki fachowej pomocy Hudsona i pani

Starling Thalia dawała sobie radę z ciężarem obowiązków - wysłała tylko liścik do siostry z prośbą o ostateczne rozstrzygnięcie paru spraw.

Wizyta Juliany nie trwała długo i nic strasznego się nie działo, Thalia po prostu potrzebowała wsparcia. Gotując się do powrotu do domu, Juliana objęła siostrę i rzekła:

- Świetnie sobie radzisz i w sumie wcale nie potrzebujesz mojej pomocy. Tylko, kochanie, przestań się przejmować drobiazgami. W

nowej sukni będziesz wyglądała prześlicznie. Nic nie szkodzi, że w sobotę na kolację nie podadzą homara -

nikt nie zauważy jego braku wśród tych wszystkich pyszności, które przygotowuje kucharcia. A kolacja towarzyska w ogrodzie w piątkowy wieczór to świetny pomysł.

Thalia zarumieniła się uroczo.

- Och, dzięki! Wiem, że to niemądrze tak się ciągle zamartwiać, ale chcę, żeby wszystko było idealnie.

273

- 1 będzie - rzekła stanowczo Juliana, pragnąc już powrócić do Ashera. Z maleńkim poczuciem winy i wielką ulgą wsiadła na konia, pomachała Thalii na do widzenia i ruszyła do Lisiej Nory.

Gdy następnego wieczoru w Burnham Julianę przedstawiono pani Sherbrook i lordowi Thorne'owi, młoda kobieta uznała, że tak właśnie wyobrażałaby sobie przyjaciółkę pani Manley. Siostrzeniec pani Sherbrook, lord Thorne, imponujący dżentelmen o ciemnej cerze, wojskowej postawie i swobodnym sposobie bycia, był równie czarujący i zabawny.

Po skończonej kolacji trzy panie usadowiły się w różowo-kremowym salonie, gdzie popijały herbatę, Asher zaś i lord Thorne, zanim do nich dołączyli, zapewne wychylili w jadalni kieliszek lub dwa brandy albo wina. Apollo, który wbiegł do salonu wraz z

Dudleyem wnoszącym tacę z herbatą, umościł się radośnie obok pani Manley na pokrytej różową satyną kanapie. Przez szeroko otwarte drzwi balkonowe do pokoju wpadał chłodny, wieczorny wietrzyk, wnosząc zmysłowe aromaty peonii, jaśminu i róż, które porastały taras od strony domu, by nadać powietrzu miłą woń.

- Nasi ojcowie przyjaźnili się przez całe lata - rzekła pani Sherbrook, patrząc przyjaźnie promiennymi, niezwykle zielonymi oczyma. - Ale tak naprawdę poznałam Anne, gdy wraz z rodzicami przybyła na zjazd towarzyski do dworu w Wyndham. - Spojrzała na panią Manley. -

Miałam wtedy piętnaście lat i czułam się bardzo dorosła, gdyż rodzice pozwolili mi wziąć udział w kilku mniej oficjalnych okazjach towarzyskich.

Był to mój debiut i denerwowałam się, mając styczność z tyloma utytułowanymi osobistościami, ale Anne odniosła się do mnie bardzo miło i wzięła mnie pod swoje skrzydła.

274

Pani Manley uśmiechnęła się do przyjaciółki, bezwiednie pieszcząc jedwabiste ucho Apolla. - Co nie kosztowało mnie najmniejszego trudu - byłaś takim ujmującym dziewczątkiem.

Tylko wielkie oczy i lśniące loki.

- Pani Manley zachichotała. - Ale czy pamiętasz tę wdzięczącą się, okropną dziewczynę, jak jej tam, Patricia, Priscilla...

Wspomnień obu pań Juliana słuchała nieuważnie, myślami biegnąc do Ashera. Kochała go od dawna, choć się do tego nie przyznawała, a małżeństwo z nim to ukoronowanie jej najtajniejszych marzeń, najskrytszych pragnień. Lecz w miarę ich wspólnego życia, nie to, że nabierała wątpliwości czy żałowała swojej decyzji, nic z tych rzeczy, ale zastanawiała się, czy nie wyszła za mąż zbyt pośpiesznie. Ulegając namowom Ashera, by ślub wzięli już, odmówiła

sobie uroków zalotów, owych zachwycających, niepowtarzalnych chwil prowadzących do jego miłosnego wyznania i ich małżeństwa. I nieważne, pomyślała z żalem, że sama bezwzględnie odrzucała wszelką myśl o opóźnieniu ślubu z Asherem.

Ona pierwsza przyznaje, że wszystko stało się nieprzyzwoicie szybko, ale chcąc nie chcąc, wpadła w wir wydarzeń, które wcześniej w ogóle nie przyszłyby jej do głowy i zapewne nie zawsze postępowała tak mądrze jak należało. Nigdy nie miała czasu, by swe decyzje postawić pod znakiem zapytania... albo zastanowić się nad stanem uczuć jej męża do niej. Stan

swego serca znała, lecz co kryje się w jego sercu?

Juliana była pewna, że Asher darzy ją uczuciem, ale czy to głos serca czy honoru skłonił go do małżeństwa z nią? Zauważyła - w istocie z każdą mijającą godziną coraz bardziej była tego świadoma - że nigdy nie wyznał

jej miłości. Nigdy. Ani razu. Nawet podczas największych wybuchów namiętności. Więc czy ją kocha? Choć odpędzała od siebie tę myśl, ciągle nurtowało ją poczucie, że po szalonym akcie miłosnym w bi-

bliotece ojca Asher uznał, że ma obowiązek oświadczyć się o nią.

Przyszedł jej też do głowy inny, równie przygnębiający powód - Asher po prostu dojrzał już do małżeństwa, a ona akurat była pod ręką i odpowiadała jego potrzebom. Niektóre małżeństwa opierają się na wątlejszych podstawach. A jej?

Juliana nagle wróciła do rzeczywistości, gdy weszli obaj panowie, Apollo zaś obudził się i zaczął szczekać. Pani Manley ze śmiechem uciszyła szczeniaczka. - Zobacz, wyrasta na wspaniałego psa obronnego -

rzekła do wnuczka.

Asher zaśmiał się.

- Psa obronnego? Bardziej mi wygląda na pieska salonowego.

- No tak, na niego też - przyznała pani Manley bez cienia zażenowania, stawiając sobie pieska u boku. Apollo jeszcze przez sekundę wpatrywał się podejrzliwie w obu panów, lecz zaraz

wtulił nos między pazury i zapadł w drzemkę, usypiany łagodnym głaskaniem pani Manley.

Z uśmiechem rozbawienia Asher podszedł do Juliany i oparł się biodrem o wyściełany fotel. Wyciągnąwszy zaborczo rękę wzdłuż rowkowanego oparcia wysokiego fotela, na którym siedziała jego młoda żona, zerknął na nią i rzekł:

- Doszliśmy z Jackiem do wniosku, że zostawiliśmy was same na wystarczająco długi czas. Przyjemnie się plotkowało?

Juliana zmarszczyła nos.

- Wbrew temu, co myślą panowie, my, niewiasty, mamy też inne sprawy do omówienia prócz plotek.

Asher roześmiał się.

- Cóż, może wy mierzycie wyżej, ale ja z przyjemnością wysłuchałem, o czym się ostatnio mówi w Londynie. - Potarł szczękę. - Naturalnie, ciekawiej słuchało się o jego wyczynach, gdy służył w wojsku. - Spojrzał na babkę. - Nawet kilkakrotnie zetknął się z Robertem. Powiedział, że ma zadatki na dobrego oficera.

Juliana zerknęła na lorda Thorne'a, który zajął miejsce obok pani Sherbrook.

- Ach, słusznie, zapomniałam. Chyba wspomniałeś kiedyś, że nim odziedziczyłeś tytuł, byłeś w kawalerii.

Jack skinął głową.

- A tak. Odszedłem do cywila ponad rok temu. Jakaś nutka w jego głosie kazała Julianie zapytać: -1 nie brakuje ci wojska?

- Nie ukrywam, że wiele bym dał, żeby być teraz z Welles-leyem na kontynencie, walcząc z Napoleonem - przyznał lord Thorne.

- Kompletna bzdura! - wtrąciła się jego ciotka. Grożąc mu palcem, oświadczyła:

- Jesteś głową rodziny, masz obowiązki, i to powinno być dla ciebie najważniejsze. Nie możesz włączyć się po świecie, ryzykując zdrowiem i życiem, a do tego zaniedbując swoje dobra.

- Tak, ciociu Barbaro, ciocia ma absolutną rację, takie myśli przedstawiają mnie jako ostatniego łobuza - odparł potulnie Jack, lecz jego słowom przeczyły figlarne błyski w oczach.

Barbara prychnęła, nie dała się bowiem zwieść jego pozornej zgodliwości. - Co

takiego ma w sobie płęć męska, że czuje się najszczeńliwsza pośród największych niebezpieczeństw? Nawet mój syn Marcus, który normalnie jest najbardziej odpowiedzialnym i opanowanym człowiekiem, jakiego znam, w zeszłym roku uwikłał się w jakieś ryzykowne przedsięwzięcie. - Rzuciła lordowi Thorne'owi wojownicze spojrzenie. -I nigdy mnie nie przekonasz, że tak nie było.

Lord Thorne zrobił zakłopotaną minę. - Chyba ciocia jest w błędzie -

wybąkał pod nosem.

- Doprawdy? A co z tym okropnym przemytnikiem, którego zamordowano

przed samymi stajniami we dworze
Sherbrook?

277

Co o tym powiesz? Nie będziesz mi
chyba wmawiał, że to nieszczęśliwy
wypadek?

- A co ma powiedzieć? - zapytał ostro
Asher. - Czy wolałaby pani usłyszeć od
syna, że ten łajdak, który niejednego ma
na sumieniu, czał

się tam w Bóg wie jakich strasznych
zamiarach? Czy dzięki temu poczułaby
się pani lepiej? Bezpieczniej?

Spostrzegłszy się, że wszyscy na niego

patrzą, Asher przywołał

uśmiech na usta i ciągnął dalej już ciszej:

- Może pani syn pragnął jedynie panią chronić. Nie chciał, by się pani bała, toteż udał, że lekceważy całe to wydarzenie.

Pani Sherbrook zamilkła i z namysłem skinęła głową, po czym rozmowa zesłała na tematy ogólne, zwłaszcza na zjazd towarzyski, który ma się odbyć u Kirkwoodów, oraz jutrzejszy wyjazd Jacka do Thornewood, jego posiadłości ziemskiej. Pani Sherbrook miała zabawić z dłuższą wizytą u pani Manley.

Pani Sherbrook ze śmiechem wskazała na opartą o kanapę laskę ze srebrną główką, którą podpierała się przy chodzeniu.

- Byłam taka nieszczęśliwa, kiedy upadłam i naciągnęłam ścięgno w kostce, ale teraz uważam to za szczęśliwy traf. Skoro wszyscy koło mnie skaczą, uznałam, że wcale nie muszę wpadać do mojej przyjaciółki tylko na chwilkę. Co prawda utykam, ale mimo to bawię się doskonale.

- Jak długo zamierza pani tu pozostać? - zapytała z uśmiechem Juliana.

- Och, zapewne nie dłużej niż tydzień. Wszystko zależy od tego, kiedy mój syn

zdoła oderwać się od żony. - Z promiennym uśmiechem dodała: -

Spodziewają się mego pierwszego wnuka.

Pani Manley spojrzała na Julianę i rzekła cicho: -1 ja zapewne niebawem usłyszę, że wnuczę jest w drodze. Juliana zarumieniła się i spuściła wzrok na swoje ręce. To możliwe, pomyślała w pomieszeniu, że już teraz dziecko rośnie

278

w jej łonie. Będzie wiedziała za tydzień, ale, och, Boże, miała nadzieję, że tak.

W końcu Asher i Juliana zebrali się do wyjścia. Gdy pani Manley i pani Sherbrook zaczęły się podnosić, by odprowadzić ich do frontowych drzwi, Asher łagodnie odwiódł je od tego. - Nie ma potrzeby - rzekł. -

Znam drogę, więc siedźcie sobie wygodnie.

Asher musnął babkę wargami w czoło, a ona dotknęła jego policzka.

To ogólne poruszenie obudziło Apolla, który widząc, że ktoś pochyła się nad jego panią, zerwał się na równe nogi i zaczął szczekać jak oszalały.

Asher wyprostował się i z uśmiechem

potrzęsnał głową:

- Niewdzięczny kundlu! To mnie zawdzięczasz wygodne życie i tak mi dziękujesz?

- Chroni mnie jak może - rzekła z dumą pani Manley, zarazem starając się przekonać Apolla, że Asher nie chciał zrobić jej krzywdy.

Asher i Juliana ze śmiechem pożegnali się z resztą gości i wyszli z pokoju. Chwilę później siedzieli już w kariołce i odjeżdżali z Burnham.

Po drodze gawędzili leniwie o spędzonym wieczorze, lecz niebawem rozmowa zeszała na zjazd towarzyski w

Kirkwood w piątek i spodziewanych gości.

- Thalia nie może się doczekać przyjazdu Piersa - rzekła Juliana ze śmiechem. - Można by pomyśleć, że minęły miesiące, odkąd go ostatni raz widziała, a nie zaledwie tygodnie.

- Nie usychałabyś z tęsknoty, gdybym wyjechał na parę tygodni?

Uśmiechnęła się, aż w jej policzkach zrobiły się dołeczki i uszczypnęła go w ramię. - Nie wiem, czy akurat bym usychała -

przekomarzała się z nim. - Ale na pewno bym tęskniła... troszkę.

Odwrócił wzrok od koni i popatrzył na nią. Zmysłowo wyginając usta, rzekł:

- Ukarzę cię za to... gdy będziemy w domu i w łóżku.

Sutki Juliany natychmiast się napięły, a w podbrzuszu poczuła rozkoszny dreszcz. By zająć myśli czymś innym, rzekła pospiesznie:

- Przynajmniej Thalia wygląda jak dawniej i z pewnością Piersowi zeszyły już siniaki.

Asher znowu na nią spojrział.

- Siniaki? O czym ty mówisz?

Skrzywiła się. - Tyle się dzieje, że kompletnie zapomniałam o tym wypadku z Piersem. Straszliwie go pobito tuż przed naszym wyjazdem z Londynu. -

Gdy Asher uniósł brwi, dodała: -

Napadła go para rozbójników.

Obrabowali go, a do tego okropnie złoili mu skórę. Mocno oberwał po twarzy. Choć udawał, że nic sobie z tego nie robi, wiem, że musiał bardzo cierpieć - wyglądał przerażająco. Z powodu tych, mm, siniaków nie towarzyszył nam wtedy na bal u Ormsby'ego.

- Ach tak - rzekł z wolna Asher, przypominając sobie żywo własną

przygodę z parą rozbójników ledwie przed tygodniem. Nie zapomniał ani owego wydarzenia, ani tego, że stał za nim Ormsby... Wykrzywił wargi.

Przez ostatnich parę dni miał na głowie inne sprawy, zwłaszcza to uroczne kochanie, które koło niego siedzi, lecz słowa Juliany przypomniały mu, jakby trzeba mu było przypominać, pomyślał ponuro, że Ormsby wynajął

kogoś, by go zabił. Nie pobił, ale zabił... Uśmiech zgasł mu na ustach.

Zmarszczył brwi, myśląc o tych chwilach, gdy leżał na ziemi i słuchał rozmowy swych porywaczy. Czyż nie

wspomnieli, że pobili jakiegoś para w Londynie w zamian za butelkę rumu? Coś o młodym lordziątku? Nie tak dawno temu?

Zacisnąwszy szczęki, wpatrzył się przed siebie. Choć kariolka jechała szybko przez noc, prawie nie słyszał brzęku uprzęży 280

i tętentu kopyt na drodze. Lord Caswell, konkurent, któremu Thalia sprzyja i którego kocha, został straszliwie pobity przez dwóch opryszków w Londynie jakiś miesiąc temu... Jakie jest prawdopodobieństwo, myślał

cierpko, że lorda Caswella pobiły, a jego o mały włos nie zamordowały dwie

różne pary zbójów? A każdą parę najął „możny gość”?

Powiązanie tych dwóch wydarzeń wcale nie było naciągane - na własne uszy słyszał, jak para owych nikczemników wspomina o pobiciu dżentelmena w Londynie w takim czasie, że mógł to być Caswell.

Nasłanie zbirów na zwycięskiego rywala w konkurach o rękę Thalii to hultajska sprawka akurat w stylu Ormsby'ego. I nietrudno sobie wyobrazić, że markiz najął ich, by zamordowali Ashera, gdyż wykradł listy Thalii... i inne listy.

- Czemu się tak nachmurzyłeś? - zapytała Juliana, wytrącając go z zamyślenia.

- Zjazd towarzyski - skłamał. -

Chciałbym, żebyśmy mieli już za sobą cały ten kram.

Oparła mu głowę na ramieniu.

- Jeszcze tylko parę dni i możemy się ukryć przed światem.

- Szczerze pragnę, żebyś miała rację, ale pamiętaj - syn pani Sherbrook, Marcus, przyjeżdża po nią, a babka będzie chciała, żebyśmy go poznali. - Kolejna frajda, której powinienem wyczekiwać z radością, myślał cierpko Asher.

Spotkanie z Jackiem i panią Sherbrook

nie nastroczało żadnych problemów prócz tego, że wolałby ten czas spędzić z młodą żoną, ale Marcus...

- Och, może to nie będzie taka udręka - rzekła pogodnie Juliana. -

Jestem pewna, że Marcus Sherbrook okaże się równie czarujący jak lord Thorne.

Asher uniósł brew.

- A więc uważasz, że lord Thorne jest czarujący? Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

- Owszem, ale nie tak bardzo, jak mój mąż.

- A gdy przyjedziemy do domu, pokażę ci, jak bardzo potrafię być czarujący - wyszeptał ochryple, patrząc na nią z wyraźną obietnicą w oczach.

Juliana uznała, że Asher nie był ani odrobinę czarujący, gdy wziął ją w ramiona natychmiast po zamknięciu się za nimi drzwi sypialni. Był, myślała w rozmarzeniu, kiedy brutalnie zdzierał z niej suknię i rzucił ją nagą na ich łóżko - nieodparty. Jego ubranie znalazło się obok jej stroju na podłodze, a on wsunął się obok niej na łóżko, przyciskając swe ciepłe, umięśnione ciało do jej ciała.

Światło rosnącego księżyca

przedostawało się przez okna, rzucając na nich srebrną poświatę. Oparłszy się na łokciu, Asher spojrzał w twarz Juliany. - Czy wiesz - rzekł ochryple - że cały wieczór czekałem, by mieć cię taką jak teraz - nagą w moich ramionach?

Uśmiechnęła się do niego w mroku, obejmując go ramionami za szyję.

Wpił się wargami w jej usta, wygłodniały i natarczywy, jego język był ognistym ostrzem, szukającym w niej takiego samego głodu.

Odpowiedziała mu równie namiętnie. Westchnęła z rozkoszy i wygięła się, gdy jego palce odnalazły jej piersi, zaczęły

ugniatać te ciepłe, ciężkie kule i bawić się nimi.

Jej ręce też zaczęły wędrówkę, opuszczając się wzdłuż pleców Ashera na twarde pośladki i z powrotem do góry; rozkoszując się grą jego mięśni, Juliana z wolna przesuwała po nim palce. W jej żyłach krążył upajający żar, a w lędźwiach tężało słodkie napięcie, wijąc się w nich, gdy podbrzuszem ocierała się o jego podbrzusze. Czując, jak napiera na nią jego nabrzmiewająca męskość, wstrzymała oddech.

Jęknął, podniecony jej ciałem, ocierającym się o niego, po czym opuścił głowę niżej i chwycił zębami jej sutki, uśmiechając się dziko, gdy

zadrżała i wsunęła mu palce we włosy,

282

by przyciągnąć bliżej jego usta.

Sprawiając rozkosz obojgu, z bezmierną rozkoszą językiem i zębami pieścił te małe, twarde wzgórki, a ciche, ekstatyczne pomruki Juliany pobudzały jeszcze jego chęci.

Jej ciało w jego ramionach zdało mu się jedwabiście ogniste, długie, kuszące i, jak dla niego, idealnie ukształtowane. Pragnął jej, tęsknił za tą chwilą, gdy ich ciała stopią się w jedno, gdy ponownie odkryje tę potężną rozkosz, której doznaje tylko z nią. Jego żoną. Jego kochanką. Od jej namiętnej reakcji na

jego pocałunki i pieszczoty kręciło mu się w głowie, serce waliło i rozpłomieniała się w nim pierwotna żądza.

Pochwyciwszy jej biodra, przytrzymał je i wolno przesuwając językiem wzdłuż jej ciała, przez płaski brzuch aż do kędzierzawej kępki u zbiegu ud. Jęknęła i zeszywniała, gdy włożył głowę między jej uda i ustami pieścił i ocierał się o jej satynową miękkość, skrytą pod sobolową czuprynką.

- Och, Asherze - krzyknęła w gorączkowym podnieceniu - nigdy nie myślałam...

Asher uniósł głowę i patrząc na nią,

rzekł ochryple: - I dobrze. Nie myśl, mój skarbie. Po prostu czuj. - Skłonił głowę, rozchylił jej nogi i wycisnął mocny, niezwykle intymny pocałunek na odsłoniętym, delikatnym ciele.

Uczucia, dzikie, jawnie zmysłowe uczucia, przeszły ją, gdy po raz pierwszy wsunął język między jej rozwartą muszelkę. Zaparło jej dech.

To, co z nią wyczyniał, było grzeszne i rozpustne, ale nie miała sił go powstrzymać. Każdy ruch jego języka unosił ją coraz wyżej, sprawiając rozkosz, o jakiej nigdy nie marzyła. Nie przerywając rytmicznych pchnięć językiem, z wolna wsunął w nią głęboko palec, a potem drugi i Julianę oblały fale

erotycznego uniesienia.

Czując, jak krew dudni mu w uszach, a członek nabrzmiwa i napręża się, Asher walczył z własnym ciałem, gwałtownie dążącym do szczytowego momentu.

Zapach Juliany, gorący, piż-

283

mowy smak jej ciała, wijącego się pod nim, stłumione pomruki rozkoszy, które wydawała, doprowadzały go do szaleństwa i coraz szybciej i głębiej wsuwał w nią palce.

Juliana bezradnie chwyciła go za włosy i uniosła biodra ku jego wędrującym ustom, przybliżając się ku niemu,

błagając o uwolnienie od tego coraz mocniej zaciskającego się kręgu żądań jej ciała, z każdą chwilą gwałtowniej szych. Wyciągnięta sztywno, balansowała na aksamitnej krawędzi, po czym, z cichym, zdumionym okrzykiem, spadła.

Z dziką satysfakcją Asher wyczuł jej spełnienie i, wyciskając ostatni, długi pocałunek na sobolowych kędziorkach, z wolna wysunął się z niej.

Ułożywszy się obok, w świetle księżyca, wpatrywał się w twarz Juliany.

Szeroko otwarte oczy miała zamglone, minę pełną oszołomionego zdumienia. Łagodnie odgarnął jej lok czarnych

włosów z twarzy.

Zamrugła, odwróciła głowę i spojrzała na męża. Przełknęła ślinę. -

Jeszcze nigdy... - Zabrakło jej słów. Jakże zdoła wytłumaczyć te niezwykle doznania, które wstrząsnęły jej ciałem, nadal wywołując w nim drżenie?

Asher uśmiechnął się.

- Ale poczujesz to jeszcze wiele razy, bo nie odmówię sobie tej szczególnej rozkoszy.

Jej oczy stały się ogromne. - Och. - Przesunęła ręką w dół jego ciała, zatrzymując się, gdy natrafiła na

sterczący, zuchwały członek. - Ty nie...

- Nie, ja nie, ale mam zamiar - rzekł wprost, wpijając się w jej usta.

Ku wielkiej radości, lecz nie zaskoczeniu Juliany, gdy jego usta spoczęły na jej wargach, a ciało zaczęła pieścić wędrująca w dół ręka, jej zmysły rozbudziły się na nowo i tym razem, kiedy wsunął się między jej uda i zatopił w niej, w słodkim zatraceniu pograżyli się już razem.

284

Rozdział 17

Kolacja na świeżym powietrzu, wydana

w ogrodach Kirkwood w piątkowy wieczór, spotkała się z ogólnym uznaniem, a gdy pan Kirkwood w niedzielny wieczór ogłosił zaręczyny swej młodszej córki z hrabią Caswellem, wieść tę, która dla nikogo nie była zaskoczeniem, również komentowano bardzo przychylnie. Ogłoszenia tych zaręczyn spodziewano się od tygodni i tylko Kirkwoodowie znali dokładną przyczynę zwłoki.

Patrząc na Piersa i Thalię, którzy stali pośrodku małej, tonącej w kwiatkach sali balowej na tyłach domu, Juliana uznała, że stanowią piękną parę. Jasna uroda Thalii prezentowała się jeszcze bardziej olśniewająco przy ciemnym,

przystojnym narzeczonym i we dwoje tworzyli tak romantyczny obrazek, że w ich stronę biegło wiele westchnień i zamglonych spojrzeń obecnych tam pań. Gdy Piers czule pochylał głowę ku Thalii, a ona zwracała ku niemu rozjaśnioną niezwykłym blaskiem twarz, nie ulegało wątpliwości, że tych dwoje łączy miłość.

W niedzielny wieczór dom pękał w szwach od nadmiaru gości; znajdowali się w nim nie tylko ci, którzy bawili w Kirkwood, lecz przybyły też wszystkie ważniejsze osoby z okolicy, włączając w to panią Manley i jej bliską przyjaciółkę panią Sherbrook, którą zaproszono do wystawnego bufetu na

poczę-

285

stunek przed ogłoszeniem zaręczyn. Naturalnie zwracał uwagę brak jednej osoby - w tłumie elegancko odzianych biesiadników nie było markiza Ormsby'ego.

Sędzia Ripley, rozejrzawszy się po sali tuż po ogłoszeniu zaręczyn, rzucił do otaczającego go grona:

- Dziwne, że nie ma tu Ormsby'ego.

W gronie tym znajdowali się: Asher, pułkownik, a także pastor i na chwilę spojrzenia Ashera i pastora skrzyżowały

się. Pastor nie znał całej sprawy, ale był świadkiem nieprzyjemnej sceny między Ormsbym i Asherem w domu Kirkwoodów, toteż wyciągnął własne wnioski.

Zauważył również, jak pogardliwie markiz potraktował pana Kirkwooda tego wieczoru, a zatem nieobecność Ormsby'ego nie zdziwiła go.

Wpatrując się w swą kryształową filiżankę wypełnioną szampańskim ponczem, Asher odpowiedział na uwagę sędziego:

- Przypuszczalnie nie mógł przybyć - zapewne miał inne plany na dzisiejszy wieczór i nie zdołał ich zmienić.

Prawdopodobnie przebywa teraz w jakiejś odleglejszej okolicy.

-Ach, to wszystko tłumaczy - odparł Ripley, kiwając głową.

Pułkownik Denning rzucił Asherowi przenikliwe spojrzenie. Nie orientował się w sytuacji, ale wiedział, że Ormsby nigdzie nie wyjechał -

oraz że markiz nie został zaproszony na ogłoszenie zaręczyn ani na żadną inną fetę związaną ze zjazdem towarzyskim. Ormsby gniewnie mu przerwał, gdy tylko Denning napomknął, że wybiera się na przyjęcie do Kirkwoodów, a ponieważ miał się z nim spotkać później wieczorem na partyjce o wysokie

stawki, wiedział doskonale, że markiz jest na miejscu.

Denning zdziwił się, że Ormsby'ego tu dziś nie ma, lecz ponieważ bliźni zbytnio go nie obchodzili - chyba że dotyczyło to jego samego nie zaprzętał sobie tym głowy. Ale po namyśle przyznał, że to dziwne.

Ormsby posiada największe dobra w okolicy, a biorąc pod uwagę jego tytuł i bogactwo, z pew-

286

nością jest bardzo ważną osobistością. Ciekawe, że Kirkwood utarł

mu nosa.

Zwężonymi oczyma wpatrywał się w Ashera. Postawiłby garść złota, że jego pasierb wie doskonale, dlaczego Ormsby'ego dziś tu nie ma. Czy gdyby poznał przyczynę dzisiejszej nieobecności Ormsby'ego, mógłby to jakoś obrócić na swoją korzyść?

Manewrując tak, by mógł przez chwilę porozmawiać z Asherem bez świadków, Denning rzekł:

- Wiesz, sędzia ma rację, to dziwne, cholernie dziwne, że Ormsby'ego tu dzisiaj nie ma.

Asher wzruszył ramionami.

- To nie koniec świata, choć Ormsby ma inne zdanie na temat własnej wartości.

Denning zaśmiał się.

- Nigdy nie lubiłeś tego jegomościa, co?

- Ten bezczelny sukinsyn, który uważa, że świat należy do niego, nie ułatwia mi życia - odparł Asher, szczerząc się beztrosko do ojczyma, lecz w jego uśmiechu nie było wesołości. - Ale tobie jakoś jest z nim po drodze. John powiada, że odkąd przeprowadziłeś się do Różanej Doliny, jesteście parą najlepszych kompanów przy karcianym stoliku.

Teraz z kolei Denning wzruszył

ramionami.

- Gramy partyjkę jak dwóch znajomków, żeby zabić wiejską nudę.

- I niech tak już zostanie - wypalił Asher prosto z mostu. - Pilnuj się, żebyś nie napytał Johnowi jakiejś biedy tym swoim hazardem.

- To znaczy tobie? - zapytał sucho Denning. Asher skinął głową.

- No dobrze, mnie. Nigdy więcej już cię nie wyciągnę z długów.

Nigdy.

Denning pociągnął łyk ponczu. - Zbyttnio się przejmujesz, mój chłopcze - rzekł, odstawiając pustą filizankę na stojący nieopodal stół. -

Jeśli idzie o Ormsby'ego, fortuna mi sprzyja.

-Najak długo?

Denning uśmiechnął się.

- Och, tak długo, jak będę chciał.

Asher stłumił przekleństwo. Jego ojczym z pewnością szantażował

Ormsby'ego. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć pewność Denninga, że

zawsze wygra z markizem. Asher jednak, pomny dwóch londyńskich zbirów, wiedział z własnego doświadczenia, że niebezpiecznie jest robić Orms-by'emu na złość.

Próbując skierować rozmowę z powrotem na nieobecność Ormsby'ego, Denning rzekł cicho: - Nie mogę się nadziwić, że Ormsby'ego tu dziś nie ma. Myślałem, że jest przyjacielem Kirkwooda. I to bliskim. Gdy Asher nie odezwał się, ciągnął dalej: - Zdaje mi się, że skorzystałby z okazji, by złożyć życzenia wszystkiego najlepszego córce przyjaciela, która złapała jednego z najlepszych kawalerów w kraju.

Asher zrobił znudzoną minę.

- Kto wie, co myśli Ormsby? I kogo to obchodzi?

Zdając sobie sprawę, że niczego nie wyciągnie ze swego pasierba, Denning dał sobie spokój. Klepiąc Ashera w ramię, rzekł:

- Wieczór był bardzo przyjemny, ale już chyba pora, bym pożegnał

naszego gospodarza i narzeczonych i ruszył w kierunku domu.

- Na kolejną partyjkę z Ormsbym? - zapytał ponuro Asher. Denning uśmiechnął się i pogroził pasierbowi palcem.

- Jestem już dużym chłopcem, Asherze, i choć troszczysz się jak niańka o swoje rodzeństwo, o mnie nie musisz się martwić. A poza tym, dobrze się z Ormsbym rozumiemy.

288

Rzuciwszy ojczymowi ostre spojrzenie, Asher rzekł:

- Nie wiem, w co wielmożny pan gra, ale radzę być ostrożnym.

Ormsby nie zawsze zachowuje się jak dżentelmen.

-Za bardzo się przejmujesz. Potrafię o siebie zadbać. -Mrugnął do Ashera. -

Nawet tobie mogę wyświadczyć przysługę, jak przyjdzie co do czego.

Asher gniewnie zmarszczył brwi.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

Denning zaśmiał się. - Ach, wiele by o tym gadać. - I zostawiając nachmurzonego Ashera odszedł, postukując drewnianą nogą o wyfroterowany dębowy parkiet.

Aż do tego momentu Juliana i Asher posłusznie uczestniczyli w rozmaitych fetach związanych ze zjazdem towarzyskim, lecz teraz, skoro zaręczyny ogłoszono oficjalnie, a zjazd towarzyski właśnie się odbywał i wszystko

przebiegało gładko, postanowili, że po dzisiejszym wieczorze na parę miesięcy wycofają się z życia towarzyskiego. Z wyjątkiem spotkania z Marcusem Sherbrookiem, który ma przyjechać do dworu w Burnham, by odwiedzić matkę do domu, przysięgli sobie, że od tej pory nie będzie ich dla nikogo.

Uznawszy, że sprawami Thalii zajmował się aż za długo, Asher rozejrzał się w poszukiwaniu żony. Wypatrzył ją, jak stała pogrążona w rozmowie z jego babką i panią Sherbrook. Obie starsze panie siedziały na kanapie obitej ozdobną tkaniną, na drugim końcu pokoju, więc długimi krokami przebył dzielącą ich przestrzeń.

Gdy podszedł, Juliana uśmiechnęła się do niego i wymienili spojrzenia. - Mój mąż jest chyba gotów do odjazdu - rzekła.

Pani Manley skinęła głową, w jej mądrych oczach widać było rozbawienie.

- Tak, dobrze znosił cały ten rozgardiasz związany z zaręczynami Thalii, nieprawdaż?

289

Asher uśmiechnął się. - Lepiej, niż sądzicie. Lepiej, niż sądzicie. - Ujął

Julianę pod rękę i patrząc na swoją

babkę, zapytał: - Mogę liczyć, że twój stangret odstawi cię bezpiecznie do domu?

Pani Manley prychnęła. - Wiesz, mój drogi, że zanim tu wróciłeś, jakoś sobie radziłam, lecz, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, owszem, Wiggins przyprowodzi tu powóz, kiedy go będę potrzebowała. Przyjedzie z nim młody Pelton, więc dwie stare damy będą miały należyłą opiekę. A teraz uciekaj stąd - uśmiechnęła się szelmowsko - o czym właśnie marzysz.

Asher ze śmiechem pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Dzięki. Tak właśnie zrobię.

Gdy pożegnali się z jego babką i panią Sherbrook, poszli poszukać pana Kirkwooda, by życzyć mu dobrej nocy. Widząc, że Thalia i Pierś są nadal w centrum uwagi, postanowili już się z nimi nie żegnać. Pięć minut później, niczym dzieciaki uciekające ze szkoły, czmychnęli, przez drzwi, po schodach, do miejsca, gdzie były przywiązane konie i kariołka Ashera.

Asher wsadził Julianę do powozu, odwiązał konie, wsiadł z drugiej strony i zaprzęg ruszył z kopyta.

Gdy Kirkwood zniknęło w oddali, Asher odetchnął z zadowoleniem.

Rzucając spojrzenie na siedzącą obok

nego Julianę, zapytał cicho: - No i teraz powiedz, czy nie jesteś rada, że cię popędzałem do ołtarza? Inaczej sterczelibyśmy gdzieś z boku, patrząc z zazdrością i wzdychając do chwili, kiedy zostaną ogłoszone nasze zaręczyny. - Uśmiechnął się. - Nie mówiąc już o tym, że musielibyśmy spać w naszych własnych, zimnych łóżkach. Atak, jedziemy do domu, gdzie zamierzam cię zniewolić bez litości z chwilą, gdy dojdziemy do sypialni. - Przesunął po niej wzrokiem, zatrzymując się dłużej na miękkiej wypukłości piersi nad obszytym koronką stanikiem jej muślinowej sukni w groszki. - A może podjadę do jakiegoś ciemnego zakątka

pod drzewami i zaspokoję swe męskie żądze, gdzie tylko nadarzy się okazja.

Juliana oparła mu głowę na ramieniu i zachichotała. - Przestań mówić jak bohater z powieści grozy. - Zerknęła na niego. - Ale owszem, bardzo się cieszę, że ślub mamy już za sobą. Byłabym strasznie nieszczęśliwa, gdybym musiała zostać w Kirkwood i patrzeć, jak odjeżdżasz.

- Nie odjechałbym daleko - rzekł. - Tyle tylko, żeby ukryć konie, a potem wspiąłbym się do okna twojej sypialni. - Wycisnął pocałunek na jej ustach. - Działasz na mnie jak narkotyk, skarbie.

Uradowały ją te słowa, ale nadal zastanawiała się, na ile głębokie są uczucia, którymi darzy ją Asher. Czy ją kocha? Czy po prostu Juliana sprawia mu uciechę? Nadal trzymając głowę opartą o jego ramię, westchnęła. Czy jest zbyt zachłanna? Pragnie zbyt wiele?

Asher usłyszał westchnienie żony i patrząc na czubek jej głowy, zmarszczył brwi. - O co chodzi? - zapytał.

Juliana wyprostowała się lekko. - O nic - odparła. Po czym dodała niechętnie: - Chyba o to, że Thalia i Pierś wyglądają na takich zakochanych...

- Czy to źle?

- Nie. Nie. Tyle że... - Znowu westchnęła, pragnąc się wreszcie zdobyć na odwagę i zapytać, co mąż właściwie do niej czuje. Ale rzekła tylko: - Thalia pięknie dziś wyglądała, prawda?

Asher wzruszył ramionami.

- Owszem, ale zawsze uważałem, że w waszej rodzinie to ty jesteś pięknnością.

Juliana gwałtownie obróciła ku niemu głowę. - Naprawdę? - spytała bez tchu, a przez jej ciało przebiegł dreszcz zadowolenia.

- Oczywiście - odparł tonem świadczącym, że tylko prostak mógłby

myśleć inaczej.

291

Uważa, że jest ładniejsza niż Thalia? Ale, napomniała się, to nie znaczy, iż ją kocha. Spróbowała jeszcze raz. - To cudownie, prawda, że wychodzi za ukochanego mężczyznę. A Piers tak dla niej stracił głowę, że wszyscy o tym mówili. - Westchnęła. - To takie romantyczne.

Asher zdziwił się, że Julianę tak bardzo zajmuje stan uczuć Thalii i Piersa, ale nie był głupcem i już po chwili zrozumiał, co kryje się za jej westchnieniami i niezwykłą dociekliwością. Uśmiechnął się.

Naturalnie. Choć wiedział, że kocha Julianę, nigdy jej tego nie powiedział

i doszedł do wniosku, że ten stan rzeczy winien ulec zmianie. Gwałtownie zatrzymał konie na środku drogi i zwrócił ku Julianie twarz, oblaną światłem księżyca. - Wiesz, bardzo cię kocham - rzekł łagodnie.

Julianie zapało dech, wpatrywała się w męża szeroko rozwartymi oczyma, a serce tłukło jej się w piersi jak szalone. - Nnn... naprawdę?

Nn... nigdy mi tego nie mówiłeś - wyjąkała nieśmiało.

Uśmiechnął się do niej czule.

- Oddałem ci serce tak dawno, że sam już nie wiem, kiedy zakochałem się w tobie jak wariat, ale teraz jestem twój na zawsze. Tego możesz być pewna.

Czując się, jakby właśnie dostała gwiazdkę z nieba, Juliana wpatrywała się w niego bez słowa, z rozchyłonymi wargami i jaśniejącym obliczem.

- Wiedziałem to na pewno w Londynie - rzekł cicho Asher, pieścąc ją wzrokiem. Teraz miała speszoną minkę.

- Gdy byłem z dala od ciebie, uświadomiłem sobie, że nie ma dla mnie życia bez mojej Juliany. -

Ucałował ją, na długą chwilę przywierając ciepłymi wargami do jej

ust.

Konie tymczasem prychały i kołysały kariolką, zniecierpliwione zwłoką.

- Och, Asherze - wyszeptała. - Ja też cię kocham!

292

- Wiem - powiedział spokojnie.

Potrząsnął głową, czule się uśmiechając.

- A jesteś małą gąską, skoro już dawno się nie zorientowałaś, jak beznadziejnie jestem w tobie zakochany. A podobno kobiety jakoś to wyczuwają. - Znowu bacząc na konie, puścił je w kłus i zapytał sucho: - Naprawdę uważałaś, że ryzykowałem zdrowie i życie, by

odzyskać listy Thalii, wyłącznie z dobrego serca? I że ciągnąłem babkę, by odwiedziła twoją chorą siostrę, bo jestem wzorem szlachetności? -

Prychnął. - Gdybym już wtedy nie szalał za tobą, odmówiłbym uprzejmie i odjechał bez namysłu. - Ponownie zwracając na nią oczy, rzekł

ochryple: - Kocham cię, Juliano. Teraz i zawsze.

Niepomna, gdzie się znajduje, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go.

- I ja cię kocham, bardziej niż na to zasługujesz, ty potworny arogancie.

Śmiejąc się i zręcznie próbując zapanować nad rwącymi się do biegu końmi i nad wijącym się ciałem żony, zdołał we wnętrzu ciasnej kariolki posadzić sobie Julianę na kolanach. Jedną ręką prowadząc konie, drugą usadowił Julianę wygodnie na swych udach.

Przyciskał ją do siebie silnym ramieniem, a ona, tuląc się do jego piersi, obsypywała miękkimi, drobnymi pocałunkami jego szczękę i brodę, palcami targając mu włosy. - Już przedtem myślałam, że jestem szczęśliwa, ale teraz... - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Och, Asherze, czy to nie cudowne, że się kochamy?

Pochylił się i ucałował ją, długo i mocno. Gdy podniósł głowę, oddech miał nierówny i urywany. - Cudowne - powiedział zdławionym głosem, boleśnie zdając sobie sprawę, że jego sztywny członek dźga ją uporczywie w pośladki. - A teraz, obawiam się, że jeśli czym prędzej nie dowiozę nas do domu,

293

każdy, kto za parę minut będzie przejeżdżał tą drogą, dozna wstrząsu.

Głębokiego wstrząsu.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Asher i Juliana otwierali przed

sobą nawzajem swe serca, Denning i Ormsby siedzieli w przyjemnym pokoju z boku domu. Ten właśnie pokój Denning przeznaczył na swój gabinet. Był przestronny, dębowa boazeria nadawała mu męski charakter, a drzwi balkonowe wychodziły na ustronny dziedziniec, dzięki czemu mogły składać tu dyskretne wizyty pewne, hm, panie.

Denning przywiózł ze sobą z Jabłkowego Wzgórza parę rzeczy, które teraz były porozstawiane po pokoju - pokryty rypsem stół do gry w karty, parę podniszczonych, ale niezmiernie wygodnych krzeseł, stary dębowy kredens i biurko matki Ashera. Juliana zostawiła dużą, mahoniową szafę na

książki, którą Denning już wypełnił ulubionymi książkami z Jabłkowego Wzgórza. Na kredensie, na cynowej tacy, stały cztery kryształowe karafki, kilka szklanek i kieliszków, a na obu końcach kredensu znajdował się świecznik od pary. Koło jednego ze świeczników stał talerz, na którym położono trochę owoców, chleba, sera, a także nożyk do obierania. Po obu stronach balkonowych drzwi ustawiono kanapę pokrytą satyną w niebieskie paski.

Obaj mężczyźni siedzieli przy stoliku, przed nimi rozłożone były karty, a kieliszki z brandy stały w pobliżu. Rozegrali już jedną partyjkę pikiety,

którą Denning bez trudu wygrał.

Ormsby rozwalił się na krześle naprzeciwko Denninga, jego przystojna, zniszczona twarz miała ponury wyraz. Przybył już podchmielony, a podczas swojej wizyty w Różanej Dolinie często sięgał

po kieliszek.

Biorąc rozłożone przed sobą karty, Denning przerzucił je, ze wzrokiem utkwionym w Ormsby'ego.

294

- A przy okazji, chciałem ci podziękować za polecenie mi Willa

Dockery'ego. Stajenny powiada, że ten młody człowiek dobrze sobie radzi i umie się obchodzić z końmi.

Ormsby mruknął coś z niezmiennie ponurą miną.

Denning westchnął. - Coś jesteś dziś nie w humorze - rzekł cicho. -

Marnie się czujesz? - sondował go delikatnie.

Ormsby rzucił mu złowrogie spojrzenie.

-Akurat się przejmujesz! Ciebie obchodzi tylko to, żebym nadal przegrywał i napełniał ci kieszenie, gdy potrzebujesz gotówki.

Denning wzruszył ramionami i odsunął karty. - Wiesz, myślałem, że pewność wygranej będzie mi sprawiać przyjemność, ale brakuje mi dreszczyku emocji, który odczuwałem, nie wiedząc, jak się skończy każda partia - przyznał z żalem. - Nasz układ odbiera grze nieco podniety, nie uważasz?

- Nie podoba się? - wycedził Ormsby.

- Nie o to chodzi. Ciągłe wygrywanie nie jest takie fantastyczne, jak myślałem z początku.

-Czy to znaczy, że kończymy to przedstawienie? Chyba już dość

„wygrałeś”. Jeszcze ci mało? - Markiz

rozejrzał się po pokoju i z pogardą uniósł wargę na widok podniszczonych mebli. - Choć na te graty dużo nie wydałeś.

Denning uśmiechnął się. - Lubię mieć wokół siebie znajome rzeczy. -

Jego wzrok spoczął na biurku Jane. - Niektóre są dla mnie bardzo cenne.

Można powiedzieć, że zawdzięczam im szczęście.

Ormsby zauważył, w którą stronę pobiegło spojrzenie Denninga, i w jego oczach pojawił się badawczy błysk. - To biureczko przyniosło ci szczęście?

- Och nie, nie to biureczko - odparł lekko Denning - ale wiele innych rzeczy, na przykład ten kapitalny stół. Niejedną partyjkę przy nim wygrałem.

295

- I jeszcze ci mało? - zapytał Ormsby chrypliwym głosem, wbijając w Denninga twardy wzrok.

Denning westchnął i spojrzał na leżące na stole karty. - Nie, mam dość. - Zawahał się, po czym przyznał z wolna: - Sądziłem, że pieniądze starczą za wszystko, ale z przykrością stwierdziłem, że względem mojego pasierba mam też sumienie.

Ormsby zeszywniał i w jego oczach błysnęło coś niebezpiecznego. -

Mam nadzieję - rzekł, starannie dobierając słowa - że nie zrobisz czegoś bardzo, bardzo głupiego.

- Nie wiem - rzekł Denning, pociągając się za ucho. - Muszę się nad tym zastanowić. Ożenił się. Co znaczy, że w przyszłym roku o tej porze może pojawić się potomek. Pomyśl o tym, a także, co zamierzasz z tym zrobić... albo co ja będę musiał zrobić.

Z szybkością atakującego węża Ormsby rzucił się przez stół i ścisnął

Denninga za gardło. Stół przewrócił się,

obaj mężczyźni walczyli ze sobą, a krzesło Denninga wywróciło się do tyłu pod siłą napaści Ormsby'ego.

Upadli na podłogę, Denning rozpaczliwie usiłował wyrwać się z rąk Ormsby'ego obejmujących jego gardło w śmiertelnym uścisku.

Zacisnąwszy ręce wokół przegubów przeciwnika, miotał się, próbując się wyswobodzić... i schwycić oddech. Zmagając się z miażdżącą siłą rąk markiza, Denning potoczył się po podłodze, wpadając z hukiem na dębowy kredens, aż kryształowe karafki zadźwięczały od siły zderzenia.

Gdy mijały sekundy, a Denning nie mógł

zaczepnąć powietrza, przed oczami zatańczyły mu mroczki i przeszył go dreszcz strachu. Wielki Boże! Ormsby go zabija! Lecz gdy rozległo się pukanie do drzwi i głos służącego zapytał: „Jaśnie panie, czy coś się stało? Słyszałem jakiś hałas”

- walka natychmiast ustała.

Ormsby odjął ręce od gardła Denninga i odsuwając się pospiesznie, odepchnął się od podłogi i chwiejnie wrócił na swe 296

krzesło. Denning nieco dłużej dochodził do siebie, lecz zdołał się podnieść i łapczywie chwytając powietrze, niepewnym krokiem podszedł

do drzwi. Błyskawicznie poprawił fular, otworzył drzwi i rzekł, nieco zdyszany:

- Nic się nie stało. Markiz, ee...e, upadł. Wszystko w porządku.

Służący, dawny ordynans Denninga, Beckham, który pełnił u niego posługi od dziesiątek lat, znał męskie obyczaje, toteż, jako człek roztropny, skinął tylko głową.

- Rozumiem. Gdyby pan mnie potrzebował, będę na dole. Denning zamknął za sobą drzwi, przeszedł przez pokój, ustawił stół i przyjrzał się przeciwnikowi. Wiedział, że silne emocje, podsycone trunkiem, potrafią pobudzić nawet najłagodniejszego

człowieka do gwałtownych uczynków, a ponieważ nie raz uczestniczył w szalonych pijackich burdach, nie był zbyt wstrząśnięty tym, że Ormsby chciał go udusić. Ale długo jeszcze będzie pamiętał ucisk palców markiza na swoim gardle i przyszło mu do głowy, że Ormsby może być o wiele bardziej niebezpieczny niż mu się wydawało.

Postanowił wszakże nie przywiązywać zbytnej wagi do całego incydentu, ustawił krzesło jak należy i odezwał się do markiza: - Głupio się zachowałeś. - Widząc marsa na jego czole, dodał: - Cała moja służba wie, że tu jesteś. Gdyby znaleźli mnie uduszonego,

podejrzanie padłoby na jedną jedyną osobę. Na ciebie.

- Chcesz, żebym cię przeprosił? -
warknął Ormsby. - Dobrze!

Przepraszam, straciłem głowę. - Wstał raptownie i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. Z ręką na gałce obrócił się, by spojrzeć na Denninga. -

Zawarliśmy umowę. Ja ze swojej strony dotrzymuję jej. Zagroź jeszcze raz, że ją zerwiesz, a cię zabiję - rzekł z nienawiścią. Odwrócił się, zatrzasnął za sobą drzwi i zniknął.

Denning znalazł się sam w pokoju; karty leżały porozrzucane po podłodze, kieliszek spadł ze stołu i roztrzaskał się na kawałki. Major opadł ciężko na krzesło i zaczął zastanawiać się nad sytuacją. Potarł

brodę. Nie przestraszył się słów Ormsby'ego, lecz na wspomnienie jego gniewu przeszedł go zimny dreszcz. Napomniął się, że tylko głupiec macha ręką, gdy grozi mu śmierć...

Z namysłem podniósł się i postukując lekko drewnianą nogą po kasztanowatym dywanie, podszedł do biurczka żony. Grzebał w nim, aż znalazł pióro i papier, po czym, usadowiwszy się z powrotem przy stole, przy którym tak

niedawno grał z Orms-bym w pikietę, zaczął pisać. Gdy skończył, miał dwie strony zabazgrane zamaszystym, pochylonym pismem. Przeczytał je, kilkakrotnie kiwając głową, a następnie opatrzył je datą i podpisał się z zakrętasem.

Czekając, aż atrament wyschnie, podszedł do biurka żony i wyciągnął

długą górną szufladę pośrodku. Odłożył szufladę na bok i sięgnął głęboko do jamy powstałej po wyjęciu szuflady. Gmerał w niej, klął pod nosem, lecz w końcu wymacał to, czego szukał.

Uśmiechnięty, z plikiem papierów w ręce, włożył szufladę na miejsce i

podszedł z powrotem do stołu.

Wyciągnięte z biurka papiery owinał

listem, po czym zaczął się zastanawiać nad następnym posunięciem.

Z początku zamierzał włożyć papiery z listem do pierwotnej kryjówki, w końcu spoczywały tam, bezpiecznie ukryte, przez trzydzieści lat albo i dłużej. Ale jakieś przeczucie podszeptało mu, że lepiej będzie znaleźć inną skrytkę.

Pamiętał ten wyraz oczu Ormsby'ego i przyznawał, że popełnił błąd, zwracając uwagę na biurko Jane. Wiedział, że Ormsby zdolny jest do tego, by włamać się do domu i sprawdzić, czy biureczko nie kryje w sobie jakichś sekretów.

Nie, biurko odpada. Musi schować paczuszkę gdzie indziej, póki nie pojedzie do Londynu, by złożyć ją bezpiecznie w rękach swego doradcy prawnego.

Gdy rozglądał się po pokoju, jego wzrok padł na mahoniową szafę na książki. Podeszedł do niej, otworzył oszklone drzwi i spojrzał na szereg oprawnych w skórę woluminów. A może? Przesunął palcami na chybił

trafił po zielonych, żółtych i szkarłatnych grzbietach, aż zatrzymał się na potężnym tomiszczu zawierającym dzieła wszystkie Geoffreya Chaucera.

Uśmiechnął się. W sam raz.

Wyjął książkę, z talerza z jedzeniem wziął nożyk do obierania owoców i starannie wyciął tyle miejsca, by ukryć w nim pakiet. Pakiecik, owinięty listem Denninga, zmieścił się akurat w nowej skrytce. Major zamknął książkę, przyjrzał się swemu dziełu i uśmiechnął się z zadowoleniem. Na zewnątrz nie widać było najmniejszego śladu jego manipulacji. Zamknięta książka wyglądała tak jak każda inna na półce.

Wepchnął książkę z powrotem do szafy i zamknął drzwi.

Przez kilka minut wpatrywał się w masywny mebel. Nie jest to najlepsza

kryjówka, ale trudno przypuścić, by złodziejowi, nawet takiemu złodziejowi jak Ormsby, przyszło do głowy, żeby grzebać w książkach.

Rad z rezultatu swego nocnego trudu, podszedł do kredensu i nalał sobie kolejną brandy.

Usiadłszy na kanapie w niebieskie paski, sączył brandy i myślał o minionym wieczorze. Czy Ormsby naprawdę by go udusił, tu na miejscu, w jego własnym domu? Nie wierzył w to, ale był cholernie rad, że Beckham usłyszał przewracający się stół i zastukał do drzwi.

Denning wiedział, że prowadzi

niebezpieczną grę, ale aż do
dzisiejszego wieczoru nie lękał się
Ormsby'ego. Naturalnie, przyznał

cierpko, nieroztropnie było grozić mu
zdemaskowaniem ani dawać do
zrozumienia, że wycofa się z umowy. I
cze-299

go się po markizie spodziewał? Że
poklepie go dobrodusznie po plecach?
Skrzywił się, wiedząc, że wieczorem
popęłnił błąd. Nie miał

pojęcia, jakie mogą być tego
konsekwencje.

Pobiegł spojrzeniem do szafy. Powinien
był zawieźć pakiet do swego doradcy

prawnego zaraz po znalezieniu go, gdyby bowiem Denningowi coś się stało, papiery przeleżałyby w ukryciu przez następne trzydzieści lub więcej lat, a to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął. Albo Ormsby znalazłby je i zniszczył wszelkie dowody.

Gdy Denning dopił brandy, podniósł się, podszedł do kredensu i nalał

sobie następną. Stojąc tam, wpatrzył się w bursztynową głębię, jakby w niej szukał odpowiedzi. Nie znalazł.

Jest samolubnym sukinsynem, uznał wreszcie ze znużeniem, podchodząc do kanapy i siadając na niej. Gdyby los rodziny pozostawiono w jego rękach,

puściłby ją z torbami i wyrzucił na ulicę bez pensa w kieszeni, bo w głowie miał tylko następną partyjkę, następne rozdanie. A Jane? Co z nią? Zamrugał. Jego namiętność do wszelkich gier hazardowych przysporzyła jej wielu trosk i wpędziła w nędzę. Dzięki Bogu za Ashera. Denning nie wiedział dokładnie, jakim sposobem jego pasierb zdołał pozyskać tak poważne sumy pieniędzy, którymi hojnie obdarzał rodzeństwo i babkę przez te wszystkie lata, lecz podejrzewał, że lepiej jest nie wiedzieć. Chłopak miał diabelne szczęście w kartach, ale nikomu, a on chyba wiedział najlepiej, karta nie mogła iść aż tak dobrze.

Denning przyznawał, że jakkolwiek Asher to zrobił, uratował ich wszystkich, nie tylko Jabłkowe Wzgórze i rodzeństwo, ale i ojczyma. A ja mu dziękuję, myślał Denning w gorzkim zawstydzeniu, nabijając własną kabzę.

Co znowu przywiodło mu na myśl Ormsby'ego. Na ile niebezpieczny jest markiz? Na tyle niebezpieczny, by knuć morderstwo?

300

Galopując przez noc ku dworowi Ormsby, markiz robił właśnie to -

knął morderstwo. Kiedy opanował dziką wściekłość, która nim miotała, uznał

wtrącenie się służącego za szczęśliwy zbieg okoliczności. Gdyby sługa nie zastukał, popełniłby głupstwo, zabijając Denninga tam na miejscu. Byłby to czyn przyjemny, jednak niezmiernie nieroztropny - z chwilą znalezienia ciała podejrzenie padłoby na niego.

Więcej niż podejrzenie, pomyślał ponuro, wjeżdżając przez szeroką bramę dworu Ormsby. Służba Denninga wiedziała, że tam jest, i nawet gdyby niepostrzeżenie zdołał uciec z domu i ciało znaleziono by dopiero rano, bezsprzecznie byłby pierwszym podejrzanym o morderstwo. A ponieważ prawdopodobnie na ciało natrafiono by wieczorem, gdy któryś ze służących

wszedłby do pokoju podczas ostatniego obchodu domu, żeby pogasić świece i przygotować dom do nocnej pory, Ormsby nie postawiłby ani ćwierci pensa, że udałoby mu się umknąć szubienicy.

Najgorsza fala jego gniewu zdążyła już opaść, gdy rzucał wodze konia ziewającemu stajennemu, który czekał na niego przy szerokich stopniach schodów prowadzących do domu. Gdy Ormsby wolnym krokiem podążał

do swego gabinetu, myśli miał już spokojniejsze, choć nie mniej złowrogie.

Zamknąwszy za sobą drzwi, krążył po ciemnym pokoju, który oświetlała tylko

jedna mała świeca stojąca na gzymsie kominka. Kiedy spojrzął na obraz Gainsborougha, na nowo zapłonął w nim gniew.

Nie miał dowodów, ale głowę by dał, że do jego domu włamał się ten przekłety Asher Cordell. Za to samo, pomyślał jadowicie, ten człowiek zasługuje na śmierć. Zacisnął pięść, aż zbieleły mu kłykcie. Nieudolne matyły! Gdyby dobrze wykonali swoją robotę, Asher by nie żył i gnił w ciemnej mogile.

Zatrzymał się w marszu, pogrążony w myślach. Asher to utrapienie.

Denning to utrapienie. Gdyby usunął Denninga, 301

z jego kiesy od razu przestałby wyciekać strumień pieniędzy. Ale śmierć Denninga nie musi przynieść pożądanego rozwiązania sprawy i może wręcz doprowadzić do odkrycia tej właśnie rzeczy, którą pragnie ukryć. Gdyby wszakże zabił Ashera... Warknął niczym zwierzę. Asher Cordell jest źródłem wszelkich nieszczęść, jakie ostatnio na niego spadły.

Wielki Boże! Gdybyż dziś wieczorem mógł zacisnąć ręce na gardle Cordella... Ale Denning by go podejrzewał, a on nie ma zamiaru dać mu kolejnego oręża przeciwko sobie.

Zacisnął szczęki. Więc którego zabije? Denninga? Ashera? Czy obu?

Rozdział 18

Gdy Juliana i Asher spełnili najpilniejsze obowiązki towarzyskie, mogli wreszcie pofolgować swoim zachciankom - co też uczynili.

Spędzali w łóżku leniwe poranki, a po południu jeździli niespiesznie zielonymi, upstrzonymi plamami słońca alejami. W ciepłe letnie wieczory snuli się po terenach przylegających do Lisiej Nory, omawiając plany rozbudowy domu oraz zmian w urządzeniu ogrodów, jakie zamierzali wprowadzić - oraz całowali się i ściskali namiętnie w ustronnych

kącikach. A noce? Noce pełne były słodkich miłosnych złączeń i radosnej wiedzy, że za każdym razem, gdy się łączyli, każde kochało i było kochane.

Świat zewnętrzny nie wdierał się w ich zacisze aż do pierwszego sierpnia, gdy przyniesiono bilecik od pani Manley. Był późny ranek, Juliana i Asher siedzieli w ogrodzie, rozkoszując się filiżanką herbaty, gdy pojawił się Hannum z liścikiem. Isabel Sherbrook przed czasem urodziła dziewczynkę i pani Sherbrook spieszo było do domu, by hołubić swe pierwsze wnuczę. Co zrozumiałe, Marcus nie chciał

opuszczać żony i nowo narodzonej córki, ale już rankiem pani Manley

wymusiła na Johnie, by zgodził się odwieźć jej przyjaciółkę do domu.

Bab-

303

ka zaprasza ich też na wieczór na pożegnalną kolację z okazji odjazdu pani Sherbrook.

Zapoznawszy się z treścią bileciku, Asher uśmiechnął się i wyciągnął

go w kierunku Juliany.

- Pani Sherbrook urodziła się wnuczka. Julianie rozbłysły oczy i klasnęła w dłonie. -Ach, to cudownie! Musi być

bardzo przejęta.

-Ale to nie wszystko... - Westchnął teatralnie. - Wiedziałem, że to nie może tak trwać - wymamrotał pod nosem. - Najwyraźniej moja babka uznała, że już dość naszego sam na sam i żąda, byśmy stawili się dziś wieczorem w Burnham.

Juliana wyrwała mu bilecik z ręki i przeczytała go. - Możesz smęcić, ile chcesz, ale ja bardzo chętnie zobaczę się z panią Sherbrook i złożę jej przed wyjazdem życzenia wszystkiego najlepszego. - Z iskierką w oku dodała: - A co do naszego sam na sam, w domu pełnym służby i z kręcącą się wokół nas panią Rivers, nie powiedziałabym, że zażywamy samotności.

Asher uśmiechnął się. - Jesteśmy sam na sam na tyle, na ile to możliwe, nie musząc wszystkiego samemu robić. A twojej pani Rivers należy się pochwała - dodał lekko. - Jest niezwykle dyskretna. Z

wyjątkiem śniadań i kolacji prawie jej nie widać.

- Owszem, i z wielką radością prowadzi dom oraz dyryguje służbą, podczas gdy ja... zajęta jestem czymś innym - rzekła Juliana, robiąc skromną minkę. - Ta krzątanka sprawia jej tyle uciechy, że może protestować, kiedy będę chciała przejąć rządy w domu.

- Wątpię. Twoja pani Rivers to poczciwa kobiecina i jest ci oddana.

Nie sądzę, by miała ci za złe, gdybyś chciała coś zrobić w gospodarstwie.

Lubię ją.

- Miałam nadzieję, że poczujesz do niej sympatię, zwłaszcza że ona uważa cię za bóstwo, które z jakichś przyczyn zstąpiło na ziemię -

drażniła się z mężem Juliana.

304

- Hm, w takim razie muszę się pilnować
- odparł Asher z uśmiechem -

żeby nie rozwiązać jej złudzeń.

Zaproszenie od pani Manley przyszło w samą porę. Asher i Juliana zdawali sobie sprawę, że nie mogą wiecznie kryć się przed światem, i powoli zaczęli wracać na tory normalnego życia. Tego właśnie popołudnia Juliana spotkała się z paniami Lawrence i Hannum i z pomocą pani Rivers układała listę wszelkich potrzeb, by gładko sprawować ster rządów we dworze.

Choć Asher na razie z przyjemnością wiodł życie próżniacze, był

świadom, że zostawianie wszystkiego w rękach służby, rządcy i londyńskiego plenipotenta niebawem go znudzi.

Wiedział, że z natury nie jest gnuśny. Skoro po południu Juliana zajęta była domem, uznał, że przyszła pora, by dojrzeć przyszłości swych dzierżaw, i umówił się na spotkanie z rządcą, Wetherlym.

Prócz paru sadów, Asher posiadał też kilka gospodarstw wiejskich, obejmujących pastwiska, na których wypasano bydło, a z rozmowy z Wetherlym wynikało, że nie ma spójnego planu doboru ras ani hodowli trzody. Każdy dzierżawca gospodarował wedle własnego uznania, a obejrzawszy parę stad, Asher doszedł do wniosku, że można je ulepszyć.

Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie,

jak parę dziesiątek lat temu wprowadził Ormsby'emu najlepszego byka. Może wtedy właśnie zaczął się interesować bydłem? Kto wie, ale myśl ta zaczęła go coraz mocniej nurtować. Gdy wspomniał Wetherly'emu o możliwości poprawy metod hodowlanych, rządca odniósł się do tego pomysłu z pochlebny entuzjazmem.

- Och, jaśnie panie, to byłoby wspaniale! - Wetherly potrząsnął głową.

- Od dawna uważałem, że bydło opasowe w pańskich gospodarstwach można by wymienić na lepsze.

Asher zmarszczył brwi.

- Więc dlaczego, do diabła, nic mi o tym nie wspomniałeś?

Wetherly miał niewyraźną minę.

Odchrząknawszy, rzekł cicho: - Mm, byłem pewien, że wystarczy panu dotychczasowy dochód, i nie widziałem powodu, by cokolwiek zmieniać. -

Ostrożnie dodał: -

Zastąpienie teraz niektórych stad byłem lepszej rasy będzie sporo kosztować.

- Na początku - rzekł niecierpliwie Asher - ale z czasem pieniądze wydane teraz zwrócą się nam z nawiązką. -

Spojrzał przeciągle na Wetherly'ego. -

Nie zatrudniam cię tylko po to, żeby sprawy szły utartym torem - rzekł dobitnie - zatrudniam cię, by dzięki naszym wspólnym wysiłkom moje gospodarstwa i ziemie wytwarzały towar jedynie najwyższej jakości - czy idzie o trzodę, czy żywność. Nie interesuje mnie byle jaki produkt. Zrozumiano?

Wetherly ochoczo skinął głową.

- Tak jest, jaśnie panie, tak jest!

Gdy Wetherly wyszedł z gabinetu, Asher położył nogi na biurku i wpatrzył się w przestrzeń. Na wieść, że nie będzie musiał spotykać się z Marcusem, synem pani Sherbrook, gdyż opuszcza ona

Burnham, kamień spadł mu z serca.
Zważywszy, że nie będzie musiał stanąć
twarzą w twarz z człowiekiem, którego
żonę porwał w zeszłym roku, innym
okiem spojrzął na zaproszenie babki.
Może się jeszcze całkiem dobrze bawić.

Zwłaszcza gdy pani Sherbrook odjedzie.

Nigdy w życiu, przyznał z szerokim
uśmiechem, nie był tak szczęśliwy.
Przede wszystkim brakowało mu
Juliany, a skoro miał ją już u swego
boku, cała reszta ułożyła się w idealną
całość. Z radością patrzył

w przyszłość, oczyma duszy widząc przy
sobie Julianę, a u stóp liczne dowodzące
potomstwo. Porosnę w sadło, myślał z

zadowoleniem i zmienię się w rumianego staruszka, który wiecznie się chełpi i snuje opowieści, zaczynające się od: „Za młodu...”.

306

Ale na tym złotym widnokręgu widniała ogromna, bardzo czarna i złowieszcza chmura. Ormsby.

Jego pogodny nastrój prysł i Asher z westchnieniem zaczął

zastanawiać się nad Ormsbym.

Wiedział, że prędzej czy później będzie miał do czynienia z markizem, i niechętnie zdał sobie sprawę, że przez małżeństwo z Julianą problem

Ormsby'ego zszedł na drugi plan. Nie dość, że Ormsby'ego i Denninga łączy jakieś nieświęte przymierze, to fakt, że Ormsby posunął się do wynajęcia pary londyńskich zbirów, by go zabić, zmienił całkowicie dynamikę sytuacji. Przez ostatnie tygodnie chowałem głowę w piasek, przyznał niechętnie.

Choć prawdą jest, że jego myśli zaprzętała głównie Juliana, od czasu do czasu przebiegała mu przez głowę kwestia rozwiązania problemu Ormsby'ego, lecz po raz pierwszy w życiu Asher nie był pewien, jak ma dalej postępować. Nie bał się ryzyka - Bóg mu świadkiem, że przez te wszystkie lata nie raz stawiał wszystko na jedną kartę.

Ale teraz jego położenie uległo zmianie. Sprawa Ormsby'ego przywodziła mu na myśl beczkę trującej smoły, bulgoczącą na skraju ogrodu, lecz teraz nie będzie anonimowym przybyszem, który wślizgnie się tu i tam, załatwi, co ma do załatwienia, i zniknie bez śladu.

Skrzywił się. Gdyby Ormsby mieszkał gdziekolwiek indziej na Wyspach Brytyjskich, a nie praktycznie naprzeciwko jego frontowych drzwi, wiedziałby, co robić, wiedziałby, jakie podjąć kroki, i nie zostałby z tym niepokojącym uczuciem, że ma związane ręce. Ormsby znajdował

się zbyt blisko jego domu, zbyt blisko ukochanych osób. Cokolwiek w końcu

zdarzy się między nim i Ormsbym, nie może to pod żadnym pozorem dotknąć ludzi, których zawsze chronił za wszelką cenę.

Nachmurzył się. Był już nie tylko wnukiem swej babki, przyrodnim bratem swego rodzeństwa, lecz także mężem Juliany. Nie darowałby sobie, gdyby jakikolwiek jego czyn sprowadził na nią nieszczęście.

307

Zacisnął szczęki. Ale musi coś zrobić z Ormsbym. Nie może pozwolić, by kręcił się po okolicy bez przeszkód, podobnie jak nie zniósłby żmii w swoim łóżku. Gdyby tylko, myślał wściekle, ten

przeklętnik nie siedział mi wprost na progu.

Asher był zadowolony z życia, zakochany w żonie i wywietrzała mu już z głowy chęć, by dać Ormsby'emu prztyczka w nos, kradnąc jego diamenty, choć długo pieścił w duszy ten zamiar. Ale skoro markiz wynajął dwóch opryszków, wszystko uległo zmianie i przestał już rozmyślać, jakby tu markizowi jedynie dopiec... Zabiję tego sukinsyna, stwierdził beznamiętnie. I to tak, by nie doprowadzić do ruiny mojej rodziny, nie sprowadzić na nią hańby. Może pojedynek? - zastanawiał się.

Choć pojedynki były zabronione, toczono je bez przerwy, lecz zabójstwo

para królestwa skończyłoby się zapewne deportacją bądź ucieczką na kontynent... albo szubienicą. Nie uśmiechała mu się żadna z tych ewentualności.

Skrzywił się. Musi dokonać zwykłego, staroświeckiego morderstwa, przyznał ze znużeniem. I nie ma chwili do stracenia.

Parę mil dalej, w Różanej Dolinie, Denning również rozmyślał o Ormsbym, lecz morderstwa nie brał pod uwagę. Odkąd, przed ponad tygodniem, Ormsby wypadł z jego pokoju, Denning nie miał od niego żadnych wiadomości. Naturalnie był całkiem rad z takiego obrotu rzeczy, dzięki czemu mógł

rozważyć, co ma do wyboru.

Denning wmówił sobie, że bójka między nim i Ormsbym to nic nadzwyczajnego. Powtarzał raz po raz, że coś takiego często zdarza się między porywczymi dżentelmenami, zwłaszcza gdy się napiją, a temperamenta grają. Byłby ostatnim głupcem, gdyby uwierzył, że człowiek o pozycji Ormsby'ego chciał go zabić. I nie obarczał go winą - to wszak Denning mu zagroził.

308

Przypomniawszy sobie, od czego zaczęła się cała awantura. Siedząc w swym gabinecie w ten wtorkowy wieczór, wpatrywał się w mahoniową szafę na

książki, po czym wzrok jego skupił się na woluminie, który zawierał jego list i pakiecik wydobyty z biurka Jane. Jest całkiem możliwe, że Ormsby wynajmie kogoś, by włamał się do domu i poszukał

materialnego świadectwa. Może wręcz sam się na to zdecyduje. A Denning wiedział, że jeśli pakiecik dostanie się w jego ręce, markiz zniszczy go, gdy zaś zabraknie dowodu... Mój układzik diabli wezmą, po-myślał ponuro.

Postąpiłby słusznie i honorowo, gdyby oddał pakiecik Ashe-rowi, by on się nim zajął, lecz musiałby wtedy zrezygnować z władzy nad Ormsbym, co było dla niego nie do przyjęcia. Skrzywił się. To

smutne, ale prawdziwe, że cieszył się, gdy markiz tańczył jak mu zagrał. Miła była świadomość, że może czerpać do woli z ogromnej fortuny Ormsby'ego...

póki nie stanie się zbyt zachłanny.

Ale wszak kiedyś, powiedział sobie wielce szlachetnie, zaznajomi Ashera z zawartością pakiecika. Kiedyś... ale jeszcze nie teraz.

Choć początkowo zamierzał pojechać do Londynu i bezpiecznie złożyć pakiecik w ręce doradcy prawnego, dni mijały, a on się ociągał. Po co ten pośpiech? - zadawał sobie pytanie. Nieprzyjemny incydent z Ormsbym to wyjątkowy wyskok. W istocie wcale nie wierzył, że

jego życie jest w niebezpieczeństwie, nieprawdaż? To niedorzeczne. Ze strony markiza nic mu nie grozi, toteż nie musi pędzić do Londynu. Poza tym, bardzo dobrze czuł się w nowym domu.

Przypomniawszy sobie, że w Londynie o tej porze jest gorąco i brakuje miłego towarzystwa. Och, zapewne dobrałby paru znajomków z Gwardii Konnej do przyjacielskiej partyjki, lecz teraz nawet najskromniejszy członek wyższych sfer wyjechał

309

na wieś. We wrześniu, gdy zacznie się „mały sezon”, będzie znacznie lepiej.

Lecz choć tak się ociągał i usiłował zatrzeć w pamięci ten moment, gdy palce Ormsby'ego zacisnęły mu się na gardle, nie zdołał całkiem pozbyć się wrażenia, że markiz jest, być może, znacznie bardziej niebezpieczny, niż chciałby wierzyć. Trapiła go też myśl, że Ormsby wykradnie mu dokumenty, przemyślał zatem swoją decyzję.

Tamten zapewne nie ma pojęcia, gdzie Denning umieścił papiery, mógł wszak schować je gdziekolwiek w domu. Pomny, że Ormsby dłużej zatrzymał spojrzenie na biurczku Jane, Denning podniósł się i podszedł

do szafy na książki. Nawet gdyby Ormsby rozerwał biurczko Jane na

kawałki, nie znalazłby tego, czego szukał, lecz gdyby nie znalazł tego tam, logicznie biorąc, zacząłby szukać innej skrytki. Czy intruz szukałby dalej w tym pokoju, czy też uznałby, że dowód znajduje się w innej części domu? Paczuska była schowana, ale czy na tyle dobrze, by nie wypatrzyło jej czujne oko złodzieja?

Coraz bardziej niepewny swej kryjówki, Denning otworzył

biblioteczkę i wyjął dzieła Chaucera. Dzierżąc je w dłoniach, potrząsnął głową. Musi znaleźć lepsze miejsce.

Z książką w ręce wyszedł z gabinetu i z

wolna ruszył schodami do sypialni. Wysunąwszy szufladę nocnego stolika o marmurowym blacie, delikatnie umieścił w niej książkę. Mało prawdopodobne, by złodziej wykradł ją, skoro Denning będzie spał zaledwie parę cali dalej, a więc przez noc nie położy na niej łap. Gorzej w dzień nie może wszak bez przerwy chodzić z książką w ręce. Przez parę dni może trzymać ją w pobliżu, ale potem...

Westchnął. Choć mu to nie w smak, będzie musiał pofatygować się do Londynu. Jutro o pierwszym brzasku wyśle do stolicy Beckhama z bagażem i listem do prawnika, w którym

uprzedzi go o swym rychłym przybyciu, a sam niespiesznie podąży za służącym w czwartek i spotka się z doradcą prawnym w piątek po południu.

Dopiero gdy dokładnie ułożył sobie w głowie plan działania, przyznał, że mu ulży, gdy nie będzie miał dowodu w rękach... ostrzeże też Ormsby'ego, że polecił swemu prawnikowi, by w razie jego śmierci natychmiast otworzył pakiet. Tamten zatem nie ośmieli się go tknąć.

Uśmiechnął się. Markiz dołoży wszelkich starań, by major był zdrow jak ryba, w przeciwnym bowiem razie...

Skoro Ormsby wkręcił Williego Dockery między służbę w Różanej Dolinie, dowiedział się o planowanej podróży pułkownika do Londynu parę godzin po wyjeździe Beckhama następnego ranka. Z zamyśloną miną rzucił Dockery'emu monetę i kazał mu wracać do posiadłości Denninga.

Spacerując po słynnym ogrodzie kwiatowym, zasadzonym jeszcze przez matkę, którą ledwo pamiętał, Ormsby uśmiechał się do siebie. Musi po prostu przyczać się i czekać, co wystawiało jego cierpliwość na ciężką próbę, ale zawsze wiedział, że prędzej czy później Denning się zdradzi. I wyszło na jego. Pułkownik wpadnie mu w ręce jak

dojrzała śliwka.

Nie raz od owego fatalnego dnia, gdy Denning powiedział mu o swym znalezisku, Ormsby dochodził do wniosku, że jego problem można rozwiązać tylko w jeden sposób. Gdyby Asher Cordell już nie żył...

Skrzywił się. Z wielką przyjemnością zabiłby Ashera, lecz w końcu uznał, że to z Denningiem trzeba rozprawić się jak najprędzej. Z czasem załatwi też tego bezczelnego sukinsyna Ashera, lecz Denning jest pierwszy w kolejce...

Od początku Ormsby miał do załatwienia dwie sprawy. Musi zabić Denninga i zdobyć te przeklęte papiery.

tażystę i zniszczy dowody, wszystkie jego zmartwienia znikną jak puch mlecza zdumuchnięty przez wiosenny wietrzyk. W jego oczach pojawił się brutalny błysk. Nie żałował prawie żadnego postępu, jakiego dopuścił się w życiu, nie mógł tylko przeboleć, że przed paroma dziesiątkami lat nie udusił Jane Manley.

Z wysiłkiem oderwał myśli od spraw, na które nie miał żadnego wpływu, i skupił się na bieżącej sytuacji. Zabicie Den-ninga nie nastrecza najmniejszych kłopotów, trudniej będzie znaleźć listy Jane i całą resztę.

Denning mógł schować dowody wszędzie, a po jego śmierci Ormsby nie będzie miał pojęcia, gdzie i kiedy świadectwa jego zdrady wypłyną.

Uznał ponuro, że równie dobrze mógłby przez resztę życia stać przed armatą, czekając, aż zapłonie lont.

Zacisnął pięść. Nie zamierzał spędzić swych dni w niepewności, czy aby ktoś inny nie znajdzie dowodu, który okaże się dla niego bardzo, ale to bardzo nieprzyjemny. Od samego początku przemyślał, czyby nie włamać się do Jabłkowego Wzgórza, a potem do Różanej Doliny i nie przetrząsnąć owych domostw w poszukiwaniu papierów, lecz zdawał

sobie sprawę, że skoro nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie Denning je trzyma, nic z tego nie będzie - a Denningowi napędzi stracha. A więc przeżywał ataki straszliwej wściekłości, cierpiał dotkliwe upokorzenie oraz znosił szantaż pułkownika.

Poczuł się nieco spokojniejszy. Ale teraz, napomniał się, znowu uśmiechnięty, to wszystko się skończy. O tej porze roku podróż Denninga do Londynu może mieć tylko jeden cel - złożenie papierów Jane w bezpieczniejszym miejscu. Ormsby niemal roześmiał się w głos. Gdy w czwartkowy wieczór zajdzie słońce,

skończą się jego kłopoty. Z

pewnością bez trudu zdobędzie te przeklęte, po stokroć przeklęte dowody, które Denning odkrył na jego nieszczęście. Znając ściganego przeciwnika,

312

Ormsby wiedział, że Denning nikomu nie powierzyłby tych dokumentów - będzie je miał przy sobie. A tym razem markiz sam się wszystkim zajmie...

Ormsby miał rację - Denning rzeczywiście wziął papiery ze sobą.

Nadal ukryte w książce Chaucera,

zostały zapakowane do małej, czarnej skórzanej walizki, która stała na podłodze dwukółki tuż przy jego stopie.

Denning wyruszył niespiesznie późnym rankiem w czwartek. Podróż odbywał eleganckim czarno-purpurowym powozem, zaprzężonym w rozbrykanego szarego ogiera, którego pułkownik nabył zaledwie przed paroma tygodniami. Powszechnie było wiadomo, że Jingo jest narowisty.

Pastor i sędzia przestrzegali Denninga przed dzikim usposobieniem zwierzęcia, lecz pewny swych umiejętności pułkownik, przedkładając ognistego rumaka nad spokojniejszego wierzchowca, z niecierpliwością czekał

sposobności do sprawdzenia charakteru siwka.

Pędząc pod zielonym sklepieniem dębów, buków i jesionów, którymi wysadzona była wiejska droga, pułkownik spodziewał się jazdy przyjemnej i bez przygód. Znał wygodną gospodę kilka mil po drodze do Londynu, gdzie zamierzał przenocować, nim następnego ranka ruszy do stolicy. W gospodzie usługiwała pulchniutka dziewczeczka, która w przeszłości okazywała się bardzo pomysłowa i przychylnie usposobiona do pułkownika, a nie widział powodu, dla którego dziś wieczorem miałaby być mniej względem niego łaskawa.

Jechał z uśmiechem na ustach, radując się płynnym, wyciągniętym kłusem Jinga - i usiłowaniami siwka, by przegryźć wędzidło, gdy jakieś sześć mil dalej wzięli zakręt i napotkali samotnego jeźdźca. Denning odrobinę mocniej ściągnął lejce, usiłując utemperować entuzjazm konia, rosnący w miarę jak zbliżali się do nowo przybyłego na wąskiej drodze.

313

Siwek ostro zaprotestował przeciwko ściągnięciu lejców. Posłusznie zwolnił kroku, lecz odrzucił łeb, usiłując pozbyć się uzdy, omal nie stanął

dęba i ogólnie dawał poznać, że nie jest

zadowolony.

Skupiony na koniu, Denning nie zwracał zbyt dużej uwagi na zbliżającego się jeźdźcę i dopiero gdy tamten zrównał się z dwukółką, poczuł pierwszy dreszcz niepokoju. Było coś... czarny kapelusz z szerokim rondem, naciągnięty tak nisko, że prawie skrywał twarz nieznanego? Ciężki, ciemny, maskujący figurę płaszcz w ciepły, słoneczny dzień?

Gdy konny podjechał do dwukółki, mimo całej tej przebieranki Denning go rozpoznał. Ormsby. Przeszył go dreszcz trwogi i nie bacząc na błazeństwa Jinga, upuścił rzemień lejcy i sięgnął po mały pistolet, który nosił w kamizelce pod elegancką marynarką w kolorze

butelkowej zieleni.

- Nie bądź głupi! - syknął Ormsby, wymierzając w niego pistolet. - Nic ci nie zrobię... ale musimy pogadać.

Widok lufy skierowanej w jego pierś sprawił, że Denning na chwilę zastygł. - Jesteś głupcem - warknął - jeśli myślisz, że w to uwierzę!

Mierzysz we mnie z cholernego pistoletu.

- Tylko by skłonić cię do współpracy - rzekł Ormsby, pospiesznie rozglądając się dookoła, by się upewnić, że drogą jest pusta. Był to dzień targowy i choć o tej porze większość gospodarzy

zdążyła już wrócić do domu ze sprawunkami, zawsze paru maruderów dopiero teraz wolno ciągnęło z powrotem.

- O tym nie ma mowy - odparł Denning, powoli sunąc palcami w kierunku pistoletu. - A teraz zabieraj się.

Znaleźli się w martwym punkcie. Denning nie zamierzał ustąpić, a Ormsby nie chciał go zabić w miejscu publicznym, choć zaplanował to morderstwo... gdy tylko zaciągnie Denninga do małego, ustronnego wąwozu nieopodal, za drzewami porastającymi drogę. Wpatrywali się w siebie długo i z napięciem.

Ponieważ Denning trzymał w ręce tylko jedną lejcę, Jingo robił się coraz bardziej nerwowy, jego kopyta wybijały niecierpliwy rytm na drodze, a łbem bezustannie uderzał o puszczonej wolno drugi rzemień -

katastrofa wisiała na włosku. Dwukółka chybotwała się od gwałtownych ruchów wierzchowca i Denning wiedział, że siwek za chwilę rzuci się do przodu.

Obu mężczyzn dobiegł słaby, ale wwiercający się w uszy dźwięk zza zakrętu, a gdy stawał się coraz głośniejszy, Ormsby zerknął niepewnie w tamtym kierunku. Chwilę później

zorientował się, co to za hałas - świnie.

Kakofonia pisków i chrumkań niosła się coraz donośniej, a oczom obu mężczyzn ukazało się kilka dużych, rudych świń. Ormsby zaklął pod nosem. Tego właśnie było mu potrzeba -przekłętego gospodarza, który pędzi do domu kupione na targu świnie.

Gdy tylko Ormsby spuścił wzrok z Denninga, palce pułkownika zacisnęły się na pistolecie i jednym szybkim ruchem wyciągnął go z kieszeni. Kątem oka Ormsby dostrzegł, co się święci, i znowu zwrócił

całą uwagę na Denninga, akurat gdy broń tamtego wypaliła.

Ormsby instynktownie strzelił w odpowiedzi. Denning spudłował, lecz Ormsby trafił celu. Lejca wypadła z ręki Denninga, który jęknął, chwytając się za pierś, a na jego białej, lnianej koszuli i płowożółtej kamizelce rozlała się przerażająca plama krwi.

Do wymiany strzałów doszło, gdy pierwsze świnie znajdowały się już o parę stóp od dwukółki, więcej wyłaniało się zza zakrętu, a ich śladem kroczyło dwóch gospodarzy. Pisk, chrząkanie i strzały to za wiele jak na Jinga, który stanął dęba, skoczył do przodu i pogalopował drogą, jakby ścigało go stado wilków. Z tyłu za nim trzepotały w powietrzu lejce.

Ormsby rzucił udręczone spojrzenie za znikającą dwukólką i klnąc zjadliwie, wsunął pistolet za pas spodni, obrócił koniem 315

i rzucił się do lasu. Za wszelką cenę pragnąc oddalić się od miejsca strzelaniny, Ormsby dźgał konia ostrogami, zmuszając go do szalonego galopu i przylgnąwszy do jego grzbietu, mknął pod drzewami.

Ujechawszy milę od drogi, przypomniał sobie o kapeluszu i płaszczu.

Drżącymi palcami ściągnął i odrzucił kapelusz. Za nim poszedł płaszcz, który spadł, tworząc czarny kopczyk u podnóża potężnego starego dębu.

Serce waliło mu w piersi jak szalone, z trudem łapał oddech, gdy przemykał przez leśną gęstwinę. Po raz pierwszy w życiu, które do tej pory szczydziło mu trosk, czuł takie przerażenie; kręciło mu się w głowie, bał się śmiertelnie, że mógł zostać rozpoznany. Czy właściciele świń widzieli go na tyle wyraźnie, by wskazać później, że to on? Czy po okolicy rozeszła się już wieść, że markiz Ormsby z zimną krwią zastrzelił

pułkownika Denninga? Czy ruszy za nim pościg? Wielki Boże, jakże to wszystko mogło tak pójść na opak?

Ale gdy parę minut później wyłonił się z lasu, zaledwie pół mili od dworu

Ormsby, zdążył już wziąć się w garść. Ten pierwszy, obezwładniający spazm paniki minął i markiz zaczął myśleć logicznie.

Napomniiał się, że zniknął w lesie już po paru sekundach. Hodowcy świń byli spory kawałek dalej, gdy zjeżdżał z drogi, mogli tylko przelotnie dojrzeć jeźdźca i konia. Czarny kapelusz i płaszcz skutecznie zasłaniał jego twarz i skrywał sylwetkę oraz ubranie. Jechał na zwykłym gniadym wałachu, który niczym się nie wyróżniał. Markiz wybrał go rano właśnie z tego powodu.

Z każdą chwilą czując się pewniej, oddał konia stajennemu, nie zdradzając

niepokoju, który nim miotał. Gdy doszedł do domu, oznajmił

kamerdynerowi, że nie ma go dla nikogo, i zniknął w swoim gabinecie.

Nie bacząc na porę dnia, nalał sobie kieliszek brandy, klnąc, gdy zauważył, że drżą mu palce. Nie zakręcił jak zwykle bur-

316

sztynowym płynem w kryształowym kieliszku, by napawać się idącym do głowy aromatem, lecz od razu łyknął potężny haust.

Gdy przyjemne ciepło, idące od gardła

do piersi, przestało go już rozgrzewać, głęboko wciągnął powietrze i rozejrzał się po swym eleganckim pokoju. Nie ma się o co martwić. Jest wszak Ormsbym.

Dlaczego ktokolwiek miałby wiązać go z czymś budzącym taki niesmak, jak pospolite morderstwo na wiejskim gościńcu? A poza tym, kto uwierzyłby parze ciemnych wieśniaków wobec słowa potężnego markiza Ormsby? Cóż za nedorzeczny pomysł.

Czując w żołądku przyjemne ciepło brandy, spojrzął na swe położenie weselszym okiem i znalazł powody do zadowolenia. Przynajmniej ma spokój z tym uprzykrzonym Denningiem. Nie będzie już musiał się nim przejmować.

Lecz Denning, uświadomił sobie z niechęcią, to tylko jeden z jego kłopotów...

Lodowaty prąd przebiegł mu po krzyżu. Denning nie żyje, lecz papiery Jane są gdzieś u niego. Nie wiadomo gdzie.

Jingo przebiegł prawie cztery mile, zanim jakiś zaprzęg pojawił się na drodze. Początkowo galopował na złamanie karku, potem zwolnił do nierównego cwału, a teraz spocony ogier wolno zbliżył się do jadącego ku niemu wozu.

Pani Birrel wracała ciemnozielonym wozem z targu do domu.

Towarzyszył jej Perkin, stajenny z plebanii, który pomagał nosić zakupy i siedział koło niej na wozie. To on rozpoznał Jinga.

- To nowy koń pułkownika! - krzyknął, widząc, jak wierzchowiec wędruje bez celu po gościńcu.

Gdy mu się lepiej przyjrzel, dostrzegł ciągnące się po ziemi lejce i zaraz zwrócili oczy ku pasażerowi dwukółki. Podczas szalonej jazdy Denning przewrócił się na bok, ramię mu zwisło, a ręka spoczywała bezwładnie na małej, czarnej walizeczce na podłodze dwukółki.

- O Boże! Złap to zwierzę, zanim ucieknie! - nakazała pani Birrel, gwałtownie ściągając lejce własnemu koniowi - miłej, łagodnej kasztance

- by ją zatrzymać.

Perkin zsunął się z wozu i z wolna podszedł do konia, lecz teraz nie było się czego obawiać, Jingo przestał szaleć już jakiś czas temu. Siwek stał spokojnie, gdy Perkin podszedł do niego i ostrożnie chwycił za uzdę.

Chwilę później trzymał lejce w dłoniach, a Jingo stał potulnie obok.

Pani Birrel wysiadła z wozu, przywiązała kobyłę do drzewa na skraju

drogi i pospieszyła do dwukółki. Z pozycji Denninga wynikało jasno, że stało się coś strasznego, lecz pani Birrel przypuszczała, że może został

rażony apopleksją. Ponieważ nie odpowiedział, gdy zawołała go po imieniu, kazała Perki-nowi mocno trzymać siwka, podgarnęła dół sukni i ostrożnie weszła do dwukółki.

Delikatnie uniosła Denninga i aż jej dech zaparło na widok jego przesiąkniętej krwią koszuli i kamizelki. Wielkimi oczami spojrzała na Perkina, który z ciekawością zaglądał zza grzbietu Jinga.

- Zjedź dwukółką z drogi i przywiąż

konia do drzewa - poleciała spokojnie, choć obleciała ją trwoga. Trupio blady pułkownik spoczywał

nieruchomo i bezwładnie obok niej w dwukółce. Pani Birrel obawiała się, że nie żyje, a po ilości krwi, która zalała jego ubranie, zorientowała się natychmiast, iż pułkownik padł ofiarą zbrodni.

Perkin ustawił dwukółkę na skraju drogi i starannie przywiązał Jinga do młodego dębczaka. Pani Birrel zastanawiała się nad następnym posunięciem, gdy doszedł ją hałas nadjeżdżającego pojazdu.

Pani Birrel obejrzała się i ku swej uldze poznała powożącego kabrioletem, który

ciągnęła para gniadoszy. Był to sędzia w towarzystwie żony.

318

Jeszcze zanim pani Birrel go zawołała, sędzia Ripley zorientował się, że coś jest nie w porządku. Zatrzymał konie przy dwukółce Denninga i głośno krzyknął:

- Czy coś się stało, pani Birrel? Możemy w czymś pomóc?

- Och, panie sędzio! Bogu dzięki, że się pan tu zjawił! - odparła wielce poruszona pani Birrel. - Chodzi o pułkownika Denninga, obawiam się, że ktoś go zabił!

- Na Boga! Niech pani nie mówi takich rzeczy - zakrzyknął

wstrząśnięty sędzia.

Nastąpiło wielkie poruszenie. Perkina wysłano do wioski wozem Birrelów, by odszukał medyka i czym prędzej go przywiózł. Sędzia zatrzymał swój powóz na skraju drogi przed dwukółką Denninga i wraz z żoną szybko wysiadł z kabrioletu. Kiedy szybkim krokiem podeszli do dwukółki, na własne oczy ujrzeli, ile krwi wypłynęło z piersi pułkownika.

Cała trójka, wstrząśnięta, wymieniła spojrzenia.

Wystraszył ich stłumiony dźwięk, który nagle wyszedł z ust rzekomego trupa, i ku ich zdumieniu i przerażeniu, Denning otworzył

oczy. - A... szerzę. Musisz - wymamrotał słabo. Wstrząsnął nim dreszcz, z trudem zaczerpnął oddechu i zaczął znowu: Aszerze, musisz... - Denning zamknął oczy, zdało się, że przestał oddychać, lecz straszliwym wysiłkiem znowu otworzył oczy i rzekł słabo: - Towiersz... szosa....

Pani Birrel próbowała go uciszyć, przerywając natychmiast:

- Niech pan oszczędza siły. Medyk jest w drodze. Utkwiwszy błagalny wzrok w

pani Birrel, nie usłuchał jej.

- Skrzywdziłem go... - wykrztusił z wysiłkiem. - Or...by...

- Zebrał gasnące siły i, z trudem łapiąc dech, rzekł: - Powiedz Asherowi. Powiedz Asherowi... - Głos uwiązał mu w gardle, zamrugał i zamknął oczy.

Minęła minuta, potem druga i nagle spojrzął na nich po raz ostatni. -

Powiedz mu! - krzyknął i wyzionął ducha.

319

Wszyscy milczeli przez chwilę w

oszołomieniu, po czym pani Birrel pochyliła się i bardzo delikatnie przyłożyła palce do przegubu pułkownika. Spojrzała na sędziego i rzekła:

- Nie żyje. Ktoś go zabił.

320

Rozdział 19

Wieść, że pułkownik Denning został zabity na spokojnym wiejskim gościńcu i że dwaj miejscowi gospodarze widzieli jego mordercę, lotem błyskawicy obiegła okolicę. Od najskromniejszego wieśniaka po najznamienitszych posiadaczy ziemskich, wstrząsająca

śmierć pułkownika była tematem rozmów w domach, na polach, w każdej tawernie i gospodzie w hrabstwie. Wszyscy mówili tylko o tym.

Szlachcic zabity w biały dzień na drodze publicznej! Zastrzelony! W

tej okolicy nic podobnego nie zdarzyło się od dziesiątek lat. Ostatni skandal wybuchł tu dwadzieścia lat temu, gdy siostra bogatego ziemianina, pana Lockheeda, zrujnowała swą reputację, uciekając z miejscowym przemytnikiem, w którym się zakochała. Nie szczędzono wówczas języków, lecz powszechnie przyznawano, że nie ma porównania między małżeństwem pary zbiegłych kochanków, choć to tak szokujące

wydarzenie, a zabiciem pułkownika. Wyciągnięto nawet tragiczną śmierć Vincenta Beverleya sprzed ponad trzydziestu lat i znowu o niej plotkowano. Naturalnie śmierć młodego Beverleya była tylko nieco podejrzana, podczas gdy Denninga zamordowano z zimną krwią!

321

Z powodu okoliczności zgonu pułkownika Denninga jego pogrzeb przyciągnął znacznie większe tłumy, niż gdyby zmarł z przyczyn naturalnych. Z twarzą ponurą, pełną napięcia, świadom spojrzeń i szeptanych komentarzy ciekawskich gapiów, gdy składano jego

ojczyzna do grobu na wiejskim cmentarzu, Asher wycedził pod nosem do Juliany:

- Nie mają nic innego do roboty? Tylko gawronić się i wytrzeszczać gały?

By uspokoić narastający w nim gniew, położyła mu rękę na ramieniu i wyszeptała:

- Przecież to nie na złość. Twój ojczym cieszył się sympatią w okolicy.

Ludziom podobał się jego bezpośredni sposób bycia. Wielu przyszłoby tutaj, nawet gdyby umarł w sposób naturalny.

Wziął głęboki oddech i przytaknął,

powściągał bezsilną wściekłość, która się w nim gotowała. Popatrzył na udręczone twarze brata i sióstr stojących z drugiej strony grobu i uczucie niemocy i wściekłości jeszcze się w nim nasiliło. Odkąd pamiętał, chronił ich, ale nic nie mógł poradzić na ich smutek i stratę najbliższej osoby, co jeszcze zwiększyło jego bezsilny gniew. Choć posłali zawiadomienie Robertowi, który walczył

Bóg wie gdzie na kontynencie, wiedzieli, że nawet gdyby dostał urlop, co jest bardzo mało prawdopodobne, zapewne nie mógłby tu przybyć i Asher cierpiał również za tego młodszego brata, który musiał samotnie znosić ten

straszliwy ból. Nagła śmierć ojca, tak gwałtowna, była straszliwym wstrząsem dla całej rodziny. I Asher przyznał ponuro, że mimo wszystkich wad, na swój sposób, Denning kochał swe dzieci. Im wszystkim będzie go brakować, jego jowialnego sposobu bycia i czułości.

Ku swemu zaskoczeniu, Asher stwierdził, że on również opłakuje odejście człowieka, którym, jak mu się wydawało, gardził. Mógł czuć niechęć do Denninga, mógł żywić urazę do

322

tego mężczyzny, który przez swą nierozwagę przyprawił o tyle bólu i

rozpaczy jego matkę i zupełnie nie dbał o przyszłość swych dzieci, lecz nawet w najczarniejszej godzinie nigdy nie życzył mu śmierci. Chciał, by ojczym się zmienił. Stał się innym człowiekiem. Bardziej odpowiedzialnym, owszem. Ale nie życzył mu śmierci. A już nigdy z ręki mordercy.

Ciężko przeżył śmierć Denninga, czuł się zdruzgotany, a w miarę upływu czasu po raz pierwszy zrozumiał, że mimo całej niechęci i pogardy dla tego człowieka, kochał go też na swój sposób. Zdając sobie sprawę, że Denning również kochał swoje dzieci - na swój sposób -

wykrzywił wargi. A może w sumie nie

różnił się tak bardzo od swego ojczyma.

Po pogrzebie rodzinę czekało jeszcze zapoznanie się z ostatnią wolą zmarłego. Testament Denninga był prosty, spisał go parę dni po zakupieniu Różanej Doliny i dokument nie krył żadnych niespodzianek.

Jak John i Asher wiedzieli, Różana Dolina miała przypaść Robertowi.

Denning nigdy nie dysponował większą gotówką, a ponieważ był córek był zabezpieczony, John gospodarował na Jabłkowym Wzgórzu, a Asher zawsze umiał zadbać o siebie, resztę dobytku pułkownik rozdzielił

między dzieci i pasierba. Ashera
wzruszyło, że Denning przypilnował, by
biurko Jane przypadło właśnie jemu.
Jeden zapis, który pułkownik dodał

na dzień przed śmiercią, był zaskakujący
- swą niewielką bibliotekę przekazał
Asherowi. Zdziwiło go to, gdyż nie był
wielkim miłośnikiem książek, ale nie
przywiązywał do tego wagi. Nie
rozumiał ojczyma za życia, dlaczego
miałby wnikać w jego intencje po
śmierci?

Martha i Elizabeth z mężami zatrzymały
się u Johna na Jabłkowym Wzgórzu
jeszcze na parę dni po odczytaniu
testamentu. Wraz z Asherem i
Julianą przeglądały rzeczy Denninga i

pocieszały się nawzajem. W

poniedziałek rano, jakieś jedenaście dni po zamordowaniu pułkownika, obie córki pożegnały się ze

323

łzami i odjechały do domu w towarzystwie mężów. Asher, stojąc na podjeździe dworu na Jabłkowym Wzgórzu wraz z Julia-ną, Johnem i panią Manley, z mieszanymi uczuciami patrzył, jak odjeżdżają dużym podróżnym powozem. Poczował ulgę, że już nie będzie widział obok siebie smutnych twarzy, łez, nie będzie wysłuchiwał przygnębiających pytań...

pytań co do śmierci Denninga, na które nie potrafił odpowiedzieć, ale jakaś cząstka jego duszy cierpiała z powodu ich wyjazdu.

Gdy powóz zniknął za zakrętem i został po nim tylko kłęb kurzu, cała czwórka z wolna wróciła do domu. Niewiele rozmawiali ze sobą po drodze, a gdy dotarli do frontowego salonu, każde podążyło albo do krzesła, albo do kanapy z końskiego włosia, obitej grubym, płowobrazowym aksamitem w wytłaczane wzory.

Pani Manley, o twarzy zmęczonej i markotnej, wyraziła uczucia wszystkich. - Rada jestem - wypaliła bez ogródek, jak to miała w zwyczaju - że ta

potworna udręka jest już za nami i wracamy do normalnego życia.

- Nie mogę uwierzyć, że go już nie ma - rzekł John ochryple, patrząc przed siebie mętnym wzrokiem, w którym kryło się cierpienie. - Ciągle myślę, że usłyszę jego konia, a on wejdzie wielkimi krokami przez drzwi i rzuci jakiś żarcik albo opowie wesołą historyjkę.

Pani Manley skinęła głową. - Czułam to samo, gdy odeszła od nas wasza matka. Ciągle myślałam, że usłyszę jej głos albo śmiech, że wejdzie do pokoju, by opowiedzieć mi o jakiejś psocie, spleatanej przez któreś z dzieci... albo jacy jesteście mądrzy. - Z miną pełną

łagodności dodała: - Wiem, że to żadna pociecha, ale ból stopniowo mija i za jakiś czas zaczniesz o nim myśleć bez tej dręczącej pustki w sercu. Zawsze będzie ci go brakowało, tak jak nam wszystkim nadal brakuje waszej matki, ale czas naprawdę leczy rany.

324

- Dasz sobie radę? - zapytał Asher, patrząc badawczo w twarz brata.

John uśmiechnął się krzywo. - Wiem, że masz inne zdanie, ale jestem dorosłym człowiekiem i starszy brat nie musi mnie hołubić. - Widząc cierpki uśmiech Ashera, dodał: - Nic mi nie będzie. Ale gdy tak wszystko urządzę, żeby

gospodarstwa przetrwały parę tygodni beze mnie, pojedę do Brighton na parę tygodni, żeby popatrzeć na błazeństwa księcia regenta.

Asher skinął głową, uznając, że wyjazd z Jabłkowego Wzgórza dobrze Johnowi zrobi - znajdzie się daleko od ciekawskich spojrzeń i szerzących się plotek.

Obecnie władze i cała okolica były zdania, że jakiś obcy, być może grasujący akurat na gościńcu rozbójnik, zabił nieszczęsnego starego pułkownika. W hrabstwie panoszyło się sporo łotrów, lecz wedle powszechnego przekonania żaden miejscowy nie dopuściłby się tak niecnego postępuku.

Po morderstwie ojczyrna Asher nie miał głowy do niczego prócz żony.

Pocieszał jak mógł rodzinę i zajmował się wszelkimi sprawami związanymi ze śmiercią bliskiej osoby. Lecz po odjeździe sióstr uznał, że teraz jego głównym obowiązkiem jest pomszczenie śmierci ojczyrna.

Z chwilą, gdy Asher usłyszał o zabójstwie, wiedział, jakby oglądał to na własne oczy, że Denninga zamordował Ormsby. I wcale nie wyciągał

pochopnych wniosków. Ze wszystkiego, czego się dowiedział o stosunkach

łączących Denninga z Orms-bym, nasuwał się nieodparty wniosek, że pierwszy szantażował drugiego. Zgodnie z rozumowaniem Ashera Ormsby, jako ofiara szantażu, miał potężny motyw, by pragnąć śmierci pułkownika. A ze swego własnego doświadczenia z londyńskimi zbirami wiedział, że markiz jest zdolny do morderstwa. Żywił głębokie przekonanie, że zabił on Denninga i gdyby potrzebował kolejnego bodźca, by zabić Ormsby'ego - a miał ich

325

wystarczająco dużo - śmierć ojczyzna z ręki jego wroga zdecydowanie mu go dawała.

Z goryczą zdawał sobie sprawę, że nikomu innemu nie przyjdzie do głowy posądzać markiza Ormsby'ego o coś tak nikczemnego jak morderstwo, toteż nie był zdziwiony, iż tego nazwiska nigdy nie łączono ze śmiercią pułkownika. Co Asherowi wcale nie przeszkadzało - miał

własne plany względem markiza i nie odczuwał w związku z nimi żadnych skrępułów -zabije markiza tak, jak zabiłby szczura w sásieku na zboże.

Wyraźnie rzucała się w oczy nieobecność Ormsby'ego przy wszystkich wydarzeniach związanych ze śmiercią Denninga -i Asher to zauważył.

Wyrzuty sumienia? Asher w to wątpił. Ale na myśl o wyrzutach sumienia ruszyło go własne i postanowił, że przyszła pora, by złożyć parę zaległych wizyt.

Sędzia i jego rodzina oraz Birrelowie uczestniczyli we wszystkich uroczystościach żałobnych oraz złożyli wyrazy współczucia. Lecz ku zdziwieniu Ashera, sędzia i pani Birrel przysłali mu prywatne bileciki z prośbą o spotkanie, lecz ponieważ był zajęty tyłoma innymi rzeczami, nie znalazł jeszcze na to czasu. Ale skoro wypełnił już wszystkie obowiązki rodzinne, podjechał po południu do domu sędziego.

Sędzia rzekł dobitnie, z poważną miną: -

Musi pan porozmawiać z panią Birrel.
Była z nim w dwukółce, kiedy umarł.
Coś do niej mówił. Nic z tego nie
rozumiałem... tyle że chciał, by coś panu
powiedzieć. Powtarzał

ciągle: „Powiedz Ashero-wi”. Ale niech
pan porozmawia z panią Birrel. -

Potrząsnął głową. - Stała się straszna
rzecz. Wie pan, że mamy najgłębsze
współczucie dla pana i pańskiej rodziny.
Gdybyście czegoś potrzebowali, proszę
tylko powiedzieć.

Wtedy po raz pierwszy dowiedział się,
że Denning jeszcze żył, gdy znaleźli go
pani Birrel z sędzią. Zaciekawiony
Asher wskoczył na siodło i pojechał

prosto na plebanię. Wprowadzo-326

no go do wygodnej bawialni od frontu, gdzie pani Birrel powitała gościa serdecznie. - Och, mój drogi chłopcze. Tak mi przykro z powodu twojej straty. To straszna tragedia - rzekła.

Asherowi nie zależało teraz na współczuciu. - Przepraszam, że nie mogłem przybyć wcześniej - rzekł. Chciała pani pomówić ze mną na osobności?

Skinęła głową.

- Powinnam była ci o tym wspomnieć, gdy przyjechaliśmy do ciebie tuż po zamordowaniu twojego ojczyma, ale w

tak bolesnej chwili nie chciałam
zawracać ci głowy jakimiś bzdurami.

Proszę mi powiedzieć, co on mówił -
rzekł cicho Asher.

- To wiesz szosa? - powtórzył z
niedowierzaniem Asher, gdy pani Birrel
przytoczyła ostatnie słowa pułkownika. -
Co to ma, do diabła, znaczyć?

Nie mam pojęcia, mój drogi - rzekła
zasmucona pani Birrel - ale nalegał
stanowczo, żebym ci to powtórzyła.
Powiedz Asherowi. To były jego
ostatnie słowa. - Zmarszczyła brwi. -
Mówił też, że cię skrzywdził - a
przynajmniej sądzę, że o to mu chodziło.
- Miała markotną minę. -

Obawiam się, że już rozum mu się mieszał, gdyż potem rzucał tylko urywane słowa. Przykro mi to powiedzieć, ale byłam tak wstrząśnięta, że nie pamiętam dokładnie, co mówił. Wiem, że wymamrotał coś jakby „or”

czy „by”, ale z całą pewnością chciał ci coś przekazać. -Zarumieniła się lekko. - Rozmawialiśmy o tym z pastorem i doszliśmy do wniosku, że nie ma po co wzywać konstabla. To same niedorzeczności.

- Mieliście państwo rację - rzekł cicho Asher. - To niedorzeczności. -

Wypytywał ją jeszcze dokładnie, ale prócz tego, że Denning chciał mu

przekazać jakąś wiadomość, mającą coś wspólnego z „wierszem szosa”, o którym mówił, niczego więcej Asher się nie dowiedział. Wreszcie podziękował jej i odje-327

chał. Wszystko to razem nie miało najmniejszego sensu, ale zastanawiał się nad dziwnymi słowami pułkownika i łamał sobie głowę, usiłując domyślić się, co to może być „wiersz szosa”.

Również Johnowi, Julianie ani pani Manley ostatnie wypowiedzi pułkownika nic nie mówiły, toteż wszyscy zgodnie uznali, że musiało mu się już mieszać w głowie i że słowa te nic nie znaczą. Stanowią po prostu jeszcze jeden element tajemnicy

otaczającej jego śmierć.

We wtorek, gdy ustał już uspokajający wpływ sióstr, zirytowany brakiem postępu John zaproponował, by najęli tropiciela przestępców z Londynu.

Asher musiał użyć całego swojego taktu, by odwieść brata od tego pomysłu, co kosztowało go wiele godzin delikatnej perswazji.

Zdecydowany sam zabić Ormsby'ego, nie chciał, by tropiciel wchodził

mu w paradę.

Pani Birrel bezwiednie dała mu niepodważalny dowód, że to Ormsby zabił jego ojczyrna. Z początku zbył jej

relację jako bredzenie konającego, lecz leżąc w łóżku poprzedniej nocy, gdy po raz setny przebiegał myślą rozmowę z panią Birrel, nagle uderzyły go słowa „or” i

„by”. Brakuje tylko „ms” w środku, myślał gorączkowo. Wystarczy wstawić „ms” między „or” i „by” i mamy *Ormsby*. Ogarnęło go gwałtowne uniesienie. Mam cię, ty przekłety morderco, zaklął w duchu, i już mi nie ujdiesz.

I babka, i żona Ashera zauważyły, jak dyplomatycznie odżegnuje się od pomysłu Johna, by sprowadzić tropiciela przestępców, i bacznie obserwowały głowę rodziny. Juliana

widziała, że mąż zmaga się z jakimś wewnętrznym cierpieniem, że ciągle chodzi zamyślony, choć, przyznawała z rumieńcem, cała jego powaga znika, gdy się z nią kocha.

Od czasu morderstwa ojczyzna miała poczucie, że, jakkolwiek Asher słucha, rozmawia i na pozór zwraca uwagę na dziejące się wokół niego wydarzenia, myślami jest gdzie indziej. Początkowo sądziła, że 328

przytłacza go smutek i wstrząs, lecz ostatnio było w nim coś, jakiś nieprzyjazny błysk, który niekiedy dostrzegała w jego oczach, co sprawiało, że czuła się coraz bardziej

nieswojo.

Nie mniej niż Juliana stanem umysłu Ashera niepokoiła się pani Manley. Babka знаła go najlepiej ze wszystkich i zapewne tylko ona jedna podejrzewała, że w duszy najstarszego wnuka kryją się głębsze, mroczniejsze pokłady. Czasami, zwłaszcza gdy wracał po okresach dłużej nieobecności, wyczuwała wokół niego aurę przemocy, lodowaty błysk w oku, który zmieniał go w obcego człowieka, nieznanego o zaciętym obliczu... Bała się tego złowieszczego przybysza. Lecz nagle, w ułamku sekundy, jakby przywoławszy się do porządku, ten niebezpieczny nieznanomy zniknął i jej wnuczek, ten uroczy urwis,

znowu się do niej uśmiechał i patrzył jej w oczy ciepło i czule. Stroskana, baczenie mu się przypatrywała. Ostatnio z jego oczu, zbyt często jak na jej gust, wyglądał

ten niebezpieczny nieznajomy, którego się bała.

W czwartkowe popołudnie pani Manley przybyła do Ashera i Juliany, by spożyć z nimi lekki posiłek. W zaproszeniu, które wysłała Juliana, znajdowała się intrygująca prośba o rozmowę na stronie. Gdy pojawiła się pani Manley, Juliana obejrzała się, a nie widząc męża, porwała starszą panią do małego pokoju z boku dawnego budynku gospodarskiego, gdzie na razie mieścił

się jej gabinet.

Zamknąwszy drzwi, spojrzała na panią Manley. Z niepewnym uśmiechem na ślicznych usteczkach Juliana rzekła:

- Zapewne uważa pani, że zachowuję się tajemniczo, ale chciałam zamienić z panią słówko, nim wróci Asher - od rana ogląda bydło z Wetherlym. Spodziewam się go w każdej chwili.

Pani Manley usiadła na jednym z zaledwie dwóch krzeseł

znajdujących się w pobielanym pokoju.

- Czy coś się stało? Coś z Asherem?

Z twarzy Juliany zniknął uśmiech, wyglądała teraz jak uosobienie niepokoju. Skinęła potwierdzająco. - Nie wiem, o co chodzi, ale na pewno coś złego się z nim dzieje. Jest taki... roztargniony. Nie, nie w tym rzecz.

Sprawia wrażenie nieobecnego. Początkowo myślałam, że to z powodu śmierci ojczyma, ale z każdym dniem, zamiast się poprawiać, ten zły nastrój jeszcze się pogarsza. Boję się Ashera - wyznała śmiało. - Jest taki daleki, dzieli nas mur, którego nie potrafię obalić, i nie wiem, co robić. -

Przygryzła wargę i spuściła wzrok na

podłogę wyłożoną szerokimi, dębowymi deskami. Wczoraj przyszedł liścik od Wetherly'ego, który zaniósłam do gabinetu Ashera. Musiał być zatopiony w myślach, bo nie usłyszał, jak weszłam. Chyba go przestraszyłam. - Juliana przełknęła śli-nę i skrzyżowała spojrzenie ze wzrokiem pani Manley. - Stał przy oknie i wyglądał na ogród, lecz gdy wypowiedziałam jego imię, obrócił się i tak na mnie spojrzał... - Opadła na krzesło naprzeciwko pani Manley i nerwowo splatała ręce na podoł-ku. - Jakbym zobaczyła kogoś obcego.

Twarz miał tak zaciętą, srogą i dziką jak twarz mordercy, toteż cofnęłam się i krzyknęłam. - Oblała się rumieńcem. -

Oczywiście śmiał się z mojego strachu, pocałował mnie, uśmiechnął się w ten swój czarujący sposób i powiedział, że poniosła mnie wyobraźnia. Ale, pani Manley, ja sobie tego nie ubzdurałam!

Pani Manley westchnęła.

- Nie, zapewne nie. Ostatnio sama się o niego martwię.

- Pani też?! - wykrzyknęła Juliana, czując, że węzeł niepokoju, który zacisnął się w jej piersi, nieco się rozluźnił. Nie czuła się już taka samotna

- ani nie obawiała się, że traci zmysły, wyobrażając sobie jakieś niestworzone rzeczy. - Nie wiem, co robić - przyznała.

- Od śmierci swego ojczyrna jest czymś pochłonięty, ale gdy go naciskam albo usiłuję o tym porozma-

330

wiać, po prostu uśmiecha się, zmienia temat i odsuwa mnie od swoich spraw.

-Ale co ja bym mogła zrobić? - zapytała bezradnie pani Manley. - Ty jesteś teraz ośrodkiem jego świata. Jeśli tobie nie chce powiedzieć, co go dręczy, myślisz, że ja coś wskóram?

Juliana ponuro potrząsnęła głową. - Sama nie wiem... Chyba miałam nadzieję, że da mi pani jakąś wskazówkę, co zrobić, by wydobył się z

tej straszliwej czarnej studni, w której się pogrąża.

Stukanie do drzwi przestraszyło je obie, Juliana skoczyła na równe nogi i pobięła otworzyć.

-A, tu jesteś - rzekł Asher. - Hannum powiedział mi, że przyjechała moja babcia, i zastanawiałem się, gdzieście zniknęły.

Pocałował żonę w policzek, podszedł do babki, skłonił się z galanterią i ucałował jej knykcie. Wyprostował się i z kpiar-skim błyskiem w ciemnoniebieskich oczach oznajmił:

- Jestem prawdziwym szczęściarzem -

aż dwie piękne panie zasiądą dziś po południu przy moim stole.

Przez całe popołudnie Asher okazywał wyłącznie prawdziwą przyjemność wynikłą z towarzystwa żony i babki. Mówił swobodnie o bydle i planach poprawy trzód gospodarzy, którzy dzierżawili jego ziemię, pochwalił kucharkę za smaczny posiłek, zainteresował się upodobaniem Apolla do jedwabnych pantofli pani Manley i z wielką serdecznością wypytywał żonę, jak spędziła dzień. Postronny obserwator powiedziałby, że niepokoje żony i babki są czystym przywidzeniem.

Ale Asher doskonale zdawał sobie sprawę, że jego zachowanie przysparza

wielu cierpień dwu najważniejszym dla niego osobom. Muszę z tym skończyć, pomyślał ponuro, odpowiadając na jakieś pytanie babki.

Niestety, wiedział aż za dobrze, że skończy z tym dopiero, gdy skończy z Ormsbym.

331

Balansując na linie, Asher starał się panować nad swymi morderczymi instynktami, głęboko zagrzebując tę mroczną, gwałtowną część swojej istoty, światu pokazując się jedynie jako czuły i kochający mąż i wnuk.

Aż do dzisiaj sądził, że mu się to udaje,

ale najwyraźniej się mylił. Babka i żona bardzo się o niego martwiły, choć usiłowały to ukryć. Westchnął.

Tę udrękę można było przeciąć tylko w jeden sposób i przenosząc wzrok od jednej kobiety do drugiej, uznał, że czas markiza się skończył.

John przybył akurat, gdy kończyli lekki posiłek. W ręce trzymał

książkę. Po przywitaniu odmówił zjedzenia czegokolwiek, wręczył

książkę Asherowi i usiadł obok pani Manley.

- Jutro jadę do Brighton, a dziś po

południu przeglądałem rzeczy ojca, kiedy natrafiłem na tę książkę. - Przełknął ślinę. -Znajdowała się w walizce, którą miał przy sobie, gdy go zabito. - Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. - Ponieważ zapisał ci bibliotekę, pomyślałem, że powinienem ci ją oddać.

Było to ciężkie tomiszcze i biorąc je, Asher zerknął na grzbiet. Gdy przeczytał nazwisko, zeszywniał. Towierszosa. Tom wierszy Chaucera.

Odłożył książkę i wpatrzył się w nią, jakby była wężem. Ostatnie słowa ojczyma mogły odnosić się tylko do tej książki. Denning chciał, by Asher czegoś się z tej książki - z któregoś z wierszy? -

koniecznie dowiedział. Ale czy Asher chce to wiedzieć? Obleciał go śmiertelny strach. Czyżby Denning odkrył źródło pochodzenia jego pieniędzy?

Wyniuchał, co Asher robił, żeby utrzymać rodzinę? Czyżby w środku tego niewinnie wyglądającego woluminu kryło się świadectwo jego innego życia? Świadectwo, które zniszczy wszystko, co osiągnął?

Rozejrzał się po siedzącej przy stole gromadce i stwierdził, że wszyscy na niego patrzą. Rozciągnął usta w czymś na kształt uśmiechu.

- Ach, dzięki, Johnie. Zaniosę ją do biblioteki. Może nawet któregoś dnia przeczytam te wiersze, choć niezbyt gustuję w poezji.

- Co to za książka, kochanie? - spytała pani Manley, która baczenie mu się przyglądała.

Pragnąc, by babka była kobietą mniej bystrą, wymruczał niechętnie:

- Dzieła wszystkie Chaucera.

Babka zrobiła zdziwioną minę, po czym westchnęła gwałtownie.

Podobnie jak Asher, połączyła wszystko w całość. - To właśnie usiłował

powiedzieć przed śmiercią - rzekła z podnieceniem. - Towierszosa. - Gdy Juliana i John wpatrzyli się w nią ze zdziwieniem, wyjaśniła: - Tom wierszy Chaucera.

Juliana szeroko otworzyła oczy. - Oczywiście! I zabrał go ze sobą do Londynu. - Uśmiechając się do męża, rzekła: - Może podkreślił dla ciebie jakieś słowa. Przejrzyj to.

- Na Boga! Ona ma rację - zakrzyknął John, z podnieceniem pochylając się do przodu.

Asher wiedział, że nie umknie przeznaczeniu. Z sercem bijącym mu w piersiach jak szalone, ostrożnie położył

książkę przed sobą i otworzył ją.

Nie wiedział, czego się spodziewać, ale widok pakiecika leżącego w starannie wyciętej skrytce w środku książki nie uspokoił jego walącego serca.

- O Boże! - wyszeptała babka. - Tam w środku coś jest. Zesztywniały Asher wpatrywał się w mały pakiecik, jakby

stał w obliczu śmierci. Jak to się stało? - zastanawiał się tępo. Jakim cudem Denning zdobył dowody? Asher był przecież taki ostrożny. Taki cholernie ostrożny, a wygląda na to, że wszystkie jego starania były diabła warte.

- Otwórz to - nalegała Juliana, która usiadła obok niego. -Przekonajmy się, co jego zdaniem było dla ciebie takie ważne.

333

Drżącymi palcami Asher wyciągnął pakiecik ze skrytki. Najpierw znalazł list Denninga, którym owinięta była zawartość pakiecika. Szybko go przejrzał i serce niemal dosłownie przestało mu bić, gdy się zorientował, że papiery, które trzyma w ręku, nie mają nic wspólnego z jego nikczemnymi postępkami. Musiał przeczytać list dwukrotnie, by w pełni pojąć jego wagę. A potem po raz trzeci, by się upewnić, że wszystko zrozumiał.

Bez słowa wręczył list Julianie.

- Przeczytaj go na głos.

Prawie nie słyszał cichego głosu żony, odczytującej list Denninga, gdyż wciąż oszołomionym wzrokiem wpatrywał się w pakiecik, na którym rozpoznał drobne pismo matki. Ze złością rozwinął stare papiery i z przestraszeniem znalazł ciężki, złoty sygnet, zdobny herbem Ormsbych, zawinięty w pogniecione arkusiki.

Trzymając sygnet w ręce, przejrzał

papiery. Kiedy w pełni doszło do niego znaczenie sygnetu i dokumentu, poczuł, jakby wokół jego piersi zacisnęły się stalowe obręcze.

W głowie mu się kręciło, gdy ostrożnie położył sygnet na środku stołu.

Pani Manley krzyknęła, natychmiast go rozpoznając. - Sygnet Ormsbych!

Ukradziono go Vincentowi Beverleyowi tej nocy, gdy umarł.

- Przeniosła wzrok z sygnetu na Ashera.

- Ale jak? Jak znalazł się w rękach

Denninga? - Zrobiła przerażoną minę. -

Nie powiesz mi chyba, że to Denning go zabił?

Asher potrząsnął głową.

- Nie. Zabił go Ormsby. Mama była tego świadkiem. Na dowód wzięła sygnet.

- Twoja matka cały czas miała pierścień? - zapytała zdumiona pani Manley.

- Tak. Ukryła go i te papiery w swoim biurczku. Denning znalazł

wszystko, przeglądając biurko, kiedy zniesiono je ze 334

strychu. I tym szantażował Ormsby'ego - dodał ze znużeniem. - List matki opisuje, co widziała tej nocy... nocy, gdy Ormsby zabił swego brata.

- Do diabła! - zaklął pod nosem John. - Teraz rozumiem, dlaczego ojciec był taki pewny, że nigdy nie przegra z Ormsbym. To wszystko była szopka, żeby

wyciągnąć pieniądze od Ormsby'ego. -
Twarz mu stężała. Spojrzał na Ashera. -
Co daje markizowi ważny powód, by go
zabić.

- W istocie - odparł lekko Asher. - Ale
to jeszcze nie dowodzi, że zabił

twojego ojca. Tylko że miał istotny
powód, by go zabić.

Trzeba natychmiast przekazać to
konstablowi! - oznajmił stanowczo John.
- Ormsby musi zapłacić za swój
uczynek. Asher podrapał się po szczęce.

- Ach tak, owszem, ale najwyraźniej to
morderstwo nie jest jedyną zbrodnią,
jakiej dopuścił się Ormsby.

John zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- List matki wyjaśnia wszystko. - Ale to
- rzekł Asher, podając Johnowi arkusik
papieru - dowodzi, że markizowi
Ormsby'emu ten tytuł

się nie należy.

Wszyscy spojrzeli na niego, jakby
postradał rozum.

- Beverley otrzymał w Londynie
specjalne zezwolenie, a oto, moi drodzy,
akt ślubu zawartego między Jane Manley
i Vincentem Beverleyem 12 lipca 1778
roku w małej wiosce w Surrey. Pobrali

się niemal dokładnie dziewięć miesięcy przed moimi urodzinami w kwietniu, co znaczy, że Ormsby nie jest Ormsbym. Ja nim jestem.

335

Rozdział 20

Wszyscy milczeli jak rażeni gromem, wpatrując się w Ashera z rozdziawionymi ustami. Pani Manley pierwsza doszła do siebie. Zarazem wstrząśnięta i bardzo rada, rzekła cicho: -A to para małych krętaczy!

Powinnam była się domyślić, że na coś się zanosi, gdy Jane tak bardzo zależało, by odwiedzić swą przyjaciółkę

Elizabeth w Surrey. Przedtem specjalnie się nią nie interesowała, lecz tego lata koniecznie musiała ją zobaczyć. Nigdy ani przez chwilę nie podejrzewałam, że coś ich łączy. -

Potrząsając głową, dodała: - Świetnie się maskowali. W istocie myślałam, że się nie lubią. Byłam przekonana, że to tylko przelotna znajomość.

Nawet w tym tygodniu, gdy wróciła do domu z wizyty u Elizabeth - nawet wtedy wszystko przede mną ukryła.

- Ale dlaczego? - zapytała Juliana. -
Chyba byłaby pani zadowolona z jej małżeństwa z dziedzicem tytułu markiza.

- Ja tak, ale ojciec Vincenta nigdy nie dałby przyzwolenia na to małżeństwo. Jego dziedzic ożeniony z wnuczką zwykłego baroneta?

Zwykłego baroneta, którego tytuł został zniesiony? Prócz tego, byłby przerażony małżeństwem Vincenta z młodą damą, która wniosłaby co prawda wielką urodę, ale posag mizerny. Nigdy by na to nie pozwolił. O

nie, mierzył dużo wyżej.

336

W owym czasie krążyły pogłoski, że stara się dla syna o córkę księcia Hazeltine. Z tego, co słyszałam, lady

Anne była piękną młodą damą z dużym majątkiem, ale przy tym wyniosłą i odznaczającą się kąśliwym językiem. - Przybrała zamyślony wyraz twarzy. - To prawdopodobnie zmusiło ich do działania, obawiali się, że markiz przeprowadzi swoją wolę bez zgody Vincenta i młody człowiek zostanie przykuty do kobiety, której nie kocha.

Asher skinął głową, podnosząc jeden z arkusików, na których Jane wypisała całą historię. - To właśnie napisała matka. Uznali, że nie mają wyboru i muszą pobrać się w sekrecie. - Z sympatią spojrział na babkę. -

Żałowała, że ci nie powiedziała, ale zbyt się bali, że jeśli ktokolwiek

dowiedziałby się o ich miłości i małżeńskich planach, ojciec Vincenta zwierzyłby to i położył kres ich marzeniom.

- I tak by się stało! - rzekła zjadliwie pani Manley. - To był straszny, naprawdę straszny człowiek.

- Nie rozumiem - pozałił się John. - Skoro się pobrali, dlaczego nikomu o tym nie powiedzieli?

- Bo - rzekła cicho pani Manley - Vincent miał dość odwagi, by w tajemnicy poślubić moją córkę, ale straszliwie bał się powiedzieć o tym ojcu. - Spojrzała na Ashera. - Mam rację?

Asher westchnął i wręczył jej przez stół kilka arkusików, pokrytych pismem Jane. - Tak. Pobrali się na trzy tygodnie przed zamordowaniem Vincenta, lecz bali się otwarcie żyć razem, więc kilkakrotnie spotkali się po kryjomu. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Najwyraźniej jestem rezultatem jednego z takich spotkań.

- Ale skąd wzięła sygnet? Widziała morderstwo? Dlaczego nikomu o tym wtedy nie powiedziała? Dlaczego trzymała to w tajemnicy?

dopytywała się Juliana siedząca koło pani Manley.

- Bo się bała - odparła pani Manley, unosząc wzrok znad trzymany w ręce kartek. Widząc nic nierozumiejące spojrzenie Juliany, westchnęła.

- Musiałabyś znać drugiego markiza. Był potężnym, gwałtownym mężczyzną, słynącym z wybuchowego charakteru. Niewielu odważało mu się sprzeciwić, łatwiej... i bezpieczniej było pozwolić mu na wszystko. Co tylko pogarszało sprawę, gdyż umacniało go w przeświadczeniu, że wszystko może i powinno iść wedle jego widzimisię.

Bertram był niewiele lepszy. Obaj zastraszaali biednego Vincenta.

Ponieważ Juliana nadal nie wyglądała

na przekonaną, Asher wystąpił

w obronie rodziców.

Pamiętaj, że byli młodzi i przestraszeni swoim postępkami. Mama miała zaledwie osiemnaście lat. Vincent w lipcu skończył dwadzieścia jeden. W istocie ożenił się z mamą w dwa tygodnie po dojściu do pełnoletności. Starannie zaplanowali całą rzecz, lecz z listu mamy wynika, że choć byli zdecydowani na małżeństwo, zarazem strasznie bali się jego ojca.

I bardzo słusznie - oświadczyła z nieszczęśliwą miną pani Manley. -

Byłam tam owego wieczoru, gdy ojciec

Vincenta omal nie zatłukł lokaja na śmierć, bo był niezadowolony z jego usług, i dopiero inni panowie odciągnęli go i uratowali nieszczęśnika. Były też inne incydenty...

Jednego ze stajennych tak wysmagał szpicrutą, że zostały mu blizny do końca życia.

Co prawda Vincent osiągnął pełnoletność, ale nadal ciążyła na nim żelazna pięść ojca. - Jej twarz przybrała twarde wyraz. - Gdyby ojciec dowiedział się o tym małżeństwie, zrobiłby dobrą minę do złej gry, lecz nie dałabym głowy, czy Jane doczekałaby urodzin pierwородnego dziecka czy też pierwszej rocznicy ślubu.

- Och, do tego by się chyba nie posunął!
- zaprotestowała Juliana.

338

- Nie posunąłby się? - zapytał Asher, unosząc brew. Wskazał na list Jane. - Mama na własne oczy widziała, jak Bertram zabił starszego brata.

Z tego, co mówiła babcia, wynika, że ludzie, którym zdarzyło się nadepnąć Beverleyom na odcisk, źle kończą. Sądysz, że ojciec wzdragałby się przed zamordowaniem nieodpowiedniej synowej?

- Ale ich małżeństwo nadal było

utrzymywane w tajemnicy, więc dlaczego zginął Vincent? - dopytywał się John.

Asher odwrócił wzrok, słowa matki wryły mu się w pamięć. Tę pamiętną noc opisała tak żywo, że czuł niemal, jakby tam był, i opowiadając o tych wydarzeniach reszcie słuchaczy, sam to wszystko oglądał oczami Jane...

Spotkali się przy starej stróżówce, nieopodal głównej bramy do dworu Ormsbych, gdy zaczął zapadać zmierzch. Z wyrazem zdecydowania na młodej twarzy Vincent rzeki:

- Wiem, że twoim zdaniem powinniśmy mu wszystko powiedzieć, ale znając

mojego ojca, uważam, że najpierw należy go do tego przygotować.

Dziś wieczorem powiem mu, że zamierzam się z tobą ożenić - lecz nie, że już się pobraliśmy. Chcę dać mu czas, żeby się przyzwyczaił do tej myśli.

- Och, Vincencie, a nie możemy mu po prostu powiedzieć? Przecież jesteśmy małżeństwem! Ja mogę być już brzemienna. Nie możemy zwlekać. Musisz mu powiedzieć, że jesteśmy małżeństwem! — nalegała Jane.

Wpatrzył się ponuro w jej ukochaną twarzyczkę. - Nie znasz go. Ma napady straszliwego gniewu... - Przełknął ślinę. - Już gdy usłyszysz, że chcę się z

*tobą ożenić, spuści mi manto. -
Bezradnie usiłował to wytłumaczyć.*

*— Jeśli mu powiem, że już się
pobraliśmy, może zabić mnie albo
ciebie.*

*Znam go dobrze, a ty nie. Uwierz mi,
ukochana, tak będzie najlepiej.*

339

*- Nie musisz rozmawiać z nim sam na
sam - przekonywała Jane. -*

*Pójdę z tobą stawić mu czoła. - A gdy
Vincent pobladł i gwałtownie
potrząsnął głową, dodała: - Dobrze, w
ogóle nie musimy z nim rozmawiać.*

Moja mama nas wesprze. Możemy posłać mu liścik z zawiadomieniem o naszym małżeństwie. A jeśli pozbawi cię wszystkiego, nie szkodzi, matka nas utrzyma. - Widząc, że jest temu przeciwny, napierała dalej: - Nie będzie żył wiecznie, ukochany, a może trzymać cię w ubóstwie tylko za życia. Jesteś jego dziedzicem, Vincencie. Któregoś dnia tytuł i wszystko, co się z nim wiąże, przypadnie tobie.

Vincent jednak twardo stał przy swoim. - Nie. I tak źle się stało, że pobraliśmy się w sekrecie i musimy się skradać, żeby się spotkać, jakbyśmy zrobili coś złego. To nie może tak trwać. Jak sama powiedziałaś

- możesz być brzemienna. Musimy powiedzieć światu, że jesteśmy małżeństwem, nawet jeśli nasz związek wywoła wściekłość ojca. Muszę to zrobić, jeżeli chcę uważać się za mężczyznę. — Uśmiechnął się do niej krzywo. - A każdy mężczyzna stawia czoło niebezpieczeństwu dla ukochanej kobiety.

Dopiero gdy wyszedł, Jane zorientowała się, że zostawił szpicrutę.

Upłynęło zaledwie parę minut, toteż Jane, w nadziei, że go dogoni, pojechała na skrót przez las. Szybko prowadziła konia między drzewami, aż znalazła się zaledwie dziesięć stóp od głównej drogi. Gdy w zapadającym

zmierzchu usłyszała przed sobą gniewne głosy, zatrzymała konia i usiłowała przebić wzrokiem mrok. Sama ukryta w gęstwinie, widziała przed sobą na drodze Vincenta i Bertrama. Nie słyszała pierwszej części kłótni, ale najwyraźniej Vincent powiedział Bertramowi, że chce się z nią ożenić.

340

- Chyba oszalałeś, jeżeli myślisz, że ojciec pozwoli ci okryć hańbą nasze nazwisko małżeństwem z tą panną Nikt
- warknął Bertram.

~ Nie jest panną Nikt - odparł zimno Vincent. - I ojciec nie może mnie

powstrzymać. Chcę ją pojąć za żonę.

- Na Boga! Zawsze wiedziałem, że jesteś głupcem! Mogłeś mieć żonę z najlepszego towarzystwa, a wybrałeś ją! Jeśli tak bardzo jej pragniesz, weź ją sobie na kochankę, ale nie żeń się z tą smarkulą.

- Przypominam ci - rzekł Vincent lodowatym tonem - że mówisz o kobiecie, którą kocham.

- Oszczędź mi tych ckliwych bredni! - warknął Bertram.

- Na miłość boską, zastanów się, co robisz! Ona nie ma nic, ani majątku, ani utytułowanej rodziny... - Bertram

zaśmiał się. - Oczywiście, gdyby była wielką piękną, ojciec machnąłby ręką na brak posagu i dobrego urodzenia, ale ona, choć jest ładniutka, nigdy nie podbije Londynu. -Gdy ja się ożenię, nie wezmę sobie jakiegś wiejskiej gąski ~

chwalił się butnie. - Będzie miała majątek lub tytuł, a przed jej urodą cała Anglia padnie na kolana!

- Moje gratulacje - wycedził Vincent i zirytowany lekceważeniem, z jakim Bertrand wyrażał się o Jane, dodał:

- Może twoja żona stanie się bożyszczem Londynu, ale moja będzie markizą Ormsby!

Bertrand zaklął i rzucił się z konia na Vincenta. Obaj mężczyźni upadli na ziemię. Szybki jak kot, Bertram obrócił Vincenta twarzą do ziemi, usiadł na nim okrakiem, przywarł rękami do jego głowy po bokach i przyciskał ją do leśnego podłoża. Zaskoczona tak nagłym i podstępny atakiem Bertrama, Jane przyglądała mu się jak skamieniała. Lecz zaraz osłupienie ustąpiło miejsca wściekłości i wbiła pięty w boki konia. Gdy ten ruszał, Vincent wydał

341

dziwny okrzyk, po którym zapadła nagła, złowieszcza cisza.

Instynktownie ściągnęła wodze, zatrzymując wierzchowca. Z odległości niespełna sześciu stóp patrzyła, przerażona, jak Bertram stanął nad nieruchomym ciałem Vincenta. Bertram wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym otrzepał się, rozejrzał ukradkiem po drodze i nie rzuciwszy ani jednego spojrzenia w leśną gęstwinę, gdzie Jane zastygła w bezruchu, wsiadł na konia i odjechał.

Ochryplym głosem Asher kończył: - Gdy Bertram zniknął jej z oczu, natychmiast podeszła do Vincenta, ale już nie żył. Bertram złamał mu kark. - Zerknął na arkusiki, które babka położyła na stole, gdy snuł swą opowieść. - Chyba musiała

być na pół oszalała z rozpaczy i strachu i nawet ona przyznaje, że sama nie wie, co wówczas myślała. Właśnie na własne oczy widziała, jak mordują jej męża.

Ale jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: nikt jej nie uwierzy, gdy wskaże Bertrama jako zabójcę Vincenta, a więc zrobiła to, co mogła - wzięła sygnet Vincenta i spisała wszystko, co widziała i słyszała tej nocy. -

Uśmiechnął się krzywo, nie mając pojęcia, jak bardzo w tej chwili jest podobny do ojca. - Jeśli w ogóle potrafiła jasno rozumować tej nocy, myślała o tym, że musi chronić swe nienarodzone dziecko. Píše, że pewnego dnia syn pomści ojca. - Po jego twarzy przemknął słodko-gorzki

wyraz. - Od początku była pewna, że to będzie chłopiec. - Postanowiła, że kiedyś powie mi prawdę i będę mógł zająć należne mi miejsce, ale zamierzała to zrobić dopiero, gdy będę dorosłym mężczyzną - dodał z powagą. - Za nic w świecie nie chciała, by jej dziecko stało się pionkiem w ręku Beverleyów. Obawiała się, że dowiedzą się, kim naprawdę jestem, że dziadek, a potem mój wuj spadną jak sępy na jej dom i zabiorą mnie. - Patrząc 342

przed siebie zimnym wzrokiem, zakończył: - Po czym zapewne ogłoszono by mój nieoczekiwany zgon.

- Ale umarła, zanim zdążyła ci cokolwiek z tego opowiedzieć... -

rzekła pani Manley z głębokim smutkiem.

- Tak - powiedział John z nieszczęśliwą miną - i ukryła dowody tam, gdzie po latach znalazł je mój ojciec i wykorzystał, by szantażować Ormsby'ego.

Pani Manley wychyliła się do przodu. - Nie osądzaj ojca, Johnie rzekła z usilną prośbą w głosie. - Zabierał dowody do Londynu i musisz wierzyć, że w końcu zrobiłby to, co należy.

Asher skinął potwierdzająco. - Nie ponosisz najmniejszej winy za postęпки Denninga - przekonywał, patrząc

łagodnie na przyrodniego brata. - W końcu zrobiłby, co należy - powiada to nawet w swoim liście.

- Możliwe... tyle że to wszystko jest takie... niewiarygodne. - John westchnął.

- Ale przynajmniej znamy prawdę.

- Nie całą - rzekł pod nosem Asher. - Spojrzawszy z ponurą miną na babkę, rzekł: - Czy nie chcesz nam czegoś powiedzieć? Czegoś, o czym przez cały czas wiedziałaś?

Ich oczy spotkały się. - Czy to taka straszliwa zbrodnia? - spytała cicho. - Komu stała się krzywda?

- O czym wy mówicie? - John

zmarszczył brwi i przeniósł spojrzenie od babki do Ashera.

- Nigdy nie było żadnego porucznika Cordella - wypalił Asher.

Pani Manley westchnęła i odwróciła wzrok. - W rzeczywistości był

pewien porucznik Cordell i wszystko, co o nim słyszeliście, jest całkowicie zgodne z prawdą... tyle że twoja matka nie poślubiła go.

Wymyśliłyśmy to. - Znowu spojrzała na Ashera. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. - Wyglądała teraz na swe siedemdziesiąt pięć lat co do roku. Spuściwszy wzrok, rzekła ze smutkiem:

- Nie mogłam w to uwierzyć.

343

Moja kochana, porządna córka. Przy nadziei, niezamężna, bez żadnych widoków na męża, uparcie nie chce powiedzieć, kto jest ojcem. -

Z zamyśloną miną ciągnęła: - Zawsze była takim posłusznym dzieckiem i choć okoliczni młodzieńcy uderzali do niej w konkury, nigdy nie przyszło mi do głowy, że jest coś między nią i Vincentem - ani że planują sekretne małżeństwo. A powinnam była wpaść na to, że skoro tak się unikają, najpewniej mają się ku sobie. - Uśmiechnęła się lekko i spojrzała na Julianę. - W głowę

zachodziłam, kim też może być ojciec jej dziecka -

zastanawiałam się przez chwilę, czy winowajcą nie jest twój ojciec. W

pewnym okresie bardzo o nią zabiegał. Ale potem, gdy na horyzoncie pojawiła się twoja matka, stracił dla niej głowę.

- I dzięki Bogu! - rzekła Juliana.

Nadając rozmowie lżejszy ton, zerknęła kpiarsko na Ashera. - Wcale bym nie chciała, żebyś był moim bratem. - Jej wzrok z powrotem powędrował do pani Manley. - Ale co pani zrobiła - zapytała - gdy powiedziała, że spodziewa się dziecka?

Usta pani Manley zadrgały śmieszkiem pełnym zażenowania. -

Przyznaję ze wstydem, że zmieszałam ją z błotem jak zwykłą przekupkę!

Byłam wściekła i jedyny raz w życiu wpadłam w zupełnie niestosowny szal. A potem się uspokoiłam i zaczęłam się zastanawiać, jak ochronić ją i dziecko. Uznałam, że muszę znaleźć jej męża - udawanego. - Wzruszyła ramionami. - Nie mogłam z niej wydobyć, kto jest ojcem, za nic też nie chciała wyjść za jakiegoś ubogiego szlachcica, który, za odpowiednią sumę, nie będzie zwracał uwagi na rosnący brzuszek młodej żony. A ponieważ odmawiała podania nazwiska ojca, miałam związane ręce. -

Westchnęła. - Kłóciłyśmy się straszliwie, raniąc się nawzajem. Lecz w końcu zgodziłam się z nią, że im mniej ludzi będzie znać prawdę, tym bardziej wiarygodna wyda się wersja, którą zaczniemy głosić. Jedynym 344

rozwiązaniem wydawał się fikcyjny mąż. - Patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, ciągnęła dalej: - Kiedy to zostało postanowione, natychmiast nas spakowałam i udałyśmy się do East Riding, do Hornsea, małej nadmorskiej wioski. Celowo wybrałam miejscowość, gdzie nikt z okolicy nas nie znał, i wynajęłam stojącą na uboczu posiadłość nieopodal Hornsea. Czułam,

że tu, w ukryciu, może potajemnie urodzić dziecko. A potem zaczęłam rozglądać się za mężem, by dać dziecku nazwisko... i zapewnić należyty szacunek otoczenia.

- Jak znalazłaś Cordella? - zapytał Asher.

Lekko głaszcząc palcami list Jane, pani Manley odparła: - Nie pamiętam dokładnie, skąd się o nim dowiedziałam, ale już po paru dniach pobytu w East Riding, gdy wybrałam się do wioski, usłyszałam nazwisko porucznika i poznałam okoliczności jego niedawnej śmierci. Wypytałam się jeszcze dyskretnie o pewne szczegóły i niebawem wiedziałam już o tym

nieszczęsnym młodzieńcu wszystko, czego mi było potrzeba.

Opuścił dom przed wieloma laty i był ostatnim z rodu. Cordel-lowie należeli do szlachty, to szanowana rodzina, ale skoro nie mieli ziemi, majątku ani posiadłości, żadne komplikacje nam nie groziły. - Głęboko zaczerpnęła oddechu. - Wybrawszy Cordella, od razu napisałam do kilku znajomych i sąsiadów, że Jane, po błyskawicznych zalotach, poślubiła porucznika marynarki i że zamierzam pozostać z nią w Kornwalii, póki jej mąż nie wróci z morskiej wyprawy. Potem napisałam, że Jane z radością poczuła się matką, a jeszcze później, że moja nieszczęsna

córka owdowiała. - Uśmiechnęła się. -
Gdy Asher przyszedł na świat, tylko
Jane i ja wiedziałyśmy, że urodził się o
czasie i nie jest siedmiomiesięcznym
wczesniakiem, jak głosiłyśmy wszem
wobec. - Skrzywiła się. - Gdyby ktoś
zechciał sprawdzić daty i miejsca, czy
też zainteresował się aktem ślubu, nasza
mała farsa by się wydała. Ale

345

nie było powodu, by ktokolwiek
podawał w wątpliwość naszą
opowiastkę... a nasza stopa nigdy więcej
nie postąpiła w East Riding.

- Ryzykowałaś - rzekł z wolna Asher.

- Nie miałam wyboru! Nie chciałam, żeby moją córkę napiętnowano jako ladacznicę i dziewczkę - a wnukowi przypięto łatkę bękarta - rzuciła ostro pani Manley. - Naszymi poczynaniami nikomu nie zrobiłyśmy krzywdy.

Juliana wyciągnęła rękę przez stół i położyła ją na dłoni Ashera. - Ma rację - powiedziała cicho.

Wargi mu drgnęły. - A wiesz, że zawsze mi się wydawało, iż w małżeństwie mamy z Cordellem kryje się coś podejrzanego? I byłem prawie pewien, że jestem nieślubnym dzieckiem.

Jego babka skinęła głową.

- Obawiałam się tego. Zawsze byłeś
byстрыm chłopaczkiem. John wyglądał na
całkiem oszołomionego. - To wszystko
nie mieści się w głowie - odezwał się. -
Jesteś markizem Orms-bym! A Ormsby...
- Popatrzał na Ashera i rzekł
przepraszającym tonem: -

Wybacz, ale ciągle tak o nim myślę.

- Musimy mieć trochę czasu, zanim
przywykniemy do tych zmian -

rzekł cicho Asher, niepewny, co sam
czuje w związku z odziedziczeniem
tytułu - i wszystkiego, co się z tym
wiąże. Rzucił okiem na przyjemny
ogród, solidny gospodarski budynek,
który był jego domem, pomyślał o

wspaniałościach dworu Ormsby i przez chwilę wiedział dokładnie, co czuła Juliana opuszczając Różaną Dolinę.

- Ale co teraz zrobimy? - zapytał John, przerywając tok myśli Ashera.

- Nie tylko odkryliśmy dowody, że Ormsby zamordował brata... twojego ojca, ale zamordował też mego ojca. Może nie mamy naocznego świadka, ale ze wszystkiego, co leży przed nami, łącznie z listem ojca, jasno wynika, że Ormsby winien jest obu zbrodni. - John nerwowo przeczesał

dłonią

gęstą grzywę włosów. - A tytuł... ty jesteś prawowitym dziedzicem tytułu i wszystkiego, co za tym idzie.

Asher w zamyśleniu skinął głową. - Ustanowienie mojego prawa do tytułu trzeba będzie przeprowadzić przez sąd w Londynie, ale jeśli chodzi o Ormsby'ego... - W jego oczach błysnęło coś, co kazało jego żonie i babce wymienić niespokojne spojrzenia.

Nieświadom przeróżnych podtekstów, John rzekł: - Chyba nie zwlekając powinniśmy zawiadomić sędziego, pastora i konstabla. Ta sprawa zbyt długo pozostawała tajemnicą. - Z zaciśniętymi szczękami wypalił ostro: - Trzeba działać szybko, gdyby ojciec

ujawnił to wszystko, żyłby dzisiaj. Ormsby wie, że istnieją dowody, i dopóki jego podstępne uczynki nie wyjdą na światło dzienne, grozi ci niebezpieczeństwo, Ashe-rze. - John zacisnął pięść. - Chcę, by tego łotra spotkała kara, zanim skrzywdzi jeszcze kogoś. Najwyższa pora, nie, pora, kiedy powinno się zdemaskować tego karygodnego mordercę, już dawno minęła. Nie traćmy zatem ani chwili, jedźmy zaraz do sędziego i opowiedzmy mu o wszystkim.

Słowa Johna wyciągnęły Ashera z zimnej, ciemnej kryjówki, do której się wycofał. Siłą woli zmuszając się do myślenia o sprawach bieżących,

przyznał mu rację. - Tak - przytwierdził.
- To dobry początek. - Drapieżny
uśmiech wykrzywił mu wargi. -
Rzeczywiście, przyszła pora, by... mój
wuj wypił piwo, którego nawarzył.

Obaj mężczyźni podnieśli się i
przygotowali do odjazdu. Pani Manley i
Juliana wymieniły bezradne spojrzenia i,
lękając się tego, co Asher mógłby
zrobić, gdy będzie miał wolną rękę,
Juliana zerwała się na nogi z okrzykiem:
- Zaczekaj!

Obaj spojrzeli na nią. Juliana stanowczo
zacisnęła zęby, wbiła wzrok w Ashera i
wypaliła:

- Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić z

Ormsbym.

347

Asher uśmiechnął się niewinnie.

- Ależ nic.

-Nie okłamuj mnie! - niemal krzyknęła Juliana. - Odkąd twój ojczym został zamordowany, zachowujesz się dziwnie.

-Zerknęła na panią Manley, szukając u niej wsparcia.

- Ostatnio rozmawialiśmy z Julianą o tobie - rzekła ze znużeniem pani Manley.

- Jesteśmy przekonane, że zamierzasz zemścić się na Ormsbym.

Nie zdziwiły się, że przecząco
potrząsnął głową - spodziewały się, iż
zaprzeczy. A jego spokojne
oświadczenie: - Postanowiłem go zabić
-

tylko potwierdziło ich obawy. - Ale
planowałem to - dodał cicho - gdy
myślałem, że winien jest tylko śmierci
Denninga... - Po jego twarzy przemknął
dziwny wyraz. - Teraz, gdy
dowiedziałem się, że zamordował

również mojego ojca, postanowiłem go
nie zabijać.

Juliana, czując zamęt w głowie, opadła
na krzesło.

- Jak to? Myślałam, że zamordowanie twojego ojca jeszcze utwierdzi cię w twoim zamiarze.

- Nie wierzę własnym uszom! - oświadczył John, najwyraźniej zaskoczony. - Planowałeś mord na Ormsbym?

Asher skinął potwierdzająco. - Owszem, naprawdę planowałem, że go zabiję. W istocie, miałem to zrobić dzisiaj - wyznał niedbale. - Strzelić sukinsynowi między oczy.

-Ale nie zamierzasz, ee...e zrobić tego teraz? - zapytał John, wystraszony, ale i zafascynowany.

- Nie. Nie zasługuje na tak szybki koniec. Babka przypatrywała mu się zwięzionymi oczami.

- Ale nie zostawisz tego tak?

- Owszem, zostawię - odparł Asher bez wahania, niemal tak jak reszta zdumiony swoją decyzją.

Widząc pełne niedowierzania miny pani Manley i Juliany, wyjaśnił: 348

- Umrze tak czy siak - albo z mojej ręki, albo zawiśnie w Newgate za zamordowanie Denninga, a także mojego ojca. Myśl, że będzie dyndał na szubienicy pośród szyderczych okrzyków tłumu wydaje mi się bardzo,

bardzo pociągająca.

-1 to ci wystarczy? - zapytała pani Manley. Z jej miny i głosu przebijał wyraźny sceptycyzm.

Asher westchnął głęboko. - Czy wolałbym sam pozbawić go życia?

Owszem, wolałbym, ale pomyślcie chwilę o człowieku, którego zwiemy markizem Ormsby. Ja to zrobiłem. Pomyślcie o wielkich bogactwach, które ma na wyciągnięcie ręki, o jego niewiarygodnej dumie i niezmiernie wysokiej pozycji w wielkim świecie. Posiada to wszystko tylko dlatego, że jest markizem Ormsby. - Złowrogi,

tygrysi uśmiech przemknął mu po twarzy. - A teraz pomyślcie, że zostaje tego wszystkiego pozbawiony.

Wyobraźcie sobie, jak staje przed tymi wszystkimi wyniosłymi osobami z najlepszego towarzystwa... którzy wiedzą już, że jest mordercą i uzurpatorem... - Z twardym błyskiem w kobaltowo-niebieskich oczach dodał: - Odarty ze wszystkiego, co miało dla niego znaczenie, będzie upokorzony i zawstydzony przed światem. - Ze skupioną miną pochylił

się do przodu. - Pomyślcie o tym; wszystko, czego pragnął, wszystko, co miało dla niego znaczenie, znika. Tytuł, pozycja w najwyższych sferach,

bogactwo, którego tak pożądał na długo jeszcze, zanim zabił mojego ojca, wszystko to zostanie wydarte z jego pazernych łap i oddane... mnie. -

Tygrysi uśmiech stał się szerszy. - Owszem, mógłbym go zabić i jego życie zakończyłoby się w jednej chwili, lecz zastanówcie się, co się stanie, gdy powstrzymam rękę... jeśli zrezygnuję z chwilowej przyjemności zabicia go, resztę swych dni, aż do momentu, gdy go powieszą, godzina po godzinie, spędzi dręczony hańbą i wstydem. Dawni znajomi i przyjaciele będą na niego patrzeć z pogardą i potępieniem, wszyscy odwrócą się od niego ze wstrętem, wzbudzi powszechną odrazę.

Gdy Asher skończył mówić, zapanowała cisza, całe towarzystwo milczało jak oniemiałe. Zauroczeni słuchacze uzmysłowili sobie nędzny los, jakiego zasłużył zażąda Bertram za swe zbrodnie - jeżeli Asher go nie zabije. I powoli, jeden po drugim, potakująco kiwali głowami.

Asher wyprostował się i głęboko wziął oddech. - A teraz - rzekł z zadziwiającym chłodem - myślę, że wraz z Johnem powinniśmy udać się do sędziego.

Kiedy Asher wrócił do Lisiej Nory, godzina była późna, lecz nie zdziwił się

na widok zapalonych świateł
przebijających ciemność ani babki
siedzącej obok Juliany na
rdzawozielonej kanapie w salonie od
frontu. Pomyślał, że obie panie
wyglądają na równie umęczone i wyczerpane
z sił, co on.

Uśmiechając się do nich słabo, rzekł:

- Przygotujcie się na diabelską burzę,
która zaraz rozpęta się nad naszymi
głowami.

Siadając na wyściełanym krześle
naprzeciwko nich, powiedział: - Gdy
przyjechaliśmy do sędziego, bawił u
niego z wizytą pastor, więc Birrel był
obecny, gdy John i ja pokazaliśmy

Ripleyowi sygnet, a także list mamy i Denninga. - Asher skrzywił się. - Zrobiło się straszne poruszenie, gdy się zorientowali, co czytają. Posłano po konstabla i, Chryste, jeszcze parę innych osób - zerknął na Julianę - w tym twojego ojca i Caswella, by przybyli i poznali prawdę. - Ze znużeniem przesunął ręką po twarzy. -

John i ja zamierzamy pojechać jutro do Londynu i złożyć dowody w sądzie. A poza tym - gdy tu siedzę, konstabl w towarzystwie sędziego i paru innych szlachciców jedzie właśnie do Bertrama, by go aresztować za morderstwo Denninga i mojego ojca. - Zacisnął szczęki. - Bertram zaczął

zstępować do piekieł.

350

Gdy tylko Baker zameldował Ormsby'emu, że konstabl, sędzia i paru innych dżentelmenów znajdują się u wejścia, domagając się dopuszczenia przed oblicze markiza, wielki pan domyślił się powodu tej nieoczekiwanej wizyty. Spokojnie odłożył książkę, którą czytał w swoim gabinecie, i z kamienną twarzą rzekł: - Wprowadź ich.

Odkąd Ormsby zabił Denninga, dni upływały mu jednostajnie. Gdy po strzelaninie wrócił do domu, początkowo zastanawiał się, czy by nie spakować sakw, zabierając złoto i

wszelkie cenne rzeczy, które miał pod ręką, i uciec, zanim ktokolwiek zorientuje się w jego zamiarach. Mimo toczącej się wojny wiedział, że przedostanie się na kontynent, a tam już zniknie pośród burzliwych wstrząsów, jakie Napoleon wywołał w Europie. Kto wie? Może nawet zbije fortunę.

Ale w końcu, choć podpisywał tym na siebie wyrok śmierci, nie mógł

się zdobyć na opuszczenie swej wspaniałej siedziby. Jest Ormsbym i, na Boga, umrze jako Ormsby!

Już przed paroma dniami spodziewał się wizyty konstabla, ale czas mijał i w jego sercu zabłysła iskierka nadziei.

Obciążający go list Jane pozostawał w ukryciu i stanowił sekret przez trzydzieści lat. A być może Denning schował go wraz z sygnetem i nikt nie odkryje jego tajemnicy przez następnych trzydzieści lat? Najwyraźniej przy Denningu nie znaleziono nic, co wskazywałoby na niego jako zabójcę, gdyż w takim wypadku konstabl pojawiłby się we dworze Ormsby w parę godzin po śmierci pułkownika. Jedyne list Jane bądź coś innego, co mógł mieć przy sobie Denning, łączyło go z tymi morderstwami i jeśli nic z tego nie znajdą, nie musi się obawiać, że zostanie zdemaskowany. W miarę upływu czasu zaczął się zastanawiać, czy to możliwe, by miał tak

niewiarygodne szczęście, że i drugie morderstwo ujdzie mu na sucho. Na wieść o przybyciu konstabla zorientował się, że szczęście go opuściło...

351

Podniósł się ze swego miejsca, podszedł do potężnego, złoconego biurka z drzewa orzecha włoskiego i zasiadł za nim. Z dumą rozejrzał się po eleganckim pokoju. Jego życie legło w gruzach, ale nie czuł żalu. Nie, nie czuje żalu, myślał bez skrępowań, gdyby sytuacja się powtórzyła, bez namysłu ponownie zabiłby Vincenta... Zacisnął wargi. Odnalazłby też tę sukę, Jane, i udusił ją.

Z goryczą uświadomił sobie, że

powinien był zabić Ashera, zamiast gonić za Denningiem. Pułkownik domyśliłby się, kto był sprawcą śmierci jego pasierba, ale zatkałby mu gębę pieniędzmi... przynajmniej na jakiś czas. Skoro Asher by nie żył, a Denningowi na jakiś czas zamknąłby usta, miałby czas, by znaleźć list i sygnet. Gdyby wreszcie położył na nich rękę, zabiłby Denninga i byłby bezpieczny. Ale nie, zabiłem niewłaściwego faceta, myślał ze złością, pełen niesmaku do samego siebie. A teraz muszę zapłacić za ten błąd. Twarz wykrzywił mu złowrogi grymas. A bachor Vincenta zgarnie wszystkie frukty. Ta świadomość zżerała go niczym kwas. Gdybym tylko mógł zabić Ashera, myślał jadowniczo, i zyskać

pewność, że nie dożyje chwili, gdy będzie mógł się nazwać markizem Ormsby...

Słyszając odgłos zbliżających się kroków, Bertram zeszywniał. Jego czas dobiegł końca, zatem otworzył środkową szufladę biurka. Czułym spojrzeniem objął wspaniałą, grawerowany srebrem pistolet pojedynkowy, który w niej leżał.

Gdy Baker zastukał do drzwi, Ormsby, biorąc pistolet do ręki, rzekł

spokojnie:

- Wejdz.

Epilog

- Wiesz, nie muszę jechać z nią do dworu Sherbrook - rzucił niedbałe Asher do Juliany w pewien gorący sierpniowy ranek, niespełna rok po samobójstwie Bertrama. - John może jej towarzyszyć. To przecież nie muszę być ja. - Gdy na Julianie te słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia, dodał niemal z rozpaczą: - Nie mogę zostawić cię tu samej z Vincentem.

Prawie jednocześnie spojrzeli na śpiące w jej ramionach niemowlę.

Nie bacząc na zwyczaje panujące wśród dam z jej sfery, Juliana zrezygnowała z mamki i sama karmiła syna piersią. Była

przekonana, że Vincent jest bez wątpienia najpiękniejszym dzieckiem w całej Anglii, a Asher całkowicie podzielał jej zdanie.

Niespełna trzymiesięczny malec, który otrzymał imię po dziadku ze strony ojca, był bez wątpienia synem Ashera. Odziedziczył czarne włosy i oliwkową cerę ojca i choć kolor jego oczu nie był jeszcze ostatecznie określony, istniały spore szanse, że będą tej samej, kobaltowoniebieskiej barwy, co oczy Ashera. Vincent urodził się duży i nie ulegało wątpliwości, że mając oboje rodziców słusznego wzrostu, wyrośnie na wysokiego mężczyznę. Zdradzał też pewne podobieństwo do Juliany,

zakochany Asher dostrzegał je w kształcie twarzy i nosa.

353

Za każdym razem, gdy Asher spoglądał na to małe ciało, zalewała go fala tak potężnej, gorącej miłości, że cały drżał od siły tego uczucia.

Potem przenosił wzrok na twarz Juliany i przenikał go ten sam, pierwotny poryw. Jego żona. Jego syn.

Znajdowali się w swych wspaniałych apartamentach we dworze Ormsby i choć w tej świetnej rezydencji mieszkali już od zeszłej jesieni, Asher nadal nie był pewien, czy nie wolałby Lisiej

Nory. Status markiza Ormsby wcale nie napełniał go takim szczęściem, jak powszechnie sądzono.

Choć Asher strasznie wyrzekał, że musi odwiedzić babkę do dworu Sherbrook, Juliana tylko uniosła brew. Ciągnął więc dalej:

- Nie wiem, czemu babka koniecznie musi latem odwiedzić panią Sherbrook. Widziała się z nią w zeszłym roku. Jestem bardzo niezadowolony, że muszę odjechać tak daleko od ciebie i dziecka.

Juliana roześmiała się z jego utyskiwań.

- Kochanie, twój syn i dziedzic nie będzie za tobą tęsknić podczas tych kilku

dni twojej nieobecności.

- A ty? Będiesz za mną tęsknić? -
zapytał ochryple, stwierdzając, że po
narodzinach dziecka stała się jeszcze
bardziej kusząca, jej krągłości
ponętniejsze i wyraziściej zarysowane.
Właśnie tak jak lubi, pomyślał,
przebiegając wzrokiem po jej wysokiej,
bujnej postaci. Głęboki dekolt
bladożółtej sukni pozwolił mu zapuścić
żurawia w te miękkie, ciężkie kule, które
całował i pieścił zeszłej nocy.

Przeniknęły go żar i pożądanie i przez
ułamek sekundy poczuł się niemal
zazdrosny o miejsce Vincenta przy jej
piersi. Potem jego syn zamrugnął sennymi
oczkami, odbiło mu się, po czym

wsadził pulchną piąstkę do buzi i niebawem zasnął. Asher i Juliana wymienili dumne spojrzenia - jakby Vincent dokonał czegoś nadzwyczajnego.

354

Rozległo się pukanie do drzwi i gdy Juliana powiedziała: -Tak? - pani Rivers otworzyła drzwi i rozejrzała się. Widząc zapraszający uśmiech Juliany, weszła do pokoju.

- Widzę, że nasz mały mężczyzna śpi - rzekła, kierując wzrok na drobne ciało Vincenta. - Zabrać go do pokoju dziecinnego? - Nikt tak nie hołubił Vincenta jak jej stara niania, może z

wyjątkiem babki, pani Manley, a choć pani Rivers nie została oficjalnie jego nianią, gdyż do opieki nad synkiem Juliana najęła młodszą, dobrze wykwalifikowaną piastunkę, pani Rivers spędzała wiele czasu w pokoju dzieciennym. Nigdy nie przepuściła okazji, by dotknąć Vincenta, i dzisiejszy ranek nie był

wyjątkiem.

Juliana ucałowała różowy policzek syna i wręczyła śpiące niemowlę pani Rivers.

Kiedy znaleźli się znowu sami, Asher rzekł z błyskiem w oku:

- Rozmawialiśmy przed chwilą, czy będziesz za mną tęskniła, gdy wyjadę w tym tygodniu...

Juliana podniosła się i zarzuciła mu rękę na szyję. Musnąwszy ustami jego wargi, rzekła cicho:

- Bardzo, mój najdroższy, i każdego dnia będę wyglądać twego powrotu.

Objął ją mocno i powiedział ochryple:

- Wiesz, że kocham cię najbardziej na świecie?

Uśmiechnęła się czule. - A ja ciebie. -
Lecz gdy chciał posunąć się o krok dalej, wywinęła się z jego uścisku.

Śmiejąc się z niego, umknęła małżeńskim pieszczotom i rzekła: - Ale niezależnie od tego, jak bardzo będę za tobą tęsknić, jutro odwieziesz babcię do dworu w Sherbrook i będziesz musiał poznać syna pani Sherbrook oraz jej synową.

Asher nachmurzył się.

Z iskierkami w oczach powiedziała:

355

- Asherze, to tylko parę dni, a wiesz, z jaką radością twoja babka przedstawi cię jako swego wnuka, markiza Ormsby.

Żałosny uśmiech wykrzywił mu wargi.

Była to prawda. Spośród nich wszystkich babka czerpała najwięcej radości z odmiany jego pozycji, niezmiernie tytułując go markizem Ormsbym.

Gdy rozeszła się wieść o małżeństwie Jane i Vincenta, rzeczywiście rozpętała się „diabelska burza”, którą przepowiadał Asher. W

bawialniach, gospodach i kawiarniach całej Anglii jedynie wojna z Napoleonem była ważniejszym tematem rozmów niż zdumiewający rozwój wypadków w posiadłości Ormsbych oraz odkrycie prawdziwego pochodzenia Ashera.

Pierwszych kilka miesięcy było najgorszych, lecz Asher zastanawiał się ponuro, czy kiedykolwiek on bądź Juliana będą mogli wejść do pokoju pełnego ludzi, nie budząc powszechnego zainteresowania i nie stając się tematem szeptów. Zapewne nie.

Znajdował się w dziwnym położeniu. Nigdy nie gonił za żadnymi tytułami, nie pożył wielkich bogactw - tyle tylko, by zabezpieczyć należyty byt rodzinie - a teraz ma jedno i drugie. I to nie byle jaki tytuł, lecz godność markiza. I nie jakiś tam mająteczek, ale olbrzymie dziedzictwo dóbr Ormsbych. I wszelkie obowiązki z tym związane...

Czasami budził się w nocy, przerażony na myśl o tych wszystkich ludziach żyjących na jego łasce, ludziach, których byt zależał od jego kaprysów i decyzji... Ale potem uzmysławiał sobie, że wszak zapewnił

rodzinie bezpieczeństwo i doskonale może zrobić to samo dla wszystkich mieszkańców dóbr Ormsbych.

Przynajmniej teraz, myślał z uśmiechem na ustach, zapadając z powrotem w sen, nie będę musiał kraść, by zapewnić im dostatni żywot.

Mając zapewnione stanowisko w świecie, żonę u boku i zdrowego syna, który mocno spał w dzieciennym pokoju, Asher był-

by szczęśliwym człowiekiem - gdyby babka nie wierciła mu dziury w brzuchu, żeby odwiózł ją do dworu w Sherbrook.

Czy naprawdę uważa, że Marcus bądź Isabel rozpoznają w nim człowieka, który porwał ją i ukradł ważną notatkę przed dwoma laty? Nie, ale z zasady czuł się nieswojo i chciałby, żeby ta podróż była już za nim.

Mimo wszelkich zastrzeżeń podróż i wizyta we dworze Sherbrook przeszła gładko. Starsza pani Sherbrook była tak czarująca jak pamiętał, dwór Sherbrook wygodny i elegancki, a Marcus i Isabel

stanowili uroczą parę gospodarzy. Isabel spodziewała się w październiku następnego dziecka i gdy mu ją przedstawiono, w muślinowej sukni z wysokim stanem wyglądała jak mały, pulchny garłacz.

W tych pierwszych, pełnych napięcia chwilach, kiedy ściskali sobie dłonie, Asher wcale by się nie zdziwił, gdyby Isabel cofnęła się z okrzykiem: „To pan!”. Ale nic takiego się nie stało, toteż ze spokojem korzystał z gościnności przyjaciół babki. Z Marcusem spędził parę miłych godzin na oglądaniu urodzonych wiosną źrebaków i wyraził chęć zakupienia paru, gdy kłacze przestanie karmić. Radowały go nawet

psoty rocznej Emmy, córeczki Marcusa i Isabel, gdy po południu dorośli zasiedli na pogawędkę w zacienionej części ogrodu. Emma nauczyła się chodzić dopiero w zeszłym miesiącu i patrząc, jak drepcze niepewnie, Asher zastanawiał się, czy Vincent w tym wieku również będzie chodził.

Z niewiadomych dla Ashera przyczyn Emma poczuła do niego sympatię i wpatrywała się w niego z uwielbieniem wielkimi, złotobrazowymi oczami, które wzięła po matce. Lecz nie miała jej ognistych włosów, ale czarną czuprynkę, której kędziorki co chwila opadały jej na czoło. Asher nie mógł się powstrzymać i pociągnął za jeden

szczególnie niesforny lok, gdy ufnie oparła się o jego

357

nogę i pożerała go wzrokiem. Przyszła niania, by ją zabrać, a ona płakała i ścisnęła go za łydkę, nie chcąc jej puścić. Asher z uśmiechem odjął jej paluszki od swej nogi, mówiąc cicho:

- Tak, tak, wiem, że to tragedia, maleńka, i bardzo cię przepraszam, ale niestety, nic się nie da zrobić. To moja noga i dosyć ją lubię.

Słyszając te słowa, Isabel drgnęła i spojrzała na niego. Jego ton i słowa przywołały jakieś wspomnienie, ale nie

bardzo wiedziała jakie.

Wzruszyła ramionami i machnęła ręką na ten incydent, ale ciągle ją to dręczyło i złapała się na tym, że podczas kolacji uważnie wsłuchuje się w głos Ashera, usiłując odgrzebać to ulotne wrażenie.

Asher zauważył to jej nagłe zainteresowanie, lecz nie miał pojęcia, czym mógł zakłócić miły przebieg wizyty. Trzymał się zasady, by nigdy nie wracać na miejsce swych poprzednich, hm, eskapad, między innymi dlatego, że bał się ewentualnego zdemaskowania. Isabel nie widziała jego twarzy, ale odzywał się do niej - myślał czujnie. Czyjego głos obudził

jakieś wspomnienie? Chryste! Miał nadzieję, że nie. Po raz kolejny czując na sobie jej wzrok, napomniał się, iż to niemożliwe, by powiązała markiza Ormsby'ego z człowiekiem, który porwał ją przed dwoma laty.

Oby już przyszło jutro i nastąpiła pora wyjazdu, której wyczekiwał

niespokojnie.

Naturalnie w czasie wizyty wypłynął temat dramatycznych okoliczności, w jakich odziedziczył tytuł. Zdarzyło się to po kolacji, gdy porozsiadali się w uroczym, kremowo-złotym salonie od frontu, gdzie panowie rozkoszowali się brandy, a panie herbatą. Odstawiwszy

filizankę z cienkiej porcelany, starsza pani Sherbrook odezwała się:

- Jakie to dziwne, że gdy poznałam pana w zeszłym roku, był pan zwykłym panem Cordellem, a teraz mamy przed sobą markiza Ormsby'ego. W sumie dość fortunnie się złożyło, że pański 358

wuj popełnił samobójstwo, bo dzięki temu pan i pańska rodzina nie będą musieli ciągać się z tą odrażającą historią po sądach.

Asher wzruszył ramionami. Tchórzliwa ucieczka Bertrama przed publiczną hańbą nadal budziła w nim mieszane uczucia, ale w sumie, w miarę upływu czasu, skłonny był przyznać rację pani

Sherbrook. Czasami gnębiło go poczucie winy, że nie pomścił ojca, ale przyznawał, iż trudno było żywić mściwe myśli względem zmarłego - zwłaszcza gdy jego śmierć, pod pewnymi względami, naprawiła straszliwe zło. Czy wolałby, by na Bertrama spadła hańba? Zapewne, ale teraz, gdy wiezie tak wspaniałe życie z uwielbianą żoną i synem, będącym ośrodkiem jego wszechświata, trudno byłoby rozpamiętywać coś, czego już nie zmieni.

Jest szczęśliwym człowiekiem, a szczęśliwy człowiek nie rozmyśla o takiej kanalii jak Bertram.

- Zgadzam się z moją teściową. Bardzo

dobrze się stało, że ten straszny łotr się zabił - oświadczyła stanowczo Isabel. - Spoglądając z sympatią na Ashera, dodała: - To cud, że pana też nie zamordował.

- Nie wątpię, że przebiłby mi sztyłem wątrobę, gdyby miał

sposobność - odparł Asher - ale na szczęście nie musiałem wyświadczać mu tej przysługi.

Oczy Isabel zwęziły się. Gdzie ona słyszała już podobne sformułowanie? Zapewne spotkała już kiedyś markiza Ormsby'ego. Ale gdzie? Prawdziwa zagadka.

Powtórzyła to samo Marcusowi wieczorem w sypialni. Siedząc przy toalecie z rozpuszczonymi, złotorudymi włosami, które spływały jej na plecy, obróciła się na pokrytym zieloną satyną stołku i spojrzała na męża, który stał oparty o kolumnienkę podtrzymującą baldachim łoża i przypatrywał się Isabel.

- Mam niesamowite poczucie, że już go kiedyś spotkałam. Czy to możliwe? -
Myśląc, że ciąża służy żonie, choć skarży się, że wygląda jak tucznik, Marcus nie był zainteresowany

359

lordem, ale podjął ten temat. - Przecież

nie jako lorda Ormsby'ego.

Tytuł odziedziczył niedawno. Nie pamiętam, żebym go spotkał, gdy był panem Cordellem.

- Wiem, ale to bardzo dziwne... - Oczy Isabel zwęziły się i aż jej zaparło dech, gdy nagle sobie przypomniała. Na zawsze zapamięta tę straszliwą przygodę sprzed dwóch lat, kiedy to została porwana i była przetrzymywana. Wreszcie zdała sobie sprawę, co jest takiego znajomego w lordzie Ormsbym.

- O co chodzi? - zapytał Marcus, patrząc na nią czujnie szarymi oczami.

Isabel zaśmiała się. - Ależ ze mnie głuptaska! Mój „dżentelmen”

nazwał mnie raz „maleńką”, gdy byłam przetrzymywana, i powiedział

coś takiego, że lubi swoją wątrobę i nie chce, żebym przebiła ją sztyłem.

Dziś po południu lord Ormsby nazwał Emmę „maleńką”, a wieczorem powiedział podobne słowa o swojej wątrobie, dlatego wydawało mi się, że już to kiedyś słyszałam. - Zarumieniła się. - Co za wstyd! Jak mogłam choć przez chwilę myśleć, że jest jakiś związek między moim porywaczem a lordem Ormsby. To szczyt głupoty. Jestem skończoną idiotką.

Marcus uśmiechnął się, podszedł do niej i podniósł ją ze stołka.

- Wiesz, mam dosyć rozmowy o lordzie Ormsbym. Wolałbym raczej pójść do łóżka z moją żoną.

Uśmiechnęła się do niego promiennie i muskając wargami jego usta, rzekła:

- A ja wolałabym raczej, żebyś się ze mną kochał...

Asher, skoro miał w perspektywie rychły wyjazd następnego ranka, przygotowując się do opuszczenia dworu w Sher-brook był pogodny i spokojny. Babka wygodnie się ulokowała w przydzielonym jej

apartamencie, Asher zachował się jak posłuszny wnuk, przyjazny wobec jej znajomych, a teraz chciał wrócić do żony i syna.

360

Pożegnał się z gospodarzami, pocałował babkę na pożegnanie i już miał się wymknąć, gdy Marcus wykrzyknął:

- Na Boga! Zapomniałem dać panu kopie rodowodów tych dwóch młodych klaczy, które pana interesowały. Mój sekretarz przygotował je w nocy. Proszę do mojego gabinetu, przekażę tam panu dokumenty przed wyjazdem.

Gdy Marcus szukał papierów na biurku,

Asher rozejrzał się po pokoju i widząc wiszący na ścianie pełen życia portret Isabel, rzekł z roztargnieniem:

- Widzę, że zdjął pan Stubbsa.

Znalazłszy papiery, Marcus uniósł wzrok i odparł: - Tak, ponieważ był

to obraz Groma, konia Isabel, chciała go mieć w swoim gabinecie. -

Uśmiechnął się. - Ale za to uparłem się, żeby pozowała Lawrence'owi. -

Wręczając Asherowi rodowody, rzekł: - O wiele bardziej wolę patrzeć na śliczną twarzyczkę żony niż na pysk konia.

Asher zaśmiał się, wziął od niego papiery i włożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Obaj mężczyźni razem podeszli do frontu domu, po czym Asher odjechał. Dwór Sherbrook i wszystko, co się tam działo, wyszło mu z głowy. Myślał o żonie oraz diamentach Ormsby'ego, które niegdyś zamierzał wykraść. Można powiedzieć, że to diamenty Ormsby'ego połączyły go z Julianą. Uśmiechnął się. Po powrocie do domu postara się, by włożyła diamenty Ormsby'ego... i nic ponadto...

* * *

Marcus wrócił do gabinetu, podszedł do portretu Isabel i odsunął go, by umieścić

rodowody z powrotem w sejfie za obrazem. Nasuwał właśnie portret Isabel na miejsce, gdy nagle zeszywniał. Zmusiwszy się do dokończenia tej czynności, odsunął się od portretu.

Marcus zmarszczył brwi i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w portret żony w złotych ramach. Portret Isabel wisi tu
361

od półtora roku. Przedtem na tym miejscu znajdował się portret Groma. Skąd zatem człowiek, którego Marcus przedtem w ogóle nie znał, którego noga na pewno wcześniej nie postąpiła we dworze Sherbrook, wie, że kiedyś wisiał tu portret Groma?

Przemknęło mu przez myśl wyznanie Isabel, które wczoraj ze śmiechem złożyła. Skąd Isabel miała wrażenie, że zna Ormsby'ego? Skąd markiz wiedział o zmianie portretów? Uświadomił sobie cierpko, że wyjaśnienie może być tylko jedno. Zamrugął powiekami. On pierwszy przyzna, że to dziwaczne wytłumaczenie. Ale trzyma się kupy.

Dżentelmen Isabel, ten, który nazwał ją „maleńką”, był w tym pokoju przed dwoma laty - zuchwały gość musiał przesunąć portret Groma, by dostać się do ukrytego za nim sejfu i jego zawartości... Marcus głęboko zaczerpnął oddechu i potrząsnął głową. Teraz on

zasłużył na miano głuptasa. Markiz Ormsby, dżentelmen Isabel i bezczelny złodziej, który wykradł notatkę i przekazał ją Roxbury'emu, byłby jedną i tą samą osobą?

To niedorzeczne!

362

Document Outline

- [Busbee Shirlee](#)